

JACEK OSTROWSKI KATHARSIS

A person in a dark coat stands with their back to the camera in the foreground, looking towards a two-story building at night. The building has a glowing red 'HOTEL' sign on its left side. A window on the second floor is lit from within, showing a silhouette of a person. A tall palm tree stands to the right of the building against a dark blue sky. The overall scene is bathed in a red and blue light, creating a mysterious atmosphere.

KAŻDY SKRYWA JAKIEŚ **TAJEMNICE.**
KAŻDY MOŻE TEŻ ODKUPIĆ
SWOJE **WINY...**

JACEK
OSTROWSKI

KATHARSIS



Spis treści

Karta redakcyjna

Od Autora

Motto

Prolog

Dzień pierwszy, poniedziałek

Dzień drugi, wtorek

Dzień trzeci, środa

Dzień czwarty, czwartek

Dzień piąty, piątek

Dzień siódmy, niedziela

Dzień ósmy, poniedziałek

Dzień dziewiąty, wtorek

Dzień jedenasty, czwartek

Dzień dwunasty, piątek

Dzień trzynasty, sobota

Dzień czternasty, niedziela

Epilog

Posłowie

Redakcja
Monika Orlowska

Korekta
Bożena Sigismund

Projekt graficzny okładki
Mariusz Banachowicz

Zdjęcie wykorzystane na okładce
©YS/Unsplash

Skład i łamanie
Agnieszka Kielak

© Copyright by Skarpa Warszawska, Warszawa 2021

© Copyright by Jacek Ostrowski, Warszawa 2021

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie

Wydanie pierwsze
ISBN 978-83-66939-48-6



Wydawca

Agencja Wydawniczo-Reklamowa
Skarpa Warszawska Sp. z o.o.
ul. Borowskiego 2 lok. 24
03-475 Warszawa
tel. 22 416 25 19

redakcja@skarpawarszawska.pl

www.skarpawarszawska.pl



Konwersja: [eLitera s.c.](#)

Pierwzór tej książki powstał wiele lat temu. Wtedy to, po jej lekturze, moja Żona pierwszy raz użyla wobec mnie słowa „pisarz”, co w Jej ustach oznaczało bardzo wiele. Dlatego dziś chciałbym specjalnie Jej niniejszą powieść dedykować.

Kto czyni zło, otwiera wrota diabłu.

PROLOG

Byla wczesna jesień. Choć słońce grzało jeszcze dość mocno, toskańskie plaże powoli pustoszały. Ostatni turyści pakowali walizki, ratownicy składali leżaki i wywozili je z plaży, likwidowano sezonowe budki z lodami, wakacyjno-urlopowy sezon zmierzał nieuchronnie do końca.

Tego dnia Veronika Oliveto wstała jak zwykle wcześniej i razem z Franciszkiem, sezonowo zatrudnianym kucharzem, przygotowywała śniadanie dla nielicznych już gości hotelu Erynia. Dziewczyna z dużą wprawą kroїła chleb, co chwila poprawiając długie, gęste, kruczoczarne włosy, spływające jej w nieładzie na śnieżnobiały fartuch.

W pewnej chwili kucharz skrzywił się z niesmakiem. Dobrze wiedział, że nic bardziej nie zdenerwuje gościa niż włos w jedzeniu.

– Obetnij je w końcu. Dziwię się, że jeszcze cię nikt nie ochranił.

– Szkoda by było, lubię je – odparła i na przekór uwagom Franciszka potrząsnęła grzywą.

– Wiem, ale przez ciebie wciąż musimy z Enzo sprawdzać półmiski przed podaniem na stół. Kiedyś coś przeoczymy i będzie wstyd.

Zaśmiała się pojednawczo. Odłożyła nóż, chwyciła koszyczek z pieczywem i skierowała się w stronę jadalni. Z zaskoczenia w locie pocałowała kucharza w policzek.

– Nie gderaj, staruszku.

– Oj, Veronika, Veronika – rzekł z rezygnacją.

Ona tu była szefem. Pracował w hotelu trzydzieści lat. Zaczął, kiedy rządził tu jej rodzice. Wszystko zaczęło się od spadku, który dostał stary Oliveto, wtedy młody i pełen energii mężczyzna. Wcześniej był zwykłym listonoszem, a jego żona nie pracowała. Ciężko im było. Z namysłem wydawali każdego zarobionego lira, nie stać ich było na żadne luksusy. Kucharz wiedział o tym dobrze, bo mieszkał trzy domy dalej.

Otóż, gdy Bernardo dostał spadek, to rzucił robotę i kupił ten stary, zapuszczony budynek nad morzem. Kiedyś, jeszcze przed wojną, był tu hotelik. Franciszek pamiętał to jak przez mgłę, bo był wtedy bardzo mały. Później budynek popadł w ruinę. Powybijane szyby w oknach i gąszcz chwastów wokoło skutecznie odstraszały ciekawskich, prócz dzieciaków. One po kryjomu bawiły się tutaj, ale też tylko do dnia tragedii.

Tak, Franciszek z kolei dobrze pamiętał ten wypadek. Któregoś dnia, kiedy bawili się w wojnę, jeden z jego kolegów postanowił ukryć się na strychu. Wdrapał się po spróchniałych schodach na górę, zajrzał do jakiegoś pomieszczenia i nagle rzucił się z krzykiem na dół. Jeden ze stopni zarwał się pod nim, później następny. Chłopak stracił równowagę i runął z hukiem w dół, a kiedy spadał, obrywały się pod nim następne stopnie. Zatrzymał się dopiero na pierwszym pięttrze, od tego miejsca schody były marmurowe i bardzo stabilne. Może uderzył głową o kamienną posadzkę, a może o którąś ze ścian, w każdym razie stacanie w dół miało swój smutny finał. Pietro, bo tak miał na imię ten nieszczęśnik, zmarł na rękach Franciszka.

W pierwszej chwili wszyscy uważali, że schody są główną przyczyną wypadku, ale kiedy strażacy przystawili drabinę i zajrzeli na strych, odkryli tam podobno coś strasznego. Policja nigdy nie zdradziła, co faktycznie tam znaleziono, a plotkom i domysłom nie było końca przez wiele lat.

Było to okropne przeżycie dla małego chłopca, prawdziwy wstrząs, pierwsze namacalne spotkanie ze śmiercią. Do dziś pozostała blizna, co i raz mu się to śniło, mimo że upłynęło już tyle lat.

Od tego czasu wszyscy na wszelki wypadek, mijając ten dom, przechodzili na drugą stronę ulicy.

No i właśnie tę przeklętą przez Boga i ludzi ruderę kupił Bernardo. Na początku okoliczni mieszkańcy kręcili głowami i pukali się w czoło. On jednak wcale się tym nie przejmował. Wynajął firmę aż z Rzymu, bo żadna miejscowa nie chciała podjąć się remontu, i w pół roku zmienił ruinę w piękny i jak na tamte czasy nowoczesny hotel.

Jednak legenda przeklętego domu była tak silna, że Bernardo miał duże problemy z wynajęciem pokoi. Owszem, turyści goszczący przejazdem w Pietrasancie i nieznający historii hotelu z chęcią zatrzymywali się w nim na jedną, maksymalnie dwie noce. Inni jednak omijali go wielkim łukiem, bo kto chce nocować w budynku, o którym krążą historie mrozące krew w żyłach?

Trzeba było wielu lat, by niezrażony kłopotami właściciel w końcu przełamał impas. Powoli ludzie zapominali o mrocznych wydarzeniach, wymierało pokolenie świadków. Tyle że teraz w Pietrasancie i okolicach zaczęły powstawać niczym grzyby po deszczu nowoczesne hotele o wysokim europejskim standardzie. W wielu z nich był kryty basen, telewizja satelitarna i barek, a holami snuły się elegancko ubrane, młode i powabne hostessy.

Znów niczym bumerang powróciły stare problemy, no bo jak tu konkurować z takimi luksusami? Tym razem były to problemy nowej właścicielki – Veroniki, najmłodszego dziecka Bernarda.

Starsze latorośle Oliveta wyjechały za chlebem do Rzymu i Florencji, a na starych śmieciach została ona, oczko w jego głowie. Dziewczyna złapała bakcyła hotelarstwa po rodzicach. Przejęła interes i tak jak jej ojciec nie zamierzała złożyć broni. Powoli starała się modernizować Erynię i walczyła o gości jak lwica.

* * *

– Franciszku, dokrój wędliny! – Głos Veroniki przerwał rozmyślania kucharza. Ten spojrzał na szefową z nieskrywaną czułością. Ile w niej pasji, ile zaangażowania! Za to ją uwielbiał. Dobrze zrobił Bernardo, przepisując wszystko na córkę. Ta dziewczyna poradzi sobie, Franciszek był o tym święcie przekonany.

– Już się robi, szefowo.

Sięgnął po szynkę parmeńską i z dużą wprawą zaczął ją kroić na bardzo cienkie plasterki. Wiedział dobrze, że trzeba stworzyć iluzję, iluzję wyboru i ilości, żeby goście widzieli wciąż pełne półmiski. To było małe, niegroźne oszustwo.

Zacharczał dzwonek u wejścia, po chwili powtórnice.

– Mogłaby go w końcu wymienić – westchnął kucharz. Nie cierpiał tego nieprzyjemnego dla uszu dźwięku. Veronika jednak nie chciała tego zrobić, uparła się niczym osioł, ponoć przypominał jej dzieciństwo; nie bardzo to pojmował.

Ponownie zacharczało.

Zerknął przez uchylone drzwi do jadalni. Veronika chyba nie słyszała. Kręciła się wśród stolików i podawała gościom półmiski.

– Niech sobie nie przerywa – mruknął pod nosem i nie zdejmując fartucha, wyszedł do holu, gdzie zauważył jakąś postać.

Mężczyzna stał odwrócony tyłem do niego i z zainteresowaniem przyglądał się obrazom wiszącym na ścianach. Kiedy Franciszek podszedł bliżej, przybysz zwrócił się twarzą w jego stronę. Teraz kucharz mógł mu się przyjrzeć. Był to wysoki młody mężczyzna o szlachetnych rysach twarzy i gęstej czarnej czuprynie, ubrany w bardzo elegancki, idealnie skrojony garnitur, co niezbyt pasowało do pory dnia. Wbił w niego tak lodowate spojrzenie, że Franciszkowi aż mrowie przeszło przez plecy.

Dziwny gość, przemknęło mu przez głowę.

– Słucham pana.

– Szukam właścicielki. Chcę z nią zamienić kilka słów.

– To proszę spocząć, zaraz ją zawołam. – Wskazał ręką małą skórzaną kozetkę w saloniku obok.

– Dziękuję, postoję, obejrzę obrazy. Zauważyłem, że na wszystkich jest jeden i ten sam podpis. Kto je namalował?

– Tata szefowej.

– Zdolny człowiek – pochwalił przybysz. – Bardzo udane dzieła.

– Zna się pan na malarstwie?

Brunet jedynie skinął głową i zaczął przyglądać się następnym olejom.

Zatrzymał wzrok na małym obrazie, pejzażu przedstawiającym Porto Venere.

– To jest oryginał – usłyszał zza pleców. Odwrócił się. Stała przed nim drobna i zgrabna ciemnooka dziewczyna o bardzo harmonijnych rysach twarzy.

Śliczna, pomyślał. Spojrzał jej uważnie w oczy, ale zamiast spodziewanego strachu napotkał twardy, choć niepozabawiony niepewności wzrok.

– Wiem to i muszę przyznać, że wszystkie te obrazy zrobiły na mnie wrażenie, powiem więcej, duże wrażenie.

– Naprawdę? Skoro pan zna się na malarstwie, to dobrze pan wie, że nie ma w nich nic nadzwyczajnego.

– Tak pani uważa? – Zdziwiony podniósł brwi.

Powoli zwrócił się w kierunku kolejnego obrazu. Było to dzieło Moneta. Podszedł bliżej. Delikatnie przeciągał po nim palcem, naśladując ruchy pędzla.

– W obrazie jest zamknięta dusza jego twórcy – mówił szeptem. – Trzeba umieć tylko to czytać. Nie każdy to potrafi. To zależy od wrażliwości duszy.

– Przecież to kopia. – Veronika parsknęła śmiechem.

Mężczyzna nawet na nią nie spojrział. Skupiony na obrazie, podziwiał kunszt malarza.

– I co z tego wynika? Kopia nigdy nie jest taka sama jak oryginał. W tych subtelnych różnicach jest ukryta dusza kopisty. Ciężiej jest to dojrzeć, ale ja to widzę, ja to czuję wszystkimi zmysłami.

– Tak? To proszę mi powiedzieć coś o autorze.

Dziewczyna z wyraźnym zainteresowaniem obserwowała przybysza. Nie wyglądała na wariata, było w nim coś interesującego, pewna tajemnica, jakiś magnetyzm. Nieznajomy ponownie podszedł do pejzażu przedstawiającego Porto Venere.

– Nietuzinkowy człowiek – zaczął szeptać. – Z niczego wbrew wszystkim stworzył to, co chciał. Mocna osobowość, a jednocześnie duża wrażliwość. Dwoista dusza. Artysta z jednej strony, a z drugiej zimno kalkulujący przedsiębiorca. Zaczął malować dopiero pod koniec życia, kiedy spełnił się jako biznesmen.

– Nic nowego pan nie powiedział. – Veronika nie kryła rozczarowania. Najwyraźniej nie na to liczyła.

– Chce pani wiedzieć więcej?

Odwrócił się gwałtownie. Jego zimne spojrzenie przeszło ją na wylot. Veronika zbladła, cofnęła się odruchowo.

– Tak, chcę wiedzieć więcej, bo tym kopistą jest mój tata.

Ponownie twarz w stronę płótna. Zadumał się. Jego palec wskazujący sunął wolno wzdłuż fali wzburzonego morza. Nagle się zatrzymał.

– W tym obrazie jest ukryty silny ból syna po stracie ojca.

– Po stracie ojca? Dziadek nie żyje już kilkadziesiąt lat, zginął w Pizie, chyba w tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym, a obraz powstał wiele lat później, więc nic się nie zgadza.

– Nie. Pani dziadek zszedł z tego świata w tym domu. Powiem więcej, w pokoju na pierwszym piętrze. Owszem, to było wiele lat temu, ale już po wojnie.

– Bzdury! Opowiada pan bzdury. – Roześmiała się w głos.

Posłał jej pojednawczy uśmiech. Jego spojrzenie złagodniało, pojawiło się w nim dużo ciepła.

– Żartowałem. Zresztą nie przyszedłem tu opowiadać historii pani rodziny, to nie moja sprawa, mam interes.

– Chce pan wynająć pokój? Nie ma problemu, jest kilka wolnych. Iluosobowy?

– Niezupełnie – odparł tajemniczo.

– Nie rozumiem. Proszę mówić wprost. – Nie kryła irytacji, zerkając dyskretnie na zegarek.

– Nazywam się Gabriel Trovato i chcę wynająć cały hotel.

Dziewczynę na moment zatkało z wrażenia. Oto przed nią stał klient marzenie. W tych trudnych czasach mieć pełne obłożenie pokoi to sukces. Oby na jak najdłużej i oby tylko za gotówkę; najlepiej, jeśli od razu wpłaci zaliczkę. Myśli zaczęły kłębić się jej w głowie.

Mężczyzna w milczeniu ją obserwował. Czekał cierpliwie, aż się uspokoi i będzie mógł prowadzić normalne pertraktacje.

– Na długo? – wydusiła po chwili, wciąż oszołomiona jego propozycją.

– Na dwa tygodnie i, co ważne, chcę wynająć go w marcu.

– W marcu? – zdumiała się. Kto wynajmuje hotel w Pietrasancie w marcu?

– Tak. Marzec będzie idealny.

– Ale w marcu jeszcze nie ma sezonu. Może w maju? – zaproponowała.

– Wiem o tym, ale nie zależy mi na sezonie turystycznym, nie chcę tu tłumu. Moi goście potrzebują wyciszenia i spokoju. To świetny termin.

– Dużo będzie gości?

– Pięć osób.

– Pięć osób? Dla pięciu osób chce pan wynająć cały obiekt? Wystarczą dwa, góra trzy pokoje.

– Nie. Chcę wynająć cały hotel Erynia. – Głos mu się zmienił. Wyraźnie zaczęły go drażnić jej pytania.

– Chodziło mi tylko o pana dobro, nic więcej – zreflektowała się.

Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

– Nie rozumiem. Co pani ma na myśli?

– Wynajęcie całego hotelu to dużo pieniędzy – bąknęła zakłopotana.

– Wiem, ale to jest w kalkulowane w koszty operacji.

– Jakiej operacji?

– Czy mam iść do konkurencji? – Podniósł nagle głos. – Nie chcę żadnych pytań. To jest podstawowy warunek.

Uśmiechnęła się przeproszająco. Za żadne skarby nie mogła wypłoszyć takiego klienta, nigdy by sobie tego nie darowała. On mógł jej biznes postawić na nogi.

– Proszę wybaczyć. Przepraszam pana, ale to wszystko było w dobrej intencji.

– Okej, rozumiem. Proszę podać cenę, za kilka dni przeleję pieniądze.

– No, nie wiem – zawahała się. – Z wyżywieniem?

– Oczywiście, pełna obsługa. Aha, kilku gości będzie z zagranicy. Oni nie znają włoskiego.

– Nie ma problemu. Moi pracownicy znają język angielski.

– No to świetnie, a zatem ile? – Wbił w nią pytający wzrok.

Boże, ile zażądać? Biła się z myślami. Nie może powiedzieć za dużo, musi wypośredkować. Popatrzyła na klienta uważniej, tak jakby chciała odgadnąć po jego minie, ile może wyłożyć.

– Szesnaście tysięcy euro za wynajęcie całego obiektu – rzuciła i ze strachem spojrzała na mężczyznę. Sama przeraziła się podanej kwoty; trzeba było powiedzieć dwanaście tysięcy, pomyślała. Cała w nerwach czekała na decyzję, patrząc na przystojniaka. Ładny był, tylko miał w sobie coś dziwnego, coś, co nakazywało daleko idącą ostrożność. Musiała zachować czujność.

Uśmiechnął się, już wiedziała, że podała właściwą kwotę. Poczula wielką ulgę.

– Zapłacę pięćdziesiąt tysięcy, tylko wszystko ma być tip-top.

Patrzyła na niego z niedowierzaniem. Ten klient wciskał jej fortunę, nikt przy zdrowych zmysłach tego nie czyni, chyba że ma nieczyste zamiary.

– Pięćdziesiąt tysięcy? – wydukała w osłupieniu. – Nie rozumiem. Żartuje pan?

– Nie, czasem żartuję, ale nie tym razem. Proszę tylko bez pytań. I jeszcze jedno.

– Słucham?

– Obsłudze nie wolno rozmawiać z gośćmi, nie wolno o nic wypytywać. Nawet jeśli będą chcieli nawiązać rozmowę, proszę dyskretnie się wycofać.

– Dlaczego? To przecież jest nieuprzejme.

– Wciąż pani pyta i pyta, a moje warunki są klarowne. Daję pani godnie zarobić za dwa tygodnie pobytu pięciorga, może dość specyficznych, ale na pewno spokojnych gości. Ma pani kilka miesięcy, żeby sobie to wszystko zakodować. Proszę pamiętać, że jeśli nie dotrzyma pani warunków umowy, zażądaję zwrotu całej sumy, i to co do euro.

– Dobrze, przepraszam – bąknęła, nie kryjąc zakłopotania. – Jednak proszę mnie zrozumieć. Takie transakcje zdarzają się bardzo rzadko, a ja właściwie nigdy nie miałam podobnej.

– Oczywiście. – Delikatnie dotknął dłonią jej ramienia. – Rozumiem panią. Nawet teraz nie jest pani pewna, czy to nie żart. Za kilka dni na pani konto wpłynie uzgodniona przed chwilą kwota, dopiero wtedy zacznie pani myśleć o tym racjonalnie. Wiem, że na marzec wszystko będzie gotowe. Goście zameldują się tu pierwszego.

– Pan też będzie?

– Ja? – Spojrzał na nią jakoś dziwnie i uśmiechnął się. – Nie, ja nie. Owszem, na pewno tu nieraz zajrzę, ale nie będę pani gościem. Umowa stoi?

Wyciągnął do niej prawą rękę.

Veronika się zawahała. Jakoś to wszystko wciąż wyglądało nierealnie. Spojrzała mężczyźnie prosto w oczy. Patrzył na nią życzliwie, powoli zaczynał wzbudzać jej zaufanie. Podała mu dłoń. Uścisnął ją mocno, po czym odwrócił się i ruszył do wyjścia.

– Nie chce pan obejrzeć pokoi?! – krzyknęła za nim.

Roześmiał się w głos.

– Znam je świetnie – rzucił przez ramię i wyszedł.

Drzwi głucho trzasnęły i Veronika została sama w holu. Stała wciąż oszołomiona tym niespodziewanym zleceniem. To chyba opatrność Boża czuwa nad nią, bo przecież jeszcze przed chwilą widmo plajty czało się w progu hotelu.

Odruchowo spojrzała na obraz, o którym mówił tajemniczy mężczyzna. Wzburzone morze, fale z wściekłością atakujące klifowe wybrzeże, na którym widać malownicze miasteczko i ruiny starego bastionu; i ta łódka, mała drewniana łupina w samym sercu żywiołu. Podeszła bliżej i próbowała coś odczytać z obrazu. Jednak nic poza martwymi kreskami nie zauważyła. Wzruszyła ramionami i wróciła do kuchni.

– Kto to? – zapytał Franciszek. Wyraźnie ów mężczyzna go zaintrygował. Wcześniej Veronika kątem oka widziała, jak co i rusz wychyla się z kuchni i zaciekawiony spogląda w ich kierunku.

Wzruszyła ramionami.

– Sama nie wiem. Jakiś dziwny facet.

– Czego chciał?

– Wynająć cały hotel.

– To super! – krzyknął z entuzjazmem. – Odbijesz się od dna. Twój ojciec się ucieszy. Musisz mu koniecznie o tym powiedzieć, i to jak najszybciej.

Ją jednak zaczęły nachodzić wątpliwości. To zlecenie było zbyt nieprawdopodobne, aby mogło być realne. Za mocno stąpała po ziemi, żeby podejść do tej sprawy z niezachwianym optymizmem. To do niej nie pasowało. Zresztą wciąż się słyszało o różnych oszustach żerujących na ludzkiej naiwności. Należało zachować daleko idącą ostrożność.

– Nie wiem. Poczekam, aż przyjdzie przelew. Jeśli w ogóle przyjdzie.

Wsparła się na długim stalowym kontuarze do przygotowywania potraw i się zamysliła.

– Czego nie wiesz? Wyglądał na biznesmena. Nawet nie masz pojęcia, ile tacy mają pieniędzy.

– No właśnie, czemu nie chce wynająć hotelu o wyższym standardzie? Za taką kwotę pewnie każdy by się zgodził. Dlaczego akurat w marcu? Czemu nie wolno zadawać żadnych pytań i rozmawiać z gośćmi? Czemu całość tylko dla pięciu osób? – wyrzuciła z siebie na jednym wydechu.

– Jeśli zapłaci, to co ciebie obchodzi reszta? – Kucharz zaśmiał się i zaczął kroić cebulę.

– Ale on chce zapłacić trzy razy więcej, niż zażądałam!

– Powiadasz trzy razy?

Nóż kuchenny zawisł nad cebulą. Na twarz Franciszka zakradł się niepokój.

– Tak. Czy to nie dziwne?

– Owszem. Może to jakiś wariat, dziwoląg? Wciąż się słyszy o takich. A może to zwykły żart?

– Może. Poczekajmy na pieniądze i dopiero wtedy będziemy się martwić.

– Lub cieszyć – dokończył.

– Franciszku, trochę się boję. Nie wyglądał na głupca, a nikt przy zdrowych zmysłach nie jest skłonny do takiej rozrzutności. Czuję kłopoty.

– Oj, nie kracz! – zrugął ją.

Tego dnia Erynię opuścili ostatni goście. Skoro świt taksówka zawiozła na dworzec kolejowy trójkę Estończyków. Veronika obchodziła budynek, sprawdzała stan pokoi. Trzeba było teraz wszystko poprać, posprzątać i wykonać potrzebne naprawy. Nie był to zbyt udany sezon, gdyż konkurencyjne placówki podkupiły część stałych gości. Jeśli następny będzie równie zły, to hotel wypadnie zamknąć. To nie dawało jej spokoju, powodowało, że często budziła się w środku nocy, cała złana potem. Koszmarne sny, w których zamykała ukochaną Erynię, nie dawały jej spać.

Sytuacja była dramatyczna, pracownicy domagali się podwyżek, ale skąd tu na nie wziąć? Tylko stary Franciszek nie chciał pieniędzy, Veronika dobrze jednak wiedziała, że z utęsknieniem czeka na emeryturę. Mógł już na nią przejść, ale chciał pomóc dziewczynie i dzielnie ją wspierać. Przy jego pokaźnej tuszy ciężko mu było dźwigać ogromne gary, męczyło go długie stanie przy kuchennym blacie, więc tak czy owak ten dzień się zbliżał, i to wielkimi krokami.

Veronika pozamykała ciężkie okiennice i poszła do saloniku. Zrezygnowana, w podłym nastroju usiadła na kanapie. Co będzie robić, jeśli los zmusi ją do zamknięcia Eryni? Tylko to potrafi, tylko to kocha. Czy jest w stanie inaczej sobie ułożyć życie? Co powie ojcu? I tak wciąż go oszukuje, wmawiając mu, że interes kręci się rewelacyjnie. Sama już nie wie, czy on w to wierzy. Chwilami czuje, że nie, że jedynie udaje. Być może nie chce jej męczyć dociekliwymi pytaniami? Przecież wie, przecież widzi te ekskluzywne hotele wokoło, jak choćby te przy sąsiedniej ulicy. Widzi baseny i rzędy luksusowych samochodów na parkingach. Przed jej budynkiem stoi najwyższe kilka zdezelowanych gratów i wystarczy spojrzeć na nie, by odgadnąć, jakie kwoty zostawiają tu ich właściciele. W sumie jest ojcu wdzięczna, że oszczędza jej pytań, bo i tak ma mnóstwo kłopotów.

Siedziała zatopiona w myślach i nie zauważyła kucharza. Podeszedł i usiadł przy niej, następnie objął ją ramieniem i przytulił.

– Nie martw się, dziecko – szepnął. – Jakoś to będzie. Nie zamkniemy Eryunii, bo przecież chyba, do cholery, jest Bóg i nam pomoże?

– Tak. – Zaśmiała się ironicznie. – Już nam zesłał jakiegoś czubka, co chce wynająć hotel za grube pieniądze. No i co? Gdzie są te pieniądze? Gdzie jest ten klient? Od razu wiedziałam, że to jakaś lipa i nic więcej.

– Może i lepiej, że go nie ma? Ten mężczyzna był dziwny, sama tak mówiłaś. Znajdziemy inny sposób.

– Nie wiem, jak długo wytrzymam. Jestem już zdesperowana i chwilami ogarnia mnie rezygnacja.

Nagle wstała z kanapki i podeszła do obrazu wiszącego w holu.

– Wiesz, ten dziwny człowiek powiedział, że w każdym obrazie jest coś z duszy artysty. Trzeba jedynie umieć to odczytać.

– Może... Nie znam się na tym, jestem tylko kucharzem.

– Powiedział też – ciągnęła – że z tego obrazu wyczytał cierpienie mojego ojca. Zobaczył w nim jakąś historię dotyczącą mojego dziadka. Mówił tak przekonująco, że prawie mu uwierzyłam.

– Dziadka? – Głos Franciszka zadrżał nieznacznie.

– Tak, twierdził, że mój dziadek, jak to się wyraził, „zszedł z tego świata” w tym domu, w pokoju na pierwszym piętrze.

– Co?!

Kucharz zbladł. Świeżo rozpalona fajka wypadła mu z ust, i to prosto na kanapę. Żar rozsypał się po obiciu. Mężczyzna zerwał się na nogi rącho jak na swoją tuszę i zaczął pospiesznie zgarniać tłący się tytoń na podłogę, po czym go zadeptywać.

Veronika przyglądała mu się uważnie, zaskoczona jego reakcją. Nagle wszystko stało się dla niej jasne. Wbiła we Franciszka świdrujące spojrzenie.

– Mówił prawdę? Myślałam, że zmyśla. Czy ukrywacie coś przede mną?

– Bzdura! – wykrzyknął.

– Czemu na mnie krzyczysz? Czemu się denerwujesz?

Podeszła do niego bliżej. Spuścił szybko wzrok.

– Nie unikaj mnie. Spójrz mi prosto w oczy i powiedz, że to nieprawda.

– Nieprawda – wydusił. Zerknął na nią, ale zaraz uciekł wzrokiem gdzieś w bok. – Dziecinko, ja nie wiem. Nie prosz, błagam – szepnął i wymijając ją, wybiegł z saloniku.

– Poczekaj! – zawołała za nim, ale już go nie było. Po chwili usłyszała trzask zamykanych drzwi z tyłu domu.

– Boże, o co tu chodzi? – Na powrót usiadła na kanapce. – Jeśli istnieje jakaś tajemnica rodzinna, to czemu ukryli to przede mną? Przecież jestem częścią rodziny.

Zacharzał dzwonek. Wolno wstała i podeszła do wejścia. W progu stał Fabio Farioli, listonosz. Od wielu lat był zwiastunem tak złych, jak i dobrych wiadomości. Co tym razem przyniósł?

– Dzień dobry, pani Veroniko.

Uśmiechał się życzliwie. On zawsze był pogodny. Nigdy nie widziała, żeby ten człowiek zdenerwował się na kogoś. Często porozmawiał i, co najbardziej lubił, poplotkował. Czemu jej ojciec rzucił tę robotę? Może byłby szczęśliwszy? Veronika dobrze wiedziała, że hotelowy biznes kosztował go całe zdrowie, a radości dostarczył tyle, co kot napłakał. Nie byłoby wtedy Eryunii, a ona, chcąc nie chcąc, musiałaby robić coś innego w życiu.

– Dzień dobry. Ma pan coś dla mnie?

– List polecony. – Poszperał w wielkiej czarnej torbie, po czym wyciągnął z niej niedużą kopertę i podał ją Veronice. Podsunął jej jeszcze podłużną kartkę i długopis. – Proszę podpisać! Tu! – Wskazał palcem puste miejsce.

Maznęła autograf.

– Dziękuję i do widzenia – krzyknął w drzwiach i wyszedł.

Dziewczyna trzymała list w dłoni. Patrzyła na starannie zaadresowaną kopertę. To nie było pismo maszynowe ani wydruk z komputera. Ktoś ładnym ręcznym piśmem utrwalili jej imię, nazwisko oraz adres. Danych nadawcy nie było. Powoli podniosła kopertę wyżej. Poczula zapach drogich męskich perfum. Odgadła już, od kogo ta korespondencja. Poznała po aromacie.

Weszła do saloniku, zbliżyła się do kanapy i usiadła. Sięgnęła ręką do wyłącznika stojącej tuż obok lampki. Teraz było widniej. Cały czas trzymała list przed sobą. Czowała, że dopóki nie rozerwie koperty, to nie złamie pieczęci i jej układ nie będzie miał wiążącej mocy. Otworzenie zaś przesyłki oznaczało przyjęcie warunków. Zwykła koperta, w środku list. Niby nic, a jak jej to ciążyło.

Tak była tym zaabsorbowana, że nie zauważyła stojącego w holu i obserwującego ją Franciszka.

Musiła teraz podjąć decyzję, możliwe, że życiową. Te pieniądze mogły ją uratować lub zgubić, ale bez nich na pewno była zgubiona, one zaś dawały szansę, dawały nadzieję na lepsze jutro, na uratowanie hotelu, na ocalenie marzeń. Teraz zobaczyła kucharza i pierwszy raz w życiu dostrzegła panikę w jego oczach. One mówiły: „nie otwieraj tego listu, spał go”.

– Muszę – wyszeptwała. – Potrzebuję tych pieniędzy, niczym spragniony wędrowiec wody na pustyni.

Nerwowo rozerwała kopertę. W środku zobaczyła podłużną kartkę. Wyjęła ją. To był ten sam charakter pisma, co na kopercie, kilka wykaligrafowanych słów. Przechyliła lampę i odczytała je niecierpliwie.

Szanowna Pani,

zgodnie z umową przelałem pieniądze. Zatem naszą umowę uważam za zawartą.

Z wyrazami szacunku

Gabriel Trovato

Dziwne nazwisko. Zerknęła na Franciszka. Był przeraźliwie blady. Czemu on się tak denerwuje? Wiedziała, że ją kocha jak ojciec, a chwilami wydawało się, że nawet bardziej. Jednak tym razem chyba ciut przesadzał z obawami, chociaż czuła, że i jej się udzielają.

– Już otworzyłam. – Zaśmiała się sztucznie, bo nie było jej do śmiechu. Paradoks, bardzo potrzebowała tych pieniędzy, ale nie cieszyła się przelewem.

– Źle. – Twarz kucharza wykrzywiła się w grymasie niezadowolenia. – Teraz ja mam złe przeczucia.

– Nie kracz, będzie dobrze. To tylko dwa tygodnie. Za te pieniądze zrobię duży remont, one nas uratują – starała się go pocieszyć.

– W to akurat nie wątpię. Byleby co innego nie pograżyło ciebie, dziecinko.

W ogrodzie na tyłach Eryni, w gąszczu starych rododendronów, stał nieduży, murowany biały domek z wielkimi zielonymi okiennicami i ze starą, czerwoną, mocno już wyblakłą dachówką. Po przekazaniu rządów w hotelu Veronice zamieszkał w nim stary Bernardo. Giuseppa, jego nieodłączna towarzysząca życia, opuściła go wiele lat temu. Bóg ją powołał do siebie dużo za wcześniej. Teraz ojciec Veroniki wiódł żywot samotnika, odwiedzanego jedynie przez dzieci i sporadycznie przez starych przyjaciół. Dużo malował, siedział w fotelu i całymi godzinami kopiał płótna słynnych mistrzów. Wszystkie ściany w holach obwieszono były jego dziełami, a on wciąż tworzył nowe.

Tego dnia pod sam wieczór zjrzał do niego Franciszek.

– Witaj! – Gospodarz z pędzlem w dłoni przywitał go w progu. – Za rzadko do mnie wpadasz, przyjacielu. Zapominasz o mnie. – W jego głosie zabrzmiała nutka żalu.

– Nie mam kiedy. Wciąż jestem potrzebny w kuchni. Veronika sama sobie nie poradzi. Muszę ją wspierać.

– Wiem, wiem, ludzie odchodzą, hotel podupada. – Bernardo pokiwał smętnie głową. – Boję się, co będzie za rok. Moje dni są policzone, ale nie chcę umrzeć z niepokojem w duszy. Ona musi się w końcu odbić od dna. Coś trzeba wymyślić. – Nerwowo wrzucił pędzel do słoika i usiadł. – Tyle lat pracowałem, żeby to stworzyć, a teraz ma to wszystko pójść na marne? Tak nie może być!

– Bądź spokojny, nie pójdzie, Veroniczka da sobie radę.

– Nie wiem, sam nie wiem. – Bernardo zapalił papierosa i zaciągnął się dymem.

– Mógłbyś to rzucić – zauważył cierpko kucharz. – To trucizna. Lepiej zapal fajkę, jest dużo zdrowsza.

– Mój drogi Franciszku, już mi nic nie zaszkodzi. Czuję, że kostucha wyciąga po mnie swoje ręce.

– Tak mówisz od kilku lat. Muszę ci coś powiedzieć... – Kucharz zniżył głos i pochylił się w kierunku przyjaciela.

– Mów.

– Zawitał do nas dziwny gość. Jego spojrzeniem można było mrozić mięso, jego głos dudnił mi dotąd w uszach niczym dzwon. Wynajął Erynię na dwa tygodnie.

– No to świetnie! – ucieszył się starzec. – Czemu mówisz mi o tym dopiero teraz?

– Myśleliśmy, że to żart, ale dziś przyszedł przelew.

– Od kiedy?

– Od pierwszego marca.

– W marcu? Czemu w marcu?

– No właśnie, też się dziwimy.

– Ale właściwie to w czym problem? Miesiąc jak każdy inny. Tyle że jest jeszcze zimno.

– Zapłacił z góry.

– No to super. Przez zimę naprawi się więcej rzeczy. Widziałem, że rynny liche, a i dach w jednym miejscu przecieka.

– Ale zapłacił trzy razy więcej, niż chciała Veronika.

– Powiadasz, że trzy razy? – Bernardo z wrażenia upuścił papierosa. Na szczęście spadł na stojący obok stolik i stary szybko chwycił go ponownie. Musiał się przy tym sparzyć, bo szpetnie zaklął pod nosem. Zerknął na gościa.

– Myślisz, że to dziwak?

– Nie wygląda na takiego. Bardziej jakiś biznesmen.

– Zapłacił z góry?

– Tak. Dziś przyszedł przelew. Veronika już to sprawdziła. Nie ma tu żadnego szwindlu.

– Faktycznie, to jest bardzo dziwne. Mam nadzieję, że to nie jakiś przestępca. Od takich lepiej trzymać się z dala.

– Jest jeszcze coś...

– Co takiego? Wciąż mówisz zagadkami.

– On zna tajemnicę...

– Jaką znów tajemnicę? – Bernardo nie krył zdziwienia. – O czym ty mówisz? Zaczyna mnie to męczyć.

– No, tę, którą mi kiedyś zdradziłeś, o twoim ojcu.

Oliveto zbladł.

– Niemożliwe! – wykrzyknął. – To jest niemożliwe! Skąd niby się dowiedział?

– Veronika pytała mnie o nią. Nie wiedziałem, co powiedzieć.

– I co powiedziałaś?

– Nic. Zmieniłem temat, ale znam ją, ona nie odpuści. Będzie drążyć. Musisz jej w końcu to wyjawić. Wydaje mi się, że przesadzasz z tą tajemnicą.

– Nie! – Bernardo zgasił papierosa i sięgnął po następnego. – Kategorycznie nie! Ona nie może jej nigdy poznać.

– Jesteś tego pewny?

Staruszek pokiwał głową.

– Wiem, co mówię – rzekł.

– A jeśli ten mężczyzna jej powie? Jeśli dowie się prawdy od niego? Może lepiej, żeby jednak od ciebie? Inaczej będzie mieć żal. – Franciszek nie ustępował.

– Nie! Kategorycznie nie! Zaprzeczę wszystkiemu. To może Veronikę zniszczyć. Ona ma bardzo delikatną psychikę. Musimy ją przed tym chronić, i to za wszelką cenę.

– Nie przesadzaj, jest silna, da sobie radę! Ale to wasza sprawa i zrobisz tak, jak uważasz. Zastanów się jednak.

– Jeśli zobaczysz tego mężczyznę, przyslij go do mnie. Wybadam go. Dowiem się, czego naprawdę chce.

– Zgoda. Jednak nie ma gwarancji, że akurat będę w hotelu. Jest już po sezonie i rzadziej będę tu zaglądał. Teraz już idę do domu, żona wścieka się, że nie mam dla niej czasu.

Kucharz wstał ociężale z krzeselka. Z zachowania przyjaciela wywnioskował, że zna chyba tylko część tajemnicy rodziny Olivetów. Bernardo najwyraźniej jeszcze czegoś się bardzo obawiał.

Franciszek spojrział na gospodarza z troską. Kiedyś to był przystojny mężczyzna. Teraz siedział przed nim nieduży, zgarbiony i zasuszony staruszek z rzadkimi, długimi włosami, związanymi z tyłu w kitkę. Był jakby odrętwiały, zamyślony. Co chwila jego ręka jak automat unosiła papierosa do ust i opadała w kierunku popielniczki.

– Dobrej nocy.

Wolno ruszył do drzwi.

– Dobranoc. – Usłyszał zza pleców słaby głos Oliveta.

– Czemu tyle palisz, tato? – Veronika z impetem otworzyła okna, żeby wywietrzyć domek.

– Już mi nie zaszkodzi. – Zaśmiał się. – I tak jestem jedną nogą na tamtym świecie. Niebawem spotkam się z twoją mamą.

Odrzuciła się w jego kierunku i raptownie podeszła do fotela. Ojciec odruchowo się cofnął. Przykucnęła przy nim i spojrzała mu w oczy.

– Tato, musimy porozmawiać.

– Tak? O czym niby? – Rzucił jej niepewne spojrzenie.

– Tato, widziałam Franciszka, jak od ciebie wychodził. Na pewno już ci wszystko opowiedział. Dobrze wiesz, o czym musimy porozmawiać. Ty wiesz, Franciszek wie, tylko ja nie wiem.

Bernardo spuścił wzrok.

– O niczym mi nie mówił – burknął pod nosem. – O niczym.

– Tato, nie kłam. Zawsze wiem, kiedy kłamiesz. Powiedz mi, proszę.

– Nie ma o czym mówić.

Chwycił paczkę marlboro i nerwowo starał się wyciągnąć z niej papierosa. Ręce mu się trzęsły. Pojedyncze krople potu wystąpiły mu na czoło. Veronika to zauważyła. Sięgnęła po chusteczkę i podała ją ojcu.

– Wytrzyj twarz, bo spocifeś się ze zdenerwowania – rzekła z drwiną.

Bernardo w dalszym ciągu szarpał się z paczką, w końcu ją rozerwał. Papierosy wysypały się na podłogę, ale jednego zdołał chwycić w locie. Zaczął nerwowo trzeć kóleczką zapalniczki, w końcu przypalił.

Dziewczyna cały czas go obserwowała. Rzadko widziała ojca w takim stanie. Czemu jest tak zdenerwowany? Jaką straszną tajemnicę kryje ten hotel? I dlaczego do tej pory tak jej strzegą? – zastanawiała się.

Starzec co chwila nerwowo się zaciągał. Nie śmiał podnieść wzroku i spojrzeć córce w oczy. Po raz pierwszy zaczął żałować, że nie zdradził rodzinie tej tajemnicy, przynajmniej jej części. Powinien był to zrobić wiele lat temu, teraz będzie to bardzo trudne, a może w ogóle niewykonalne.

– Tato, czy w końcu powiesz mi wszystko? – Usłyszał głos Veroniki jak przez mgłę, jakby z innego świata.

Otrzeźwiał. Uniósł głowę i popatrzył na córkę. Musiał jej coś powiedzieć, nie mógł dłużej żyć w kłamstwie, ale wszystkiego nie mógł wyznać, to było niemożliwe.

– O czym mam mówić? – wydusił wreszcie.

Chciał jeszcze odwlec ten moment chociaż o parę minut.

– Nie udawaj, że nie wiesz, o co mi chodzi. O dziadku. Dziadek nie poległ na wojnie, prawda?

Nawet na chwilę nie spuszczała z niego wzroku.

On zaś siedział nieruchomo jak sfinks, z papierosem tłącym się w jego dłoni, tak że żar niebezpiecznie zbliżał się do jego palców. W pewnym momencie jedynie przytaknął bezgłośnie.

– Umarł w naszym hotelu? – dopytywała.

Ponownie potwierdził.

Usiadła w kucki na dywanie tuż przy jego fotelu. Chwyciła starego Bernarda za rękę, którą mocno ścisnęła.

– Czemu mi tego wcześniej nie powiedziałaś? Dlaczego to ukryliście przede mną?

– Nie wiem. Nie chciałem, żebyś miała jakiegokolwiek opory przy prowadzeniu Erynii. Chciałem twojego dobra. Kobiety nieraz boją się duchów zmarłych.

– Ale ja się nie boję. Ludzie często umierają w domu. Na co umarł dziadek?

– Wiem, że chorował. To było tak dawno, nie pamiętam.

– A twoja mama, moja babcia, nie powiedziała ci?

– Czy to ważne? Wtedy ludzie umierali na tyfus, gruźlicę. Pamiętam, że kasłał, bardzo kasłał.

– Nie byłeś ciekawy?

– Nie pamiętam, córciu. Nie męcz mnie już. Powiedziałem ci o wszystkim.

Veronika poczuła, że silnie ścisnął jej dłoń. Chyba mu ulżyło.

– Dzięki, tato. Niepotrzebnie to ukrywałeś. – Wstała i pocałowała go w policzek. – Dobrej nocy – szepnęła mu do ucha i ruszyła w kierunku drzwi.

– Nie gniewasz się? – krzyknął za nią.

Odwróciła się w jego stronę.

– Nie, jeśli to rzeczywiście wszystko, jeśli nic więcej nie ukrywasz.

Nawet w słabym świetle zauważyła, że zbladł.

– To wszystko.

Wydało jej się, że się zawahał, ale może już była przeczulona.

Pomachała ojcu ręką i wyszła.

Bernardo powoli sięgnął po pędzel. Ostrożnie ścisnął włosie, uwalniając je od resztek wody. Wstał z fotela i podszedł do sztalugi. Zerwał lnianą zasłonę zakrywającą płótno. W skupieniu nachylił się nad nim. To było dzieło jego życia, portret Giuseppy z pamięci, z serca. Kobieta na obrazie w niczym nie przypominała pierwowzoru, to był portret jej duszy i jego o niej wyobrażeń.

– Brak mi ciebie – szepnęła, patrząc na obraz. – Veronika tak bardzo mi ciebie przypomina. Jest taka wrażliwa. Wiem, że ten przeklęty hotel jest jej całym życiem, tak jak był i twoim. Chciałem, żeby się kształciła, żeby poszła w ślady braci, ale ona się uparła. Uległem jej, a nie powinienem. Teraz żałuję, ale zrozum, nie potrafiłem jej niczego odmówić, tak bardzo jest do ciebie podobna. Ma w sobie tyle energii i też tak jak ty kocha to miejsce. Dlatego nie dopuszczę, żeby poznała naszą tajemnicę, nie chcę, żeby ją to zniszczyło.

Minęła jesień, a wkrótce i zima spakowała swój kuferek, szykując się w coroczną podróż na drugą półkulę. Luty okazał się łagodny, Toskania powoli budziła się do życia. Roślinność nieśmiało nabierała soczystych, wiosennych barw. Zbliżał się marzec. Powoli, niczym niedźwiedzie z zimowego snu, budzili się właściciele okolicznych posesji. Jedni rozpoczynali remonty, inni kończyli te rozpoczęte jesienią. Wśród tych drugich była Veronika. Jej Erynia przeżywała drugą młodość. Pokażny zastrzyk euro wpłaconych jesienią przez tajemniczego mężczyznę, w połączeniu z dochodami z poprzedniego sezonu, pozwolił dziewczynie na dokonanie znaczących zmian. Pomalowano budynek, odnowiono gzymsy przy dachu, wzmocniono balkony, wymieniono część wyposażenia, przebudowano hol i dzięki temu znalazło się miejsce na barek. Jedyne, czego brakowało, to basen, ale na to już nie wystarczyło pieniędzy. Może kiedyś trafi się inny szaleniec i znów wynajmie cały obiekt?

Ostatni dzień lutego był bardzo nerwowy. Veronika ściągnęła do hotelu Franciszka i zatrudniła kilka młodych dziewcząt. Tak jak wcześniej uzgodniła z najemcą, byli gotowi na przyjęcie gości.

Koło południa Veronika przecierała z kurzu ramy obrazów w saloniku na dole, kiedy zadzwoniła jej komórka. Dziewczyna przerwała pracę, odłożyła ściereczkę i sięgnęła po aparat.

– Witam, pani Veroniko. – Usłyszała męski głos.

Od razu go poznała, jakiś dziwny dreszcz przeszedł przez jej ciało.

– Dzień dobry panu.

– Właściwie mój telefon to jest zwykła formalność – kontynuował mężczyzna. – Wiem, że wszystko jest przygotowane. Goście zaczną się zjeżdżać jutro.

– Zgodnie z umową. Jesteśmy gotowi na ich przyjęcie.

– No to świetnie. Dziś listonosz dostarczy pani listę gości, nazwiska i numery pokoi. Proszę ich umieścić zgodnie z tą listą.

– Dobrze. Nie będzie z tym problemu.

– I proszę pamiętać, żeby w miarę możliwości unikać kontaktów. Pełna dyskrecja.

– A jeśli będą mieć jakieś prośby?

– Proszę je spełnić, ale w zakresie typowych usług hotelowych, nic poza tym. Czy ma pani jeszcze pytania?

Veronika milczała. Mężczyzna wyczuł jej wahanie.

– Proszę śmiało. Lepiej wszystko wyjaśnić teraz niż w trakcie turnusu. W ten sposób unikniemy sytuacji konfliktowych – starał się ją zachęcić.

– Czy dowiem się, o co tu chodzi? Czemu mój hotel? To wszystko wygląda dziwnie – wyrzuciła z siebie to, co od dawna leżało jej na wątrobie.

Po drugiej stronie zaległa cisza, ale tylko na chwilę.

– To zależało od wielu okoliczności. Częściowo to zasługa pani dziadka, że wybrałem ten hotel. Tyle mogę powiedzieć.

– On przecież od wielu lat nie żyje. Czego pan właściwie chce? – Nie kryła wzburzenia.

– Jedynie wynająć Erynię, nic więcej. Daję pani sporo zarobić, wyciągam panią z tarapatów finansowych, a pani wciąż mężczy mnie pytaniami. Nie okazuje pani wdzięczności, choć powinna – odparł oschle.

Wyczuła w jego głosie pretensję.

– Przepraszam – bąknęła.

– Niech pani nie przeprasza, tylko mi zaufa. – W głosie mężczyzny pojawiło się zdecydowanie. – Muszę już kończyć. Jutro pierwszy marca. To tylko dwa tygodnie, a może nawet krócej. Jeśli spisz się pani wzorowo, otrzyma jeszcze premię.

– Nie chcę premii! – krzyknęła, ale zaraz umilkła, przestraszona własnym wybuchem.

– Niczego nie musi się pani obawiać, naprawdę. Do zobaczenia.

Połączenie zostało przerwane. Veronika powoli odłożyła telefon.

– Co się stało? Kto dzwonił? – usłyszała zza pleców.

Odwrociła się. Kucharz stał w drzwiach i obserwował ją z niepokojem. Dobry, stary Franciszek. Cały czas, od kiedy ojciec usunął się w cień, stał przy niej i pomagał, doradzał we wszystkim. Był tylko kucharzem, ale tyle wiedział, że nieraz zastanawiała się, czy ten zawód nie jest jedynie przykrywką.

– On.

To wystarczyło. Od razu wiedział, o kim mowa.

– Czego chciał?

W jego oczach Veronika zauważyła niepokój.

– Właściwie niczego. Twierdzi, że wynajęcie Eryni ma związek z moim dziadkiem. Nic z tego nie rozumiem.

– Faktycznie, dziwne. – Pokręcił głową. – Tylko to? To chyba jakiś wariat.

– Dziś ma przyjść pocztą lista gości.

– Ciekawe, co to za turnus. Co za indywidua tu zjadą? Strach się bać – mruknął pod nosem Franciszek.

– Dał słowo, że nie ma powodu do niepokoju.

– Nie wiesz, czy można mu wierzyć. To mogą być puste słowa. Jeśli ktoś płaci pięćdziesiąt tysięcy za usługę tak naprawdę wartą dziesięć tysięcy, to musi być w tym jakiś haczyk. Trzeba zachować czujność.

– Nie, tu akurat mu wierzę. Coś było w jego głosie... – zawałała się. – Jak by to powiedzieć? Sama nie wiem...

Kucharz tylko się skrzywił i machnął z rezygnacją ręką.

– Za długo żyję, żeby wierzyć pierwszemu lepszemu. Będę miał oczy i uszy otwarte i jak tylko zauważę, że coś jest nie tak, zaraz biegnę lub dzwonię na policję.

Veronika włożyła gruby, czarny wełniany sweter, prezent od Antonia, najstarszego brata, który mieszkał w Rzymie. Mieszkał to mało powiedziane, on robił tam wielką karierę jako adwokat. Nawet

kilka razy widziała wywiady z nim w telewizji, w Rai Uno. Była dumna z niego, zresztą tak jak z Pietra. Drugi brat wprawdzie nie był prawnikiem, ale otworzył we Florencji wspomniały butik i mnóstwo sławnych ludzi tam się ubierało. Pietro znał wiele osobistości. Znał burmistrza, znał tę gwiazdę z telewizji... zaraz, zaraz, jak ona się nazywała? No, nieważne. Obydwaj bracia stali się kimś, do czegoś już doszli, a przecież jeszcze całe życie było przed nimi. A ona? Co ona zrobiła, co osiągnęła? Miała ten ledwo dyszący biznesik, użerała się z personelem, sama biegała z kluczem francuskim po łazienkach w razie awarii, bo nie stać jej było na zatrudnienie hydraulika. Nawet hotelu się nie dorobiła, ojciec jej go przekazał. I tak dobrze, że bracia nie wyciągnęli rąk po swoją część. Nie wiedziała, co by wtedy zrobiła, skąd miałaby wziąć pieniądze na spłacenie rodzeństwa. Może wreszcie los się odwróci? Trzeba być dobrej myśli.

Wyszła przed Erynię. Należało wyciągnąć z komórki rowery dla gości. Wyczyścić je, napompować i ustawić na stojakach przy bocznej ścianie. Zgodnie z umową wszystko musiało być tip-top. Zbyt duże pieniądze zapłacił klient, a ona za bardzo ich potrzebowała, żeby podpaść przez jakieś głupie niedopatrzzenie.

Sięgnęła po przygotowaną wcześniej zwilżoną szmatę i zaczęła przecierać stojaki na rowery. Należało je wymienić. Ząb czasu nadgryzał hotel z każdej strony. Stojaki jeszcze ten rok wytrzymają, ale nie więcej. Tak się zapamiętała w pracy, że nie zauważyła listonosza. Dopiero kiedy stanął za nią i chrząknął, przestraszona, raptownie odwróciła się w jego kierunku.

– Dzień dobry, przepraszam, że przestraszyłem, pani Veroniko – bąknął speszony.

– Nie zauważyłam pana, spieszymy się z porządkami, bo od jutra mamy gości.

– Słyszałem. Wcześniej w tym roku. – Pokręcił głową, nie kryjąc zdziwienia.

– Klient nasz pan – odparła z uśmiechem. – Nie ja wybierałam termin.

– Ma pani rację, ważne, żeby zapłacił, a niech nawet przyjeżdża w grudniu. A jak tam tata? Dawno go nie widziałem.

– Dziękuję, dobrze. Siedzi w swojej samotni i wciąż maluje. Musi go pan odwiedzić, na pewno się bardzo ucieszy.

– Nie ma kiedy. – Machnęła ręką. – Jednak kiedyś się wybiorę, obiecuję. Niedługo idę na emeryturę, to wreszcie znajdę wolną chwilę.

– Niemożliwe! – zdumiała się i przyjrzała mu uważniej.

Faktycznie, postarzał się przez te lata. Jakoś nigdy nie zwracała na to uwagi. Widziała go prawie codziennie i przez to jego starzenie się kompletnie jej umknęło.

Tak, to nie był już ten sam listonosz, który przebrany za Świętego Mikołaja przynosił jej prezenty, kiedy była mała.

– Jestem już trochę zmęczony, a i reumatyzm mnie prześladowuje... I będę mógł częściej zajmować się wnukami. A pani nie wychodzi za mąż? Tata pewnie też by ucieszył się z wnucząt. Panią wychował, to i przy dzieciach by pani pomógł.

– Nie to mi teraz w głowie. Mam jeszcze czas.

– Z tym czasem to bywa różnie, im człowiek starszy, wolniejszy, tym czas jest szybszy.

Podał dziewczynie plik listów i ruszył do furtki. Nerwowo je przerzuciła, ale nie zauważyła tego, na który czekała.

– Nie było do mnie poleconego? – krzyknęła za listonoszem.

– O, cholera! – Złapał się za głowę. – Pewnie, że tak, zupełnie zapomniałem. Zagadałem się!

Zawrócił, sięgnął do torby i chwilę w niej szperał. Po uzyskaniu pokwitowania wręczył dziewczynie list.

– Jeszcze raz przepraszam – bąknął zmieszany i szybko się oddalił.

Wzrok Veroniki spoczął na kopercie, która była taka sama jak poprzednia i tak samo zaadresowana tym samym charakterem pisma.

I ją Veronika powąchała. Poznała perfumy o niespotykanym zapachu, na pewno były bardzo drogie. Energicznym ruchem przedarła kopertę wzdłuż krótszej krawędzi i wyciągnęła starannie złożoną kartkę. Nie było to odręczne pismo, lecz wydruk komputerowy. Umieszczono na nim pięć nazwisk, pięć imion i pięć numerów pokoi. Z ciekawością im się przyjrzała. Może zna kogoś z listy? Może to jacyś ważni ludzie?

Nie, żadne nazwisko nic jej nie mówiło, a niektóre wyglądały bardzo obco, z cudzoziemska.

Zmięła kopertę w dłoni, cisnęła ją do pobliskiej śmietniczki i z kartką w dłoni weszła do holu.

* * *

To była koszmarna noc. Veronika przewracała się z boku na bok i nie mogła zasnąć. Rano mieli się zjechać ci tajemniczy goście. Gdyby było ich więcej, pomyślałaby, że to jakaś sekta, ale pięcioro? O co tu chodzi? Po co pięciorgu turystom cały hotel? Czemu tak przepłacają? Przecież w jej Eryni nie ma nic oprócz starych mebli, setek kopii obrazów na ścianach i niedużego, zapuszczonego parkingu, zachodziła w głowę i nic nie mogła wymyślić.

Kiedy już zasnęła, zaczęły ją dręczyć koszmary. Z szafy wyskakiwały zakrwawione zjawy z wyglądu przypominające filmowe zombi i wciąż trzaskały drzwiami. Dziadek z wykonaną z grubego sznura pętłą na szyi człapał po pokoju i tłukł łaską w podłogę. To było straszne, potworny łoskot rozsadał bębenki. Zjawy zatykały uszy i uciekały do szafy.

Dziadek co i rusz wymachiwał łaską, bronił wnuczki, nie dawał jej skrzywdzić.

Veronika zbudziła się cała zlaną potem. Z lękiem rozejrzała się po pokoju, w którym panowała grobowa cisza. Ponownie przyłożyła głowę do poduszki, nie pomogło, zaczęła liczyć stojące w równym szeregu książki w bibliotezce. Kiedy doszła do trzeciej półki od góry, znowu zasnęła.

Zjawy ponownie wyskakiwały z szafy i znów dziadek musiał je poskramiać. Veronika budziła się i wszystko zaczynało się na nowo.

Za którymś razem poczuła suchość w ustach, wstała i podeszła do okna. Sięgnęła po stojącą na parapecie butelkę z wodą mineralną. Mimochodem zerknęła przez szybę i zdrętwiała.

Po przeciwnej stronie ulicy, tuż pod latarnią, tkwił mężczyzna. Ubrany w długi ciemny płaszcz, z rękoma w kieszeniach, stał i wpatrywał się w okno jej pokoju. Blask światła z latarni oświetlał jego twarz, natychmiast poznała, to był Trovato. To przez tego człowieka i jego dziwne zlecenie teraz nie mogła spać.

Stała jak skamieniała. Mężczyzna zauważył ją, zrobił dwa kroki do tyłu, odwrócił się i zniknął w mroku nocy.

Veronika chwyciła klamkę i szybko otworzyła okno, wychyliła się, ale ulica była pusta.

Wróciła do łóżka i naciągnęła grubą puchową kołdrę aż po szyję; cała drżała. Żałowała, że połaszczyła się na pieniądze i wynajęła Erynię. Spojrzała na zegarek. Była druga w nocy. Wiedziała, że prędko teraz nie zaśnie. Sen dopadł ją dopiero tuż przed świtem.

DZIEŃ PIERWSZY, PONIEDZIAŁEK

Tego ranka pogoda w niczym nie przypominała tej typowej dla marca. Słońce już niemal od wschodu zaglądało do hotelowych pokoi. Zapowiadał się naprawdę ciepły dzień.

Która godzina?

Veronika zerwała się na równe nogi, jakby ktoś jej nalał ukropu pod kołdrę. Sięgnęła po budzik. Szósta? Niemożliwe! Może coś się dzieje z zegarkiem? Spojrzała na długą wskazówkę sekundnika, żeby się upewnić, ale ta przemieszczała się rytmicznym ruchem.

– Jeszcze mam chwilę – stwierdziła i ponownie rzuciła się w pościel.

Głowa pracowała jej jak szalona. Zaraz, zastanawiała się. Czy faktycznie widziała w nocy tego mężczyznę, czy jej się to wszystko przyśniło? Jeśli to nie sen, to czemu wpatrywał się w jej okno? Jakże naprawdę ma zamiary? Musi jak najszybciej sprawdzić tego Gabriela Trovata.

Owładnięta tym pomysłem, wyskoczyła z łóżka i na bosaka pobiegła pod prysznic.

* * *

Charkot dzwonka wypełnił hol. Zwykle działał ekscytująco na właścicieli, bo oznaczał nowego gościa i dodatkowy dochód dla firmy. Tym razem zaległa dziwna grobowa cisza. Dzwonek ponownie zadzwonił, ktoś był bardzo uparty.

Zimny dreszcz przeszedł przez plecy Veroniki stojącej w progu kuchni. Zerknęła na nie mniej podenerwowanego Franciszka, tkwiącego tuż obok. Nachylił się do niej.

– Otwórz, nie możemy się ukrywać.

Powoli, jakby z wahaniem, ruszyła w stronę drzwi.

Najpierw zobaczyła trzy wielkie szare walizki. Stały w samym wejściu, jedna na drugiej, i chybotwały się niebezpiecznie na boki. Zza nich wychylił się czarny jak smoła, potężnie zbudowany mężczyzna, ubrany w długi, szary flauszowy płaszcz.

Senegalczyk, pomyślała od razu. Sporo ich kręciło się po okolicy, handlowali torebkami i okularami słonecznymi.

– Dzień dobry – powiedział po angielsku. – Ponoć mam tu zarezerwowany pokój.

– Przypuszczalnie tak – odburknęła, nie kryjąc niechęci.

On tego nie zauważył lub tylko udał, że nie zauważa, i uśmiechnął się szeroko, pokazując dwa rzędy śnieżnobiałych zębów.

– Nazywam się Sagesse Mvumbi. Przyjechałem, a właściwie przyleciałem, z Konga.

– Naprawdę? – Veronika nie kryła zaskoczenia. Co on tu robi? Jeszcze nigdy nie miała gościa prosto z Afryki.

– Dziwi to panią? – Zaśmiał się. – Wzięła mnie pani za Senegalczyka? Moja babka pochodzi z Senegalu, ale to stara historia.

Faktycznie, to musiała być stara historia, bowiem gość miał dobrze ponad sześćdziesiąt lat, co też potwierdziła jego siwa czupryna.

Veronika wskazała palcem stos waliz.

– To wszystko pana?

– Owszem, moje.

Pokręciła głową.

– Sporo tego.

– Sporo? Szanowna pani, to jest tylko niewielka część tego, co miałem.

Rozejrzał się nerwowo wokoło. Nie umknęło to uwadze Veroniki. Odruchowo podążyła za jego spojrzeniem.

– Szuka pan kogoś?

– Tak, boya hotelowego.

Słyszac to, roześmiała się.

Mężczyzna popatrzył na nią zdziwiony.

– Nie rozumiem. Co w tym śmiesznego?

– Tu nikogo takiego nie ma. Trzeba samemu targać walizy. To jest trzy-, a nie pięciogwiazdkowy obiekt, przykro mi. – W jej głosie próżno byłoby szukać choćby odrobiny współczucia.

– Samemu? – nie dowierzał. – Będąc w Europie, nigdy nie mieszkałem w czymś tak podłym.

– Kiedyś musi być pierwszy raz – wtrąciła zgryźliwie. – Pomogę panu, wezmę tę największą, ale pozostałe musi pan sam zanieść.

Podeszła do bagażu, złapała za stojącą na samej górze piramidy walizę i szarpnęła ją.

Była bardzo ciężka. Veronika z trudem zaniosła ją w pobliże schodów, po czym z dużym wysiłkiem zaczęła wciągać ją po stopniach na górę. Co chwila słychać było miarowe, ciężkie uderzenia.

Co on tu ma? – myślała. Kamienie? Ukradkiem zerknęła na gościa. Wciąż stał niezdecydowany na środku holu i patrzył z wahaniem na jej poczynania, w końcu rad nierad chwycił pozostałe walizki i ruszył za nią. Szło mu jeszcze gorzej niż jej, niezdarnie szarpał bagażem, a ten co i rusz mu się klinował, o coś zawadzał. Murzyn sapął jak stary parowóz i coś mamrotał pod nosem, pewnie kłął w kongo.

Pokój Sagessesgo Mvumbiego znajdował się na pierwszym piętrze, tuż przy schodach. Veronika otworzyła drzwi i przeciągnęła walizę przez próg. Postawiła ją tuż przy oknie, po czym energicznym ruchem uchyliła zasłony. Jasne światło zalało pokój.

Po chwili i gość dotarł na miejsce. Rozejrzał się ciekawie, nie kryjąc rozczarowania. Pokój miał około dwudziestu metrów kwadratowych. Na wprost drzwi znajdowało się wielkie łóżko małżeńskie, a po jego bokach małe szafki nocne. Przy przeciwległej ścianie stała wąska kozetka, a pod oknem stolik z dwoma krzesłami.

– Skromnie tu. – Mężczyzna skrzywił się z niesmakiem.

– Proszę mieć pretensje do pana Trovata – odparła Veronika z jadowitym uśmiechem na ustach.

– A kto to? – zdziwił się.

On go nie zna? – pomyślała, zaniepokojona.

– Ten pan, co zapłacił za pokój.

Spostrzegła jakiś dziwny skurcz na jego twarzy. Dałaby sobie rękę uciąć, że mężczyzna zbladł. Blednący Murzyn, a to dobre.

– Nie wiedziałem, że tak się nazywa – bąknął.

– Tak mi się w każdym razie przedstawił.

– Ma pani rację, nazywa się Trovato. – Mvumbi się zreflektował. – Już jestem stary, to może mi się coś pomyliło. – Machnął lekceważąco ręką. Sięgnął po jedną z waliz i rzucił ją na łóżko.

Veronika minęła go i podeszła do drzwi.

– Od dziewiątej podajemy śniadanie w jadalni na dole – oznajmiła w przelocie i wyszła na korytarz, zamykając bezszelestnie drzwi za sobą.

Mężczyzna został sam. Oparł ręce na walizce i zamarł w bezruchu.

Trovato, to nazwisko cały czas chodziło mu po głowie. Kim jest ten człowiek, który go tu sprowadził? Dlaczego akurat tutaj? Dlaczego akurat do tego nędznego przybytku przypominającego bardziej przytułek? Skąd ma taką władzę?

Wyprostował się, sięgnął do kieszeni i wyciągnął cygaro. Odgryzł końcówkę i wypluł ją na podłogę. Wyjął zapalniczkę i przypalił. Usiadł obok walizki, a jego wzrok spoczął na dużej tabliczce umieszczonej na ścianie. Palenie zabronione. Uśmiechnął się ironicznie. Puścił wielki kłęb dymu w jej kierunku. Stracił pod nogi i wdeptał w dywan popiół.

– Chociaż jeszcze to mogę zrobić – rzekł z rezygnacją i sięgnął do zamka walizy.

– No i? – Franciszek stał w kuchennych drzwiach i nerwowo dreptał w miejscu. Veronika tylko wzruszyła ramionami i z ledwością przecisnęła się obok niego do środka pomieszczenia. Mógłby trochę schudnąć, pomyślała. Ale jak tu chudnąć, kiedy wciąż trzeba czegoś próbować? Praca kucharza nie jest dla ludzi z tendencją do tycia, to dla nich istne przekleństwo.

Franciszek odwrócił się w jej kierunku.

– No, mów w końcu! Co to za gość?

Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Sympatii raczej nie wzbudza. – Wolno podeszła do okna i wyjrzała na ulicę. – Jakiś stary Murzyn – rzuciła przez ramię. – Jest wściekły, że tu się znalazł. Tyle mogę powiedzieć.

– Amerykanin? – zdziwił się kucharz. – Co on tu robi?

– Nie, Kongoińczyk czy coś podobnego. – Zaśmiała się ze swojego przejęzyczenia. – W każdym razie jest z Konga.

– Z Konga? Aż tutaj? Co za wiatry go tu przywiały? – Franciszek gwizdnął z wrażenia.

Veronika bez słowa podeszła do blatu i chwyciła ścierkę.

– Co robisz? – Kucharz wyrwał jej szmatę. – Od tego są ludzie, których zatrudniasz. Ty przyjmuj gości. Pewnie zaraz będą następni.

– Wiem, wiem!

Zaczęła nerwowo chodzić po kuchni. Nagle zatrzymała się naprzeciwko niego. Ich spojrzenia się spotkały.

– Mam złe przeczucia. Ten człowiek to nie jest zwykły turysta. Od dziecka mam z nimi do czynienia, a on jest inny. Sama nie wiem, co jest w nim dziwnego, co jest z nim nie tak. Zaczynam się bać.

Franciszek chwycił ją za rękę, którą mocno ścisnął.

– Dasz radę. Jesteś silna, dużo silniejsza niż twój ojciec – mówił stanowczo. – Jesteś podobna do matki, a ona była jak lwica, gdyby nie ona, nie byłoby Eryni. Walczysz o przetrwanie i tylko to się dziś liczy. Rozumie...

Jego słowa przerwał odgłos dzwonka do drzwi. Obydwoje jak na komendę znieruchomieli i spojrzeli w tamtym kierunku, a w chwilę potem na siebie nawzajem.

Dzwonienie stawało się coraz bardziej natrączywe.

– Idę, już idę! – krzyknęła dziewczyna w kierunku wejścia i omijając Franciszka, opuściła kuchnię.

Wolno szła korytarzem, zerkając na obrazy. Było ich mnóstwo. Jeden przy drugim, każdy innego rozmiaru, zajmowały całe ściany holu, klatki schodowej i jadalni. Że też ojcu chce się je malować, pomyślała. A jednak dzięki tym różnym portretom, czy też pejzażom, udało im się stworzyć specyficzny klimat w hotelu. Nie wszystkim to się podobało, ale część gości była pełna zachwytu na widok wnętrza rodem z książek Tomasza Manna czy Remarque'a. Nowoczesność bardzo zmieniła tę branżę, ale byli jeszcze ludzie szukający starych klimatów i ci mogli się tu czuć jak ryby w wodzie.

Oszklona jadalnia w stylu art déco z rzędami starych krzesel o misternie rzeźbionych dębowych oparciach była oświetlona światłem z dziewiętnastowiecznych zyrandoli. Po wspaniałych, ręcznie tkanych dywanach można było przejść do kilku przytulnych saloników, by tam przysiąść z książką w dłoni przy małym stolczku i nad filiżanką wspaniałego cappuccino zagłębić się w lekturze. Klatka schodowa wijąca się do trzeciego piętra była opasana przepiękną kutą balustradą, a same schody wykonano z potężnych siwych płyt marmurowych, spiętych w całość solidnymi metalowymi klamrami.

Dzwonek wciąż dzwonił, dosłownie rozsadzał bębunki uszu, ale Veronika jakby go nie słyszała. Zatrzymała się przed pejzażem Porto Venere. Jeszcze raz przyjrzała mu się uważnie. Pamiętała słowa tajemniczego mężczyzny. Jednak i tym razem nic szczególnego nie zobaczyła. Z rezygnacją wzruszyła ramionami i podeszła do wejścia.

Naciskała już klamkę, gdy drzwi rozwarły się z tak dużym impetem, że nie zdążyła odskoczyć. Uderzyły ją. Veronika się zachwiała, trochę oszołomiona. Dobrze, że przytrzymała się ściany.

W progu stała wysoka, bardzo szczupła, może pięćdziesięcioletnia kobieta. Była ubrana w obcisłe dżinsy oraz stary, wytarty i wyciągnięty we wszystkie strony jasnopopielaty pulower. Na ramionach miała narzucony gruby wełniany płaszcz. W lewej dłoni trzymała wykonaną z ciemnobrązowej skóry dużą torbę przypominającą kuferek akuszerki. Wyglądała na Włoszkę, ale to mogło być złudne. Zapewne pochodziła z któregoś z krajów basenu Morza Śródziemnego, na co wskazywała jej śniada karnacja, ciemne włosy oraz oczy czarne jak dwa węgle. Kobieta niedbałym ruchem wyjęła z ust tłącego się papierosa. Zmierzyła Veronikę od stóp do głów, jakby patrzyła na pospolity ciuch w butiku. Na jej twarzy zawitał sztuczny uśmiech.

– Dzień dobry, podobno mam tu wynajęty pokój.

Jej angielski był dziwny, a akcent wyraźnie cudzoziemski. Głos miała ochrypły, szorstki, drażniący ucho, charakterystyczny dla nałogowych palaczy.

– Na pewno? – Veronika się zdziwiła. Według przysłanej przez Trovata listy powinni być sami mężczyźni.

– Owszem, ten właśnie adres mi podano! – W jej głosie można było wyczuć irytację. – Jestem Rene Lemner.

Teraz dziewczyna zrozumiała swój błąd. Imię Rene wzięła za męskie, dość częsta pomyłka przy rezerwacjach dla obcokrajowców.

Uśmiechnęła się przepaszająco.

– Faktycznie, pokój jest gotowy!

– No to świetnie.

Kobieta energicznym krokiem wkroczyła do holu.

Veronika niespokojnie zerkała na papierosa w jej ustach, w końcu nie wytrzymała.

– Tu jest zakaz palenia.

– Tak? To przepraszam.

Rene Lemner zrobiła mocno zdziwioną minę, po czym rzuciła tłącego się peta pod nogi, nie patrząc na to, że stoi na ręcznie tkany kobiercu, i butem wgniotła niedopałek w dywan.

Ale małpa, pomyślała Veronika, lecz nie zareagowała. Trudno, przy takim zarobku była skłonna wiele przepłknąć. Minęła Lemner i wyjrzała przed budynek, ale było tam pusto.

– A pani walizki?

– Walizki? Jakie walizki? – Tamta się zaśmiała krótko. Popukała dłonią w kuferek. – To cały mój bagaż.

– Rozumiem, wszystko jasne. Proszę za mną.

Dziewczyna zamknęła drzwi i ruszyła schodami na górę.

Kobieta śpiesznie podążyła jej śladem. Była zaprzeczeniem pierwszego gościa. Szła sprężystym krokiem, nie sapała jak miech kowalski, miała wyjątkowo dobrą kondycję jak na palacza.

W odróżnieniu od Mvumbiego nie posiadała trzech ciężkich waliz z ubraniami, tylko bagaż podręczny. Jak na kobietę, to było bardzo mało.

Stanęły przed drzwiami, na których widniała tabliczka z numerem siedem. Veronika otworzyła je i pierwsza weszła do środka; pokój w niczym nie odbiegał wystrojem od tego, który zajął pierwszy z gości. Tak jak wcześniej, uchyliła okiennicę i silny snop światła zalał pomieszczenie. Rene Lemner odruchowo zmrugała oczy. Rozejrzała się, nie kryła zadowolenia, widać nie miała specjalnych wymagań.

– Niezłe – skwitowała warunki.

– Śniadanie od dziewiątej w jadalni na dole – oznajmiła Veronika i wyszła. Trzasnęły zamykane drzwi.

Kiedy mijala jedynekę, uchyliły się drzwi; zobaczyła Mvumbiego.

– O której śniadanie?

– Od dziewiątej.

Zerknął na zegarek.

– A to jeszcze godzina – burknął pod nosem i zniknął w pokoju.

Veronika zbiegła po schodach i skierowała się do kuchni. Wiedziała, że Franciszka aż skreca z ciekawości. Było jej żal, że to nie ojciec przeżywa razem z nią tę sytuację, choć kucharz był jak członek rodziny, a ją traktował jak córkę. Ojciec rządził Erynią przez wiele lat, aż pewnego dnia zawołał ją do swojego gabinetu...

* * *

Było to cztery lata temu, tuż po sezonie. Dobrze pamiętała tamten dzień. Bernardo posadził ją w fotelu i starannie zamknął drzwi, jakby się obawiał, że ktoś niepowołany usłyszy to, co miał do powiedzenia. W gruncie rzeczy nie była to żadna tajemnica. Przypuszczalnie zadziało jakieś stare przyzwyczajenie, jeszcze z czasów młodości. Trzeba przyznać, że ją zaskoczył. Wprawdzie od wielu lat obiecywał, że przekaże jej hotel, ale myślała, że to wciąż daleka perspektywa. Tego dnia odkurzała pamiętki z Afryki zdobiące ściany w jadalni, aż tu przybiegła Maria, wtedy tymczasowo zatrudniona jako praczka.

– Pani Veroniko – mówiła podekscytowanym głosem – szef panią woła, jest bardzo zdenerwowany.

– Naprawdę? – zdziwiła się. – Mój tata jest zdenerwowany? Przecież to chodzący spokój.

Zeskoczyła z drabinki, rzuciła ścierkę na pobliski stolik.

– Tak, jest bardzo wzburzony – potwierdziła praczka. – Nigdy nie widziałam go w takim stanie. Niech pani szybko tam idzie. Coś musiało się wydarzyć – ponaglała ją.

Veronika pobiegła na górę.

Gabinet ojca mieścił się na trzecim piętrze w samym końcu korytarza. Pokój nie był wielki, ale miał jedną ogromną zaletę. Przylegał do niego spory taras, zajmujący praktycznie cały dach. Taras był oczkiem w głowie jej ojca. Tu rosła bujna tropikalna roślinność, jedynie na zimę osłaniana szklaną ścianą. Tu było wspaniałe akwarium z rzadko spotykanymi rybami i tu mieściło się atelier ojca. Tu powstawały jego obrazy, a właściwie kopie obrazów wielkich mistrzów.

Weszła do gabinetu bez pukania. Tylko ona miała ten przywilej.

Ulokował ją w swoim fotelu. Siedziała i obserwowała ojca. Praczka miała rację. Był bardzo zdenerwowany, chodził jak ranione zwierzę po gabinecie w tę i z powrotem. Nagle zatrzymał się tuż przed Veroniką, usiadł na blacie biurka.

– Cóрко, dziś nadszedł czas – zaczął głosem drżącym z emocji – na zmianę pokoleń.

– Na zmianę pokoleń?

Była zdumiona. Patrzyła na niego i w dalszym ciągu nic nie rozumiała.

– Tak. – Ojciec skinął głową. – Odchodzę. Przekazuję ci pieczę nad Erynią i przenoszę się do domku w ogrodzie. Od dziś moja noga tu nie postanie.

– Co takiego?

Patrzyła na ojca już nie z niepokojem, ale ze strachem. Wyglądał na człowieka, który postradał zmysły, lub na takiego, który czegoś się strasznie przeraził. Jego czoło pokrywały krople potu, twarz była przeraźliwie blada, on sam dygotał.

– Ojczy, czy coś się stało? Skąd ta nagła decyzja?

Energicznie zaprzeczył.

– Wszystko jest w porządku. Pamiętasz, od lat obiecywałem, że obejmiesz hotel, i dziś ten dzień nastąpił. To wszystko.

Wyjął chustkę i otarł nią twarz.

– Przecież możemy go razem prowadzić, tak jak było do tej pory.

– Nie, ja dziś wysiadam z tego pociągu. To jest dla mnie stacja końcowa – oświadczył stanowczo.

– Jesteś chory? – dopytywała. – Powiedz, nie kryj tego przede mną. Znajdziemy najlepszego specjalistę.

– Jestem zdrowy na ciele i umyśle. Dziś doszedłem do wniosku, że już pora na zmianę kierownictwa, trzeba dać możliwość wykazania się młodym. Są już inne czasy i wymagają świeżej krwi. To jest jedyne wyjście, żeby uratować naszą Erynię. Za kilka dni podpiszemy u notariusza stosowne dokumenty. I jeszcze jedno – zaważał się – może to nieważne, ale musisz o tym wiedzieć.

– Tak, tato... – Spojrzała na niego pytająco. Twierdził, że jest zdrowy, ale może ukrywał chorobę? Obiecała sobie, że musi podpytać Franciszka.

– Kiedyś, dawno temu, potrzebowałem pieniędzy i zapożyczyłem się u pewnego człowieka. Niestety, zginął w wypadku i nie miałem możliwości, by zwrócić mu dług. Nikt dotąd się po niego nie zgłosił i pewnie się już nie pojawi. Ta sprawa miała miejsce trzydzieści lat temu. Podpisałem wtedy pewien kwit i nigdy go nie odzyskałem. Zapewne gdzieś przepadł.

– Nie przejmuję się. Jednak nie wiem, czy jestem na to gotowa.

– Poradzisz sobie, tego jestem pewny. Przecież hotel jest twoim życiem.

– Nic mi nie pomożesz? Nie będę mogła liczyć na twoją pomoc? – wciąż nie dowierzała.

– Przykro mi, ale tak postanowiłem. Możesz jednak polegać na Franciszku, on kocha cię tak mocno, że czasem byłem o to zazdrosny. Będzie twoim oparciem, a kiedy poczujesz się na siłach, żeby prowadzić hotel sama, wtedy przejdzie na emeryturę. Obiecał mi, że wcześniej nie odejdzie.

– Już rozmawiałeś z nim o tym? – zdziwiła się.

– Tak. Musiałem załatwić ci pomocnika, przecież nie mogę cię tak od razu puścić na głęboką wodę. Będzie dobrze, zobaczysz.

Dźwignął się ciężko z fotela. Veronika zerwała się również i rzuciła się ojcu w ramiona.

Mocno się do niego przytuliła.

– No i co to za gość? – Franciszek z nożem w dłoni stał w progu kuchni. – Opowiadaj.

Veronika wymownie popatrzyła na trzymane przez niego narzędzie.

– Ten nóż to na mnie?

– Ależ broń Boże! – zreflektował się i zaraz go odłożył. – Co to za facet?

– Raczej baba – zaśmiała się – chociaż może określenie babochłop bardziej do niej pasuje. Ubrana jak facet, ma męski chód, nawet papierosa w ustach trzyma jak mężczyzna.

– Nie przesadzasz czasem?

– Co to za kobieta, która przyjeżdża na dwutygodniowy wypoczynek tylko z małym kuferkiem? Bez ciuchów?

– Jak to? Nie ma żadnej walizki?

– No właśnie i żadnego innego bagażu. Ma za to chrapliwy, niski głos. Nie ma w niej ani krzty kobiecości.

Minęła kucharza i usiadła przy blacie. Podparła głowę rękoma.

– Ciekawe, jaki następny dziwak się tu zjawi? – zastanawiała się.

Franciszek podszedł bliżej i delikatnie poklepał ją po plecach.

– Czym się zajmujesz? Co oni nas obchodzą? Ważne, że pieniądze zainkasowaliśmy, a teraz musimy tylko wytrzymać dwa tygodnie. Wyjadą i zapomnimy o nich. Pamiętasz tę grubą Niemkę, co latała naga po holu i darła się, jakby ją coś opętało? Kiedy to było? Chyba cztery lata temu. Proboszcz podejrzewał, że naprawdę jest opętana, i chciał wezwać do niej egzorcystę.

– Faktycznie. – Zaśmiała się na wspomnienie tamtej sytuacji. – Z nią była prawdziwa jazda, a policja odwiedzała nas codziennie.

– No właśnie. – Kucharz zaczął kroić warzywa. – Daliśmy radę wtedy, to i teraz sobie poradzimy.

Veronika zawsze patrzyła z podziwem, jak Franciszek operuje nożem; ona tak nie potrafiła.

– Pomóc ci? – spytała.

– Nie, witaj następnych gości. Tu w kuchni rządzą ja.

– Dobrze, idę do saloniku, przy okazji obejrzę w telewizji prognozę pogody.

Dźwięk dzwonka niczym huk pioruna rozerwał ciszę. Veronika rzuciła pilota od telewizora na fotel obok, wstała i wolnym krokiem ruszyła w stronę wejścia. Dzwonek był coraz bardziej natarczywy. Ona jednak nie przyspieszyła, ale wręcz zwolniła. Ten ktoś nie mógł się doczekać i szarpał nerwowo kłamkę.

Dziewczyna, pamiętając wejście poprzedniego gościa, przekręciła klucz w zamku, po czym odskoczyła od drzwi. I całe szczęście. Rozwarły się z impetem, uderzając o ścianę; posypał się tynk. Następny wandal, pomyślała.

Do holu wszedł wysoki mężczyzna. Miał może czterdzieści, czterdzieści pięć lat. Z wyglądu przypominał księdza. Może to przez odzienie, bo ubrany był w czarny, niemodny już garnitur.

– Dzień dobry! – przywitał się szybko.

Ciepła barwa jego głosu wzbudzała zaufanie.

Wyciągnął w jej kierunku rękę. Teraz Veronika była pewna, że ma do czynienia z duchownym, a uścisk jego dłoni – delikatny, prawie dziecięcy – jeszcze dodatkowo ją w tym utwierdził.

– Witam w hotelu Erynia – odparła, siląc się na uśmiech.

– Nazywam się Lucio Russo. Mam tu wynajęty pokój.

– Zgadza się. Zapraszam. – Odsunęła się na bok, robiąc przejście.

Gość chwycił wielką skórzaną walizę oblepioną niezliczonymi kolorowymi naklejkami i minął Veronikę. Poczowała od niego niemiły zapach tanich męskich perfum.

Mężczyzna zatrzymał się i spojrzął na nią pytająco.

– Gdzie dalej?

– Proszę za mną.

Zerknęła ciekawie na bagaż i poszła w kierunku schodów. Zauważył jej zainteresowanie.

– To pamiętka z misji – usłyszała zza pleców. – Każda naklejka to jakiś przystanek na mojej drodze życia.

Była z siebie zadowolona, rozszyfrowała go już na wejściu.

– Pan jest księdzem?

Pytanie najwyraźniej go zakłopotало.

– Raczej byłem.

W jego głosie wyczuła niezdecydowanie. Niezupełnie ksiądz, pewnie porzucił kapłaństwo. To się zdarzało coraz częściej. Ruszyła dalej, a gość podążył za nią. Minęli pierwsze piętro i dalej się wspinali.

– Wysoko – jęknął mężczyzna. – Nie ma pokoju niżej?

– Nic na to nie poradzę. Nie miałam wpływu na rozmieszczenie gości, to było ode mnie niezależne, proszę księdza.

– Proszę mnie tak nie tytułować – zaprotestował. – Już nim nie jestem.

Zatrzymali się na drugim piętrze. Veronika włożyła klucz do dziurki i po jej krótkich zmaganiach z zamkiem drzwi stanęły otworem. Tak jak poprzednio weszła pierwsza. Lucio Russo postawił walizkę tuż przy łóżku i rozejrzył się ciekawie.

– Ładnie tu – powiedział.

To był pierwszy gość, który pochwalił hotel, i to chyba szczerze; Veronika nie wyczuła w tym za grosz fałszywej nuty.

– Jestem przyzwyczajony do mieszkania w szalaszach i skromnych barakach. W Indiach czy Pakistanie mieszka się w naprawdę spartańskich warunkach – dodał po chwili.

Już zaczynała go trochę lubić i wszystko zepsuł. Jak można było porównać Erynię z azjatyckimi slumsami?

– Śniadanie od dziewiątej – rzuciła oschle i wyszła.

Lucio Russo został sam. Położył walizkę na łóżku. Chwilę mocował się z klamrami, zanim wreszcie ją otworzył. Pogrzebał w środku. W dłoni trzymał duży, kuty, srebrny krzyż. Zbliżył go do ust i pocałował. Rozejrzył się po ścianach, by zatrzymać wzrok na obrazie wiszącym tuż nad łóżkiem. Długo się nie zastanawiał. Zsunął buty i wskoczył na materac, następnie ostrożnie zdjął obraz i na jego miejscu powiesił krzyż. Chwilę poprawiał go i prostował.

Zszedł z łóżka, zdjęty wcześniej pejzaż oparł o ścianę. Zerknął na krzyż. Przeżegnał się i zaczął rozpakowywać walizkę.

– No i? – Franciszek znów czekał z pytaniem.

– Następny dziwny człowiek. Tym razem ksiądz-nieksiądz.

– To ksiądz czy nie ksiądz?

– Były ksiądz. Tak siebie określił. Widocznie zrzucił sutannę.

– Albo go wyrzucili – dodał kucharz. – Może to zjazd jakiejś sekty? To nawet pasuje. Duchowny będzie odprawiał czarne msze. To się trzyma kupy.

– Sataniści? Tylko nie to. Niejedno o nich słyszałam.

– Może przesadziłem. – Franciszek sam przeraził się swoich domysłów. – Musimy jednak być czujni. Zadzwoń do Guida, szwagra mojej żony. Jego syn jest w policji. Niech lepiej da nam numer jego komórki, tak na wszelki wypadek. Musimy także zamknąć wszystkie koty.

Spojrzała na niego bacznie, żeby się upewnić, czy nie żartuje.

– Podobno jedzą koty. Widziałem kiedyś w jakimś filmie – wyjaśnił.

– Obrzydlistwo.

Na samą myśl, że mogliby zjeść jej ukochanego Romulusa, ogarnęło ją oburzenie.

Ponownie przeraźliwie zabrzączał dzwonek. Franciszek i Veronika spojrzeli po sobie.

– Idź otworzyć – powiedział kucharz. – Ja tymczasem załatwię ten numer.

Veronika zbliżyła się bardzo ostrożnie do drzwi, przekręciła klucz i, tak jak uczyniła ostatnio, odskoczyła do tyłu. Nikt nie wchodził, chwilę więc odczekała, po czym ostrożnie nacisnęła klamkę i wyjrzała na zewnątrz. Przed Erynią stał starszy, niewysoki i mocno przygarbiony mężczyzna w zarzuconym na ramiona długim flauszowym palcie. Z ciekawością przyglądał się budynkowi, a kiedy zobaczył dziewczynę, uśmiechnął się przyjaźnie zza grubych szkieł starodawnych druczianych okularów.

– Super, super! – krzyknął. – Piękny hotel, szanowna pani, piękny.

– Dziękuję.

Mężczyzna skłonił się nisko i wyciągnął do niej rękę.

– Nazywam się Fryderyk Vogel.

– Witam pana, Veronika Oliveto.

Ten gość przypominał urzędnika. Błada, wychudzona twarz, mocno przerzedzona czupryna, celowo zaczesana na jeden bok, żeby ukryć duże polacie zupełnie pozbawionej owłosienia czaszki – wszystko to pasowało jak ulał do wzorcowego pracownika magistratu.

Ucisnęła mu dłoń.

– Proszę do środka.

– Idę, idę. – Chwyił nieduży, ciemnobrązowy, staromodny kuferek i ruszył za nią.

– Wspaniale, wspaniale – powtarzał w kółko.

Weszli do środka. Vogel zatrzymał się w centralnym punkcie holu.

– Przepiękne, przepiękne – mruczał pod nosem. Podeszedł do jednej ze ścian. – Kto namalował te obrazy?

– Mój tata, ale to jedynie kopie.

– Zauważyłem, ale są świetne. W tym obrazie widzę duszę malarza, widzę duszę pani ojca. – Pokazał palcem pejzaż przedstawiający Porto Venere.

– To akurat nie jest kopia – wtrąciła z ironicznym uśmiechem na ustach.

– Właśnie dlatego zwróciłem na niego szczególną uwagę. Świetne, świetne.

– Pokażę panu pokój.

– Tak, tak, przepraszam – zreflektował się. – Już idę, proszę prowadzić.

Veronika ruszyła przodem, a mężczyzna podążył za nią, cały czas zachwycając się wszystkim.

– Piękne schody. Macie państwo dobry gust.

– One były tu od zawsze. To nie nasza zasługa – rzuciła przez ramię.

– Nie szkodzi, nie szkodzi. – Mężczyzna nie zrażał się opryskliwymi odpowiedziami i w pewnym momencie Veronice zrobiło się trochę głupio. To był pierwszy gość, który docenił jej hotel. Pierwszy, który poczuł jego klimat, a ona częstowała go uszczypliwymi słowami.

– Niestety, pana pokój jest na drugim piętrze – odezwała się przyjaznym tonem.

– Nie szkodzi, nie szkodzi. Po takich schodach mogę iść do samego nieba. Wspaniale marmury, a co za balustrada! – Delikatnie gładził dłonią kute zdobienia i poręcz wykonaną z drzewa wiśniowego.

Wspinali się powoli. Veronika musiała zmniejszyć tempo, bo mężczyzna za nią nie nadążał. Minęli pokój byłego księdza i zatrzymali się przed następnymi drzwiami. Dziewczyna jak zwykle męczyła się z zamkiem.

– Pięknie, pięknie! – wykrzyknął znów Vogel, kiedy obydwoje znaleźli się w środku.

– Cieszę się, że się panu podoba. Śniadanie od dziewiątej na dole w jadalni.

Vogel schylił się do kuferka i wyjął z niego bardzo grubą książkę. Musiał często z niej korzystać, miała wiele zakładek, a jej obwoluta była mocno zniszczona. Mężczyzna chwycił krzesło i z dużym trudem przestawił je pod okno, bliżej światła, po czym zagłębił się w lekturze.

Zbiegając schodami, Veronika nagle wpadła wprost w ramiona nieznanego mężczyzny. Przestraszona odskoczyła do tyłu.

– Proszę się nie bać. – Posłał jej czarujący uśmiech.

Veronika zmieszała się, poczuła, że się rumieni. Nieznajomy był przystojny, szpakowaty, w średnim wieku, prawdziwy macho, niczym amant filmowy.

– Kim pan jest? – wykrztusiła.

– Nazywam się Stefano Bontate i mam tu wynajęty pokój – odrzekł.

Barwa jego głosu zepsuła pierwsze dobre wrażenie. Nieprzyjemna i zimna tonacja budziła nieufność; mogła świadczyć o twardym cynicznym charakterze tego mężczyzny.

– Jak się pan tu dostał? – spytała Veronika.

– Drzwi były otwarte.

No tak, zapomniała je zamknąć. Zerknęła na bagaż gościa. W rękach trzymał dwie skórzane walizy pokazanych rozmiarów.

– Proszę za mną. – Odwróciła się i ruszyła znowu schodami do góry.

Pokój numer trzystaście znajdował się na trzecim piętrze. Bontate żwawo podążał za Veroniką. Szedł bardzo blisko niej, czuła na plecach jego oddech, a to było nieprzyjemne. Kiedy wreszcie doszli na miejsce, Veronika z ulgą wyciągnęła z kieszeni ostatni klucz. Po wejściu do środka, tak jak wcześniej, w pierwszej kolejności wpuściła do pokoju sporo światła dziennego.

– Mamy już wszystkich – oznajmiła Veronika, wchodząc do kuchni. – Jeszcze raz przypominam, żeby nie nawiązywać z gośćmi rozmowy. Tylko obsługa, kontakt ograniczony do minimum.

Franciszek wbił w nią zaciekawione spojrzenie.

– No i jak? Mów, jacy są pozostali? Bo ja tu siedzę jak na rozgrzanych węglach.

– Trudno powiedzieć. Najpierw zjawił się nawet miły sympatyczny dziadek, a tuż za nim, jakby wyrósł spod ziemi, podstarzały playboy, ubrany w elegancki garnitur, a żebyś zobaczył jego buty! Wyglądały tak, jakby je dopiero co wyjął z pudełka, musi być z niego prawdziwy pedant. Dobrze, że to już wszyscy.

Spojrzała na zegarek.

– Zaraz zaczną się schodzić do jadalni, to będziesz mógł sam ich ocenić.

– Nie mogę się doczekać. – Kucharz zaczął groźnie wymachiwać w powietrzu długim nożem do krojenia wędliny. – Aha, byłbym zapomniał, przyszedł do ciebie list. Nie wiem, czy nie od tego całego Trovata.

– Gdzie go położyłeś?

– Leży obok ekspresu do kawy.

Od razu poznała charakter pisma. Koperta też była identyczna jak poprzednie, tylko ciut grubsza. Podniosła ją delikatnie. Powąchała. Ten sam zapach drogich męskich perfum. Franciszek stanął za nią

i cierpliwie czekał, aż otworzy. Delikatnie naddarła kopertę w samym rogu, palcem rozgięła na krawędzi i ze środka wyjęła pięć małych kopert. Wszystkie były niezaklejone, a w każdej z nich tkwiła kartka. Odłożyła je na bufet, pozostawiając w ręku tylko list. Był bardzo krótki, a napisała go ta sama osoba, która zaadresowała kopertę.

* * *

Szanowna Pani,

jestem zadowolony z Pani działania. Tak ja (przelew), jak i Pani (przygotowanie hotelu) dotrzyaliśmy warunków umowy. Pierwszy etap zakończyliśmy. Wspominałem Pani wcześniej o możliwości wypłacenia premii. Aby ją otrzymać, wystarczy spełnić kilka moich prośb. Jedną z nich jest przekazanie gościom przy śniadaniu kopert dołączonych do mojego listu. Są tam małe ankiety, które po wypełnieniu zostaną Pani zwrócone. Proszę je nosić przy sobie, a ja je od Pani odbiorę przy pierwszej nadarzącej się okazji.

Z wyrazami szacunku

Gabriel Trovato

* * *

– Czuję się, jakbym brał udział w jakiejś grze, reality show. – Usłyszała zza pleców szept Franciszka. Miał rację. Trafił w sedno, ona też tak się poczuła.

Odłożyła list i sięgnęła po jedną z kopert. Rozchyliła ją, po czym się zawahała.

– Na co czekasz, otwórz – zachęcał kucharz. – Musimy się dowiedzieć, o co tu właściwie chodzi.

– No, nie wiem, są do nich. – Skierowała wzrok w stronę jadalni.

– Czego nie wiesz? Zobacz, czego dotyczą te ankiety, przecież wypełnione mają do ciebie wrócić. Facet coś ukrywa przed tobą, a ty się jeszcze zastanawiasz?

– Zgodziłam się na jego warunki, a to zlecenie ratuje mój hotel. Chcę być wobec niego uczciwa.

– Nie zakazał ci tego. – Franciszek nie ustępował.

– No nie. Tu masz rację.

Veronika delikatnie chwyciła kartkę za róg; nie chciała zostawić żadnego śladu. Wyciągnęła ją z koperty. Tak jak poprzednia, również i ta była złożona na pół. Dziewczyna ostrożnie ją rozchyliła. Tu jednak nastąpiło pełne zaskoczenie, bo tekst był z komputera. Duże, pogrubione litery pokrywały niewielką część strony.

– Czytaj – ponaglał ją kucharz.

– „Wymień trzy powody, dla których miałbym zmienić zdanie” – wydukała.

– No, dalej.

– To wszystko. Nic więcej tu nie ma. No, może niezupełnie. Na dole jest adnotacja, żeby zaklejone koperty oddać mnie.

– To wszystko? – Franciszek był mocno zawiedziony. Trzymany w ręku nóż z impetem wbił w blat. – Cholera, to jakiś *Big Brother* czy co? – skwitował. – Pewnie po kątach ukryli kamery i wcale się nie zdziwię, jak zobaczymy siebie w telewizji.

– Myślisz? – Veronika nie była przekonana. – Wolę już *Big Brothera* niż jakąś sektę.

Franciszek obstawał jednak przy swoim i zaczął myszkować po kuchni w poszukiwaniu kamer.

– Powiedz mi, skąd Trovato wiedział, że mój dziadek zmarł w tym domu? – zastanawiała się Veronika.

– Sprawa jest jasna: zanim dziennikarze wynajęli Erynię, prześwietlili twoją przeszłość. – Nie dawał się zbić z tropu.

– Obyś miał rację, choć to niezbyt etyczne.

W tym momencie do kuchni weszła kelnerka Lola.

– Zaczynają się schodzić goście – zakomunikowała.

Veronika odwróciła się bokiem i szybko schowała kartkę do koperty. Nie chciała, żeby ktokolwiek jeszcze o tym wiedział. Wystarczyło, że Franciszek był wtajemniczony w szczegóły.

– Wiesz, jak ich usadzać? – zapytała Lolę.

– Wiem, przecież na stolikach są numerki pokoi.

– Mimo to idź tam i sprawdź, czy się zgadzają.

Wolała być pewna wszystkiego.

Franciszek odpiął fartuch i rzucił go na blat.

– Idę obejrzyć te eksponaty – mruknął.

– Eksponaty? – Kelnerka spojrzała ze zdziwieniem na szefową.

– Dla Franciszka wczasowicz w marcu to dziwak – śpiesznie wyjaśniła Veronika.

– Ma rację. Teraz to czas na narty w górach. Idę podać wędlinę i jogurty.

– Dopilnuj, żeby goście byli zadowoleni.

Jeśli chodzi o przydział miejsc, Veronika miała całkowitą swobodę. Wolała jednak dmuchać na zimne, więc każdy gość dostał osobny stolik, na którym umieściła numer odpowiadający numerowi pokoju. Nie rozrzuciła ich po całej sali, lecz zgrupowała przy drzwiach do ogrodu. Po pierwsze, było tu cieplej za sprawą większej liczby grzejników, a po drugie – bliżej kuchni i przez to wygodniej dla personelu.

Zajrzała do jadalni. Wszyscy już tam byli. Każdy skupiony nad swoim talerzykiem, każdy wojujący z dmuchanymi rogalikami i masłem zmarzniętym na kość. Zauważyli ją, uśmiechnęła się do nich. Czowała zakłopotanie. Stała z kopertami w dłoni i zastanawiała się, co zrobić z tym fantem, ale szybko odnalazła się w nowej sytuacji. Chrząknęła, aby zwrócić na siebie uwagę zebranych.

– Drodzy państwo – zaczęła – zgodnie z życzeniem pana Gabriela Trovata, osoby, która zorganizowała państwa pobyt w naszym hotelu, rozzdam teraz otrzymane przed chwilą koperty. Przyznam się szczerze, że zupełnie nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi. Jestem tu tylko posłańcem i dlatego proszę nie zwracać się do mnie z pytaniami.

Goście w skupieniu wysłuchali tego, co miała do powiedzenia. Odniosła wrażenie, że niektórzy są co najmniej delikatnie zmieszani. Rene Lemner zbladła, a księdzu wypadł z ręki widelec, którym akurat nakładał sobie szynkę na rogalika.

Veronika po kolei podeszła do stolików i na ich brzegach położyła koperty. Dyskretnie obserwowała gości, żaden z nich nawet nie dotknął listu, jakby parzył. Owszem, wpatrywali się w nie, ale też jakby ze wstydem, ukradkiem. Powrócił do śniadania i jedli w milczeniu. Czasem stuknął jakiś sztuciec, czasem dochodził odgłos odstawianej filiżanki po cappuccino, a koperty leżały tak, jak je położyła. Śniadanie dobiegało końca, goście jeden po drugim wstawali od stołu i chyłkiem, jakby od niechcenia, zabierali ze sobą listy.

Jadalnia opustoszała.

Franciszek przetarł bufet, zdjął fartuch i bocznymi drzwiami wymknął się do ogrodu.

O dziwo, było bardzo ciepło jak na marzec. Przeszedł pod starym platanem, pogłaskał Romulusa wygrzewającego się w słońcu na ławce ogrodowej, następnie przemknął alejką wśród rododendronów i zniknął w domku starego Bernarda.

Gospodarz siedział w fotelu przy kominku i palił fajkę, co zaskoczyło przybysza.

– Nie wierzę własnym oczom? Ty i fajka?

– Wciąż mnie na nią namawiałeś, teraz próbuję.

– No i jakie wrażenia ?

– Takie sobie. Brakuje mi porządnego sztachnięcia. Zapach jest przyjemniejszy, fakt, ale to trochę takie nijakie palenie.

Franciszek usiadł w sąsiednim fotelu tuż obok Bernarda.

– Nijakie, powiadasz? – Zaśmiał się. – Co to za skojarzenie?

– No, może ciut przesadziłem. Lepiej mów, co tam się dzieje w hotelu? – Wbił natarczywy wzrok w gościa.

– Widziałeś ich?

– Tak. To jakieś dziwaki, żaden nie odpowiada twojemu opisowi.

Bernardo się zamyslił. Puszczął kłęby dymu, wyraźnie się tym bawił; przyjemny zapach tytoniu unosił się po salonie. Po chwili Oliveto sięgnął po małe podłużne pudełeczko leżące na stoliku tuż przy jego fotelu i podał je kucharzowi.

– Weź, to dla ciebie.

Franciszek patrzył na przemian na prezent i na darczyńcę, nie kryjąc zaskoczenia.

– Co to jest?

– Nie wiesz? Aparat fotograficzny. Jest nieduży i będziesz mógł dyskretnie zrobić zdjęcia tym, jak mówisz, dziwakom. Kobiecie nie musisz, chociaż... – zawahał się – jej też zrób. Chcę zobaczyć ich twarze. Bądź bardzo dyskretny, żeby broń Boże Veronika nic nie zauważyła.

Franciszek trzymał aparat w ręku i nie krył zakłopotania.

– Nie znam się na tym. Może zrobię komórką? Będzie mi łatwiej.

– To proste, wciskasz jeden guzik i zdjęcie gotowe. Skoro nawet ja się nauczyłem robić tym fotki, to i ty dasz radę. A zresztą, możesz użyć do tego telefonu. Widziałeś tego Gabriela?

– Tak, ale jesienią. Od tamtej pory się nie pokazał, tylko listy przysyła.

– Ile może mieć lat?

– Jest młody, może trzydzieści, nie więcej.

– Czyli to nie on. – Gospodarz odetchnął z ulgą.

Franciszek nachylił się do niego zaintrygowany.

– Co mówiłeś, bo nie dosłyszałem?

– Nic, nic. Tak sobie głośno myślę. Co teraz porabia Veronika?

– Poszła na cmentarz. Powiedziała mi, że zajrzy do ciebie zaraz po powrocie.

– To dobrze. Ostatnio odwiedza mnie za rzadko. Wiem, że jest bardzo zajęta. Kiedy tak siedzę tu w mojej samotni, tak mi, przyjacielu, brakuje Giuseppy. Dużo o niej myślę. Czemu Bóg wezwał ją do siebie tak wcześniej? Czemu nam ją odebrał?

– Tak widocznie musiało być – westchnął kucharz. Jemu też było żal żony przyjaciela, bardzo ją lubił.

– Nie musiało! – Bernardo zerwał się z fotela tak raźnie, jakby miał o trzydzieści lat mniej. – Nie musiało! – powtórzył. – To moja wina. Wszystko przeze mnie.

– Nie obwiniaj się – zaprotestował Franciszek. – Giuseppa była ciężko chora, a nie znano wtedy lekarstwa na jej chorobę.

– Nie, to nie to. Nie wiesz wszystkiego. Nie wiesz, czemu zachorowała.

Bernardo uważał, że śmierć żony była karą, straszną karą. Jednego tylko nie rozumiał – dlaczego ukarano także Veronikę, przecież ona nie była niczemu winna.

– Nie myśl w ten sposób – rzekł Franciszek. Podniósł się, podszedł do Bernarda i mocno go uściśnął.
– Żadne zdarzenie nie mogło skutkować takimi konsekwencjami. Tak jak ty postąpiłoby wielu ludzi, nikomu nie zrobiłeś krzywdy. Nikt przez ciebie nie płakał. Nie wyolbrzymiaj tego.

– Nie przekonasz mnie, mój przyjacielu. Dziękuję za te słowa, ale mam swój rozum, mam swoje sumienie.

– Ono cię w końcu zabije! – Kucharz tylko machnął ręką. Wiedział, że to jałowa rozmowa, Bernardo biczuje się od lat i tak już będzie do śmierci. – Idę już, bywaj – bąknął pod nosem i wyszedł.

Stary Oliveto podszedł do stojących przy oknie sztalug i odsłonił portret. Obraz wyglądał na skończony, ale jego autor nie był jeszcze usatysfakcjonowany. Kręcił głową z niesmakiem, coś jeszcze wydawało mu się nie tak. Wziął ze stoika cieniutki pędzelek i pochylił się nad płótnem. Zaczął ostrożnie korygować rysy twarzy, wygładzać je delikatnie.

– Wybacz, nigdy nie przeniosę na płótno twojej urody – szepnął.

Sagesse Mvumbi siedział na łóżku, trzymając list w ręku. Wolno obracał go w dłoniach. Wiedział, że musi zajrzeć do koperty, ale chciał to odwlec w czasie. Trovato zaczął z nim grać w jakąś dziwną grę, zresztą chyba nie tylko z nim. Już w jadalni, widząc pozostałych gości, Sagesse zrozumiał, że i oni zostali tu zwabieni przez tego samego mężczyznę. Kopertę dostał każdy z nich i nikt nie śmiał jej otworzyć. Każdy bał się jej treści. Mvumbi domyślał się, że pozostali, tak samo jak on, teraz ją nerwowo obracają w dłoni. Paranoja, pomyślał, to jest zwykła paranoja. On, człowiek trzęsący jedną czwartą Konga, żyjący w przepychu, w otoczeniu służby i ślepo mu oddanych ochroniarzy, utknął w tej paskudnej norze na krańcu świata. Co on tu w ogóle robi?

Zdecydowanym ruchem otworzył kopertę i rozłożył list.

Wymień trzy powody, dla których miałbym zmienić zdanie.

Co jest, do cholery? Quiz jakiś czy co? W co on się z nami bawi? Za kogo się uważa?

– Dobrze, chcesz się bawić, to się bawmy.

Sięgnął do kieszeni po długopis.

Jestem pułkownik Sagesse Mvumbi – zaczął – to pierwszy powód. Odważyłem się zjednoczyć plemiona dla dobra kraju, to drugi powód. Trzecim jest to, że wdeptałem w ziemię wszystkich tych, co chcieli doprowadzić do oderwania rejonów przygranicznych.

Schowal długopis, złożył kartkę, wsunął ją do koperty, a następnie poślinił i skleił jej krawędzie.

W tym momencie usłyszał czyjś głos. Spojrzał w kierunku sufitu. Tuż pod nim na długim wysięgniku umocowano nieduży telewizor. Mimo że on go nie włączył, na ekranie zaczęły się ukazywać jakieś obrazy.

Mvumbi wstał z łóżka i podszedł bliżej. Rozpoznawał swój język ojczysty. Jednak ekran był mały, a obrazy zamazane. Podszedł jeszcze bliżej, zatrzymał się niespełna metr przed odbiornikiem. Teraz widział doskonale dżunglę i przedzierające się przez nią wojsko. Kamera najechała na dowódcę. Poznał go, to przecież kapitan Guambo. Dobrze go pamiętał, mimo że tamten nie żył od lat. To musi być stary film, pomyślał. Patrzył w ekran jak urzeczony. Tymczasem operator pokazywał następnych żołnierzy. Wszyscy byli bardzo młodzi. Naraz Sagesse się zdumiał. Czy to ja? Tak, widział siebie dokładnie. Szedł jako jeden z ostatnich i niósł stary karabin. Pamiętał go doskonale, bo wciąż się zaciął. Kiedyś przez niego o mało nie zginął. Z boku, z chaszczy wyszedł jakiś wieśniak z maczetą w dłoni. Właściwie nie tyle wyszedł, co wyskoczył prosto na uzbrojony oddział. Mvumbi wycelował w napastnika i nagle coś się zacięło w tym przeklętym karabinie. Wtedy pierwszy raz w życiu stanął twarzą w twarz ze śmiercią. Do dziś pamiętał pełne nienawiści spojrzenie wieśniaka, błyszczące w słońcu ostrze lecącej w dół maczety, zdążył jedynie zamknąć oczy. Usłyszał głuchy odgłos wystrzału zza pleców, a w chwilę potem poczuł na sobie napór bezwładnego ciała. Przygniotło go, zważyło z nóg. Guambo go wtedy uratował.

Odszedł na bok za potrzebą i dzięki temu znalazł się tam, gdzie się znalazł. Zwykła potrzeba fizjologiczna dowódcy ocaliła Mvumbiego. Dopiero po następnej bitwie dostał nowy karabin, zdobyczny.

Nagle ekran zgasł i zapadła cisza. Mvumbi chwycił pilota z szafki przy łóżku i zaczął nim nerwowo zmieniać kanały. Nigdzie jednak nie znalazł tego, czego szukał.

– Szkoda – mruknął pod nosem i wyłączył telewizor. Podeszedł do szafy, zdjął z wieszaka długi jasnoszary płaszcz, zarzucił go na ramiona i trzymając list w dłoni, wyszedł z pokoju. Zamknął starannie drzwi na klucz, zszedł na dół i zajął do recepcji. Na blacie zobaczył mały porcelanowy talerzyk, a na nim kopertę podobną do tej od jego listu. Nie namyślając się długo, Mvumbi położył na wierzchu swoją. Kątem oka zauważył nadchodzącą Veronikę. Uśmiechnął się do niej, skłonił, następnie wyszedł z hotelu.

Dziewczyna zajął do recepcji. Jej wzrok spoczął na blacie. Brakowało jeszcze trzech kopert.

Rene Lemner siedziała na sedesie. Zimna muszla klozetowa mroziła jej tyłek, ale kobieta wcale na to nie zwracała uwagi. Ścisnęła w rękę kopertę. Podesunęła ją pod nos i powąchała. Nie, nic nie wyczuła. Ostrożnie ją obróciła i podniosła wysoko, spojrzała pod światło. Udało jej się stwierdzić, że w środku jest tylko kartka papieru pokryta grubym drukiem. W końcu wyciągnęła list, następnie rozłożyła go i przeczytała.

– Trzy powody? – szepnęła. – Jeśli tylko o to chodzi, to zadowolę cię, mój panie.

Sięgnęła po papier toaletowy i energicznie go szarpnęła. Rolka jak zwariowana zaczęła się rozwijać wprost na terakotę.

– Cholera! – zakląła Rene. Rzuciła list i złapała papier. Oderwała potrzebny kawałek, a pozostałą część z trudem nawinęła z powrotem na rolkę. Wstała, sięgnęła po wcześniej upuszczoną kartkę i trzymając ją w dłoni, poszła do pokoju.

Wyjęła z kuferka długopis i z ironicznym uśmiechem na twarzy napisała trzy zdania. Zakleїła kopertę, ruszyła do wyjścia, ale kiedy już położyła rękę na klamce, usłyszała głos. To zawieszony przy suficie telewizor sam się włączył. Zdziwiona kobieta podeszła bliżej i wtedy dojrzała na ekranie młodą dziewczynę idącą do szkoły.

– Pieprzony sitcom – warknęła Rene i sięgnęła po pilota, ale jej ręka zawisła nieruchomo w powietrzu. Usłyszała znajomy głos. Głos mamy. Co to za film? Mama nie żyła od lat. Rene podeszła jeszcze bliżej. – Niemożliwe, przecież to ja! – wyrwało jej się ze ściśniętego gardła. Na ekranie młoda dziewczyna wraz z matką szły willową ulicą, obydwie roześmiane, wesołe. Zatrzymały się przed pięknym parterowym budynkiem.

– Mój dom! – krzyknęła Rene. – Skąd to nagranie?

Patrzyła jak zaczarowana na ekran. Ukazało się wnętrze mieszkania. Obydwie kobiety, wyraźnie w najlepszej komitywie, piekły coś razem. Nagle drzwi się otworzyły i wszedł mężczyzna.

– Tata?! – znów krzyknęła.

Wtedy wszystko zgasło.

Lemner szybko chwyciła pilota i zaczęła wciskać klawisze, ale nie znalazła tego kanału. W końcu zrezygnowała. Usiadła na łóżku i spuściła głowę. Pojedyncze duże lzy ukazały się w kącikach jej oczu. Ile to już lat? Wszystko by teraz dała, żeby móc cofnąć czas, żeby od nowa być małym dzieckiem, żeby móc zobaczyć rodziców. Może gdyby żyli, jej życie potoczyłoby się zupełnie inaczej?

Lucio Russo wszedł na molo.

– Ładne – mruknął pod nosem.

Spojrzał na błyszczące w słońcu metalowe barierki i pokręcił z podziwem głową. To było niegłupie, barierki wykonane ze stali kwasoodpornej, więc były praktycznie wieczne. Nie potrzebowały corocznych pieszczot pędzla i nowych warstw wciąż luszczącej się farby.

Było chłodno, ale bądź co bądź dopiero co zaczął się marzec. Słońce już grzało mocno, lecz w cieniu czuło się lodowaty chłód od morza. Rozglądając się ciekawie wokoło, Lucio powoli zmierzał na koniec mola. Ostrożnie stawiał stopy na mokrych, a przez to śliskich, deskach, jednocześnie obserwując stada żerujących tuż przy brzegu ptaków. Jedne biegały po piasku, wyszukując wyrzucone przez morze kraby, inne próbowały złapać zdobycz bezpośrednio w wodzie. Mężczyzna przebrnął blisko sto metrów kładki nad uspokajającymi się po zimowych sztormach falami Morza Liguryjskiego i się zatrzymał. Tu molo się rozszerzało; duże koło z promieniście ułożonym drewnianym podestem wieńczyło konstrukcję. Lucio podszedł do najbliższej ławki i ręką strącił zebraną w zagłębieniach wodę. Usiadł i spojrzał w kierunku brzegu. Przed nim rozciągała się panorama Pietrasanty, przejrzyste powietrze pozwalało dojrzeć strzeliste wierzchołki pobliskich gór, jak i w dalszej odległości zarysy Porto Venere. Russo dobrze wiedział, na co patrzy. Na dworcu w Rzymie zaopatrzył się w przewodnik po Toskanii i Ligurii. W podróży, zamiast bezmyślnie wyglądać przez okno, zagłębił się w jego lekturze. Jeszcze tydzień temu, gdyby ktoś mu powiedział, że dziś tu będzie, nigdy by w to nie uwierzył. Los zakpił sobie z niego okrutnie, a może to on za długo los za nos wodził?

– Dzień dobry.

Spojrzał w kierunku głosu. Tuż przed nim stał nieduży chłopiec. Ubrany był w gruby, pikowany popielaty skafander, a jego głowę chroniła czerwona wełniana czapka. Lucio uśmiechnął się życzliwie.

– Dzień dobry – powtórzył chłopczyk. – Mogę tu usiąść? – spytał nieśmiało.

– Pewnie, siadaj.

Mężczyzna wskazał mu miejsce tuż przy sobie. W chwilę potem jednak zreflektował się i rozejrzał wokoło, ale molo było kompletnie puste.

– Tyle wolnych ławek, czemu przysiadłeś się do mnie? – zapytał lekko stropiony.

Mały uśmiechnął się bez słowa.

Siedzieli w milczeniu, obserwując fale wściekle rozbijające się o filary pomostu. Russo czuł bliskość małego, a jego myśli zamiast krążyć gdzieś wysoko w obłokach, zaczęły mu ciążyć coraz bardziej. Nagle odtrącił dziecko i raptownie wstał.

– Nie! – krzyknął i nie oglądając się za siebie, pobiegł w kierunku lądu. Nie słyszał stukotu swoich butów, nie słyszał rzeki, słyszał jedynie bicie swojego serca i czuł coraz silniejszy ucisk w piersi. Płuca nie wytrzymały tego tempa, on sam był cały mokry od potu. Musiał się zatrzymać, jego organizm raptownie powiedział stop, mimo że do końca mola było jeszcze tylko około dziesięciu metrów. Mężczyzna chwycił rękoma balustradę i stał, ciężko dysząc i z trudnością łapiąc powietrze. Wiatr rozwiewał na wszystkie strony jego ciemne włosy. Powoli Russo się uspokajał, a jego oddech i tętno wracały do normy. Teraz dopiero poczuł na dłoniach przenikliwe zimno od balustrady. Odwrócił głowę w stronę, z której przybiegł, ale nic nie mógł dojrzeć. Puścił barierkę, wyprostował się, cały czas bacznie obserwując molo, ale nie było na nim żywego ducha. Nawet z tej odległości widział ławkę, na której siedział, widział ją dokładnie. Spojrzał na inne, te też były puste.

– Gdzie ten chłopiec? Gdzie on się podział? – szeptał w popłochu. – Może to tylko jakiś zwid? Chyba wariuję.

Chwilę jeszcze rozglądał się badawczo, ale poza siedzącymi na barierkach rybitwami nikogo nie było. Wolnym krokiem, co chwila popatrując za siebie, ruszył w stronę brzegu.

Fryderyk Vogel jechał na starej, rozklekotanej damce w kierunku centrum miasta. Musiał poruszać się bardzo uważnie. Rower był zdezelowany, hamulec działał jedynie na przednim kole, a dobrze pamiętał z dzieciństwa, że używanie tylko tej blokady jest bardzo niebezpieczne. Do tej pory nad lewą brwią miał bliznę po jeździe pojazdem z podobną wadą. Był wtedy dziesięcioletnim brzdącem. Wziął po kryjomu rower ojca i pognał na boisko, gdzie umówił się z kolegami. Planowali mecz z chłopakami z pobliskiej wsi. Mieli im dokopać i owszem dokopali, ale bez udziału Fryderyka, bo on nie dotarł na miejsce. Kiedy zjeżdżał brukowaną uliczką, biegnącą przy kościele, nagle tuż przed nim z pobliskiego domu wyskoczył duży pies. Nie namyślając się wcale, Vogel raptownie przyhamował i wtedy przednie koło się zablokowało, a tylne uniosło wysoko, by w chwilę później przelecieć nad nim, ciągnąc za sobą rowerzystę. Chłopiec uderzył głową o bruk, rozbijając sobie łuk brwiowy i zalewając się krwią. To był bardzo bolesny upadek. Od tamtej pory Fryderyk, za każdym razem, gdy wsiadał na rower, sprawdzał hamulce. Dziś też, pomny swoich poprzednich doświadczeń, zaważał się przy wyborze pojazdu. Jednak w kołach pozostałych rowerów było za mało powietrza.

Centrum miasteczka wyglądało jak wymarłe – nieliczni przechodnie, przemykające ospale auta, knajpy pozamykane, w kilku budynkach remonty. Wjechał na viale Apua. Ulica pusta, mógł jechać tak chodnikiem, jak i jezdnią. Energicznie naciskał na pedały, rozkoszował się jazdą. To była jego pierwsza przejażdżka rowerowa od co najmniej trzydziestu lat, ale radził sobie świetnie, zgodnie z powiedzeniem, że umiejętności pływania i jazdy na rowerze nigdy się nie traci. Jeszcze przyspieszył, mocniej naciskając na pedały. Jedną rękę trzymał na kierownicy, drugą co chwila poprawiał kapelusz, walcząc z uporczywym wiatrem, który za wszelką cenę starał się go zedrzeć mu z głowy.

Minął wiadukt autostrady, potem lecznicę weterynaryjną i kiedy zbliżał się do kolejnej przecznicy, kątem oka uchwycił inwalidę na wózku na kolizyjnym kursie. Byli blisko siebie, bardzo blisko. Zobaczył potwornie wykrzywioną twarz kaleki, przerażenie w jego oczach. Nie namyślał się, nie było na to czasu. Odruchowo nacisnął z całej siły rączkę hamulca. Przednie koło z piskiem zatrzymało się w miejscu, zaś tylne wraz z rowerzystą uniosło pionowo, po czym mężczyzna niczym z katapulty wyleciał z siodełka i z impetem zwałił się na jezdnię.

Vogel był zamroczony. Silny ból rozsadał mu głowę, w ustach czuł smak krwi. Żyję, przemknęło mu przez myśl, nim ostrożnie otworzył oczy. Wciąż nie bardzo wiedział, co się przed chwilą wydarzyło. Z wolna zaczął dochodzić do siebie. Ruszył jedną ręką, później drugą. Były całe. Poruszył nogami, odniósł wrażenie, że i one są sprawne. Prawą dłonią przetarł twarz i dotknął bolącego łuku brwiowego. Natychmiast zorientował się, że jest rozcięty, i to w tym samym miejscu, co przed laty. Wtedy pod koła wpadł mu pies, teraz inwalida. Parszywy inwalida wyjechał z bocznej drogi i wymusił na nim pierwszeństwo.

Mężczyzna wsparł się rękoma, następnie powoli usiadł i zerknął na swoje ubranie. Tu i tam kurtka była rozdarta, gdzieniegdzie poplamiona krwią, nadawała się już tylko do wyrzucenia. Krew coraz silniej ciekła z rozcięcia, zaczęła zalewać mu oko, wyjął więc chusteczkę i przyłożył ją do rany. Rozejrzał się w poszukiwaniu okularów. Leżały tuż obok niego i o dziwo były całe. Przetarł skrajem rękawa szkła i założył je na nos. Teraz widział zdecydowanie lepiej.

A gdzie wózek?

Ulica była pusta, a po inwalidzie ani śladu. Sukinsyn najzwyczajniej zwał z miejsca zdarzenia.

Vogel ciężko dźwignął się z ziemi. Podeszedł do roweru i nachylił się nad nim. Wydawał się nieuszkodzony. Fryderyk postawił go i wtedy zobaczył, że kierownica jest trochę wykrzywiona. Z tym zaraz sobie poradził, i to bez większego trudu, po czym oparł pojazd o pobliskie drzewo i poszedł po leżący na środku ścieżki kapelusz.

Wyglądał nie lepiej od właściciela, był kompletnie zdeformowany. Dopiero mocne uderzenie od środka sprawiło, że nakrycie głowy zaczęło przypominać to, czym było przed wypadkiem.

Vogel ostrożnie wsiadł na damkę i ruszył. O ile wcześniej jego wyprawa miała charakter badawczy, o tyle teraz musiał znaleźć pilnie lekarza chętnego do zszycia rany. Tak oto w jednej chwili przyjemny relaks zamienił się w drogę przez mękę.

Stefano Bontate zajął do jednej z nielicznych kawiarni czynnych przed sezonem. Trochę się wcześniej natrudził, aż w końcu ją wytropił. Mieściła się w jednej z kamienic na starym rynku. Klientów można było policzyć na palcach jednej ręki. Nowy gość pobudził do życia kimającego przy barze kelnera, który jednak przyjął i zrealizował zamówienie, po czym znowu zapadł w sen.

Bontate siedział przy stoliku przy oknie i czytał kupionego wcześniej „Bilda”, popijając cappuccino. Zadzwoił telefon. Mężczyzna czujnie się rozejrzył, nie wolno mu było mieć telefonu, taką umowę zawarł z Trovatem. Ale od czego są umowy? Od tego, żeby je zrywać. Odłożył gazetę, wyjął aparat z kieszeni i spojrzał na wyświetlacz. Nic mu nie mówił ten numer. Aparat natarczywie dzwonił, a on wahał się, czy odebrać połączenie. Przechodzący obok kelner pokręcił głową z dezaprobatą. Co tak kręci głową? To nie jego rzecz, lepiej niech uważa. Telefon dalej dzwonił, strasznie upierdliwy ten ktoś. Oby to było coś ważnego.

Wcisnął klawisz z zieloną słuchawką i przytknął aparat do ucha.

– Tak?

– Witaj, Stefano. – Usłyszał nieznaną mu kobiecy głos.

– Kto mówi? Czy my się znamy? Skąd masz mój numer?

– Luiza, nie poznajesz? No tak, tyle lat minęło.

– Jaka Luiza? Nie znam żadnej Luizy. Chyba coś ściemniasz?

Nie cierpiał takich sytuacji. Ta kobieta najwyraźniej go знаła, ale on za nic nie mógł jej sobie przypomnieć. Kto jej dał jego numer? Tylko nieliczni go znali.

– Naprawdę mnie nie pamiętasz? Mówiłeś mi wtedy, że jestem miłością twojego życia – zakpiła.

– Nie, nie znam żadnej Luizy. To jakaś pomyłka – warknął, nie kryjąc irytacji. Jeszcze chwila i przerwie połączenie.

– Majorka dwadzieścia lat temu... Coś ci to mówi?

– Majorka?

Luiza? – zastanawiał się na szybko. Może to była Luiza, kto by to pamiętał. Tyle się ich przewinęło przez te lata.

– Przypomniało mi się – skłamał gładko.

– Wyjechałeś wtedy bez pożegnania. – W głosie kobiety wyczuł pretensję.

– Nie lubię pożegnań.

– Pośpieszyłeś się i nie zdążyłam powiedzieć ci czegoś ważnego.

– Nie szkodzi. – Zaśmiał się ironicznie. – Teraz to już nieistotne.

– Mylisz się, teraz to jest bardzo istotne.

– Co może być istotnego po dwudziestu latach? Nawet wspomnienie się zaciera – zauważył, wciąż starając się przypomnieć sobie jej wygląd.

Ciągle dzwoniły do niego jakieś byłe dziewczyny, robiły mu wymówki, chociaż nic żadnej nigdy nie obiecał, przywykł do tego. Jednak wyrzuty dotyczące przelotnego romansu sprzed dwudziestu lat to już duża przesada.

– Nasza córka.

Usłyszał te dwa słowa i nagle wszystko mu zawirowało przed oczyma. Nie miał dzieci, nigdy żadna kobieta nie próbowała go zrobić w dzieciaka z tego prostego powodu, że był po wazektomii. Nie chciał problemów, nie chciał wrzeszczących bachorów. Prowadził wygodne życie i tak było mu dobrze. Myślami cofnął się wiele lat i przypomniał sobie, że na zabieg poszedł po powrocie z Majorki, a zatem mógł być ojcem, oczywiście tylko teoretycznie.

– Czemu dopiero teraz chcesz mnie w to wmanewrować? Czego potrzebujesz? – zakpił.

– Przez te lata nie szukałam cię nawet, ale teraz sytuacja się skomplikowała. Zaraz wyślę ci ememesa z jej zdjęciem. Jest do ciebie bardzo podobna.

Poczuł, że ma wilgotną twarz, więc drugą ręką chwycił ze stolika serwetkę i otarł pot.

– Czego chcesz ode mnie? Pieniędzy? Jeśli pieniądze, to się spóźniłaś. Nie mam grosza przy duszy.

– Nie chcę od ciebie pieniędzy.

– To w takim razie czego? Chcesz założyć rodzinę? – kpił dalej.

– Potrzebuję nerki – padło naraz.

– Co proszę? Dobrze usłyszałam?

Czego jak czego, ale nerki jeszcze nikt od niego nie chciał. Nie jest dawcą organów, a w każdym razie jeszcze nie w tym momencie.

– Nerki. – Słowa kobiety co chwila przerywał głośny płacz. – Twoja córka potrzebuje nerki, a ja nie mogę być dawcą, więc zostałeś ty. Tylko ty możesz jej uratować życie.

– Co ty, kobieto, bredzisz?

– Jeśli matka nie może być dawcą, to pozostaje ojciec.

– Co mnie obchodzi twoja córka? – podniósł głos. – Skąd wzięłaś numer mojego telefonu?

– To nasza córka. Ona umiera! Czy to rozumiesz? Numer telefonu dał mi twój znajomy.

– Jaki znajomy, do cholery? Skąd znasz moich znajomych?

– Spotkałam go w szpitalu w Madrycie.

– Myślisz, że uwierzę w tę bajkę? – Zaśmiał się. Coś dziwnie wyglądała ta opowieść o córce. Była mocno naciągana.

– Powiedział mi, że mam ci przesłać od niego pozdrowienia.

– Kto to był?

– Nie wiem, nie przedstawił się. Mówił, że teraz tkwisz w jakimś przeklętym hotelu, czekasz na coś i przeklinasz dzień, w którym go poznałeś.

– Co takiego?

Aparat o mało mu nie wyleciał z dłoni.

– Przeinaczyłam coś? – spytała kobieta.

– Nie – odparł i wyłączywszy telefon, położył go na stoliku. Czuł drżenie ręki.

– Proszę pana – usłyszał jak przez mgłę głos kelnera – może coś podać?

– Tak, wódkę – wydusił z siebie z wysiłkiem.

Zerknął na leżący przed nim telefon. Nagle rozbłysnął wyświetlacz, przyszedł ememes.

Bontate zaczął wpatrywać się w aparat jak urzeczony. Kiedy kelner przyniósł kieliszek, jak automat chwycił go i opróżnił jednym haustem. Nawet się nie skrzywił.

– Jeszcze jeden.

Wciąż patrzył na telefon. Co go obchodzi jakaś tam dziewczyna z Majorki? Co z tego, że jej córka jest chora? Mało to chorych ludzi na świecie? Sam jest chory, wprawdzie niegroźnie, ale jest. Córka? No i co z tego? Gdyby nie podwiązał sobie nasieniowodów, miałby ich na pęczki, na pęczki miałby kłopotów, płacenia alimentów i telefonów od niemogących sobie poradzić z córkami matek. Zobaczyć czy nie? W gruncie rzeczy to nic nie kosztuje. Chociażby ze zwykłej ludzkiej ciekawości.

Powoli wyciągnął rękę po aparat. Nagle ktoś chwycił go za dłoń. Przy stoliku stał Gabriel Trovato, ubrany w długi czarny płaszcz. Bezceremonialnie rozsiadł się na sąsiednim krześle.

– Telefon? – spytał lodowatym głosem. – To przecież niezgodne z umową.

– Zapomniałem – wydukał zmieszany Stefano. Był wściekły, że tamten go nakrył niczym belfer uczniaka na paleniu papierosów w szkolnej ubikacji.

– Niedobrze. – Gabriel skrzywił się, jakby wypił szklankę octu. – Sprawiasz problemy, i to od samego początku. Wiesz, czym to grozi?

– Wiem, przepraszam – bąknął, ale widać było, że przyszło mu to z wielkim trudem.

Trovato wziął aparat i zamierzał schować go do kieszeni.

– Poczekaj! – Bontate chwycił go za ramię.

– Tak? – Zdziwiony Gabriel podniósł brwi. – O co chodzi?

– Pozwól mi zobaczyć tego ememesa.

– Żarty sobie stroisz? – zachnął się. – Dlaczego mam ci na to pozwolić? Zerwałeś umowę, więc ciesz się, jeśli nie wypadniesz z gry.

– Sam dałeś jej numer mojego telefonu – Stefano podniósł głos – a teraz się nie zgadzasz?

– Owszem. To miało miejsce trzy miesiące temu. Przez trzy miesiące ta kobieta wzdragała się przed zadzwonieniem do drania będącego ojcem jej córki. Przez trzy długie miesiące szukała innego rozwiązania.

Stefano zbladł i puścił ramię Gabriela. Zaraz jednak ponownie je chwycił.

– Proszę – szepnął. – Daj mi spojrzeć na to zdjęcie. To moja jedyna prośba.

– A co, przyływ ojcowskich uczuć? Niemożliwe, tatusiek się w tobie obudził. – Trovato zaśmiał się ironicznie, po czym oddał mu telefon.

Bontate chwycił go kurczowo i spojrzał w ekran.

– Nie wiem, czy jest podobna do mnie, raczej do mojej mamy, i to bardzo. Te same oczy.

W tym momencie Trovato bezceremonialnie wyrwał mu aparat z dłoni i tym razem schował go do kieszeni.

– To dla twojego dobra, bo wzruszenie może cię zabić przedwcześnie – zakpił.

Bontate nic nie odpowiedział, ale jego wzrok mówił wszystko. Gdyby mógł, toby go wgniółł butem w ziemię jak nędznego robaka.

Tamten szyderczo zaśmiał mu się w twarz i nachylił w jego stronę.

– Marzenia świętej głowy – rzucił, po czym wstał i bez słowa pożegnania wyszedł z lokalu.

Bontate wypił następną wódkę. Wciąż miał przed oczami zdjęcie uśmiechniętej ładnej dziewczyny, bardzo przypominającej jego matkę. Nie mógł się jej wyprzeć, to na pewno była jego córka. Nie wiedział, czy to, co czuje w tej chwili, to typowe ojcowskie uczucie, bo i skąd mógł to wiedzieć? Jego koledzy, owszem, mieli dzieci, ale znając jego nastawienie do bachorów, nigdy o nich przy nim nie rozmawiali.

Stary cmentarz w Pietrasancie był prawdziwym przewodnikiem po historii miasta. Tu, na placu ogrodzonym starym ceglany murem, wśród potężnych starych platanów i jałowców spoczywało wiele pokoleń jego mieszkańców. Na teren nekropolii wchodziło się przez piękną, choć już mocno zniszczoną kutą bramę, umocowaną na dwóch solidnych filarach. Kiedyś była propozycja, żeby połączyć je kamiennym łukiem, przypominającym słynne rzymskie łuki triumfalne. Wprawdzie trudno było nazwać triumfem przekraczanie cmentarnych bram, chyba że triumfem śmierci nad życiem, ale taka była inwencja twórcza pewnego architekta.

Na szczęście pomysł nie spotkał się z uznaniem władz kościelnych i upadł.

Veronika stała przy dużej płycie wykonanej z różowego marmuru. W rękę trzymała małą wiązanekę czerwonych róż. Zawahała się chwilę, jakby nie wiedziała, gdzie ją położyć.

– Najlepiej przy tablicy – usłyszała zza pleców. Mocno wystraszona, raptownie się odwróciła. Przed nią stał uśmiechnięty Gabriel.

Tym razem nie elegancki, ale na sportowo, w grubej pikowanej kurtce, wytartych dżinsach i sportowych butach.

– Co pan tu robi? – spytała zdziwiona.

– Też mam tu kilka grobów do odwiedzenia – odrzekł.

– Pan? – Nie kryła zdumienia. – Naprawdę? Pan chyba nie jest z Pietrasanty?

– Zgadza się, ale na tym cmentarzu leży wielu moich znajomych, nawet nie wiem, gdzie są niektóre groby. Stare podupadły, a nowych wciąż przybywa, i to w zastraszającym tempie. Nekropolia się rozrasta i łatwo się zgubić w tym labiryncie mogił.

– Nie pamięta pan położenia grobów?

– Nieczęsto uczestniczę w ostatnim pożegnaniu.

– Nie lubi pan pogrzebów?

– A kto je lubi? Ale nie w tym rzecz, często podróżuję, rzadko jestem w Pietrasancie.

– Niech pan poda jakieś nazwiska, może ja ich znalazł? To nie jest duże miasto, moja rodzina mieszka tu od wielu lat. Dziwne, że pana nie spotkałam do tej pory.

Spoglądała na Gabriela z zainteresowaniem, dziś jej nie przerażał, był normalnym i do tego niezwykle interesującym mężczyzną.

– Nie sądzę. To są bardzo stare dzieje. Dawno już odeszli.

– Oj, chyba pan przesadza. Nie jest pan dużo ode mnie starszy.

– Pozory mogą mylić. Ale mówmy sobie po imieniu, tak będzie łatwiej.

Gabriel odszedł kilka kroków i zaczął półgłosem czytać napisy na tablicach nagrobnych. Powoli się oddalał. Veronika położyła kwiaty na grobie matki i podążyła za nim. Zatrzymał się przy starym, zapuszczonym grobowcu. Popękana szara betonowa płyta z krawędziami obrośniętymi dziką roślinnością w jednym rogu niebezpiecznie wisiała w powietrzu. Podtrzymujący ją mur dawno już skruszał. Mężczyzna schylił się, ostrożnie rozsunął gęste bluszcze wijące się na płycie, co pozwoliło dojrzeć tablicę nagrobną. Wprawdzie litery były mocno wyblakłe, jednak przy odrobinie chęci można było je odczytać.

Maria Fabrisii.

– Bardzo stara mogiła – szepnęła dziewczyna.

– Tak. Umarła w latach dwudziestych dwudziestego wieku. Wychowała piątkę dzieci, te dzieci wychowały dwadzieścioro swoich dzieci, te z kolei następny tabun potomków i tak dalej. Jak myślisz, ile ich jest teraz? Ilu krewnych Marii Fabrisii chodzi teraz po świecie?

Odwrócił się w kierunku Veroniki, ich wzrok się spotkał. Dziewczyna się zarumieniła.

– Nie wiem. Pewnie mnóstwo – bąknęła.

– Otóż to. – Zaśmiał się jakoś smutno. – I zobacz, jak mimo to wygląda ten grób? Gdyby nie ona, gdyby nie Maria, ich by nie było na świecie.

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałam – przyznała cichym głosem.

Żle go oceniła. Dotąd uważała go za zimnego, twardego mężczyznę, a okazało się, że ma w sobie wrażliwość.

– Ja za często myślę o takich rzeczach – rzekł tajemniczo, raczej do siebie niż do Veroniki, ale dziewczyna usłyszała jego słowa.

– Czemu patrzysz w przeszłość, raczej powinniśmy spoglądać w przyszłość. Jesteśmy młodzi. Tak zawsze powiada mój tata.

– Bez przeszłości nie będzie przyszłości, choć nieraz ta pierwsza bywa straszna – odpowiedział.

Ostrożnie usuwał pnącze z płyty nagrobnej, jego ręce zgrabnie odrywały łodygi. Wreszcie skończył. Wyprostował się, otrząpął dłonie z ziemi i resztek roślin.

– Była piękna, prawie tak jak ty – stwierdził.

– Skąd wiesz, jaka była? Jesteś jednym z jej krewnych? A może jednym z tych bachorów? – Nutka ironii zabrzmiała w jej głosie.

– Nie jestem z nią spokrewniony, ale jest mi bliska. To bardzo skomplikowane, nie zrozumiesz tego.

– A może? Spróbuj mi to wytłumaczyć.

– Nie, w każdym razie nie dziś. Zmień temat, proszę.

I znów ich spojrzenia się spotkały, Veronika poczuła, że znowu się rumieni.

– Masz tu może listy? – spytał niespodziewanie.

– Mam. Noszę je przy sobie.

Sięgnęła do dużej skórzanej torby i zaczęła nerwowo przeszukiwać jej zawartość. Wreszcie znalazła.

Gabriel wyciągnął rękę w jej kierunku i po chwili trzymał pięć niedużych kopert.

– Nie są podpisane – zauważyła.

Zaśmiał się.

– Wiem, ale to nie jest ważne. Nie zamierzam tego czytać. Nie są warte mojego zainteresowania.

– Nie zamierzasz ich przeczytać? Dlaczego? Nie jesteś ciekawy?

– Nie, bo znam ich treść.

Była coraz bardziej zdumiona. Spoglądała na mężczyznę i starała się go rozgryźć. Już myślała, że jej się to udało, ale teraz ponownie czuła, że stoi na początku drogi, że wróciła dokładnie do punktu wyjścia. Znała pytanie z listu i mimo że nie wiedziała, o co w tym wszystkim chodzi, jego forma brzmiała nader poważnie.

– Chodź! – Gabriel chwycił ją za rękę i pociągnął za sobą. Zaskoczona, nie protestowała.

Przeciskali się między grobami, od razu było widać, że mężczyzna zna bardzo dobrze cmentarz. Mijali miejsca spoczynku notabli miasta, ich rodzin, księży, artystów i zwykłych obywateli. On zmierzał wyraźnie do konkretnego grobu. Nie oglądał się za siebie, tylko trzymał Veronikę w silnym uścisku i cały czas ciągnął za sobą. Nie nadążała za nim, co chwila się potykała. Kilka razy zachwiała się, ale wtedy mocniej ją przytrzymał i łapała równowagę.

Zatrzymał się przy skromnej mogile w samym końcu nekropolii, nieopodal zmurszałego ceglanego muru. To był stary, do połowy zapadnięty w ziemię grób. Tuż obok niego leżała sterta gnijących gałęzi i nie mniejsza od niej przyzma śmieci.

Stara, brudna betonowa obmurówka była przykryta popękaną granitową płytą, na której stały dwa dawno wypalone znicze. To był zapomniany, zapuszczony grobowiec. Nikt go nie odwiedzał, nikt nie zgarniał liści z płyty, nikt nie usunął wypalonych zniczy.

Veronika patrzyła zdumiona na przemian na grób i na Gabriela, który tak jak przy wcześniejszym nagrobku z wielkim zaangażowaniem zaczął porządkować płytę.

– Kto tu leży? – odezwała się po dłuższej chwili, ale on jakby nie usłyszał. Energicznie wydrapywał znalezionym tuż obok kijkiem mech ze szczelin i rzucał go na stertę śmieci.

– Kto tu jest pochowany? – spytała ponownie.

Przerwał pracę, spojrzał na nią. Wyraźnie nie rozumiał pytania.

– Kto tu leży? – powtórzyła.

Wyprostował się i podszedł do niej, cały czas uważnie ją obserwując. Nachylił się do jej ucha.

– Nie wiesz?

– Nie, skąd mam wiedzieć? Pierwszy raz widzę ten grób – odburknęła podenerwowana. Nie lubiła zagadek, a zorientowała się, że jej towarzysz z nimi przepada i sam jest wielką zagadką.

– Twój dziadek.

Veronika zbladła, spojrzała na Gabriela. Coś ją ścisnęło w gardle.

– Niemożliwe! To nieprawda! – krzyknęła.

Nic nie odpowiedział, tylko niedwuznacznie skinął głową.

Patrzyła na grobowiec. Przykucnęła, szukając jakichś napisów, ale nic nie zauważyła. Ta mogiła była bezimienna.

– Przecież dziadek leży razem z babcią – szepnęła bezradnie.

Trovato jednak to usłyszał.

– Tak ci powiedzieli? Ojciec tak ci powiedział?

Potwierdziła gestem.

– To nieprawda, twój dziadek tu został pochowany. To jest kwatery samobójców. Obok niego w sąsiedniej mogile leży młeczkarz Roletto, który rzucił się pod powóz, a w tamtym grobie... – wskazał palcem mogiłę trzy metry dalej – Selena, żona kapitana artylerii, ta, która się otruliła.

– Mój dziadek nie był samobójcą.

– Powiadasz, że nie był? Może i nie był. – Gabriel uśmiechnął się dziwnie.

Veronice mocniej zabiło serce, czuła, że mężczyzna kłamie.

Jego wiedza zaczynała ją przerażać, w żaden sposób nie pasowała do jego młodego wieku.

– Skąd ty to wszystko wiesz? Skąd znasz przeszłość mojej rodziny lepiej niż ja?

– Skąd wiem? – Zaśmiał się. – Wystarczy pogrzebać w miejscowych kronikach, w dokumentacji cementarza i w księgach parafialnych.

– Ale czemu tam grzebiez? Co w tym jest interesującego? Czemu tropisz akurat moją rodzinę?

Wbiła w niego natarczywe spojrzenie i czekała na odpowiedź. Chciała widzieć jego twarz, chciała wiedzieć, czy powie jej prawdę, czy też wymyśli jakieś zgrabne kłamstwo.

Gabrielowi nawet nie drgnęła powieka. Uśmiechnął się ugodowo.

– Nie tropię twojej rodziny, ja tylko interesuję się historią tego miasteczka. – Jego głos nabral miękkości.

– Czemu? Co ciekawego jest w Pietrasancie? – Nie dawała się zbyć.

– Nie wiesz? – zdziwił się. – To tu Michał Anioł osobiście wybierał bloki marmuru na swoje rzeźby.

– O tym wie każde dziecko. Nie wykręcaj się. Powiedz mi, skąd wiesz tyle o moim dziadku. Ty wiesz więcej niż ja, a to nie jest w porządku.

– O, nie – obruszył się. – To, że wiesz mniej niż ja, to tylko wina twoich rodziców. Powinni byli ci powiedzieć o dziadku.

– To czemu nie powiedzieli? Czemu po tylu latach od jego śmierci zjawiasz się w moim domu i niby przypadkiem, tak od niechcienia rzucasz informacjami, które okazują się najściślejszymi tajemnicami mojej rodziny? Teraz mimochodem mówisz mi, że dziadek był samobójcą. Aż boję się wrócić do domu i spytać o to ojca. To nie był przypadek, to wszystko było ukartowane. Czego chcesz od mojej rodziny? Czym ci się naraziliśmy?

Gabriel wysłuchał jej w milczeniu. Był bardzo spokojny, nie denerwował się, a nawet życzliwie uśmiechał. To jednak jeszcze bardziej dziewczynę rozsierdziło.

– Kim jesteś? Dlaczego burzysz spokój mojej rodziny? Mów!

– Spokojnie.

Chciał chwycić ją za rękę, ale ją wyrwała.

– Chciałem dać ci zarobić, chciałem ci pomóc. Wiedziałem, że masz kłopoty finansowe, i postanowiłem przyjść ci z pomocą.

– Dlaczego akurat mnie? Tu jest pełno podupadających pensjonatów. Nie jestem wyjątkowa.

– Mylisz się, a ten hotel jest wart wszelkich pieniędzy. Kiedyś poznasz prawdę, obiecuję ci. Nie mam złych zamiarów w stosunku do nikogo z twojej rodziny, daję ci na to słowo.

– A te dziwolągi, których teraz goszczę? Co knujesz z nimi lub, co gorsza, przeciwko nim?

– Przeciwno nim? – zdziwił się. – Oni przyjechali tu z własnej woli i dobrze wiedzą, czego mogą się spodziewać.

Veronika raptownie się do niego zbliżyła, ale Trovato nawet nie drgnął.

– Kim oni są? – szepnęła. – Mów!

– Oni? Tak jak powiedziałaś, są dziwolągami i nawet nie wiesz jak wielkimi.

– Dlaczego tu przyjechali?

Nie dawała za wygraną, nie da się zbyć byle czym. Chciała wyciągnąć z niego jak najwięcej.

– Stop! – Gabriel raptownie podniósł rękę. – Plącę ci dużo ponad zwyczajną stawkę, żeby nie było pytań, więc nie łam warunków umowy. Już i tak na dużo ci pozwoliłem.

Zorientowała się, że się zagalopowała.

Była wściekła, ale nie powiedziała nic więcej. Bez słowa odwróciła się i pobiegła w stronę wyjścia.

Gabriel spoglądał za nią, aż zniknęła mu z pola widzenia, po czym schylił się i ponownie zabrał do czyszczenia mogiły. Po kilku minutach skończył, wyciągnął z kieszeni znicz, postawił go na płycie grobowca i zapalił. Pojawił się mały delikatny płomyk. Wydawało się, że za chwilę zdmuchnie go mocniejszy powiew wiatru.

– Nie dam mu zgasnąć, ale tylko ze względu na twoją wnuczkę. Ty nie byłeś wart nawet tej marnej świecy.

Trovato wydobyl z kieszeni pięć małych kopert, a z nich starannie złożone kartki. Tak jak wcześniej powiedział Veronice, nie zamierzał zapoznawać się z ich treścią. Z każdej zrobił mały rulonik, który zbliżał do płomienia. W ten sposób podsycał gasnący ognek. Kiedy kartki się skończyły, to samo uczynił z kopertami. Patrzył na ogień i uśmiechał się smutno.

Veronika dotarła do bramy cmentarnej. Dyskretnie obejrzała się za siebie, była sama. Poczula zawód. Tak jak wcześniej Gabriel wyrósł jakby spod ziemi, tak teraz jakby się pod nią zapadł. Dziewczyna podszła do plotu i odwiązała rower.

Słońce grzało mocno mimo wczesnej pory roku. Prognozy zapowiadały bardzo ciepły tydzień. Temperatury miały osiągnąć nawet dwadzieścia kilka stopni, pogoda zupełnie zwariowała. Franciszek zamiatał teren wokół hotelu, a śmieci zbierał do wielkiego foliowego worka. Kiedy skończył, odstawił szczotkę i zaczął rozstawiać meble ogrodowe. Były już stare, pamiętały początki hotelu, drewno na siedziskach szerniało od ostrego i wilgotnego powietrza, żeliwne stelaże pokrył meszek rdzy. Kucharz przetrął foteliki z zimowego kurzu, na stolikach ustawił lampiony z ukrytymi w nich małymi świeczkami, a na koniec wyjął z koszyka ciężkie szklane popielniczki. W tym momencie nadjechała Veronika. Prawie w biegu zeskoczyła z roweru, oparła go o mur. Była bardzo wzburzona.

– Co się stało? – zapytał kucharz.

– Pytasz, co się stało?! – Veronika nie panowała nad głosem. – Wszyscy jesteście kłamcami! Ty, ojciec, wszyscy!

– Powiedz spokojnie, co masz na myśli.

Stała może z pół metra przed nim. Patrzyła mu prosto w oczy.

– Gdzie jest pochowany mój dziadek? – wycedziła przez zaciśnięte zęby.

– Jak to gdzie? Na cmentarzu w Pietrasancie – odparł cicho, ale głos mu delikatnie zdrzał.

– Ale gdzie? W którym grobie leży mój dziadek? Konkretnie? – nie ustępowała. – Czemu obydwaj z ojcem wciąż kręcicie, oszukujecie mnie? Czemu nie powiedzieliście, że odebrał sobie życie? O co tu chodzi?

Franciszek nic na to nie rzekł, podszedł do najbliższego stolika, następnie usiadł przy nim i wyciągnął z kieszeni fajkę. Zaczął ją napępiać tytoniem z małego płóciennego woreczka. Veronika w napięciu mu się przypatrywała. Poczekala, aż skończy, potem zajęła sąsiednie krzesło. Siedzieli w milczeniu. On co chwila puszczał kłęby aromatycznego dymu, ona patrzyła gdzieś w dal nic niewidzącym wzrokiem. Starala się tego nie okazywać, ale była bardzo spięta. Znała Franciszka dobrze, wiedziała, że w końcu się odezwie.

– Samobójstwo nie jest chlubnym rodzajem śmierci – zaczął po dłuższej chwili. – Twój dziadek, jak już wiesz, targnął się na swoje życie, a wtedy tych, co to czynili, chowano pod cmentarnym płotem i tam też pogrzebano twojego dziadka. To jest cała historia.

– Czemu ja o tym nic nie wiedziałam? Czemu to ukryliście?

– Co by to dało? Twoi rodzice chcieli zaoszczędzić wam przykrych przeżyć i dlatego mówili, że dziadek leży razem z babcią. I tak mieliście dość trudne dzieciństwo.

– Skąd ten Trovato wie o tym? Czemu obcy człowiek więcej wie ode mnie?

– Widziałaś się z nim?

– Tak, był na cmentarzu i zaprowadził mnie jak po sznurku do grobu dziadka. Był zdziwiony moją niewiedzą.

Kucharz wyraźnie się zatroskał. Nerwowo wypuszczał kłęby dymu, wreszcie odłożył fajkę na popielniczkę.

– Nie wiem, najpewniej ktoś mu to powiedział. Cały czas wydaje mi się, że on pracuje na czyjś zlecenie. On nie może pamiętać tych czasów, ale jeśli pochodzi stąd, może jego rodzice opowiedzieli mu tę historię? Musimy go sprawdzić. Mam telefon do tego policjanta i dziś jeszcze do niego zadzwonię.

– Jak go sprawdzisz? – rzekła z rezygnacją. – Może was trzeba sprawdzić?

Franciszek zmierzył Veronikę czujnym spojrzeniem.

– Żartujesz?

– Na dobrą sprawę to wy mnie oszukaliście, nie on. On, jak widzę, cały czas mówi prawdę. – Ciężko wstała z krzesła. – Nie sprawdzaj go. Nie chcę tego – rzuciła na odchodne, podeszła do roweru i wolno poprowadziła go w stronę starej drewni na drugim końcu ogrodu.

Franciszek zgasił fajkę, postukał cybuchem w rant popielniczki, opróżniając go z resztek żaru. Następnie schował ją do tylnej kieszeni spodni, podniósł się z siedziska i raźnie, jak na swój wiek i tuszę, podszedł do stojącego nieopodal plastikowego worka ze śmieciami.

– Przepraszam pana! – usłyszał.

Kilka kroków od niego stał gość z pokoju numer trzynastie, Stefano Bontate, i dziwnie się uśmiechał.

– Tak? Słucham pana.

Franciszek wbił pytające spojrzenie w mężczyznę. Tamten podrapał się jakoś śmiesznie po głowie.

– Ma pan dzieci?

– Dzieci?

Patrzył na gościa, nie rozumiejąc pytania. Bontate to zauważył.

– Czy ma pan córkę?

– Nie, niestety, Bóg nie dał nam potomstwa. Czemu pan mnie o to pyta?

– Nie, to nieważne. – Gość machnął ręką i poszedł w kierunku hotelu.

Veronikę nie wiedzieć czemu przestraszyło to, że Bernardo siedział w fotelu nieruchomo. Miał na sobie czerwony wełniany sweter, który kupiła mu na urodziny bodajże dwa lata temu.

Jak ten czas leci, pomyślała, przecież jeszcze niedawno był taki młody, razem jeździli na wycieczki rowerowe, grali w tenisa. Teraz praktycznie nie opuszczał domku, był przygaszony, żył w jakimś swoim wyizolowanym świecie.

Podeszła do niego ostrożnie, dopiero wtedy usłyszała, że oddycha. Nachyliła się nad śpiącym ojcem. Patrzyła na jego starą, pomarszczoną twarz.

– Tata? – szepnęła.

Musiał spać bardzo czujnie. Natychmiast uniósł powieki i zaczął się rozglądać.

– Co się stało? – spytał wystraszony, ale widząc córkę, od razu się uspokoił.

– Przestraszyłaś mnie – rzekł z wyrzutem. – Choć dobrze, że mnie zbudziłaś, bo śniły mi się jakieś koszmary.

– Tobie śnią się koszmary, a ja ich doznaję w życiu codziennym! – krzyknęła.

Bernardo spojrzał na nią zdziwiony. Veronika nigdy na niego nie podnosiła głosu.

– Co się stało? Czemu na mnie krzyczysz, córeczko?

Usiadła na stołeczku naprzeciw niego, tak żeby móc patrzeć mu prosto w oczy, i chwilę odczekała.

– Byłam dziś na cmentarzu – zaczęła.

– To świetnie, odwiedziłaś grób mamy? Zapaliłaś znicze?

– Tak. – Skinęła głową, ani na moment nie spuszczać wzroku z ojca. – Byłam też przy grobie dziadka.

– I babci – dokończył.

– Nie, byłam przy grobie samego dziadka, przy tej mogile pod cmentarnym murem, przy tym zapomnianym przez wszystkich grobowcu.

Ojciec zbladł, jego dłonie silnie zacisnęły się na poręczach fotela. Siedział i patrzył na nią bez słowa. Minuty upływały, ale on dalej milczał jak zakłęty. Tego się nie spodziewała. Myślała, że będzie kręcił, opowiadał jakieś bajki.

– Czemu nic nie mówisz? – odezwała się w końcu. – Zaschło ci w gardle? Podać ci wody? – zadrwiła.

– Co mam mówić? Przecież już wiesz. Kto ci to powiedział? Franciszek?

– Nie. Franciszek nic nie powie bez uzgodnienia z tobą. Prędkiej by dał sobie rękę uciąć.

– To kto? Prawie nikt o tym nie wie.

– Gabriel Trovato.

– Nie znam nikogo takiego, kim on jest?

– Tym samym, który mi wtedy opowiedział pierwszą historię o dziadku – wycodziła przez zaciśnięte zęby. – Obcy człowiek zdradza mi szczegóły z życia mojej rodziny, zaś rodzony ojciec wszystko przede mną ukrywa. Ale dlaczego? Dlaczego ukryliście przede mną prawdę? Dziadek nie był pierwszym i nie ostatnim samobójcą na tym świecie. Zdarza się, że ludzie odbierają sobie życie. Czemu zrobiliście z tego faktu, jak i z jego pochówku, taką tajemnicę? Co jeszcze ukrywacie? Czego jeszcze dowiem się od tego mężczyzny?! – wykrzyczała.

Trzęsła się ze zdenerwowania, emocje sięgnęły zenitu, nagle poderwała się ze stołeczka i nie patrząc na ojca, wybiegła z mieszkania, w progu potrącając wchodzącego Franciszka. Nie przeprosiła go, nawet na niego nie spojrzała.

Kucharz chwilę spoglądał za nią, po czym zamknął drzwi.

Bernardo akurat przypalał papierosa, a widząc gościa, ręką wskazał mu fotel.

Franciszek usiadł, powoli napelnił fajkę i ją zapalił, cały czas dyskretnie zerkając na przyjaciela.

– Przestań mnie obserwować jak jakiegoś zbrodniarza – warknął gospodarz. – Wystarczy mi, że moja własna córka zaczyna tracić do mnie zaufanie. Przecież nic takiego nie zrobiłem. To nie moja wina, że ojciec się powiesił. Nie uczynił tego przeze mnie.

– Nikt ciebie nie wini, ale chyba musisz powiedzieć jej całą prawdę.

– Całą prawdę? Chyba żartujesz? Nawet nie wiesz, co to znaczy. Nie masz pojęcia, jak wygląda cała prawda! Sam jej nie poznałem do końca. To, co wiem, to tylko fragmenty, kawałki historii, a i tak mogą każdego porazić.

– Cieszę się, że nie wiem, bo sądząc po twoim zachowaniu, to musi być ciężki balast.

– Masz rację. Powiem ci tylko, że możesz się czuć szczęśliwy.

Franciszek wypuścił z ust kłęby dymu. Wiedział, że w tej rodzinie jest jakaś tajemnica, tak straszna, że nawet on, wieloletni przyjaciel, nigdy jej nie poznał. Bał się o starego druha, jego serce nie było już w najlepszym stanie, a takie stresy na pewno mu nie służyły.

– Chyba jednak musisz opowiedzieć wszystko Veronice. Wydaje mi się, że nie masz wyjścia. Inaczej ktoś inny cię ubiegnie. Wtedy będzie gorzej.

– Nie chcę. Nie chcę jej tym obarczać. – Bernardo schował głowę w dłoniach. – Cały czas myślałem, że ten koszmar skończy się wraz z moją śmiercią. Chciałem to wszystko zabrać ze sobą do grobu, ale widzę, że pojawił się ktoś, kto krąży jak zły duch wokół mojej rodziny. On wie, on zna prawdę.

– Ten Trovato?

– Tak, ale on jest za młody, żeby to pamiętać. Ktoś musiał mu to opowiedzieć, może jego ojciec?

– Możliwe.

Zamilkli, siedzieli pochłonięci własnymi myślami i tylko co chwila jeden lub drugi wypuszczał kłęby tytoniowego dymu.

Bernardo skończył papierosa i natychmiast sięgnął po następnego.

– Nie za dużo? – Franciszek natychmiast zareagował, ale tamten tylko machnął ręką i przypalił.

– Kim naprawdę jest ten człowiek? – Oliveto odezwał się po dłuższym milczeniu.

Kucharz tylko rozłożył ręce.

– Nie wiem. Chciałem go sprawdzić, ale Veronika mi zakazała.

– Uczyni to. Nie słuchaj jej, musimy ją chronić. Sprawdź tego przekłętą Trovata.

– Postaram się, ale nie wiem, czy coś ustalę. Może posługuje się fałszywym nazwiskiem?

– Ale przelew przysłał? Zgadza się?

– Tak.

– No widzisz, to jest punkt zaczepienia.

Kucharz skrzywił się, jakby najadł się cytryn.

– Nie byłbym tego tak pewny. Mógł przecież założyć konto na fałszywe nazwisko. Takie rzeczy też się zdarzają. Wciąż słyszę o tym w telewizji.

– To zdobądź jego odciski palców. Postaraj się jakoś o nie.

– Ale jak? Masz jakiś pomysł? – Franciszek zdziwiony spojrzął na Bernarda. Przecież jest tylko kucharzem, a nie policjantem. Zresztą nawet i policjant byłby bezradny, ten człowiek niczego nie dotykał w hotelu, nic nie pił, cały czas miał na dłoniach rękawiczki.

– Nie wiem. Może nadarzy się jakaś okazja. Bądź czujny.

– Jestem czujny. Mam oczy szeroko otwarte. Nie dam skrzywdzić naszej dziewczyny.

Franciszek nachylił się nad popielniczką i delikatnie popukał cybuchem o jej rant. Resztki tytoniu wypadły z fajki, którą zaraz potem schował do kieszeni.

– Muszę już iść do kuchni.

Bernardo tylko skinął głową w milczeniu.

Już w progu kucharz się zatrzymał.

– Mam nadzieję, że jesteś czysty w całej tej sprawie? Nie masz brudnych rąk?

Gospodarz nerwowo zgasił papierosa i zerknął na Franciszka.

– Skąd to pytanie?

- Jako twój przyjaciel mam chyba prawo to wiedzieć? – odparł kucharz.
- Owszem, masz prawo. Nie popełniłem żadnego przestępstwa, no może oprócz przejścia przez jezdnię nie na pasach. Wystarczy? Jesteś zadowolony?
- Tak, dziękuję.

Bernardo długo siedział nieruchomo ze zgaszonym petem w dłoni i patrzył w jakiś punkt na ścianie.

– To nie było zabronione, nie było zabronione... – szepnął. Nagle wstał i podszedł do sztalug. Zerknął na kobietę z portretu.

– Nie patrz tak na mnie! Przecież nie popełniłem przestępstwa. Wtedy nic nie wiedziałem o ojcu. Gdybym wiedział...

Veronika napuściła sobie wody do wanny. Sprawdziła ręką, czy temperatura jest odpowiednia. Uchyliła szerzej drzwi do pokoju, żeby lepiej słyszeć muzykę, zrzuciła szlafrok i weszła do wanny. Zanurzyła się aż po szyję. Leżała wpatrzona w sufit, ale zamiast się relaksować, cały czas intensywnie myślała.

Dzisiejszy dzień kosztował ją mnóstwo nerwów. Niespodziewane spotkanie na cmentarzu, nowo odkryty grób dziadka, dziwne zachowanie ojca. Jakie jeszcze tajemnice przed nią skrywa? Czemu to robi? Miała zawsze odczucie, że relacje między nimi są idealne, często rozmawiali ze sobą o różnych problemach, nieraz bardzo osobistych. Zwierzała mu się z pierwszych miłości, radziła się w wielu sprawach, a on opowiadał o swojej pierwszej dziewczynie, jak poznał mamę i mnóstwo ciekawych rzeczy o rodzinie. Nieraz były to sprawy wstydlive, nieraz co najmniej dziwne. Nie mieli przed sobą tajemnic, tak w każdym razie dotąd myślała. Teraz poznawała swojego ojca od nowa, odkrywała, że jednak miał swoje sekrety, o których nie chciał, żeby wiedziała. Czemu ukrył tyle faktów z życia rodziny? Co jeszcze wyjdzie na jaw? Przeczuciwała, że ojciec skrywa coś jeszcze, że gdzieś czai się coś strasznego, coś, czego należy się naprawdę bać.

Zadzwoił telefon. Wynurzyła się z wody i sięgnęła po komórkę.

– Słucham.

– Dobry wieczór – powiedział znajomy głos, a dziwny dreszcz przeszedł przez jej ciało. Od razu poznała, to Gabriel. – Przepraszam, że przeszkadzam w kąpielu...

Była kompletnie zaskoczona.

– Skąd wiesz, że się kąpię? – przerwała mu.

– Słyszę plusk wody. Dzwonię, bo mam do ciebie prośbę.

– Tak, słucham?

– Jutro zgłosi się do ciebie pewna dziewczyna, Murzynka. Chciałbym, żebyś ją zatrudniła jako kelnerkę.

– Ale ja nie potrzebuję kelnerki.

– Wiem, ale bardzo mi na tym zależy. To jest biedna dziewczyna i chcę jej pomóc. Wynagrodzę ci ten kłopot. Zwrócę jej pensję i jeszcze premię dołożę. Chcę, żeby obsługiwała gości, a kiedy oni wyjadą, to i ona odejdzie. Zgoda?

– No, nie wiem... – zawahała się.

– Oj, nie daj się tyle prosić, to dla mnie ważne.

Mógł jej narzucić tę kelnerkę, ale tego nie zrobił. Prosił ją o przysługę, on ją uszanował. Nie mogła odmówić.

– Dlaczego? Dlaczego masz tyle dziwnych prośb?

Po drugiej stronie zaległa cisza.

– Jesteś tam?

– Oczywiście. Wciąż zadajesz za dużo pytań. Przyjmiesz ją?

Klient płaci i może mieć swoje, nieraz bardzo dziwne kaprysy.

– Przyjmę – odparła.

– Dziękuję.

Usłyszała charakterystyczne pyknięcie, połączenie zostało przerwane. Odłożyła telefon.

Przystojny ten Gabriel, przemknęło jej przez myśl. Mógł się podobać kobietom, mógł zawrócić w głowie niejednej. Pewnie i zawrócił. Ciekawe, czy jest żonaty? Raczej stawiała na to, że nie. Tacy to się szybko nie żenią, są przyzwyczajeni do otaczania się wianuszkami pięknych kobiet.

Wyszła z wanny i sięgnęła po lustro. Wpatrywała się w swoje odbicie.

– Nie jestem brzydka, ale przecież jest mnóstwo ładniejszych.

Palcem nacisnęła krostę na policzku, teraz lepiej. Głupia jestem, pomyślała, odkładając lustro. Przecież nawet nie wiedziała, kim on jest naprawdę.

Mógł być przestępcą, może prowadził jakąś grę przeciwko ojcu. Prawdę mówiąc, on jeden jak na razie jej nie oszukał. Przecież to nie przestępstwo, że wiedział dużo o jej rodzinie. Jedyne pytanie to takie: czemu się tym interesował? Na pewno nie ze względu na nią, trzeba odkryć ten inny powód i sprawić, by się z tego wytłumaczył. Postanowiła, że poczeka, aż umowa wygaśnie, a ostatniego dnia przycisnie go do muru i nie pozwoli mu wymigać się od szczerej odpowiedzi.

DZIEŃ DRUGI, WTOREK

Wtorek zapowiadał się równie słoneczny i ciepły jak poniedziałek. Tuż po ósmej przed hotel zajechała czarna lancia z napisem „taxi” na bocznych drzwiach. Drzwi się otworzyły, brązowa skórzana torba wypadła na chodnik, a po chwili z taksówki wysiadła młoda, bardzo szczupła, wręcz chuda, Murzynka. Pojazd odjechał i dziewczyna została sama na pustej ulicy. Rozejrzała się na boki, po czym schyliła się, chwyciła bagaż i rażnym krokiem skierowała się do wejścia.

Veronika akurat była w holu, kiedy w progu stanęła nowo przybyła. Co do jej pochodzenia nie było żadnej wątpliwości, nawet dżinsowe szorty i modna, krwistoczerwona bawełniana bluzka nie mogły nikogo zmylić, ciemny odcień skóry był charakterystyczny dla plemion z głębi Czarnego Łądu.

– Dzień dobry – zwróciła się do Veroniki po angielsku. – Przysłał mnie pan Trovato. Nazywam się Molbi Kakalu.

– Wszystko wiem. Witaj – odpowiedziała Veronika z uśmiechem na twarzy. – Chodź za mną, zapoznam cię z personelem i twoimi obowiązkami.

Ruszyła przodem w stronę kuchni, a Kakalu jak cień podążyła za nią.

– To jest szef kuchni. – Veronika wskazała Franciszka akurat przelewającego zupę. – Zapozna cię ze wszystkim.

Kucharz odstawił garnek i zdziwiony wpatrywał się na zmianę w obie dziewczyny.

– To nowa kelnerka – wyjaśniła szefowa. – Będzie obsługiwać gości. Przy okazji masz szansę wykazać się znajomością języka angielskiego.

– Ale nam nie potrzeba kelnerki – bąknął.

– Wiem, ale to specjalna prośba pana Trovata.

– Nic, tylko ten Trovato i Trovato – warknął ze złością i cisnął ściereczkę na blat.

Veronika udawa, że tego nie widzi, i wyszła.

Nigdy wcześniej tak by się nie zachowała wobec Franciszka, ale wczoraj zarówno on, jak i ojciec bardzo ją zdenerwowali i do tej pory złość na nich jej nie minęła.

Tego dnia Sagesse Mvumbi zszedł na śniadanie tuż po ósmej. W holu, tak jak i w jadalni zastał pustki. Usiadł przy stoliku i zerknął przez okno na zewnątrz. Było szaro i ponuro, przyroda dopiero budziła się po zimowym stłumieniu energii zimnymi wiatrami i niską temperaturą. Mężczyzna nie był przyzwyczajony do takiego widoku, jego kraj nie znał zim, a pejzaż na okrągło aż kipiał soczystością zieloną roślinnością. Nigdzie indziej nie jest tak pięknie jak w Kongu, rozmyślał, a Europa to przecież jedno wielkie zimne paskudztwo.

– Kawa czy herbata? – usłyszał. Odwrócił się i zobaczył przed sobą młodą Murzynkę, ubraną w biały fartuszek.

– Kawa – odburknął.

Wbił wzrok w kelnerkę. Kogoś mu przypominała. Nie, to niemożliwe, to nie mogła być Molbi, przecież ona...

Wpatrywał się w nią coraz natarczywiej. Zauważyła to, ale się nie spłoszyła. Ich spojrzenia się spotkały. Mvumbi poczuł drżenie rąk i kropelki potu na czole.

– Molbi? – wydusił ze ściśniętym gardłem.

– Proszę? – Murzynka albo nie dosłyszała pytania, albo tylko udała, że nie słyszy.

– Nie, nic, proszę o kawę. – Opanował się.

– Zaraz przyniosę – odparła i poszła w kierunku kuchni.

Idąc między stolikami, dyskretnie otarła pojedyncze lzy spływające jej po policzkach, a uczyniła to tak sprytnie, że nikt tego nie zauważył.

Mvumbi tymczasem nie spuszczał z niej wzroku, starając się znaleźć jak najwięcej różnic, żeby jak najdalej odepchnąć od siebie myśl o spotkaniu Molbi. Nie, to nie ona. To jedno wirowało mu w głowie jak oszalałe. To nie może być ona, przecież to jest niemożliwe. Zamknął oczy i momentalnie powróciły obrazy sprzed lat. Tym razem nie były tak jak wcześniej zamazane. Te raziły go ostrością. Widział wyraźnie wioskę rodzinną. To tu dorastał wśród swojego plemienia. Teraz wracał po wielu latach, ale to nie był typowy powrót, on wracał jako słynny pułkownik, rebeliant, buntownik przeciwko władzy i wiódł ze sobą zbrojną gwardię. Z nim, jak i z jego ludźmi, nie było żartów. Zmęczony wojną, wracał do rodzinnej wioski, żeby wziąć to, co mu przysługiwało. Zgodnie ze zwyczajem plemiennym należała mu się córka naczelnika; taka była umowa między ich rodzinami, a umowa to rzecz święta. Jechał po Molbi.

– Kawa – usłyszał nad głową. Gwałtownie otworzył oczy. Przed nim stała filiżanka, kelnerka przemknęła przez jadalnię i zniknęła w kuchni.

Mvumbi chwycił naczynko i podniósł je do ust. Czuł delikatne drżenie dłoni, nie potrafił go pohamować. Zerknął w bok. Przy sąsiednim stoliku usiadła ta dziwna kobieta, chyba z pokoju piętro wyżej, i obserwowała go z zaciekawieniem.

– Demony przeszłości – rzucił w jej kierunku, następnie odstawił filiżankę, wstał i szybkim krokiem opuścił jadalnię. Po drodze potrącił kilka krzeseł, dwa z nich z łoskotem przewróciły się na podłogę. Przechodząc koło kuchni, Mvumbi dyskretnie zerknął do środka, ale kelnerki nie zauważył.

Rene Lemner spożywała śniadanie w zamyśleniu. Ten stary Murzyn nawet nie zaczął konsumować posiłku, kiedy nagle zerwał się od stolika i wybiegł z jadalni. Dokładnie usłyszała jego słowa. Demony przeszłości prześladowają nie tylko jego, życie jest pełne skrzyżowań bez drogowskazów. Człowiek staje na nich i nie bardzo wie, w którym kierunku podążyć. Kiedy zbłądzi, kiedy pójdzie w złym kierunku, to później co i rusz odżywają w nim te przeklęte demony. Prześladowają go w snach lub w życiu codziennym, przybierając często wygląd ofiar. Rene znała je dobrze. Miała barwne życie i ono było chyba wynikiem wyboru dokonanego na pierwszym skrzyżowaniu, następne zaś były tylko jego konsekwencją. W jej życiu zadziałał efekt domina, a pobyt tutaj był jego ostatnią kostką. Ponoć mogła coś jeszcze zmienić, ale sama w to przestała wierzyć. Wiedziała, że ostatnia kostka chyli się ku upadkowi, lada moment gruchnie, i to z impetem.

– Ja panią znam! – usłyszała nagle.

Stał przed nią ten mężczyzna wyglądający jak ksiądz. Już wczoraj zauważyła, że przypatruje się jej bardzo uważnie, a dziś nie pozostał na tym.

– Widziałem panią w telewizji – mówił podniesionym, podekscytowanym głosem. – Tak, to na pewno pani.

Jego palec wskazujący, niczym szpikulec celował w nią.

By ci go ktoś obciął, wścibiśki klecho, pomyślała.

– Pomylił pan mnie z kimś innym – odburknęła.

– Nie, nie. – Kręcił głową energicznie. – Mam świetną pamięć do twarzy. Pani jest...

Rene rzuciła mu ostrzegawcze spojrzenie pełne złości. Łatwo mógł odczytać zawartą w nim wiadomość i uczynił to prawidłowo.

– Chyba jednak się pomyliłem – bąknął pod nosem i usiadł przy swoim stoliku.

– I owszem – rzuciła w jego kierunku i jak gdyby nigdy nic wróciła do śniadania. Co jakiś czas jednak zerkała w kierunku sąsiedniego stolika. Mężczyznę jej spojrzenie musiało palić jak rozżarzone węgle, bo co chwila nerwowo poprawiał kołnierzyk. Ze spuszczoną głową mordował się ze zrostami tłuszczu w plasterku szynki parmeńskiej i ani razu nie ośmielił się podnieść oczu znad talerza.

* * *

Veronika siedziała w drugim końcu jadalni i uważnie obserwowała gości. Dziś doglądała wszystkiego osobiście, tym bardziej że był to pierwszy dzień pracy przysłanej przez Gabriela Murzynki.

Zdarzenie nie uszło jej uwadze. Kim jest ta kobieta? – myślała, patrząc na Lemner. Musi być jakąś znaną osobą, aktorką lub dziennikarką. Może ta cała sprawa jest rzeczywiście, jak kiedyś zauważył Franciszek, takim telewizyjnym show z ukrytymi kamerami i za kilka dni zobaczy siebie i Erynię w telewizji?

Sięgnęła po leżący na stoliku laptop. Włączyła Internet z nadzieją, że znajdzie jakieś informacje o tej kobiecie. Nie wiedziała, gdzie szukać. Wpisała jej nazwisko do wyszukiwarki. Chwilę czekała, wyskoczyły jakieś dane. Zaczęła je po kolei analizować, ale nic nie pasowało.

Szkoda, pomyślała. Byłoby fajnie gościć jakiegos celebrytę. Może faktycznie ksiądz pomylił ją z kimś innym? Jeszcze tylko zajrzy na stronę policyjną i da sobie spokój.

Znała dobrze ten adres, już nieraz kontrolowała swoich klientów. W hotelu zatrzymywali się różni ludzie, a dziwnie zachowujących się gości wolała dyskretnie sprawdzić. Jeden raz, a było to bodajże trzy lata temu, zatrzymał się u niej poszukiwany przez policję gwałcieciel i dzięki jej zawiadomieniu ujęto łobuza.

Na ekranie komputera pokazała się galeria zdjęć. Żeby zawęzić zakres poszukiwań, wpisała plec i przypuszczalny wiek Lemner. Jej oczom ukazała się nowa galeria. Powiększyła fotografie i w skupieniu zaczęła je przeglądać. Jedna po drugiej, twarze najbardziej poszukiwanych przestępczyni ukazywały się na wyświetlaczu komputera. Żadna nie pasowała, ta kobieta nie była zbrodniarką, to zapewne jakaś aktorka ukrywająca się pod fałszywym nazwiskiem. Veronika odetchnęła z ulgą, kamień spadł jej z serca. Kiedy chciała wyjść z policyjnego portalu, niechcący wcisnęła zakładkę „złapani przestępcy”. Otworzyła się kolejna galeria zdjęć. Veronika przesunęła wskaźnik myszy w prawy górny róg, w kierunku krzyżyka, żeby zamknąć okno, kiedy jej wzrok padł na jedną z fotografii, trudno zresztą, żeby ją ominął, bo była otoczona grubą czerwoną ramką. To oznaczało status najgroźniejszego zbrodniarza.

Dziewczyna wpatrywała się jak zaczarowana w fotkę. To przecież ta sama kobieta, która teraz siedzi kilka metrów dalej i spokojnie spożywa śniadanie. Jedyne, co je różniło, to nazwisko. Pod zdjęciem było inne. „Edyta Knopf”, przeczytała Veronika. Spojrzała na gościa i ponownie na zdjęcie. Tak, nie miała już żadnej wątpliwości, jej gościem była Edyta Knopf, jedna z najbardziej niebezpiecznych terrorystek świata, a do zeszłego roku również jedna z najbardziej poszukiwanych przez Interpol. Czemu w tej chwili jej nie szukają? Czemu przy nazwisku jest informacja, że została ujęta? Co ona tu robi? Może przygotowuje jakiś następny zamach?

Veronika sięgnęła po gazetę leżącą na krześle obok. Rozłożyła ją i zaczęła przeglądać, ale nigdzie nie zauważyła ani informacji o terrorystce, ani jej zdjęcia. Może to jej siostra bliźniaczka? Trzeba

zawiadomić policję, tylko dyskretnie, lepiej niech ją sprawdzą.

Domniemana Edyta Knopf akurat skończyła śniadanie, wstała od stolika i wyszła z jadalni. Veronika pośpiesznie zapisała fotografię na pendrivie, po czym poszła do biura, żeby ją wydrukować. Po niecałym kwadransie chwyciła kurtkę z krzeselka i z fotką w dłoni wybiegła bocznym wyjściem prosto do ogrodu. Tam pod wielkim starym platanem stał, oparty o ławkę, jej skuter. Wciągnęła pulower, założyła kask, zdjęcie zgięła na pół i wsunęła do kieszeni w spodniach, następnie wskoczyła na skuter. Zagrzechotały kamyki pod kołami, gdy pomknęła ulicą w kierunku centrum.

Minęła pizzerię starych Aborettich, wspaniałą, niemającą jeszcze roku hotel Michał Anioł, który w ubiegłym sezonie odebrał jej połowę klientów, dom kierowcy wyścigowego Roberta Kubicy, willę rodzinnego dentysty i przedszkole sióstr zakonnych. Wszystko prócz przedszkola było jeszcze zamknięte na cztery spusty.

Komenda mieściła się przy via Carducci, cztery przecznice dalej.

Brama była otwarta i Veronika na pełnym gazie wjechała na dziedziniec, po czym z piskiem zahamowała. Przed wejściem do budynku zauważyła sierżanta Marcela. Znała go dobrze, od blisko dwóch lat próbował ją poderwać lub chociaż umówić się na kawę, zawsze bezskutecznie. Kilka razy nawet się zawałała, ale on o tym nigdy się nie dowiedział.

Ten przystojniak o sylwetce Schwarzeneggera mógł się podobać dziewczynom. Veronikę jednak drażniła jego zarozumiałość, której wyjątkowo nie lubiła u mężczyzn. Pusty goguś w mundurze, zawsze tak o nim mawiała. Tym razem chyba pierwszy raz ucieszyła się na jego widok, bo sytuacja była poważna, a ona nie знаła innych policjantów.

– Witaj, Marcelo! – zawołała, zsiadając ze skutera.

Promienny uśmiech natychmiast zagościł na jego twarzy, najwyraźniej odżyła w nim nadzieja na co najmniej wspólną kawę. Podszedł do dziewczyny i pomógł jej oprzeć pojazd o ścianę posterunku.

– Wjeżdżasz tu jak rajdowiec, jeszcze cię fotoradar uchwyci – zażartował. – Co cię sprowadza?

– Mam ważną informację o terrorystce! – wyrzuciła z siebie jednym tchem.

– Terrorystka w naszym mieście?

W jego głosie wyczuła skrywaną ironię. Tutaj nieczęsto policja łapała groźnego przestępcę, a już nie terrorystę. Takie zdarzenie nigdy wcześniej nie miało miejsca.

– Zgadza się! Mam jej fotografię.

Sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła z niej pomięte zdjęcie. Rozłożyła je i zaczęła prostować.

– Pokaż! – Policjant wyrwał jej odbitkę z rąk.

– To jest Edyta Knopf – wyszeptęła przejęta.

– Wiem, że to jest Edyta Knopf. – Zaśmiał się. – Jej ujęcie było największym sukcesem Interpolu od czasu rozbicia Czerwonych Brygad.

– Z czego się śmiejesz? – spytała groźnie.

Zamiast się przejąć informacjami, on drwi sobie z niej, i to w żywe oczy.

– Ona jest w rzymskim areszcie. Nie możesz mieć o niej żadnych nowych informacji. Ta sprawa jest zamknięta.

– Bzdura! – wykrzyknęła Veronika. – Ona mieszka u mnie, przed chwilą siedziała metr ode mnie i jadła śniadanie.

– Niemożliwe. Gdyby uciekła, tobyśmy coś o tym wiedzieli. To musi być ktoś inny i radzę ci: nie rób z tego zadymy, bo wystraszysz gościa. To taka dobra rada ode mnie... Zresztą, co ona by tu robiła? Nie ma fajniejszych miejsc, nawet we Włoszech, niż twoja Erynia?

– To ona! – upierała się. – Jest identyczna. No, chyba że to siostra bliźniaczka.

– Ten twój gość jest jedynie bardzo podobny do niej, możesz się uspokoić, nic wam nie grozi. Lepiej daj się zaprosić na kawę.

Veronika nie wierzyła temu, co słyszy. Jednego tylko była pewna – miała rację, nie chcąc umówić się z tym zarozumiałym kretyńcem.

– Może chociaż sprawdź, czy nie uciekła – poprosiła.

– Dobrze, to mogę zrobić, ze względu na naszą znajomość. Chodź.

Pociągnął ją za rękę i weszli do środka. Dziewczyna nigdy nie była w komendzie policji, więc z ciekawością rozglądała się wokół. Przeszli przez kołowrót, później pojechali windą do góry. Następnie był wąski korytarz, na całej swojej długości oświetlony mocnymi jarzeniówkami. Po obu stronach znajdowały się drzwi. Na jego końcu Veronika zauważyła grube stalowe kraty, domyśliła się, że to areszt. Weszli do małego, niemilosiernie zagraconego pokoju. Wszędzie wały się sterty papierów, szafy się nie domykały, tak były zapelnione, na ścianach wisiało pełno zdjęć, na biurkach stały komputery i drukarki.

– Spocznij sobie! – Marcelo wskazał jej rozklekotane krzesło przy oknie, a sam podszedł do najbliższego biurka, zrzucił z fotela na podłogę jakieś kolorowe czasopisma i usiadł. Zerknął na Veronikę, tajemniczo się uśmiechnął, następnie chwycił słuchawkę telefonu i wybrał znany sobie numer. Chwilę trwało, nim ktoś odebrał.

– Mówię z komendy w Pietrasancie. Zgłosiła się do nas młoda ładna kobieta, twierdząc, że w jej hotelu mieszka Edyta Knopf – wyrecytował na wydechu.

Nawet siedząca tuż przy oknie Veronika usłyszała, że osoba po drugiej stronie dostała ataku śmiechu.

Jakby w nią piorun strzelił. Nie czekała na koniec rozmowy, zerwała się raptownie z krzesła i nie reagując na okrzyki Marcela, wybiegła z pokoju; jedyne, co usłyszała, to trzask zamykanych z impetem drzwi.

Na dole przy wyjściu użerała się z policjantem w dyżurce, zanim ją wypuścił z budynku. Wsiadła na skuter i odjechała z piskiem opon. Była wściekła, ten dupek ją upokorzył, wyśmiał, a przecież wiedziała, co mówi. Niepotrzebnie się w ogóle tam wybierała.

To była bodajże najbardziej zwariowana jazda w życiu Veroniki. Nie oglądała się na boki, tylko dusiła gaz, tak ją nakręcała złość na Marcela. O kawie ten sukinsyn może zapomnieć.

Wciąż myślała o kobiecie, którą gościła. To była na sto procent Edyta Knopf, więc nie mogła być jednocześnie w areszcie. Dlaczego ukrywali fakt, że im uciekła? Veronika stwierdziła, że musi zadzwonić do brata do Rzymu lub nawet tam pojechać, Antonio musi jej pomóc rozwikłać tę zagadkę, przecież jest prawnikiem. Tak, jutro pojedzie do stolicy.

Na ulicy zauważyła tę nową kelnerkę, Murzynkę. Szła w jej kierunku, była jeszcze bardzo daleko od niej. W pewnym momencie zatrzymał się przy niej czarny mercedes i dziewczyna do niego wsiadła.

Veronika zatrzymała skuter. Samochód jechał wolno, więc kiedy ją mijał, zdążyła dojrzeć kierowcę. Poznała od razu, za kółkiem siedział Trovato. On jej nie rozpoznał, bo miała na oczach okulary, a na głowie kask.

Gabriel zerknął na Murzynkę. Była bardzo wzburzona.

– Poznał cię?

Tylko skinęła głową. Wyciągnęła z kieszeni chusteczkę i wytarła oczy.

– Możesz się jeszcze wycofać. Nie będę miał pretensji.

– Wykluczone. Chcę to sama załatwić.

– Masz do tego święte prawo i dlatego ci to umożliwiłem.

– Widziałam popłoch w jego spojrzeniu. Pierwszy raz zobaczyłam, że trzęsie się ze strachu. Rzucił wszystko i wyszedł, nawet nie dokończył śniadania.

– Nie dziwię mu się. – Trovato zaśmiał się ponuro.

Zamilkli. Przemierzali wolno ulice Pietrasanty. W pewnym momencie dziewczyna wyciągnęła prawą rękę i pokazała palcem jakiegoś idącego chodnikiem mężczyznę w długim płaszczu. Nie było widać jego twarzy, był odwrócony tyłem.

– Rozjedź go! – krzyknęła. – Rozjedź tego skurczybyka! Co, nie możesz? – krzyczała jak oszalała. – Rozjedź tego bydlaka!

Lewą ręką chwyciła kierownicę, starając się zmienić tor jazdy auta, przez co samochód przez chwilę zmierzał w kierunku trotuaru. Gabriel nacisnął hamulec i zatrzymał pojazd. Spojrzał na dziewczynę z wyrzutem.

– Co ty, do cholery, wyprawiasz?!

– Przejeź go, proszę! – krzyczała cała zalana łzami, trzęsąc się w ataku hysterii.

– Uspokój się! – Teraz on na nią wrzasnął.

– Jak mam być spokojna, kiedy to bydlę jak gdyby nigdy nic chodzi po tym świecie?

Wyciągnęła z torebki paczkę chusteczek. Próbowiła nimi wytrzeć twarz, ale makijaż jeszcze bardziej się rozmywał.

– Przestań! – Gabriel chwycił ją mocno za rękę.

– Nie mogę – szepiała – nie mogę zapomnieć.

– Nikt ci nie każe zapomnieć, ale musisz być spokojna, inaczej odsunę cię od sprawy. Nie możesz tego spieprzyć.

Spojrzała na niego błagalnie.

– Nie zrobisz tego, proszę!

– Więc uspokój się, musisz być opanowana, taka była między nami umowa.

– Co ja na to poradzę, skoro to jest silniejsze ode mnie?

– Rozumiem cię, jednak twoje zachowanie nie może zepsuć wszystkiego, nie możesz wkładać sabota w tryby tej maszyny. Ja też mam zwierznika i rozliczam się przed nim.

– Przepraszam.

– Chcesz to kontynuować? Możesz się wycofać w każdej chwili. Pamiętaj o tym.

– Nigdy! Jego wystraszony wzrok to jest moja jedyna radość.

– Dobrze, ale bardziej się kontroluj.

Wjechali w jedną z bocznych uliczek. Minęli rzędy opuszczonych domostw. Piękne niegdyś wille straszyły teraz pustymi otworami po oknach i zasuszoną roślinnością.

Trovato zatrzymał samochód przed jedną z zapuszczonych rezydencji. Spojrzał na bramę wiszącą tylko na jednym, jeszcze nie do końca skorodowanym, zawiasie.

– To chyba tu...

– Tak. – Skinęła głową. – Całkiem niezłe lokum i, co ważne, na odludziu. Nikt tu nie zagląda, nawet bezpieczeństwa psy. Dobre miejsce dla takich rozbitków jak ja.

– Odpocznij, wystudź swoje emocje i pamiętaj o jednym: tryby mojej maszyny cały czas się obracają. Dostanie to, na co zasłużył.

– Na to liczę – rzuciła przez ramię i opuściła pojazd. Trzasnęły zamykane drzwi i mercedes ruszył z miejsca.

Murzynka patrzyła chwilę w ślad za odjeżdżającym autem.

– Dzięki, że jesteś, Gabrielu – szepnęła w przestrzeń, odwróciła się i skierowała w stronę zielonej skorodowanej furtki, ukrytej w gęstym dzikim winie.

Stefano Bontate siedział w kawiarni i czytał prasę. Przed nim na stoliku stały butelka prosecco i kieliszek.

– Przepraszam pana. – Usłyszał kobiecy głos.

Uniósł wzrok znad gazety.

Obok stolika zobaczył staruszkę odzianą w łachmany.

– Może wspomóż pan biedną? Chociaż jedno euro na bułkę – zaskamlała.

W pierwszym momencie chciał ją przegonić, ale zmienił nagle zdanie. Wyjął z kieszeni banknot o nominale dziesięciu euro i podał jej.

Kobieta się zakłopotowała.

– To za dużo. Jest pan dobrym człowiekiem. Nie chcę za darmo, powrócę panu.

„Dobry człowiek”, niezłe określenie, zaśmiał się w duchu.

– Nie potrzeba, nie wierzę w te bzdury, proszę już iść – odburknął, na powrót sięgając po gazetę.

– To może innym razem. Dziękuję.

Staruszka sobie poszła i wtedy zjawił się kelner. Na tacy miał kieliszek.

– Bardzo pana przepraszam – zaczął się tłumaczyć. – Akurat obsługiwałem innego klienta i jej nie zauważyłem. To niegroźna dziwaczka. Zwariowała po stracie córki, jedyne dziecko.

– A co się stało? – Stefano się zainteresował.

– Była chora na raka i zmarła. Znałem dziewczynę, była bardzo ładna i mądra, a to rzadko idzie w parze. Studiowała medycynę, kończyła ją, kiedy zachorowała. Trwało to rok. Leży na naszym cmentarzu. Za ten kłopot wódeczka na koszt firmy.

Postawił kieliszek i poszedł.

Veronika przecierała stoliki w ogrodzie. Brud, choć nie bez oporu, poddawał się ściereczce nasączona silnym detergentem. Zaskrzypiała furtka, z miasta wracał Sagesse Mvumbi; zmierzał prosto do wejścia, ale kiedy zobaczył dziewczynę, natychmiast do niej podszedł.

– Przepraszam. Mam jedno pytanie, jeśli można?

– Oczywiście.

– Ta nowa kelnerka... – Głos mu zadrżał. – Jak ma na imię?

– Spodobała się panu? – Veronika zaśmiała się sztucznie, a w duchu pomyślała: Ty stary koźle, zachciewa ci się młodych dziewczyn! Zboczeniec jeden!

– Nie, nie, nie o to chodzi – zmieszał się.

– Niestety, jak pan zauważył, jest nowa i nie pamiętam jej imienia, przykro mi.

– Ale nie Molbi, prawda?

– Molbi? – Zastanowiła się. – Nie, na pewno nie Molbi, jakoś inaczej ma na imię.

– To mi ulżyło, dziękuję pani za informację. – Skłonił się, po czym wszedł do budynku.

Veronika była nieco stropiona tym, że zapomniała imienia nowej. Tyle się dziwnych rzeczy dzieje, że zupełnie wypadło jej to z głowy. Pewnie Franciszek wie. Musi go o to zapytać.

Wróciła do czyszczenia mebli, został jej ostatni stolik.

– Pani Veroniko! Szybko, ktoś zasłabi! – usłyszała od strony hotelu. Poznała po głosie, że to krzyczała Felicja, sprzątaczką i praczką w jednej osobie. Rzuciła szmatkę i wbiegła do środka. W holu zebrała się spora grupa gości i paru ludzi z personelu. Na posadzce zauważyła leżącą kobietę. Nachylał się nad nią jakiś mężczyzna. To był jeden z gości, ten sympatyczny starszy pan, Vogel. Kilka razy uderzył kobietę po twarzy, poskutkowało. Oprzytomniała, otworzyła oczy. Rozglądała się wokół, była zdezorientowana.

Veronika pochyliła się nad nią. Nie znała jej, nigdy jej wcześniej nie widziała. Nieznajoma nie mogła mieć więcej niż sześćdziesiąt lat, ale twarz miała zniszczoną, pooraną głębokimi bruzdami, widać było, że życie jej nie rozpieszczało.

– Wezwać lekarza? – spytała Veronika.

– Nie trzeba, ja jestem lekarzem – rzekł mężczyzna.

– Co się stało?

– Spokojnie. Ta pani najwyczejniej zasłabła – tłumaczył Vogel. – To się zdarza.

– Już dobrze. Już mi lepiej – odezwała się kobieta.

Vogel chwycił ją pod jedno ramię, Veronika pod drugie. Dźwignęli ją do góry, a Franciszek podstawił krzeselko, żeby usiadła. Zjawiała się Felicja ze szklanką wody w dłoni. Nieznajoma wyraźnie dochodziła do siebie. Personel rozszedł się, zostali tylko lekarz i Veronika.

– Bardzo przepraszam za kłopot – powiedziała kobieta. – Raz na jakiś czas dopada mnie nagle utrata przytomności.

– Podejrzewam raptowne niedocukrzenie, ale trzeba zrobić stosowne badania. – Vogel pogroził jej ręką. – Należy dbać o zdrowie.

– Nie mam na to czasu. Kiedy ma się chore dziecko, przede wszystkim o nie należy zadbać.

– Tym bardziej trzeba. Kto się nim zajmie, jak pani zabraknie?

– O mój Boże, zupełnie zapomniałam o Julianie! – Kobieta chciała zerwać się z krzeselka. – Muszę iść do niego.

– Spokojnie! – Vogel położył jej rękę na ramieniu i tym samym zmusił ją do powrotu na miejsce. – Proszę zostać. Ja pójdę po niego. Gdzie on jest?

– Czeka przed budynkiem, na ulicy. Martwię się o niego, będę zobowiązana. – Posłała mu wdzięczny uśmiech.

– Proszę się nie ruszać, zaraz go przyprowadzę.

Lekarz wyszedł z hotelu.

– Zapomniałam powiedzieć temu panu, że Julian jest niepełnosprawny.

– Proszę zachować spokój – rzekła Veronika. – To przecież medyk, da sobie radę.

Z hukiem otworzyły się drzwi i w progu ukazał się wózek inwalidzki, a po chwili sapiący niemilosiernie Vogel. Patrząc na inwalidę, trudno było się temu dziwić, to był już dorosły mężczyzna. Mógł mieć około trzydziestu, trzydziestu pięciu lat. Potwornie zdeformowana twarz była tylko częścią jego kalectwa. Rączki jak u niemowlaka, prócz tego okropnie powyginane. Nogi ukryte były pod grubym pledem, zapewne też coś było z nimi nie tak, skoro nieszczęśnik poruszał się na wózku.

Kobieta na widok syna poderwała się z krzesła i chwiejąc się na nogach, podbiegła do niego. Pocałowała kalekę w czoło i pogłaskała po ręce.

– Jestem już, kochanie – szeptała mu do ucha.

– Ełł, ełł – nieartykułowane dźwięki wydobyły się z jego ust.

Veronika patrzyła na to z przerażeniem. Nigdy wcześniej nie widziała człowieka tak doświadczonego przez los.

– Straszne! – szepnęła do Vogla. On zerknął na nią przelotnie zza swoich grubych szkieł drucianych okularów.

– Co straszne? Nie rozumiem.

– No jak to co? To kalectwo. Okropny widok!

– Kalectwo jak kalectwo – burknął pod nosem, wzruszając ramionami, po czym zarzucił na siebie płaszcz i wyszedł.

– „Kalectwo jak kalectwo” – powtórzyła za nim jak automat Veronika. – Co za bezduszne stwierdzenie. I to powiedział lekarz. Pomóc pani w czymś? – zwróciła się do kobiety.

– Szukamy noclegu na kilka dni, ale wszystko, co jest na moją kieszeń, jeszcze pozamykane. Tylko ten hotel jest czynny, więc tu zajrzałam. Jest może wolny pokój?

– Hm... – Veronika zakłopotana podrapała się w głowę. No i masz babo placek. Zawarła przecież umowę z Trovatem i nie mogła jej zerwać.

Kobieta musiała dostrzec jej wahanie, bo natychmiast złapała ją za rękę; miała łzy w oczach.

– Błagam panią, Julianowi tak dobrze robi pobyt nad morzem, proszę. Przyjechaliśmy tu, licząc, że przed sezonem będzie taniej, i przeliczyliśmy się. Jeśli nas pani nie poratuje, będziemy musieli stąd wyjechać, i to jeszcze dziś.

– To nie takie proste. Cały obiekt jest wynajęty, mam związane ręce.

– Bardzo panią proszę... Proszę nas nie odrzucać. – Kobieta nie ustępowała.

Veronika nie mogła oderwać wzroku od kaleki, odmówić tym ludziom byłoby draństwem, tym bardziej że pokój na parterze był wolny i wózek mógłby tam bez problemu wjeżdżać. Coś musi wymyślić. Może zadzwonić do Trovata? Ma jego numer telefonu, poprosi go, może okaże się człowiekiem, nie wyglądał na bezdusznego. Jednak jeśli zadzwonię, a on odmówi, to nie będę mogła nic zrobić – kalkulowała. Może lepiej zachować dyskrecję, przecież ci ludzie nie będą sprawiać kłopotu.

– Proszę... – powtórzyła kobieta, cały czas trzymając ją za rękę. W tym uścisku Veronika czuła moc uczuć matki do strasznie okaleczonego syna.

– Gdybym tylko mogła, zapewniam panią...

– Błagam!

Veronika kręciła głową, ale ku własnemu zaskoczeniu usłyszała:

– Nie mogę pani odmówić, Felicja pokaże pani pokój. Jednak posiłki będziecie musieli jeść u siebie.

Były to jej własne słowa i przez nią wypowiedziane.

– Dziękuję pani! – krzyknęła tamta i nim dziewczyna się zorientowała, pocałowała ją w rękę.

– Ależ! – Zawstydzona szarpnęła dłoń. – Co pani robi?

– Dziękuję, jest pani złotym człowiekiem, dziękuję. Julian też bardzo pani dziękuje, prawda, synku?

Nachyliła się nad kaleką, on zaś nie wiadomo, czy zrozumiał pytanie, czy zareagował na jej bliskość, w każdym razie można było usłyszeć jakiś niewyraźny charkot, przypominający trochę słowo „tak”. Kobieta, widząc konsternację Veroniki, uśmiechnęła się przeproszająco.

– On tak mówi, że tylko ja to rozumiem, ale Julian wszystko kojarzy, bo poza wyglądem jest zupełnie normalny.

– To po wypadku? – Dziewczyna odważyła się na wścibskie pytanie.

– Nie, to przez moją głupotę – szepnęła kobieta i w tym momencie jej oczy zrobiły się mokre od łez. – Będąc w ciąży, brałam talidomid.

– Co to jest? Nie słyszałam o takim leku.

– To miało być cudowne lekarstwo dla ciężarnych kobiet, genialny specyfik łagodzący stresy podczas ciąży. Chciałam mieć lekko, to mam teraz karę, a właściwie Julian cierpi przez moją głupotę. Jest ciężko, ale jakoś sobie dajemy radę, najbardziej boję się tego, co będzie, kiedy mnie zabraknie.

– Niech się pani procesuje z producentem tego lekarstwa. Mój brat, który jest prawnikiem, kiedyś prowadził podobną sprawę i wywalczył ogromne odszkodowanie. To pomogłoby pani zabezpieczyć synowi przyszłość.

Kobieta tylko z rezygnacją pokiwała głową.

– Walczył o odszkodowanie? Słyszała pani, żeby ktoś kiedyś wygrał z dużym koncernem? Raz nawet próbowałam, ale przegrałam.

– Jak już powiedziałam, mój brat wygrał.

– Oni mają najlepszych prawników, a mnie było stać jedynie na najtańszego. W Niemczech coś tam dostali, bo ofiary złożyły zbiorowy pozew. Ja nie mogłam zorganizować większej grupy

poszkodowanych, bo jak to Włosi, zaraz się wszyscy ze sobą pokłócili. W żaden sposób nie można było ustalić wspólnej linii działania. A przez to nikt nic nie dostał. Teraz już jest to przedawnione, szkoda tylko, że calectwo się nie przedawnia.

– Wprowadzając nowe leki, trzeba się liczyć z niepożądanymi skutkami. – Usłyszały czyjś głos.

W holu zobaczyły Vogla. Musiał tu stać już od dłuższego czasu i przysłuchiwać się rozmowie.

– Proszę to powiedzieć mojemu synowi. – Kobieta wskazała ręką wózek z inwalidą. – Proszę mu powiedzieć, że jest kaleką dla wyższego dobra, że jego ofiara ma służyć innym.

– Nie trzeba było brać talidomidu, a wtedy syn byłby zdrowy. Może mieć pani pretensje tylko do siebie. To lekarstwo przynosi świetne efekty w leczeniu niektórych nowotworów, trądu, a nawet HIV. Czy z powodu kilku kalek należało go nie wprowadzać, a tym bardziej usuwać z rynku?

– Kilku kalek?! – Kobieta zaczęła się trząść z oburzenia. – Urodziło się ponad dziesięć tysięcy zniekształconych dzieci! Do dziś żyje jeszcze i przechodzi swoje piekło na ziemi blisko pięć tysięcy, a pan mówi o kilku?

– Postęp wymaga ofiar, a to był przypadkowy skutek uboczny.

– To pan jest skutkiem ubocznym, ale ewolucji! – wykrzyknęła. – Kolejny doktor Mengele!

– Lepiej już pójść. Niestety, widzę, że jest pani zbyt prostą kobietą, żeby zrozumieć złożoność problemu.

– Może i jestem prosta, ale potrafię na odległość odróżnić łobuza od porządnego człowieka, pan jest zwykłym cynicznym łobuzem!

Mężczyzna uśmiechnął się z politowaniem i odprowadzany wrogim spojrzeniem kobiet, poszedł na górę.

– To jeden z pani gości?

Veronika tylko skinęła głową.

– Jeśli inni są tacy sami, to faktycznie lepiej, że będziemy jeść posiłki w pokoju.

Trzasnęły drzwi wejściowe. W hotelu pojawił się Russo. Jak zwykle był ubrany w czarny uniform. Zatrzymał wzrok na wózku inwalidzkim.

– A to kto? – szepnęła kobieta do Veroniki.

– Ksiądz, a właściwie były ksiądz.

– Wyrzucili go czy sam odszedł?

– Nie wiem. Nie pytałam go o to. To nie moja sprawa.

Mężczyzna zbliżał się do nich, uśmiechając się łagodnie. Poklepał Juliana przyjacielsko po ramieniu.

– Witam – zaczął. – Cieszę się, gdy widzę ludzi niosących pomoc potrzebującym, bo biedacy nie są wtedy sami w swojej niedoli i dzięki temu jest im łatwiej iść przez życie. Kiedy jednak w końcu przez nie przebrną, czeka ich wieczne szczęście w raju.

– To mój syn – wyjaśniła kobieta. – Pan jest księdzem? – spytała prosto z mostu.

– Już nie, byłem misjonarzem, pracowałem z biednymi i chorymi. Później zdecydowałem, że muszę coś zmienić w swoim życiu, i wystąpiłem ze stanu duchownego.

– Dobrowolnie czy wyrzucili księdza?

Veronika otworzyła usta ze zdumienia, zaskoczona prostolinijnością nowej klientki.

Russo zmieszał się nieco.

– Droga pani, a skąd takie przypuszczenia?

– W telewizji wciąż mówią o aferach z księżmi. Widziałam film o tych zwyrodnialcach. Powinni ich powywieszać – odparła bez namysłu.

– Mogę panią uspokoić, sam odszedłem. Wprawdzie nie jestem już księdzem, ale jeśli pani syn będzie chciał pomocy duchowej, to służę moją skromną osobą. Teraz pożegnaj panię.

Skłonił się i poszedł w kierunku schodów.

– Felicja! – krzyknęła w stronę jadalni Veronika. Z kuchni wychyliła się głowa sprzątaczk.

– Słucham, szefowo?

– Zaprowadź gości do pokoju na parterze i pomóż im się rozpakować.

– Już idę.

Wybiegła z kuchni, z haczyka na ścianie zdjęła klucz i podeszła do wózka inwalidzkiego. Następnie chwyciła go za rączki, wykręciła nim zręcznie i popchnęła go w kierunku pokoju.

– Franciszek! – Veronika stała w progu i rozglądała się po kuchni.

– Jestem, jestem!

Kucharz wychylił się z chłodni. Zamknął grube stalowe drzwi i z wielkim garnkiem w dłoniach podeszedł do blatu, sapiąc przy tym niemilosiernie. Z dużym wysiłkiem przestawił naczynie.

– Mam coraz mniej siły.

Dziewczyna podeszła do niego i pocałowała go w czoło.

– Przepraszam.

Spojrzał na nią zdziwiony.

– Za co?

– Że tak cię potraktowałam. Przyjaciół trzeba szanować. Obiecuję, że więcej się to nie powtórzy.

– Wcale się nie gniewam. Miałaś prawo się zdenerwować. Razem z twoim ojcem zachowaliśmy się jak dwa stare durnie.

Veronika oparła się plecami o blat. Chwilę się wahała, czy zadać to pytanie, ale zaraz przypomniała jej się nowa klientka. Ona waliła prosto z mostu. Może to i dobra metoda?

– Franciszku...

– Co tak oficjalnie?

W jego oczach zobaczyła rozbawienie.

– Powiedz mi szczerze, czy jeszcze coś przede mną ukrywasz?

Kucharz spojrzał na nią zaniepokojony. Najwyraźniej nie przypuszczał, że tak się tym wszystkim przejmie. Widział delikatny błysk łez w kąciakach jej oczu.

– Proszę, odpowiedz mi szczerze – wydukała drżącym głosem.

– Mogę ci jedno powiedzieć – zaczął – ale nie wiem, czy ci to wystarczy. Ja nie mam przed tobą żadnych tajemnic i na to mogę dać słowo. Czy twój ojciec czegoś jeszcze nie ukrywa? Tego nie wiem, nie mogę dać za to głowy. O jedno go niedawno spytałem. Czy nie popełnił kiedyś przestępstwa i zapewnił mnie, że nie. A co do twojego dziadka, moja droga, on już od wielu lat jest historią i niech spoczywa w spokoju.

Ostentacyjnie się przeżegnał.

– Ale czemu ukryliście przede mną to wszystko? – nie ustępowała. – Wciąż o tym myślę i nie potrafię tego zrozumieć.

– Może twój ojciec uznał, że nie warto? Veroniczko, jeszcze raz powtarzam, że to już historia.

– Wiem, wiem, ale coś czuję podświadomie, że ta historia może mieć dużo wspólnego z teraźniejszością, a być może też z moją przyszłością.

– Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Lepiej idź teraz do ojca i z nim porozmawiaj, był bardzo poruszony po twojej ostatniej wizycie. Nie powinnaś go tak denerwować, on ma słabe serce.

– Wiem, ale gdyby mi powiedział wcześniej... Nieważne. – Machnęła ręką. – Już idę, ale zapomniałabym o jednym!

– Tak?

– Jutro rano chcę pojechać do Rzymu, mam tam coś do załatwienia.

– To pozdrów brata ode mnie. Dawno nas nie odwiedzał. U niego wszystko w porządku?

– Tak, tak, jestem z nim umówiona, oczywiście, że go pozdrowię – odparła mechanicznie.

Kucharz przypatrywał jej się uważnie.

– Czy twoja wizyta ma związek z naszymi gośćmi? – spytał.

Zmieszła się.

– Czemu tak sądzisz?

– Coś tu wisi w powietrzu. Ta kelnerka Molbi jest...

– Molbi? – weszła mu w słowo. – Ona ma na imię Molbi?

– No, tak. Czy to ma znaczenie? Znasz jakąś Molbi?

– Nie ja, ale ten Murzyn, Mvumbi. Pytał mnie o nią, wymienił jej imię, a był przy tym bardzo zdenerwowany. Chciałam go uspokoić i powiedziałam, że nie ma na imię Molbi. Tymczasem okazuje się, że tak. Będę musiała to jakoś sprostować.

– Nie przejmuj się, nas nie powinny obchodzić takie rzeczy. – Franciszek starał się ją uspokoić. – My tylko wynajmujemy hotel, a czy oni się znają, czy skąd się znają, to nie jest nasz interes.

– Niby tak. Idę teraz do taty. Miej baczenie na całość i jeśli zobaczysz coś dziwnego, zawsze mi o tym mów.

– Przecież wiesz, że możesz na mnie liczyć. Nie ma obawy, wszystkiego dopilnuję – powiedział bardziej do siebie niż do Veroniki i wziął się do krojenia mięsa na duże plastry. Dziś miała być na obiad specjalność szefa kuchni – stek florentyński.

– Wiem, wiem.

Wtem coś otarło się Veronice o nogi.

– Romulus, a ty dokąd?

Schyliła się i podniosła z podłogi kota. – Zabieram cię w odwiedziny do Bernarda.

DZIEŃ TRZECI, ŚRODA

Wczesnym rankiem Veronika poderwała się z łóżka, wzięła szybki prysznic, zrobiła makijaż, w pośpiechu zjadła, a właściwie połknęła bruschettę z pomidorami, tym razem bez listków bazylii, popiła szklanką niegazowanej wody mineralnej i wymknęła się ze swojego mieszkanka. Cicho stąpała po schodach z butami w rękę, żeby nie postawić na nogi gości, ale kiedy przechodziła koło pokoju Stefana Bontatego, zaskrzypiały uchylane drzwi i w szczelinie ukazała się jego głowa.

– Dzień dobry. Dobrze, że panią widzę.

– Obudziłam pana? Bardzo przepraszam.

– Nie, nie – zaprzeczył. – Mam do pani wielką prośbę.

– Tak? – Spojrzała na niego z zaciekawieniem.

– Mam list do wysłania i nie wiem, czy mogę panią prosić o wrzucenie go do skrzynki.

Dobrze pamiętała układ z Trovatem, nie wolno było jej nic zrobić dla gości poza typową usługą. Wysłanie listu było chyba czymś ponad plan. Czemu on sam nie może go wysłać? – przemknęło jej przez głowę.

– W Pietrasancie jest poczta, i to niedaleko stąd – odpowiedziała.

– Wiem, ale ja nie mogę tego zrobić.

– Czemu?

– Proszę nie pytać. To dla mnie ważne, bardzo ważne. To przecież tylko list.

– No, nie wiem, chyba mi nie wolno.

– To list do kobiety, błagam panią.

– Wezmę, ale nie gwarantuję, że wyślę. Muszę się nad tym zastanowić. Zgadza się pan na moje warunki?

Uśmiechnął się smutno.

– Nie mam innego wyjścia.

– Jeśli nie chce pan tego zrobić osobiście, to chyba nie.

– Wiem, że pani go wyśle, jest pani dobrym człowiekiem.

– Proszę mnie nie brać pod włos. – Zaśmiała się cicho. – Pan wie, że mam zobowiązania i los mojego hotelu w dużej mierze zależy od tego, czy będę ich przestrzegać.

– Domyślam się. Inaczej by nas tu nie było.

– Nie rozumiem.

Starła się coś wyczytać z jego twarzy, ale w półmroku nie widziała jej zbyt dobrze.

– To nieistotne. To pani nie dotyczy – odburknął.

– Wezmę list, ale proszę uchylić rąbka tajemnicy, kim jest pan Trovato?

– Nie wiem.

– Nie wie pan? – zdumiała się. – Przyjeżdża pan na zaproszenie człowieka, którego pan nie zna? Nie chce mi się w to wierzyć.

– Naprawdę nie wiem – powtórzył. – To nie było zaproszenie, nie miałem innego wyjścia, tyle mogę pani powiedzieć.

Wyczuła lęk w jego głosie.

– Pan się czegoś boi? Ja też powinnam się bać?

– Pani może spać spokojnie. To pani nie dotyczy.

Wcisnął jej kopertę w dłoń i zniknął w swoim pokoju.

Chwilę stała oszłamiona tą dziwną rozmową. W końcu otrząsnęła się, zerknęła na zegarek i z przerażeniem odkryła, że jest już bardzo późno. Nie zważając na śpiących gości, założyła buty i zbiegła na dół. Wsiadła na skuter i pojechała na dworzec kolejowy. Miała do pokonania cztery kilometry. Nie mogła się spóźnić na pociąg.

Dochodziła dwunasta, kiedy pociąg z Genui wjechał na peron drugi dworca Termini. Otworzyły się drzwi wagonów i ze środka wysypał się tłum podróżnych, wśród nich była Veronika. Z małą torbą w ręku szła w kierunku wyjścia, rozglądając się nerwowo dokoła. Olbrzymi dworzec w centrum Rzymu, tysiące wsiadających i wysiadających pasażerów, megafony ujadające jak oszalałe, huk ruszających i zatrzymujących się pociągów – w tym całym zgiełku przemieszczała się drobna, zagubiona dziewczyna z małej toskańskiej Pietrasanty.

Veronika szukała Antonia, obiecał po nią wyjść, ale nigdzie nie mogła go dojrzeć. W pewnym momencie stanęła bezradnie na środku kolejowego holu i sięgnęła po telefon.

– Zgubiłaś się? – Usłyszała znajomy głos zza pleców. Odwróciła się. Tuż przed nią stał wysoki, dobrze zbudowany młody mężczyzna o śniadej twarzy i mocno kręconych włosach. Czarny, elegancko skrojony garnitur tylko potwierdzał jego wysoki status społeczny.

– Antonio! – krzyknęła i rzuciła mu się na szyję.

– Udusisz mnie – szepnął jej do ucha. – Udusisz mnie, siostrzyczko. Chodź, zapraszam cię na wspaniałe cappuccino.

Wyjął jej z ręki torbę i pociągnął ją w stronę wyjścia. Wmieszała się w tłum pasażerów, kilka razy Veronika poczuła czyjeś łokcie na żebrach, ale w końcu wyszli przed budynek dworca. Dziewczyna rozejrzała się wokoło. Poczuła zapach wielkiego miasta, jakże to lubiła.

– Dawno nie byłem w Rzymie – rzuciła w kierunku brata. – Kocham to miasto i bardzo ci go zazdroszczę.

– Nie zazdrość, wcale nie jest tak pięknie, jak ci się wydaje. – Zaśmiał się. – Chodź, kawiarnia jest kawałek drogi stąd i trzeba tam podjechać.

Ruszył w kierunku pobliskiego parkingu, a Veronika podreptała za nim; kiedy on robił jeden krok, ona musiała zrobić dwa, żeby nadążyć. Przeszli między ulicznymi handlarzami, przebili się przez rząd obskurnych barów, oplatających ciasnym łańcuszkiem dworzec kolejowy, i weszli na parking przed hotelem Sonia.

Veronika stanęła przed błyszczącym czerwonym alfa romeo i delikatnie pogładziła jego karoserię.

– Uwielbiam tę twoją Giuliettę.

– Już ma kilka lat, czas na nowe auto – stwierdził Antonio.

– To sprzedaj mi ją.

– Nie, dam ci ją w prezencie ślubnym!

– Ha, ha, rozbawiłeś mnie!

– Nic się nie kroi, siostrzyczko? Nikt nie kręci się koło mojej małej księżniczki?

– Nikt – odparła zdecydowanie i wsiadła do samochodu.

Antonio zajął miejsce za kierownicą i ostro ruszył z miejsca. Kiedy mknęli ulicami Wiecznego Miasta, Veronika nie mogła oderwać wzroku od mijanych zabytków, a brat skupił się na prowadzeniu; jazda wśród setek skuterów i motorynek wymagała dużej koncentracji. Kluczylili wąskimi, krętymi uliczkami. Mijali potężne gmachy administracji państwowej, przemknęli niedaleko ruin pałacu Nerona, Kapitolu i zaraz za Koloseum skręcili w prawo w małą, cichą uliczkę. Zatrzymali się przy

świeżo odrestaurowanej czteropiętrowej kamienicy. W Rzymie trudno o spokojne miejsce, bo wszędzie jest pełno turystów, ale i taką oazę spokoju czasem można tu znaleźć. Antonio zaparkował alfa romeo na parkingu przed knajpką, ale kiedy Veronika chciała wysiąść, brat złapał ją za rękę.

– Poczekaj – rzekł do niej.

– Co się stało? – Dziewczyna rozejrzała się nerwowo. Zauważyła, że brat patrzy w lusterko wsteczne.

– Ktoś nas śledzi – usłyszała.

– Kto?

– Nie wiem. Ale może mi się tylko wydawało.

Powoli minął ich czarny mercedes, po czym skręcił w następną ulicę.

Veronika zauważyła, że był identyczny jak ten, którym jeździ Trovato, ale co on by tu robił?

– Wydawało mi się. – Antonio odetchnął z ulgą. Spojrzała na siostrę i uśmiechnął się przeproszająco.

– Trochę wystraszył mnie twój telefon – tłumaczył się. – Już to, co powiedziałaś, nie dało mi dziś w nocy zasnąć. Dlatego chyba jestem trochę przewrażliwiony. Chodź, cappuccino czeka.

Wysiadła i podążyła za bratem.

Weszli do małej kawiarenki z niedużym barkiem i trzema stolikami. Lokal niczym szczególnym się nie wyróżniał, a nawet mógł bardziej wymagać gości drażnić swoją prostotą. Jedynym jego atutem było to, że każdy stół odgrodzono od innych cienką ścianką, czymś w rodzaju parawanu, co miało stwarzać atmosferę intymności. Usiedli przy najdalszym stoliku, w samym kącie. Natychmiast zjawił się kelner. Był bardzo młody i Veronika dałaby sobie rękę uciąć, że to dorabiający na boku student.

– Witam serdecznie, co dla państwa?

– Dwa razy cappuccino i dwa croissanty – zdecydował Antonio. – Chyba że... – Przyjrzał się uważnie Veronice – coś jeszcze sobie życzysz?

– Nie, dziękuję.

Kelner się oddalił. Veronika sięgnęła do torebki i zaczęła w niej grzebać.

– Czego szukasz?

– Zaraz, poczekaj – rzuciła, pogrążona w poszukiwaniach. Pudełko po tic tacach, szminka, lusterko, opakowanie podpasek, no, wreszcie znalazła, wyciągnęła złożone na pół zdjęcie, wyprostowała je i podała bratu.

Przyjrzał mu się uważnie, ale nie zrobiło na nim wrażenia.

– Kto to? – spytał.

– Terrorystka, o której ci mówiłam przez telefon. Mieszka w naszym hotelu, nazywa się Edyta Knopf i, jak wyczytałam w Internecie, jest wcieloną diabolicą.

– Słyszałem o niej. Ona siedzi w kryminale, to niemożliwe, że ją gościsz u siebie. Zaraz tu przyjdzie mój kumpel. On pracuje w prokuraturze i może nam to wyjaśni. Skoro byłaś na policji i oni to zlekceważyli, zapewne jest to tylko ktoś łudząco podobny.

– Nie. – Veronika wiedziała swoje. – Antonio, to jest ona. Nie uwierzę, że to tylko ktoś podobny. Nie dam się łatwo zbyć, coś dziwnego dzieje się w naszym hotelu i muszę to wyjaśnić.

Podszedł kelner i postawił przed nimi filiżanki. Wspaniały zapach pobudził zmysły.

– Jesteś przewrażliwiona, za dużo oglądasz telewizji – zażartował brat.

– Nie śmieję się – odparła z pretensją w głosie. – Kiedy opowiedziałam ci wszystko przez telefon, to przyznałeś mi rację, a teraz mówisz zupełnie coś innego.

– Pół nocy myślałem o tym i doszedłem do wniosku, że masz bujną wyobraźnię. Znalazłaś świetnego klienta, zawarłaś świetny kontrakt. Dlaczego uważasz, że jak ktoś płaci tyle szmalu, to musi być w tym coś nielegalnego? Mówiłaś, że to starsi ludzie, że to sami dziwacy. Może mają jakiegoś sponsora, może to pieniądze z jakiejś fundacji? Nie musisz wszystkiego wiedzieć. Nieraz zdarzają się ekscentryczni

milionerzy i mają swoje dziwactwa. Wiesz, ilu cudaków chodzi po świecie? Ja sam wielokrotnie miałem z takimi do czynienia.

– Antonio, wkurzasz mnie!

Veronika upiła łyk i odstawiła filiżankę.

– Faktycznie, pyszna kawa, w życiu takiej nie piłam. Ale mam jeszcze coś. – Sięgnęła do torebki i znów zaczęła w niej grzebać.

– Co teraz wyciągniesz? – Zaśmiał się. – Królika z kapelusza?

– Zabawne – burknęła ze złością. Wreszcie wyjęła plik kartek i podała je bratu.

Teraz w rękę trzymał kilka zdjęć różnych ludzi. Spojrzał na siostrę z niemym pytaniem.

– To moi goście. Chcę, żebyś ich sprawdził – śpiesznie wyjaśniła.

– Veroniczko, ja nie jestem policjantem, jestem adwokatem.

– Braciszku, rzadko kiedy cię o coś proszę. – Posłała mu jedno z tych swoich spojrzeń, po których zwykle miękł jak wosk.

Przekładał kartki i oglądał znajdujące się na nich podobizny.

– Nie znam ich, prócz tej terrorystki, ale ją już złapali. Jak mam ci pomóc?

– Może zna ich ten twój kolega z prokuratury?

– Wątpię, ale zobaczymy.

Zerknął na zegarek.

– Już powinien tu być – zauważył.

– Jestem – usłyszeli od drzwi.

Niewysoki, krępy brunet w błyszczącym szarym garniturze uśmiechał się do nich szeroko.

– Witajcie!

Usiadł na jedynym wolnym krzeselku. Z zainteresowaniem spojrzął na dziewczynę.

– To moja siostra – Antonio dopełnił prezentacji – a to jest Marcel, o przepraszam, pan prokurator Marcel Neolli.

– Nie wygłupiaj się – obruszył się kolega. – Jesteśmy kumplami od tylu lat. Proszę mi mówić po imieniu. Mam mało czasu, powiedzcie, co to za sprawa?

– Obejrzyj te fotki. Ci ludzie są obecnie zakwaterowani w hotelu Veroniki. Może kiedyś widziałeś którąś z tych osób?

Mężczyzna wziął fotografię. Veronika obserwowała jego twarz i od razu zauważyła, że pobrał. Rzuciła okiem na zdjęcie, które oglądał, była na nim Edyta Knopf. Jednak miała rację, coś było na rzeczy. Przerzucił fotki i zatrzymał się na zdjęciu księdza. Podniósł wzrok na Veronikę, był wyraźnie zmieszany. Zerknął na inne fotografie, później nerwowo je przerzucał i kiedy doszedł do ostatniej, automatycznie wrócił do pierwszej.

– Co to jest? – Spojrzał na Antonia, a później na Veronikę. Jednak nie zobaczył w ich wzroku tego, czego się spodziewał. Ponownie wrócił do zdjęć.

– To niemożliwe – stwierdził. – Przykro mi, ale nie wierzę wam, żartujecie sobie ze mnie.

– Dlaczego tak myślisz? – Veronika nawet na chwilę nie spuszczała spojrzenia z Marcela. Ten człowiek wiedział dużo na temat nie tylko Edyty Knopf, ale i innych gości hotelu.

– Wiem, co mówię – wycedził, pukając palcem w zdjęcie kobiety. – Ona nie może być na wolności.

– Też tak myślę – rzekł Antonio. – Marcel, nie denerwuj mnie, tu chodzi o bezpieczeństwo mojej siostry. Jeśli faktycznie ktoś z tych fotek przebywa w Pietrasancie, to grozi jej niebezpieczeństwo.

– Raczej jej nie grozi. Edyta Knopf nie jest już zagrożeniem. Ścigali ją za stare grzechy. Ukrywała się szmat czasu i od wielu lat nic nie przeszkadzała.

– To siedzi czy nie siedzi? Wiem, że współpracujecie z Interpolem. Na pewno coś wiesz. – Antonio nie ustępował.

Prokurator rozejrzał się po lokalu, przechylił się w stronę kolegi i szepnął tajemniczo:

– To informacja nieoficjalna. Ponoć chcieli ją zakwalifikować do jakiegoś programu resocjalizacji i gdzieś przekazać.

– Komu?

– To jest ściśle tajne. Podobno przyjechali po nią do więzienia i ją zabrali. To wszystko, co wiem.

– Wypuścili ją? – Oliveto patrzył na Marcela i nie wierzył temu, co słyszy. – Kto może ot tak wejść do więzienia i zabrać stamtąd, jak gdyby nigdy nic, najgroźniejszego zbrodniarza?

– Nie mów mi, że o nich nie słyszałeś? W prokuraturze plotkuje się o nich co najmniej od dekady.

– Kto? Co to za organ ją uwolnił? – Antonio nie ustępował.

– Nikt jej nie uwolnił. – Marcel jakoś dziwnie się zaśmiał. – Oni nikogo nie uwalniają.

– To może im uciekła? Mów, do cholery, kim oni są? Co to za organizacja? To zostanie między nami!

– Jestem za małym pionkiem w prokuraturze i nie jestem dopuszczany do niektórych spraw.

– Ale coś podejrzewasz?

– Owszem, ale to jest za bardzo absurdalna hipoteza, żebym mógł się nią z innymi dzielić – wyjaśnił.

Był bardzo zdenerwowany, co chwila nerwowo rozglądał się po lokalu. Najwyraźniej bał się kogoś.

– Powiedz! – Oliveto nie odpuszczał. – Jesteś mi coś winien i teraz chcę spłaty długu, tu chodzi o bezpieczeństwo Veroniki.

Marcel się wahał. Popatrywał to na jedno, to na drugie z rodzeństwa i kiwał w milczeniu głową. Nachylił się do kolegi, gdy nagle twarz mu się wykrzywiła w strasznym grymasie, po czym zwałił się bez przytomności na stolik. Ten pod jego ciężarem wyrzucił się z wielkim hukiem.

Antonio i Veronika zerwali się na równe nogi. Przerażona dziewczyna odsunęła się pod ścianę i oparła o nią plecami. Oliveto tymczasem razem z kelnerem próbował reanimować prokuratora. Najpierw masaż serca, później sztuczne oddychanie. Ktoś w tym czasie zadzwonił po karetkę. Z oddali słychać było syrenę, wyła coraz głośniejsze, nagle dźwięk się urwał, po chwili dwaj sanitariusze z noszami w rękach wbiegli do lokalu. Nachylili się nad ofiarą i teraz oni przejęli walkę o jej życie.

Całe zdarzenie nie wyglądało na przypadkowe, mężczyzna chciał im coś wyjawić i w tym momencie runął nieprzytomny na posadzkę.

Mijały minuty, lecz reanimacja wciąż nie przynosiła efektu. W końcu jeden z sanitariuszy wstał z kłęczek, a jego wyraz twarzy uprzedził słowa.

– Niestety nie żyje. Zrobiliśmy, co mogliśmy, przykro mi. Wszystko wskazuje na ciężki zawał serca.

Antonio kręcił głową z niedowierzaniem. Wciąż to do niego nie docierało.

– Ale on był zdrowy, razem grywaliśmy w tenisa, biegaliśmy w maratonach. Nigdy na nic nie narzekał.

– Nieraz tak bywa – odparł tamten.

Veronika podeszła do innego stolika, chciała usiąść. Było jej słabo. Zerknęła przez okno i zdrętwiała z przerażenia. Pobliską ulicą wolno jechał czarny mercedes, ten sam, co wtedy, tego była pewna. Odskoczyła od witriny i potrącając po drodze zaskoczonoego brata, wybiegła z lokalu; koniecznie chciała zobaczyć kierowcę limuzyny. Musiała się upewnić. Podbiegła bliżej, ale samochód nagle przyspieszył i szybko się oddalił. Nawet nie zobaczyła jego numerów rejestracyjnych, bo tablice były obłożone i przez to nieczytelne. Dziewczyna zatrzymała się bezradnie na środku jezdni.

– Co robisz? – usłyszała. Antonio pociągnął ją za rękę na chodnik. – Chcesz zginąć? Chcesz być następną?

Twarz Veroniki była blada jak płótno.

– Boże, zaczynam się bać! Zostawmy to. Myślisz, że Marcela ktoś zabił? Na naszych oczach? Może coś było w jego kawie?

– Nie sądzę, choć przyznaję, że dziwnie to wyglądało. On był okazem zdrowia, ale może poczekajmy na sekcję, niech wypowiedzą się medycy.

– Widziałeś jego minę, kiedy oglądał te zdjęcia? On ich znał, może nie wszystkich, ale na pewno kilku z nich.

– Wiem, też to zauważyłem. Wezmę fotki i postaram się dyskretnie czegoś o nich dowiedzieć, ty zaś lepiej jedź na dworzec. Gościsz tę kobietę u siebie od kilku dni i gdyby faktycznie miała złe zamiary, już by je zrealizowała. Pamiętaj, jesteś tylko właścicielką hotelu. Tacy jak ona zabijają polityków, bankierów, policjantów, ale nie zwykłych ludzi. Trzymaj się jednak w miarę daleko od niej, nie wchodź jej w drogę. Jak tylko czegoś się dowiem, natychmiast zadzwonię lub przyjadę. Teraz wracaj do domu. Zamówię ci taksówkę. Ja poczekam na policję i wszystko im opowiem.

– Wezwałeś policję?

– Musiałem, Marcel był prokuratorem, tego wymagają przepisy, nawet w takiej dość klarownej sytuacji.

Veronika spojrzała na niego z przerażeniem.

– Klarownej sytuacji? Antonio, co ty mówisz?

– Słyszałaś, co powiedział lekarz? Umarł na zawał, nikt go nie zabił. Tak w każdym razie to wygląda.

Sięgnął po komórkę i gdzieś zadzwonił.

Veronika cały czas nerwowo rozglądała się wokoło, po tym ciężkim przeżyciu po raz pierwszy zaczęła się źle czuć w Rzymie. Każda zbliżająca się osoba wywoływała u niej nowy napad strachu, w każdym widziała potencjalnego zabójcę.

Wreszcie podjechała taksówka. Dziewczyna uściśnęła brata i ruszyła w kierunku dworca. Zanim skręcili w główną ulicę, z lękiem patrzyła na machającego do niej Antonia. Teraz będzie liczyć każdy upływający dzień, będzie skreślać go w kalendarzu, i to grubym flamastrem, bo to będzie ją zbliżać do końca tego przekłętego turnusu.

– Dojechaliśmy – zakomunikował kierowca. Veronika spojrzała przez okno, faktycznie stali przed wejściem głównym dworca Termini.

– Ile płacę?

– Dwadzieścia pięć euro.

Drogo, ale bez słowa sięgnęła do torebki. Podała pieniądze kierowcy, następnie szarpnęła klamkę i wysiadła z auta. Szybkim, zdecydowanym krokiem ruszyła na peron drugi, za chwilę powinien odchodzić pociąg do Genui i miała jeszcze szansę zdążyć. Szczęście jej dopisało, w ostatnim momencie wsiadła do wagonu, bo chwilę potem pociąg ruszył.

Niski, krępy mężczyzna w długim czarnym płaszczu i kapeluszu mocno nasuniętym na twarz stał na końcu peronu i obserwował odjazd pociągu. W pewnym momencie sięgnął do kieszeni i wyjął komórkę.

– Wyjechała.

Powiedział tylko to jedno słowo, następnie schował telefon. Postawił kołnierz płaszcza, włożył rękę do kieszeni i poszedł w kierunku wyjścia.

Pociąg mknął na północ Włoch, za oknami przewijała się panorama Italii: akwedukty z czasów rzymskich, zakłady przemysłowe, pola, winnice, uroczne miasteczka i szpetne blokowiska w dużych

miastach. Wszystko było nieprawdopodobnie pomieszane. Do starej wieży z czasów rzymskich ktoś dobudował kamienicę, w innym miejscu gruby mur obronny łączył się z halą fabryczną. Kończyły się zakłady przemysłowe, a tuż za nimi rozciągały się wspaniałe winnice. Te się kończyły i jak spod ziemi wyrastały olbrzymie blokowiska wraz z wątpliwej urody dodatkami, parkingami lub koszmarnymi hipermarketami. Krajobraz również szokował zróżnicowaniem. Płaskie jak stół równiny przeplatały się ze wspaniałymi górskimi krajobrazami. Veronika siedziała z twarzą przyklejoną do szyby. Lubiała te widoki, to był cały kraj w pigułce, to były jej ukochane Włochy.

– Kiedyś trzeba było przebywać tę trasę powozem, co zajmowało tydzień – usłyszała z siedzenia naprzeciwko.

Uśmiechała się do niej starsza kobieta.

– To było dawno temu – odparła Veronika.

– O tak. – Kobieta skinęła głową. – Bardzo dawno temu.

Rozmówczyni była sędziwego wieku, choć trzymała się wyśmienicie. Miała bardzo gęste włosy, których niejeden młody mógłby jej pozazdrościć. Pewnie z wyjątkiem ich koloru, bo były śnieżnobiałe. Rysy twarzy zdradzały, że musiała być w młodości piękną kobietą. Zauważyła zainteresowanie jej osobą i znów się uśmiechnęła.

– Daleko jedziesz, młoda panno? – spytała. Wyraźnie chciała zająć się rozmową w podróży.

– Do Pietrasanty.

– Piękna miejscowość.

– Mieszkam tam od urodzenia.

– Kiedyś też tam mieszkalam.

– Naprawdę? – Veronika, dotąd niezbyt zainteresowana pogawędką, spojrzała na kobietę z ciekawością. – Dawno?

Kobieta posłała jej tajemniczy uśmiech.

– Bardzo dawno, moja droga, ciebie jeszcze nie było na świecie, powiem więcej, ciebie na pewno nie było jeszcze w planach twoich rodziców.

– Długo pani tam mieszkała? W której części miasta? Może w Marinie?

– Kilka lat za długo. W domu niedaleko plaży, niedaleko... zresztą nieistotne. Trzeba pielęgnować tylko dobre wspomnienia, inne niech idą precz w niepamięć.

– Słusznie. Jednak nieraz te zle ciągną się za rodziną nawet przez kilka pokoleń.

– Przesadzasz, młoda damo. Pamiętam w Pietrasancie takiego przystojnego księdza. Zaraz, zaraz, jak on miał na imię? To już miażdżycy, nie daje mi żyć, codziennie mnie atakuje, i to na każdym kroku.

Kobieta skupiła się, jakby intensywnie grzebała w pamięci, i nagle uśmiech triumfu pokazał się na jej twarzy.

– Wiem, to był ksiądz Leoni, tak, nazywał się Leoni.

– Leoni? – Veronika wybuchnęła śmiechem.

Kobietę zdziwiła jej reakcja.

– Co w tym śmiesznego, moja droga?

– O, przepraszam panią, ale znam księdza Leoniego i on...

– Nie jest przystojny? – Kobieta weszła jej w słowo. – Pewnie masz rację.

– Tak, on jest taki... jak by to ująć... – Dziewczyna się zawahała. Nie wiedziała, jak się wyrazić, żeby przypadkiem nie urazić nieznajomej.

– Stary – zaśmiała się starszuszka. – Tak, jeśli żyje, to musi być już bardzo stary, bo jest o kilka lat starszy ode mnie.

– Żyje, żyje i ma się całkiem dobrze. Widziałam go bodajże dwa dni temu.

– To się niezmiernie cieszę. Kiedy ja tam mieszkałam, on wtedy był wikarym. Uciekło mi już nazwisko proboszcza, ale pewnie dlatego, że był stary i paskudny. Do tej pory pamiętam, że był też strasznie pryszczaty.

– To dlatego go pani nie pamięta? – Veronika znów się roześmiała. Współtowarzyszka podróży tak ją rozbawiła, że na chwilę zapomniała o wydarzeniach w Rzymie.

– Moja droga, my, kobiety, nawet w księdzu widzimy mężczyznę i dlatego nie zapomniałam Leoniego – tłumaczyła starsza pani. – Jesteś mężatką? – Błyskawicznie chwyciła lewą dłoń dziewczyny i obejrzała jej palce. – No tak, panna. Teraz dziewczyny są inaczej cwane, nie tak, jak za moich czasów. Wtedy ambicją każdej dziewczyny było usidlenie mężczyzny i zaprowadzenie go do ołtarza. Dziś bardziej liczy się wolność i niezależność. Masz kogoś?

– Nie.

– Nikt ci się nie podoba? Nie wierzę.

– Nie, chociaż...

– No, mów. – Kobieta nachyliła się do niej. – To już nie dla mnie, ale chociaż posłucham.

– Nie wiem. – Veronika się zawahała. – Podoba mi się jeden mężczyzna, ale tak naprawdę nic o nim nie wiem.

– Przystojny?

– Bardzo, ale i bardzo tajemniczy.

– To musisz go rozgryźć. Musisz tak go opętać, żeby ci jadł z ręki. Jesteś taka ładna, że nie powinnaś z tym mieć problemu. Przy ładnych kobietach oni miękną jak wosk, no chyba że gej.

– To nie takie proste.

Staruszka mocno ścisnęła jej dłoń.

– Nic nie jest proste, moja droga. Ja też kiedyś zakochałam się w takim jednym przystojniaku. On jednak nie chciał nawet na mnie spojrzeć. Do dziś pamiętam jego imię, a był boski, moja droga, uwierz mi. Hiszpańska uroda, czarny kręcony łeb, szarmanckie maniery i oczy takie, że żadna by mu się nie oparła. Jednak jego nie interesowały kobiety.

– Homoseksualista?

– Gdzie tam. – Słyszając to, kobieta się obruszyła. – Pewnie była ta jedna jedyna szczęśliwa i inne się nie liczyły. Szkoda, że to nie ja byłam jego wybranką. A ten twój jest tobą zainteresowany?

– Nie wiem. – Veronika westchnęła. – I tak, i nie. Wie bardzo dużo o mojej rodzinie, więcej niż ja sama, ale ja nie wiem o nim nic.

– Czyli interesuje się tobą, to dobry znak.

– Nie wiem, czy to dobry znak, zresztą nie mam pojęcia, czy tak naprawdę i mnie on interesuje.

Staruszka zachichotała i puściła do niej oko.

– Dobrze, dobrze, gdyby nie wzbudził twojego zainteresowania, tobyś nawet o nim nie wspomniała zupełnie obcej kobiecie.

Veronika nie odpowiedziała, ale poczuła, że spiekła raka. Zakłopotana, zamilkła.

Na tym urwała się rozmowa. Dziewczyna powróciła myślami do tego, co wydarzyło się w Rzymie. Czy ten czarny mercedes, za którym pobiegła, to było auto Gabriela? Jeśli tak, to co on tam robił? Czyżby ją śledził? Może i miał ku temu powody. Przecież wbrew ich umowie wtykała nos w sprawy swoich gości, mało tego, wynajęła pokój kobiecie z synem na wózku inwalidzkim. To były wystarczające powody, żeby zerwać umowę. Co dalej? Biła się z myślami. Nie miała już pieniędzy, żeby mu je zwrócić, bo wszystkie utopiła w remontach. Wtedy zostanie jedno rozwiązanie, będzie zmuszona sprzedać hotel, ale tego jej ojciec chyba nie przeżyje.

Wyjęła telefon z torebki i spojrzała na wyświetlacz. Antonio się nie odzywa. Zadzwoń do niego czy nie? Może akurat go przesłuchuje policja, nie trzeba mu przeszkadzać. Jeszcze poczeka. Schowała

komórkę.

Staruszka cały czas ją obserwowała.

– Nie dzwoni?

– Nie dzwoni? – Veronika spojrzała na nią, nie rozumiejąc pytania. – Kto nie dzwoni?

– No, ten ukochany.

– Nie, to nie to – zaprzeczyła energicznie. – Czekam na telefon od brata.

– Masz brata?

– Dwóch, obydwa są ode mnie starsi.

– Być młodszą siostrą to kapitalna sprawa. Zawsze chciałam mieć starszego brata, a ty masz ich dwóch.

– Owszem, obydwa nianęczyli mnie, kiedy byłam mała.

– A rodzice?

– Mama umarła, gdy miałam rok.

– Przykro mi, współczuję.

– Nawet nie wiem, co znaczy słowo „mama”. Nie pamiętam jej.

– Dobrze, że masz braci.

– Mam także tatę, on mnie wychował, i Franciszka.

– Franciszka? Kim jest Franciszek?

– To najlepszy przyjaciel taty i nasz pracownik. Sam nie ma dzieci i zawsze traktował mnie jak własną córkę. Nieraz zastanawiałam się, kto jest dla mnie ważniejszy: Franciszek czy tata. Wiem, że to brzmi dziwnie, ale tak było.

– Tata pewnie miał mniej czasu.

– Pewnie tak. – Pokiwała smętnie głową.

Drzwi od przedziału otworzyły się z hukiem i do środka weszło dwoje młodych ludzi. Dziewczyna przyciągała wzrok choćby swoim obfitym zakolczykowaniem. Wszędzie – w policzku, w ustach, a nawet w języku tkwiły jakieś metalowe ozdoby, dziwny wygląd dopełniała głowa wygolona na kolano. Chłopak zaś miał długie jasnoblonde dredy. Obydwój ubrani byli w takie same nabijane ćwiekami czarne katany. Usiedli obok starszej pani. Rozmowa się urwała. Veronika wyjęła z torebki gazetę i zaczęła ją przeglądać. Staruszce głowa jakoś dziwnie opadła na pierś, przypuszczalnie kobieta przysnęła.

Pociąg powoli zbliżał się do stacji w Pietrasancie. Veronika spakowała wszystko do torebki i wstała z siedzenia, niechcący trącając starszą panią. Ta zbudziła się i spojrzała czujnie na dziewczynę.

– Jak ma na imię ten twój? – spytała nagle.

– Jaki mój?

– No wiesz, o kim mówię. – Zaśmiała się.

Veronika znów się zaczerwieniła.

– Gabriel.

Kobieta chwyciła ją mocno za dłoń i pociągnęła bliżej do siebie.

– Jak ma na imię, bo nie dosłyszałam?

– Gabriel.

– Ładnie, mój Juan miał na drugie imię Gabriel. Ale kiedy to było? Mój Boże, czas leci nieubłaganie, a my wciąż o tym zapominamy i dopiero spojrzenie w lustro sprowadza nas, i to brutalnie, na ziemię. Juan musi być teraz bardzo stary, a może już nie żyje? Od wielu lat go nie widziałam.

– Do widzenia.

Veronika skłoniła się kobiecie i opuściła przedział. Musiała się spieszyć, pociąg akurat zatrzymywał się na peronie, a postój w Pietrasancie miał trwać tylko minutę.

Wybiegła na korytarz i dosłownie w ostatniej chwili wyskoczyła z wagonu. Odwróciła się w kierunku ruszającego pociągu i zobaczyła starszkę zawzięcie gestykującą w otwartym oknie.

– Idź do Leoniego, pozdrów go ode mnie! – krzyczała starsza pani.

– Ale od kogo?

– Od Gabrieli Sabatti, zapamiętaj. Koniecznie go odwiedź.

Coś jeszcze wołała do niej, ale Veronika już tego nie słyszała. Wszystko przez głos z megafonu informujący o odjeździe. Pomachała więc tylko starszce i przeciskając się między innymi pasażerami, zbiegła do podziemnego przejścia. Na schodach wyciągnęła telefon i zerknęła na wyświetlacz, ale nie było żadnych nieodebranych połączeń. Czemu brat się nie odzywa? Stwierdziła, że odczeka trochę i sama zadzwoni.

Przeszła z dwadzieścia metrów obskurnym, ciemnym tunelem pod torami i dotarła do skutera przywiązanego do starego cyprysa.

Umieściła torbę podrózną na bagażniku i pojechała w kierunku domu. Przez pierwsze trzysta metrów musiała bardzo uważać, ruch samochodowy był duży. Później trasa biegła polami, a po jakichś trzech kilometrach droga prowadziła przez duży stary park. W pewnym momencie dziewczyna zobaczyła w jednej z bocznych alejek znajomą sylwetkę. Nacisnęła na hamulce, zatrzymała się. To przecież ten były ksiądz, Lucio Russo! On jej nie widział. Nie był sam, trzymał za rękę małego chłopca, który mógł mieć około dziesięciu lat. Zmierzała w głąb parku. Co to za dziecko? Jego? Jeśli tak, to gdzie jest matka? A może dzieje się tu zupełnie coś innego? Może dlatego Russo porzucił stan duchowny?

Zsiadła ze skutera i podążyła za mężczyzną, starając się zachować odpowiedni dystans. Chowała się za grube pnie starych klonów i platanów. Stąpając, zerkała na ziemię przed sobą, żeby, nie daj Boże, nie nadepnąć na jakąś suchą gałązkę. Każdy trzask, najmniejszy szmer mógł ją zdemaskować, a tego nie chciała. Russo doszedł do ławki, przetaił ją ręką; usiedli. Nachylił się w kierunku dziecka, jakby mu coś tłumaczył. Nagle Veronika ze zgrozą zobaczyła, że się szamotają. Malec chciał się wyrwać, ale nie mógł się uwolnić ze stalowego uścisku mężczyzny. Dziewczyna odruchowo cofnęła się za pobliskie drzewo. Pojęła, że musi szybko działać. Rozejrzała się wokoło, szukając pomocy, ale byli sami, co nie dziwiło, bo w tej porze roku trudno się tu było spodziewać spacerowicza. Usłyszała krzyk. Wychyliła się zza drzewa i spojrzała w kierunku ławki. Russo, skulony w kłębek, leżał na ziemi i związał się z bólu, a po chłopcu nie było śladu. Spryciarz, pomyślała o malcu z podziwem.

– A dobrze ci tak, skurczybyku! – szepnęła przez zaciśnięte zęby. Obrzydliwy drań, mógł tam teraz nawet zdechnąć. Sutanna w tym przypadku nie miała znaczenia, zwyrodnialec powinien być potępiony. Pewnie dlatego już nie był księdzem. Ilu musiał skrzywdzić, zanim go usunęli? Ile psychik zwichrował, a może kogoś zabił?

Wprawdzie sama nie miała do czynienia ze zbroczeniami, ale już jej najlepsza koleżanka... owszem. Do dziś dobrze pamiętała tamto wydarzenie.

Miały wtedy po jedenaście lat. Była pełnia lata. Amelia tego dnia zasiedziała się u niej do samego wieczora. Mieszkała przecnicę dalej, więc jak zawsze wracała do domu sama. Wyszła i wszelki ślad po niej zaginął. Szukali jej tydzień i znaleźli, to było straszne. Zwłoki Amelii porzucono na śmietniku w drugim końcu Pietrasanty. Były nagie i całe pokrwawione. Veronika dowiedziała się o tym od Franciszka, ale dopiero po jakimś czasie. Od tej pory pałała nienawiścią do wszystkich dewiantów, obwiniając każdego z nich za śmierć przyjaciółki.

Czemu musi tego Russa teraz trzymać pod swoim dachem? Nie, nie chce go, zaraz zadzwoni do Gabriela.

Przemknęła viale Apua i skręciła w via Carducci. Minęła agencję nieruchomości Wenecja, jej największą konkurencję pensjonat Marina i aptekę. Wjechała z impetem na hotelowy parking.

Zsiadła ze skutera, oparła go o budynek, sięgnęła do torebki po komórkę. Chwilę szukała w kontaktach, jest! Przyłożyła aparat do ucha. Nie czekała długo, po drugiej stronie odezwał się on – od razu poznała po głosie; był taki charakterystyczny, wibrujący.

– Witaj, Gabrielu!

– Co się stało? – spytał sucho.

– Musisz coś zrobić z jednym z gości! Nie chcę go!

– To za mało. Umowa jest umową.

– Ale to zwykły degenerat, to jest zboczeniec! Nie chcę tu pedofila! – płakała do słuchawki. – Proszę, zabierz go!

– Żaden z twoich gości nie jest niewiniątkiem. Każdy z nich ma coś za uszami. Przykro mi, ale nie mogę go zabrać. Pedofil z racji wieku już ci nie grozi.

Jego głos był spokojny, aczkolwiek stanowczy; wyraźnie starał się uspokoić Veronikę.

– Mnie nie, ale widziałam dziś, jak próbował zdeprawować małego chłopczyka w parku, obrzydliwa świnią!

– Jeszcze raz powtarzam, nie bój się Russa. On nie jest typowym pedofilem. Zdradzę ci, że jest kimś dużo gorszym, ale nie musisz się go obawiać, masz na to moje słowo. On już nigdy nikogo nie skrzywdzi.

Dziewczyna zamarła przy telefonie. Gabriel musiał dobrze wiedzieć, kogo zaprasza.

– W takim razie kim on jest?

– O ile pamiętam, to miało nie być żadnych pytań.

– Od początku wszystko wiedziałeś.

Po drugiej stronie zaległa cisza.

– Oczywiście, że wiedziałem – usłyszała Veronika po dłuższej chwili. – Wiem także, że za bardzo interesujesz się gośćmi. Wiem też, że wynajęłaś pokój osobie postronnej. Nasza umowa jest poważnie zagrożona. Balansujesz nad przepaścią, zastanów się, czy warto tak czynić? Czy masz tyle pieniędzy, żeby mi je oddać? O ile wiem, byłby z tym spory problem.

– Zgadza się, nic nie mam. – Głos się jej łamał. – Wszystkie euro wydałam na remont. To pewnie też wiesz. Nie chcę zrywać umowy, tylko wciąż się zastanawiam, dlaczego sprowadziłeś pod mój dach te indywidua? Czemu nie poszedłeś do innego hotelu? Dlaczego akurat ja? Powiedz mi, czym ci zawiniłam?

Zamiast odpowiedzi Veronika usłyszała sygnał zakończonego połączenia.

– Wytrzyj oczy.

Za nią stał Franciszek w swoim zielonym fartuchu; miał mocno zatroskaną minę, a w ręku trzymał chusteczkę.

Czuła, że tusz na rzęsach musiał się jej rozmazać.

– Strasznie wyglądam?

– Nie, ślicznie – skłamał kucharz.

– Ty zawsze jesteś miły, krzyknij na mnie choć raz. – W jej głosie można było wyczuć delikatną pretensję.

– Dobrze. Jesteś rozmazana i wyglądasz jak czarownica. Teraz jesteś zadowolona?

– Tak! Dziękuję.

Schowała telefon do torebki i poszła w kierunku wejścia.

– A jak Antonio? Coś krótki był ten twój wyjazd! – zawołała za nią Franciszek.

– Antonio dobrze, a wyjazd do lotu. A tu było spokojnie? – rzuciła na odchodnym, nawet się nie zatrzymując.

- Jeśli nie liczyć dzikiej awantury przy śniadaniu, to tak.
- Veronika stanęła jak wryta i spojrzała na niego z niepokojem.
- Była awantura? O co poszło?
- Ten Murzyn rzucił się na tę nową kelnerkę.
- Na Molbi? Dlaczego?
- Wszystko zaczęło się od tego imienia. Nie byłem przy tym od początku, ale jak mi opowiadał Bruno, Murzyn coś wykrzykiwał, a imię Molbi padło wiele razy, później rzucił się na nią i chciał z niej zderzyć ubranie. Dopiero ta babochłop obalila go na ziemię. W życiu bym nie pomyślał, że kobieta może być tak silna. Rozłożyła tego czarnucha na podłodze, niczym naleśnik na patelni, i to zanim się zorientowaliśmy.
- Trzeba było wezwać policję.
- Chciałem, ale Molbi ubłagała mnie, żebym tego nie robił. W sumie to ona była pokrzywdzona, musiałem ustąpić. Dziwię się jej, ja bym tego skurczybyka zamknął w więzieniu.
- Czego od niej chciał? Chciał ją zgwałcić?
- Nie no, podczas śniadania i przy innym gościach? To przecież absurd!
- To co mu odbiło?
- Myślę, że chciał sprawdzić, czy ona to ona, i to wszystko. Pewnie ta jego Molbi ma jakiś znak szczególny na ciele. Nie wiem, może jakąś bliznę?
- Co za goście... - Veronika pokręciła głową, schyliła się, wzięła ocierającego się o jej nogi Romulusa na ręce i weszła do hotelu.

* * *

Boże, gdzie ja się przed nim schowam? A może już poszedł? Nie, słyszę jego kroki. Idzie po schodach, tak, to skrzypią stopnie. Koniecznie muszę się gdzieś ukryć. Może w szafie? Tak, tam mnie nie znajdzie. Gdzie jest tata? Gdzie jest Franciszek? Czemu Antonio nie chce mnie bronić? Jeszcze chwila, w szafie pełno ciuchów, nie zmieszczę się. Wiem, upcham je pod łóżkiem. Szybko, szybko! Boże, czemu nie mogę ich tam wcisnąć? Słyszę go coraz bliżej, muszę się natychmiast schować. Już, udało się, jeszcze domknę drzwi i oby mnie nie znalazł! Jak tu ciemno, czuję, jak bije mi serce, cała drzę. Jest mała dziurka w zamku, coś widać. Wchodzi do pokoju, podchodzi do okna, siada na łóżku i zagląda pod nie. Teraz patrzy na szafę. Boże, już po mnie. Wstaje, serce o mało mi nie wyskoczy z piersi. Gdzie jest tata? Gdzie jest Franciszek i gdzie Antonio? Czemu ich tu nie ma? Idzie, podchodzi do szafy, czuję, jak jego ręka dotyka klamki. Muszę ją trzymać, tak mocno, żeby nie dał rady jej otworzyć. Szarpie, coraz mocniej szarpie, nie mam już sił. Gdzie oni są? Boże, puszczam klamkę, drzwi się uchylają!

* * *

Veronika otworzyła oczy, cała była mokra od potu.

- Uff, to był tylko sen, koszmarny sen - westchnęła z ulgą.
- Włączyła płytę Houston. Ależ ona ma głos! Nie знаła lepszej wokalistki.
- Zerknęła na budzik, była osiemnasta, przespała dwie godziny. Powoli usiadła, lewą ręką sięgnęła po telefon i zerknęła na wyświetlacz. Antonio nie dzwonił. To było niepokojące. Wybrała jego numer i przyłożyła aparat do ucha.
- Halo! - usłyszała brata.
- To ja, Veronika. Denerwuję się. Czemu się nie odzywasz?
- Przepraszam, że nie dzwoniłem, ale miałem to zrobić wieczorem.
- No i co? Mów! - dopytywała.

– Była sekcja. Robił ją szwagier mojego kolegi. Stwierdzili rozległy zawał serca.
– Nie został zabity? Nie otruto go lub coś w tym rodzaju?
– Nie, zwykły zawał. Inną przyczynę wykluczono. Podobno w tym wieku zdarza się to ostatnio dość często. Musimy uważać, żeby i nam się nie przytrafił. Postanowiłem od jutra częściej biegać, a przed chwilą zapisałem się na basen.
– Ale to dziwne. – Wciąż nie była przekonana. – Akurat w takim momencie?
– Fakt, ja też w pierwszej chwili myślałem tak jak ty, ale później, już na zimno, doszedłem do wniosku, że to wszystko przez silne emocje pod wpływem twoich opowieści.
– To moja wina? – spytała wyrzutem. – Myślisz, że przeze mnie miał zawał?
– Nie, nie zrozum mnie źle, ale faktycznie cała ta sprawa ogólnie wygląda dziwnie. Mam te zdjęcia i pokażę je komuś jeszcze. Faktem jest, że ta terrorystka została komuś przekazana. Jednak nie przypuszczam, żeby przebywała tak bez strażników w Eryunii, bo przecież by związała. Ma dużo przyjaciół, kontaktów na Bliskim Wschodzie czy nawet w Europie. Terrorysty mają wszędzie zwolenników. Mówiliby o tym w telewizji. To jednak musi być ktoś bardzo do niej podobny.
– Już gdzieś to słyszałam – odparła ze złością, wyłączyła telefon i cisnęła go na fotel.
Aparat zadzwonił. Wstała i pogłośniła muzykę, po czym na bosaka pobiegła do łazienki. Weszła pod prysznic, odkręciła galki, strumień ciepłej wody zaczął obmywać jej ciało. Tymczasem telefon dalej dzwonił.

* * *

Drzwi do pokoju Veroniki naraz się otworzyły i w progu stanął młody mężczyzna w niebieskim drelichu. Rozejrzał się uważnie wokoło, podszedł do dzwoniącego aparatu, zerknął na jego wyświetlacz, podszedł do drzwi do łazienki i przyłożył do nich ucho. Następnie zbliżył się do okna i wyjrzał na zewnątrz.

– Kim pan jest? – usłyszał za plecami. Odwrócił się raptownie i zobaczył przerażoną młodą kobietę, owiniętą w duży ręcznik kąpielowy.

– Kim pan jest? – powtórzyła.

– Spokojnie – wydukał nie mniej przestraszony. – Jestem posłańcem, szukam pani Veroniki.

– To ja! Czemu pan się szwenda po moim mieszkaniu? Jak pan się tu dostał?

– Pukałem, drzwi były uchylone, to wszedłem – tłumaczył się.

– Czego pan chce?

Veronika go nie знаła. Rozejrzała się po pokoju, jednak śladów grzebania w jej rzeczach nie zauważyła, torebka leżała dalej na krześle, telefon na fotelu, szafka z jej papierami też była zamknięta.

– Mam przesyłkę – bąknął.

– Jaką przesyłkę?

– Chwileczkę, zaraz przyniosę.

Ruszył energicznie w jej kierunku. Veronika cofnęła się w panice, speszyło go to. Podniósł ręce, jakby chciał ją uspokoić.

– Moment. Zostawiłem to w holu.

Minął ją i wyszedł. Dziewczyna tymczasem podbiegła do telefonu, chwyciła go, nerwowo wbiła 112 i zatrzymała palec na zielonym przycisku, tak na wszelki wypadek.

Mężczyzna wrócił po dłuższej chwili, w rękę trzymał wielki bukiet czerwonych róż. Bez słowa wcisnął jej kwiaty w ręce i opuścił pokój.

Veronika patrzyła na nie jak zaczarowana. Wprost nie mogła od nich oderwać oczu, nigdy wcześniej nie dostała tak wspaniałej wiązanki. A co za zapach, istna rozkosz dla zmysłu powonienia.

Położyła bukiet na łóżku. W chwilę potem trzymała w ręku wazon. Spojrzała na niego i na róże, był za mały, ale na razie nie miała innego. Nabrała wody z kranu i z dużym trudem wcisnęła kwiaty do naczynia.

Chybotąło się niebezpiecznie na wszystkie strony, więc podparła je ze wszystkich stron książkami. Kiedy się z nim mocowała, z bukietu wypadła mała karteczka z odręczną notką: *Nie musisz się niczego obawiać*. Veronika od razu poznała charakter pisma.

Poczuła, jak serce mocniej jej zabiło. Dostała kwiaty od mężczyzny, który niepostrzeżenie zaczynał coraz bardziej zajmować jej myśli. Ale czy powinien? To przecież Gabriel sprowadził do jej hotelu tych dziwnych ludzi. Szasta pieniędzmi na prawo i lewo, rozbija się luksusowym samochodem, a ona wciąż nie wie nic o nim ani o jego prawdziwych zamiarach. Może jest zbrodniarzem, może chce zrobić krzywdę jej lub ojcu?

Ponownie nachyliła się nad różami. Może dlatego tak mocno odbiera ich zapach, że są od niego?

Ktoś zapukał do drzwi.

– Proszę! – krzyknęła.

W progu stanął Franciszek, jego wzrok spoczął na wiązance.

– Piękne róże! – powiedział z zachwytem. – Od kogo?

– Od... – Dziewczyna się zmieszała. – Od przyjaciela.

– To musi być jakiś wyjątkowy przyjaciel.

Jego słowa zabrzmiały dwuznacznie. Poczuła, że się czerwieni. Odwróciła się w stronę okna, żeby skryć rumieniec.

– Tak, jest wyjątkowy – rzuciła przez ramię. – Ale nie znasz go.

Kucharz się roześmiał.

– Uprzedziłaś moje pytanie. Ale ja przyszedłem z inną sprawą. Swoją drogą mogłabyś przyciszyć muzykę, nie słyszę swoich myśli.

Podeszła do odtwarzacza i go wyłączyła, po czym zwróciła się w stronę Franciszka.

– Co się stało?

– Odsunąłem Molbi od podawania gościom, bo nie chciałem następnej awantury, a ten Mvumbi wciąż się nerwowo rozglądał, chyba na nią czekał. Wyglądał na bardzo zawiedzionego, okazywał niezadowolony, zresztą ona też.

– Ona też? Powinna być ci wdzięczna.

– Nie, wciąż mnie pytała, dlaczego nie podaje gościom. Tłumaczyłem jej, że to dla jej dobra, a wiesz, co ona mi na to odparła?

– Nie...

Skąd mogła to wiedzieć?

– Żebym pilnował swojego nosa, ona ma w umowie podawanie gościom i będzie to robić, czy się zgodzi, czy nie. Ona chce podawać temu Mvumbiemu. Czemu ona chce konfrontacji z tym typem? Nie rozumiem tego, bo przecież ostatnio o mało nie doszło do nieszczęścia. Co robimy?

– Hm... – Veronika podeszła do okna i oparła się plecami o parapet. Dobre pytanie. Faktycznie, sytuacja była co najmniej dziwna. Musiała coś postanowić, a na tyle już знаła Gabriela, że wiedziała, iż mogą być problemy. Tym bardziej że swoim dotychczasowym zachowaniem zdążyła mu się już mocno narazić.

– Porozmawiam z nim – zdecydowała.

– Z tym Trovatem?

– Nie z nim, tylko z Murzynem. Pójdę do niego i porozmawiam z nim w cztery oczy, musi się uspokoić, postraszę go policją. Może to poskutkuje?

Franciszek nie wyglądał na zadowolonego z tego pomysłu. Kręcił głową z dezaprobatą.

- A nie lepiej porozmawiać z nią? – spytał.
- Nie, najpierw z nim.
- Czy to bezpiecznie? Skoro rzucił się na nią, to może i na ciebie. To jest kawał chłopca i mimo swego podeszłego wieku ten goryl może ci zrobić krzywdę.
- Nie, sądzę, że oni muszą się znać. To są jakieś stare animozje. Tylko czemu skrywają to przed nami?
- Widocznie zarówno jedno, jak i drugie nie ma się czym pochwalić, choć ta dziewczyna jest za młoda na jakieś stare grzeszki.
- Może one nie są stare. Pójdę pilnie z nim porozmawiać.
- Zgoda, ale będę stał za drzwiami i jak tylko usłyszę jakieś dziwne odgłosy, wkraczam do akcji.
- Niech będzie. Zaraz ubiorę się i zejść.
- Będę czekał pod jego pokojem.

* * *

Veronika szybko wskoczyła w dżinsy i włożyła czarny wełniany golf. Wzięła komórkę i ruszyła do wyjścia. Zadzwonił telefon, zerknęła na wyświetlacz i od razu dziwny dreszcz przeszedł jej po kręgosłupie; dzwonił Gabriel.

- Słucham.
- Dobry wieczór.
- Dobry wieczór, dziękuję za kwiaty.
- Nie dziękuj, jesteś ich warta.
- Serce jej mocnej zabiło.
- Róże są naprawdę piękne.
- Dasz się zaprosić na kolację?
- Poczuła, jak gorąco uderza jej do głowy.
- Jesteś tam? – spytał Gabriel po dłuższej chwili.
- Jestem, jestem – szepnęła.
- No to jak z tą kolacją?
- No, nie wiem – wahała się. Z jednej strony marzyła o tym, a z drugiej się bała.
- Nie daj się dłużej prosić – nalegał.
- Co robić? Zgodzić się czy odmówić? Jeśli odmówi, to może on już nigdy nie ponowi zaproszenia.
- Nie, nie chce go odrzucać!
- Dobrze, ale muszę załatwić jeszcze jedną sprawę, a nie wiem, ile mi to zajmie czasu.
- Spokojnie, z Mvumbim szybko się dogadasz.
- Jakby w nią piorun strzelił.
- Skąd wiesz, że idę do niego? Skąd znasz każdy mój krok?
- Śmiał się, wcale nie był speszony jej reakcją.
- Przecież wynajmuję twój hotel. Mieszkają tu moi znajomi i mówią mi co nieco.
- Nie wciskaj mi kitu. Tacy twoi znajomi, że niektórzy nawet nie znają twojego nazwiska.
- A czy ty znasz nazwiska wszystkich swoich znajomych?
- Faktycznie, tu trafił w punkt. Niektórych kojarzyła jedynie po imieniu i za żadne skarby nie byłaby w stanie podać ich nazwisk. Nie było sensu kontynuować tego sporu, a perspektywa wspólnej kolacji była bardzo kusząca.
- Dobrze, przyjedź po mnie o dwudziestej pierwszej.

– Jasne, będę punktualnie.
Skończyli rozmowę.

Chyba dobrze robię? – zastanawiała się. Przecież jakby chciał ją skrzywdzić, to nie musiałby rezerwować całego hotelu. Mając tyle pieniędzy, mógłby bez problemu wynająć jakichś zbirów, po czym ją porwać lub zamordować.

Schowała telefon do kieszeni, wygoniła Romulusa z kuchni, żeby nie zaglądał do garnków, i zbiegła po schodach na pierwsze piętro. Tam pod pokojem Mvumbiego już warował Franciszek. Miał bardzo surową minę i, ku zaskoczeniu Veroniki, dzierżył w dłoni duży kuchenny tasak. To ją rozśmieszyło.

– Groźnie wyglądasz – stwierdziła.

On tylko mrugnął do niej okiem. Zapukała.

– Proszę – usłyszała ze środka. Nacisnęła klamkę, pchnęła drzwi, po czym weszła do pokoju.

Murzyn leżał na łóżku w ubraniu, nawet nie zsuł wysokich wojskowych butów. Veronika wymownie spojrzała na nie, ale Mvumbi wcale się tym nie przejął. Mierzył ją tylko pozbawionym wyrazu wzrokiem.

– Wiem, czym sobie zasłużyłem na dzisiejszą wizytę – odezwał się pierwszy.

– Widzę, że jednak pan się tym zbytnio nie przejmuje.

– Czym mam się przejmować?

Usiadł i sięgnął po cygara leżące na szafce.

– W hotelu jest zakaz palenia – zauważyła.

Machnęła lekceważąco ręką.

– I tak zostało mi już mało czasu. Mam sobie nawet tego odmówić?

– Dobrze, jakoś przeżyję palenie, ale nie życzę sobie awantur – rzekła pojednawczo.

Spojrzał na nią zdziwiony.

– Awantur? Pani raczy żartować. To przecież prowokacja, specjalnie zatrudniliście tę dziewczynę.

Veronika nie kryła zdumienia. O czym on mówi, jaka prowokacja?

– Nie rozumiem, a jaki miałabym w tym cel? Nie chcę tu żadnych burd.

– Żeby mnie zdeptać, wcisnąć w ziemię jak jakiegoś robaka. – Podniósł głos.

– Ja nic do pana nie mam. Ja pana w ogóle nie znam – oznajmiła.

– Pani nie, ale ten, jak mu tam... Trovato. To jego robota.

– Skoro on pana prześladowa, to czemu pan przyjął jego zaproszenie? Tu nie ma krat, w każdej chwili może pan opuścić hotel.

– Czyżby? – Patrzył na dziewczynę, jakby zastanawiał się, czy ona kpi, czy też faktycznie nic nie wie.

– Pani naprawdę o niczym nie wie – stwierdził wreszcie z rezygnacją w głosie. – Jest pani tylko bezwolnym narzędziem w jego ręku.

– To niech mnie pan uświadomi. Czemu ta kelnerka tak na pana działa? Dlaczego pan się na nią dziś rzucił? Personel powiedział, że chciał pan z niej zderzeć ubranie. Bierze pan coś? Narkotyki, a może dopalacze?

Mvumbi odgryził koniec cygara i wypluł go na podłogę, następnie wyjął z kieszeni zapalniczkę i przypalił. Aromat tytoniu rozszedł się po pokoju. Murzyn chwilę puszczał finezyjne kółeczka z dymu, nie patrząc na Veronikę. Ona cały czas stała jak posąg i spoglądała na niego. Czekwała na odpowiedź.

– Tak, chciałem zerwać z niej odzienie, chciałem coś zobaczyć – odezwał się w końcu.

– Co chciał pan zobaczyć?

– Jej piersi.

Veronikę zatkalo ze zdumienia, stary zbereźnik chcial zobaczyc piersi mlodej dziewczyny, i to za wszelka cene.

Zauwazyl jej zgorzona mine. Pokrecil glowa.

– To nie to, o czym pani myśli. Chciałem coś sprawdzić.

– Co konkretnie? Jakiś znak szczególny, bliznę?

– Coś w tym rodzaju. – Roześmiał się w głos.

Jego śmiech był straszny, wręcz upiorny.

Mvumbi, jakby oderwany od rzeczywistości, wciąż puszczał kóleczka z dymu. Veronika właściwie przestała dla niego istnieć.

W pewnym momencie znudziła się tą sytuacją. Bez słowa opuściła pokój. Od razu na korytarzu wpadła na Franciszka. Cały czas czuwał za drzwiami, a ostrze tasaka groźnie połyskiwało w świetle żyrandola.

– No i co? Był zaczepny? Powiedział, czego od niej chce? – zarzucił ją pytaniami.

– Wszystko w porządku – starała się go uspokoić. – Mam nadzieję, że to się nie powtórzy. Porozmawiam z Gabrielem na jego temat.

– Jeśli go spotkasz. Od dawna go nie widziałem. – Kucharz zaśmiał się ironicznie.

– Ja będę się dziś z nim widzieć. Zaprosił mnie na kolację. To dobra okazja, żeby się z nim rozmówić.

– Ja bym nie poszedł.

– I dlatego zaprosił mnie, a nie ciebie.

Pomachała mu ręką i pobiegła do swojego mieszkania.

– Nie podoba mi się to – burknął pod nosem kucharz. – Idę do jej ojca, niech o tym wie.

Punktualnie o dwudziestej pierwszej przed wejście zajechał czarny mercedes. Wysiadł z niego Gabriel. W tym samym momencie drzwi hotelu się otworzyły i w progu stanęła Veronika.

– Olśniewająca – wykrzyknął z zachwytem mężczyzna.

Dziewczyna czuła, że purpurowieje.

– Przestań, proszę. Zawstydzasz mnie.

Uśmiechnął się do niej.

– Mam kłamać?

Faktycznie musiałyby skłamać. Veronika w obcisłej czarnej sukience wyglądała zabójczo.

Ty też nieźle wyglądasz, pomyślała o nim. Idealnie skrojony szary garnitur o delikatnym połysku i perfekcyjna elegancja całości rzucały się w oczy. Jednak nie będzie mu schlebiać, nie będzie podbudowywać męskiego ego, stwierdziła.

– Chodźmy. – Wskazał ręką otwarte drzwi limuzyny.

Wsiadli, a po chwili mknęli autostradą w kierunku Massy.

– Muszę przyznać, że ten Gabriel to atrakcyjny mężczyzna. Ładnie się prezentują razem, pasują do siebie.

– Co ty gadasz, Bernardo? – Franciszek ze złością uderzył dłonią w kierownicę. – Ten człowiek jest mocno podejrzany.

– Może przesadzamy? Znam się na ludziach, on na łobuza nie wygląda. Sam mówiłeś, że przysłał Veronice piękny bukiet róż.

– Kwiaty! Co to jest dla niego kupić kwiaty? To bardzo bogaty facet.
– Skąd wiesz? Masz wgląd do jego konta?
– Biedny nie jeździ taką bryką. Widziałeś, jakiego ma mercedesa?
– Dobra, nie gadaj tyle, tylko ruszaj, nie możemy ich zgubić.
– A ty mógłbyś przestać palić te wstrętne papierosy, już nie mam czym oddychać. – Franciszek zaczął kasłać i machać ręką na wszystkie strony, starając się rozgonić kłęby tytoniowego dymu.
– To otwórz okno.
– Jak je otworzę, to później nie zamknę. Jakaś linka pękła i nie działa.
– Czemu trzymasz takiego trupa? – Bernardo kręcił głową z niesmakiem. Odkąd wsiadł, cały czas szarpał się z pasami, próbując je zapiąć, ale bezskutecznie.
– Jakbyś mi kiedyś lepiej płacił, to teraz też miałbym mercedesa.
– Nie marudź, jeźdź.
– Jadę, jadę – burknął kucharz.
Przekręcił kluczyk w stacyjce i wrzucił bieg. Coś strasznie zazgrzytało, zapiszczało. Stary, rozklekotany fiat Franciszka drgnął i powoli ruszył z miejsca.

* * *

Gabriel w pewnej chwili wyjął ze skrytki płytę i wsunął ją do odtwarzacza. Piosenka Whitney Houston wypełniła wnętrze samochodu.

– Skąd wiesz, że ją uwielbiam? – szepnęła Veronika.
Nie odpowiedział, tylko się uśmiechnął.
Prowadził auto bardzo pewnie, a przy okazji obserwował skrycie i Veronikę, i jadący za nimi samochód. Dziewczyna to zauważyła.
– Czemu wciąż patrzysz w lusterko?
– Staram się tak jechać, żeby nas nie zgubili.
– Kto?
Odwrociła się i spojrzała w tylną szybę. Faktycznie w pewnej odległości za nimi widać było światła.
– Boże, kto nas śledzi? – szepnęła przestraszona.
– Nie bój się. To twoi ochroniarze.
– Nie mam żadnych ochroniarzy.
– Masz, tylko o tym nie wiesz. Muszę znów zwolnić. Franciszek powinien kupić sobie nowe auto.
– Franciszek? Czy to on jedzie za nami?
– Nie dziw im się. Boją się o ciebie.
– Boją? Ktoś z nim jest?
– Nie domyślasz się kto? – Popatrzył na nią.
– Nie mam zielonego pojęcia.
– Twój ojciec.
– Tata? Nie wierzę! On się nigdzie nie rusza z domu, już chyba od kilku lat nie opuścił posesji.
– No to właśnie dziś to zrobił.
Spojrzała z niepokojem na Gabriela, bała się, że się obrazi, że poczuje się dotknięty.
– Czy oni powariowali? Przepraszam cię, ale nic o tym nie wiedziałam – zaczęła się tłumaczyć.
Uśmiechnął się do niej.
– Czemu przepraszasz? Ciesz się, że dbają o ciebie, że się martwią. Nawet nie wiesz, ilu ludzi chciałoby mieć kogoś takiego, kogoś, kto będzie się o nich troszczył.

Ponownie zerknęła do tyłu.

– Zatrzymaj się – zdecydowała. – Każę im wracać, nie będą mnie śledzić. Skończ tę blazenadę.

– Nie psuj im zabawy. Niech jadą za nami, co nam szkodzi? Niech mają starszkwowie trochę frajdy.

– To ci naprawdę nie przeszkadza?

Patrzyła na mężczyznę z coraz większą sympatią. Nie odpowiedział, tylko pokręcił głową.

– A ty masz kogoś takiego? – spytała nagle.

Spojrzał na nią, jakby nie rozumiejąc, o co jej chodzi.

– No, kogoś, kto martwi się o ciebie? – wyjaśniła.

– Miałem.

– I co się z tym kimś stało?

– Już nie żyje – odparł.

– Przykro mi.

– Niepotrzebnie, to było dawno temu. Nie mówmy o tym.

– A twoi przyjaciele?

– Przyjaciele? – Przystał obserwować drogę, przeniósł wzrok na Veronikę. Pojazd niebezpiecznie zbliżył się do pobocza.

– Uważaj na drogę! – krzyknęła przerażona dziewczyna.

Z powrotem skupił się na prowadzeniu samochodu.

– Nie masz przyjaciół? – nie ustępowała.

– Zgadza się. Nie mam przyjaciół.

– To smutne – szepnęła.

– Przyzwyczailem się. Da się z tym żyć. – Zaśmiał się.

– Masz dziewczynę, żonę? – spytała z wahaniem. Czowała, że serce mocniej jej bije.

– Czuję się jak na przesłuchaniu – zadrwił.

– Przepraszam – bąknęła zmieszana.

Gabriel nic nie odpowiedział. Mimo mroku panującego w aucie zauważyła, że uśmiecha się tajemniczo. Co mógł oznaczać ten uśmiech?

Właśnie dojeżdżali do centrum Massy. Przemieszczali się rześście oświetlonymi ulicami, ruch pojazdów był spory, zresztą nie tylko pojazdów, co i rusz widać było grupki przechodniów. Zajechali przed przeszklony gmach Hiltona i się zatrzymali.

Natychmiast pojawił się boy w czerwonej liberii i otworzył drzwi od strony pasażera. Wtedy Gabriel nachylił się do Veroniki, puścił do niej oko i szepnął jej do ucha:

– Nie mam.

Wysiedli. Dziewczyna zerknęła do tyłu i zobaczyła starego fiata Franciszka, parkującego w oddali na ulicy. Weszli do budynku. Veronika rozejrzała się wokoło ciut wystraszona, nigdy tu bowiem nie była. Słyszała, że w tym hotelu zatrzymują się gwiazdy filmowe i biznesmeni. Ceny za pokoje były kosmiczne, zaporowe dla zwykłego śmiertelnika. Gabriel prowadził ją holem wykładanym marmurami aż po sam sufit. Szedł pewnie w kierunku restauracji, znał dobrze drogę, musiał tu często bywać.

No tak, pomyślała Veronika. Pewnie nie ją pierwszą tu zaprosił.

Kiedy stanęli w progu lokalu, jak spod ziemi wyrósł przed nimi kelner.

– Witam państwa – wyrecytował z szerokim uśmiechem na twarzy, kłaniając się w pas. – Stolik przygotowany.

Poprowadził ich w róg sali. Minęli kilkanaście stolików, przy których siedziało bardzo elegancko ubrane towarzystwo, i usiedli za wielkim filarem, odizolowani od innych gości. Kelner podał karty dań

i jak posąg zastyl w oczekiwaniu na zlecenie. Gabriel nawet nie otworzył menu. Spojrzał pytająco na Veronikę.

– Czego sobie życzysz?

Zmieszała się. Skąd miała wiedzieć, czego sobie życzy? Nigdy nie była w tak eleganckiej restauracji, nie miała pojęcia, co tu podają.

Natychmiast zorientował się w sytuacji i dyskretnie uśmiechnął.

– Pozwolisz, że ci pomogę?

Posłała mu wdzięczne spojrzenie.

– Lubisz pieczoną kaczkę z jabłkami?

– Kaczkę jadłam, jabłka też, ale tego wszystkiego upieczonego razem nigdy. Mogę spróbować.

– Super. To danie bardziej niemieckie, ale weźmiemy też sałatkę z rukoli, czerwonej cebuli i pomidorów, w końcu jesteśmy we Włoszech.

– Poprosimy dwa razy to samo, no i wino – zwrócił się do kelnera. – Chwileczkę... – Popatrzył na dziewczynę. – Jakie wino lubisz?

– Wszystko jedno, raczej rzadko piję.

– Do kaczki poprosimy pinot noir, a tymczasem proszę szampana Pol Roger, tylko dobrze zmrożonego.

– Oczywiście, czy to wszystko?

– Nie, nie! – Gabriel puścił oko do Veroniki. – Jeszcze proszę dwie takie same porcje dla dwóch panów w starym żółtym fiacie mirafiori, który zakotwiczył w głębi ulicy, jakieś sto pięćdziesiąt metrów od Hiltona.

Kelner wydawał się zaskoczony, ale po chwili znów się uśmiechnął.

– Czy szampana też?

– Tak, niech będzie i szampan, ale mniej mrożony, to są delikatne egzemplarze i łatwo mogą się przeziębic.

– Przepraszam, że pytam, ale czy ci panowie nie mogą tego wszystkiego skonsumować w lokalu? Możemy przecież znaleźć jakiś wolny stolik lub dostawić do tego.

Trovato gestem kazał się kelnerowi nachylić do siebie, co tamten niezwłocznie uczynił.

Kilka wyszeptanych słów sprawiło, że mężczyzna pokiwał tylko głową i szybko się oddalił. Nie dość, że jest bardzo przystojny, to jeszcze dowcipny. Veronika myślała o Gabrielu z coraz większą sympatią. Wyobrażała sobie minę ojca i Franciszka, to musiał być bezcenny widok.

– Cieszę się, że przyjąłeś moje zaproszenie. – Gabriel przerwał jej rozmyślenia.

– Sama nie wiem, dlaczego to zrobiłam, tak jakoś wyszło – odparła zmieszana dziewczyna.

– Jakoś wyszło? Czemu nie powiesz, że ci się po prostu podobam?

Patrzyła na niego. Jego wzrok ją zniewalał, nigdy nie widziała takich oczu, były niczym dwa czarne diamenty.

– Niech ci będzie, podobasz mi się – przyznała.

– Miło mi. – Posłał jej szeroki uśmiech. – Przepraszam, ale ja już jestem z natury taki bezpośredni.

– Lubię ludzi, którzy mówią, co myślą.

– Niestety nie zawsze mogę to czynić. Moja praca zmusza mnie do dyskrecji.

– Uprzedzasz moje pytania – rzekła z wyrzutem.

– Tak, wolę je uprzedzić, po prostu dziś nie chcę rozmawiać o pracy.

– Dziwna ta twoja praca.

Wzruszył jedynie ramionami.

Podszedł kelner z małym wózcikiem, na którym było pełno najróżniejszych dań i przekąsek. Veronika z osupieniem obserwowała, jak przekładał wszystko na ich stolik. Na koniec nalał szampana, zabrał wózek i się oddalił. Gabriel podniósł swój kieliszek.

– Za miłe spotkanie!

Veronika wypiła w milczeniu, uważnie obserwując mężczyznę.

– Jesteś dla mnie wielką zagadką... – zaczęła. – Wynajmujesz mój hotel, przeplacając, i to znacznie, sprrowadzasz pod mój dach dziwnych ludzi. Coś ukrywasz przede mną.

– Miało nie być o pracy. Oprócz niej istnieje wiele innych, przyjemniejszych rzeczy. Skupmy się na nich.

– Dla mnie hotel jest całym moim życiem, w nim spędzam czas, ten wolny też.

– Nie masz chłopaka, narzeczonego?

– Nie, nie mam na to czasu. A ty masz czas na kobiety?

Kelner dolał im szampana do kieliszków.

Gabriel uśmiechnął się, wyraźnie ta rozmowa zaczęła go bawić.

– Sądzisz, że jestem lekkoduchem? Jakimś utracjuszem? Nic z tych rzeczy.

– Widzę, że znasz ten lokal, obsługa też cię zna, pewnie nie jestem tu pierwszą kobietą zaproszoną na kolację?

Gabriel spowaźniał. Zamyślił się. Po chwili wyjaśnił:

– Mieszkał tu od pewnego czasu, stąd mnie znają. Nie zawieram przygodnych znajomości z kobietami.

– Jakoś ci nie wierzę.

– Twój wybór, ale nie masz do tego podstaw. Czy kiedyś cię okłamałem? – spytał cichym głosem, nie spuszczając z niej wzroku.

Faktycznie, nigdy jej nie okłamał. Jeżeli czegoś nie chciał powiedzieć, to nie mówił, ale na kłamstwie go jeszcze nie złapała.

– Tego ci nie mogę zarzucić – przyznała szybko. – Pyszna ta kaczka, muszę ją u siebie włączyć do menu – zmieniła temat.

Zamilkli i skupili się na jedzeniu.

Kelner z dużym koszykiem pełnym jedzenia wyszedł przed hotel. Spojrzał w niebo, padało. Rozłożył parasol i rozejrzał się wokoło, po czym ruszył chodnikiem wzdłuż ulicy.

– Zobacz, ktoś idzie w naszym kierunku – szepnął Bernardo i wcisnął się głębiej w fotel.

– Spokojnie, przecież na ulicy stoi wiele samochodów, pewnie idzie do któregoś z nich.

– Oj, nie wiem. Mówię ci, że idzie w naszą stronę. Co robimy?

– Siedzimy. Wolno nam siedzieć w aucie.

– Ja udam, że śpię.

Bernardo sięgnął ręką na tylne siedzenie po pled i przykrył się nim. Franciszek oparł głowę o zagłówek i przymknął oczy. Jednocześnie uważnie obserwował teren przed pojazdem. Już dokładnie widział nadchodzącego mężczyznę i wielki kosz w jego ręku. Coś niesie, pomyślał, to na pewno nie dla nas. Przybysz jednak podszedł od strony kierowcy i przystanął. Kucharz widział, że tamten zagląda do środka. Zapukał w okno, żaden nawet nie drgnął. Tamten ponownie zapukał, tym razem jeszcze mocniej.

– Proszę otworzyć, przyniosłem kolację! – krzyknął.

– Kolację? Jaką kolację? My nic nie zamawialiśmy! – Oliveto rozchylił koc i zerknął przez szybę. Nieznajomy pokazywał duży kosz. Spod przykrycia wystawała szyjka butelki, a ukryte w koszu przedmioty przypominały naczynia kuchenne. Na czym jak na czym, ale na tym Bernardo się znał, zresztą obaj się znali. Szturchnął w bok Franciszka.

– Ten facet ma dla nas kolację – szepnął.

Kucharz poprawił się w fotelu i tak jak jego towarzysz zerknął na koszyk. Przybysz znów zapukał w szybę.

– Otwieracie czy mam iść z powrotem? – denerwował się.

Drzwi od strony kierowcy powoli się uchyliły. Wyrzwał przez nie Franciszek i bezceremonialnie ściągnął nakrycie z koszyka. Wspaniały zapach pieczonej kaczki dotarł do środka pojazdu. Drzwi otworzyły się szerzej, kucharz chwycił koszyk i wciągnął go do auta, nie zważając na zaskoczoną minę kelnera.

– Od kogo, jeśli można wiedzieć? – zapytał, zamykając drzwi.

– Od pana Trovata – odparł tamten i poszedł z powrotem w stronę Hiltona.

Bernardo i Franciszek zerknęli po sobie. Stary Oliveto zrobił triumfującą minę.

– Mówiłem ci, że to równy gość – skwitował sytuację i wziął się do wyjmowania pojemników z koszyka. Franciszek zerknął na butelkę.

– Szampan świetnej marki i dobry rocznik. Ten skurczybyk zna się na winie i, sądząc po zapachu, także na jedzeniu.

Może faktycznie pasowałby do rodziny? – pomyślał. Veronika sama nie da rady prowadzić Erynii na dłuższą metę, a ten Gabriel wydaje się bardzo przedsiębiorczym mężczyzną.

– Za dużo wie o twojej rodzinie – rzucił w kierunku już zajądającego się kaczką Bernarda. Oliveto nic nie odpowiedział, tylko zrobił ramionami gest, który mógł znaczyć „czy to w tej chwili ważne, skoro takie świetne jedzenie stygnie?”.

Było dobrze po północy, kiedy Veronika z Gabrielem wyszli z restauracji. Stanęli w progu hotelu i czekali na samochód. Boy podstawił limuzynę i podał kluczyki mężczyźnie, a ten otworzył dziewczynie drzwi. Wsiadła, on zajął miejsce kierowcy i powoli ruszyli w stronę ulicy. Podjechali pod stojący po drugiej stronie samochód. Veronika opuściła szybę, wychyliła się i zajrzała do środka fiata. Widok był przezabawny. Bernardo i Franciszek spali w najlepsze, a na kolanach tego pierwszego leżała pusta butelka po szampanie. Dziewczyna wybuchnęła śmiechem.

– Ale z nich strażnicy!

– Musisz przyznać, że to miły widok – zauważył Trovato.

– Owszem. Tak naprawdę to mam tylko ich dwóch, bo bracia mają swoje życie, wpadają tu kilka razy do roku, i to na krótko. Kochane starszki.

Podczas drogi Veronika co i rusz zerknęła na Gabriela. Zauważyła, że od pewnego momentu zmarmotniał.

– Jeśli ci tak smutno, możesz się ze mną umówić ponownie – zażartowała.

– Zamyśliłem się, sorry – odparł.

Siedział nieruchomo, wpatrzony w jakiś punkt w oddali, mocno ściskając kierownicę. Musiał to być bardzo mocny uścisk, bo mimo półmroku widać było grube jak rzemienie żyły na jego rękach. Dziewczyna położyła swoją dłoń na jego dłoni; poczuła chłód. Mocno ją ścisnęła, ale Gabriel ani drgnął.

– Co ci jest? – Patrzyła na niego z niepokojem. Gdzieś wyparowały jego dobry humor i energia, którą emanował przez ten cały, jakże wspaniały, wieczór.

– Nic. Ostatnio mam sporo pracy – bąknął pod nosem. Nawet nie zerknął na nią.

Mercedes zatrzymał się tuż przed Erynią.

– Przepraszam cię, ale muszę już jechać.

Wyszedł z auta i otworzył drzwi od strony Veroniki.

– Dziękuję za kolację – powiedziała cichym głosem. – Dobranoc.

– Dobranoc!

Jak tylko wysiadła, natychmiast wrócił za kierownicę i odjechał.

Patrzyła jeszcze za nim, ale po chwili ulica była kompletnie pusta.

Czemu tak się zachował? Co zepsuło tę randkę? Myśli latały jej po głowie jak oszalałe. Wolnym krokiem poszła w stronę hotelu.

Zaskrzypiała otwierana furtka. Veronika weszła do ogrodu i skierowała się w stronę tarasu. Podeszła do najbliższego stolika i usiadła przy nim, z ulgą zdjęła buty, piękne, ale niewygodne. Położyła stopy na krześle obok. Poczua ulgę. Zamknęła oczy i zaczęła się zastanawiać. Czy powiedziała coś nietaktownego? Dlaczego tak nagle się zmienił? Kim naprawdę jest Gabriel Trovato? Wciąż nie odważyła się go o to zapytać wprost.

Poczua chłód, więc wstała od stolika i na bosaka poszła w kierunku drzwi. Nagle usłyszała dźwięk esemesa. Nerwowo sięgnęła do torebki, chwilę szukała aparatu. Zerknęła na wyświetlacz, to była wiadomość od niego. Wyświetliła treść: *Dziękuję za miłe towarzystwo*. Kamień spadł jej z serca.

Starannie zamknęła drzwi od środka i wbiegła po schodach na górę. Jakże raptowna zmiana nastroju! Teraz była szczęśliwa.

Nie mogła spać tej nocy, spotkanie z Gabrielem było dla niej zbyt ekscytujące. Wydawało jej się, że powoli zaczyna go odkrywać, że on odsłania swoje prawdziwe oblicze, oblicze człowieka bardzo wrażliwego i o wielkiej mądrości życiowej. Żeby ją osiąść w tak młodym wieku, trzeba mieć bogatą przeszłość, trzeba mieć za sobą bardzo burzliwe dzieciństwo i młodość.

DZIEŃ CZWARTY, CZWARTEK

W cześnie rano Veronika zajrzała do kuchni.

– Franciszek, coś ty taki blady? – zagadnęła od progu. Kucharz zmieszał się, odstawił na bufet wielki garnek, który niósł z trudem. Wyciągnął z kieszeni fartucha wielką kraciastą chustkę i przetarł spocone czoło.

– Przepraszam, wygłupiliśmy się – burknął. Jego wzrok błędził po ścianach. Dziewczyna dobrze wiedziała, że te przeprosiny musiały go dużo kosztować.

– Owszem, wygłupiliście się, ale to było miłe – odparła i nuciąc jakąś wesołą melodię, poszła na zaplecze.

Przechodząc obok szatni, zobaczyła Molbi. Murzynka jej nie dostrzegła. Stała przy szafce, przebiewała się. Veronika zajrzała do niej, wtedy tamta raptownie odwróciła się twarzą w jej kierunku, ukazując nagie tors.

– Boże! – krzyknęła Veronika.

Widok był przerażający. Kelnerka nie miała piersi, zamiast nich widoczne były okropne blizny. Nie chirurg ją pozbawił kobiecych atrybutów, to było pewne. Ten ktoś je brutalnie odciął! Murzynka szybko zasłoniła tors, odwróciła się i założyła białą bawełnianą bluzkę. Veronika bez słowa usiadła na stojącym przy drzwiach krzeselku.

Zapadła wymowna cisza.

– Kto ci to zrobił? – spytała Oliveto, kiedy ciut ochłonęła. – Co to za potwór?

Molbi kucnęła przy niej. Patrzyła jej głęboko w oczy.

– Zły człowiek, bardzo zły człowiek. – W kącikach jej oczu pokazały się łzy.

– Ale dlaczego? Co ty mu wcześniej zrobiłaś?

– Nic, kochałam innego. Nie chciałam go. To wystarczyło.

– Okaleczył cię z zazdrości?

Molbi, słysząc jej słowa, pokręciła głową.

– Nie. W żadnym wypadku. Jedynie uraziłam jego dumę.

– Jak to? To straszne.

Veronika nie mogła pojąć takiego okrucieństwa.

– Jesteś bardzo dzielna – powiedziała z podziwem w głosie.

– Nie, nie jestem – szepnęła Molbi. Wstała z kucek, założyła fartuch, dyskretnie otarła łzy, podeszła do wiszącego za drzwiami lustro, poprawiła makijaż i wyszła.

Tego dnia podczas śniadania nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego. Mvumbi cały czas uważnie obserwował kelnerkę, ale do żadnych chamskich zaczepek się nie posunął. Franciszek i Bruno czuwali przy drzwiach, żeby w razie awantury uspokoić krewkiego Murzyna, zaś Veronika siedziała w kącie jadalni i nawet na chwilę nie spuszczała wzroku z gości. Przy okazji ponownie zerknęła na portal policyjny, ale nic się nie zmieniło od ostatniego razu, kiedy tu zaglądała. Nikt nie szukał Edyty Knopf.

Zaciekawiła ją jej przeszłość, ale już pierwsza wzmianka o niej przerażała. Edyta Knopf była w przeszłości najbliższą współpracowniczką Maria Morettiego, przywódcy Czerwonych Brygad i według zeznań ujętych przez policję członków tej organizacji to ona zabiła Alda Mora, byłego

premiera Włoch. Z zimną krwią wpakowała w niego cały magazynek. Później współpracowała z terrorystami z Al-Kaidy i razem z nimi przeprowadziła kilka krwawych zamachów w Europie, między innymi na kolej podmiejską w Madrycie. Długa była lista przestępstw Krwawej Edyty, jak ją zwali współpracownicy.

Jeśli to ona, to strach pomyśleć, co może jeszcze zrobić.

Nagle wzrok Veroniki padł na Stefana Bontatego. Patrzył na nią i się uśmiechał.

O rety, zupełnie zapomniała o jego liście. Stwierdziła, że nie może mu się przyznać, zaraz pojedzie na pocztę i go wyśle. Skinęła głową, dając mu znać, że to już uczyniła. Podziękował spojrzeniem. Musiało to z boku bardzo śmiesznie wyglądać, ale nikt z obecnych nie zauważył ich rozmowy na migi.

Mvumbi jako pierwszy skończył jeść. Wstał, powiedział do kelnerki coś, co ją bardzo wzburzyło, po czym wyszedł. Zaraz po nim jadalnię opuściła Krwawa Edyta. Inni jeszcze jedli. W pewnym momencie ksiądz odłożył sztućce, wstał i podszedł do Veroniki.

– Przepraszam, ale mam prośbę – zagadał.

– Tak? – Spojrzała na niego niechętnie. Dobrze pamiętała scenę z chłopcem.

Miała wrażenie, że jej nastawienie nie uszło jego uwadze. Być może zauważył ją w parku?

– Wiem, że pani mnie nie lubi, ale przejdźmy nad tym, mam ważną sprawę. Zna pani tutejszego proboszcza?

– Owszem – przytaknęła – znam.

– Chciałbym się z nim spotkać. Czy mogłaby mi pani w tym pomóc? Chodzi o to, żeby to było bardzo dyskretne spotkanie.

– Nie chce pan, żeby Gabriel Trovato się dowiedział? – rzuciła bez ogródek.

Trafiła w punkt. Mężczyzna zbladł.

– Właśnie. Bardzo mi na tym zależy.

– Czemu pan sam do niego nie pójdzie, to nie jest daleko, spacerkiem z pół godziny? – spytała opryskliwie.

– Nie będzie chciał się ze mną spotkać.

– Zna pana?

– I tak, i nie, proszę nie pytać. Będę zobowiązany.

Skinął głową na pożegnanie i wyszedł z jadalni.

Proboszcz. Przypomniała sobie, że i tak miała go odwiedzić. Ta starsza kobieta z pociągu prosiła o przekazanie pozdrowień. W gruncie rzeczy to jest bardzo dobry pomysł, może dowie się czegoś więcej o swojej rodzinie? Już wielokrotnie się przekonała, że obcy ludzie są bardziej skłonni do uchylenia rąbka jej tajemnic rodzinnych niż najbliżsi.

Vogel siedział na tarasie w foteliku i przeglądał „Bildla”. Na trzeciej stronie dojrzał fotografię. Uważniej się jej przyjrzał; dobrze znał przedstawione miejsce. To przecież Breslau, a właściwie jego przedmieścia. To musiała być bardzo stara fotka, z czasów jego młodości. To tu sprowadzili się po opuszczeniu Śląska. Ile to już minęło lat?

Nagle czas raptownie ruszył do tyłu, wszystko odpłynęło.

Poznał swój dom. Widział wyraźnie ten charakterystyczny dach z przekrzywionym kominem na szczycie. Widział furtkę z wiecznie skrzypiącymi zawiasami. Z małych okienek bił blask światła. Teraz widział wnętrze. Stół z czterema zydłami, komoda pod oknem i piec w rogu. Uwielbiał siedzieć przy nim i opierać się o niego plecami. Wszędzie idealny porządek, to zasługa mamy.

Dojrzał rodziców, znów się o coś kłócili, ojciec wymachiwał rękoma.

– Fryderyku, chodź tu szybko! – krzyczał ojciec. – Chodź tu natychmiast, nicponiu!

- Zostaw go, Hans! Daj mu spokój! – broniła go matka.
- Ma tu przyjść, i to zaraz – upierał się stary.
- Daj mu się uczyć, dzieciak ma ciąg do nauki – błagała.
- A po co mu ta nauka? – Hans się zaśmiał. – Wystarczy, jak będzie umiał czytać i pisać.

Fryderyk siedział w swoim pokoiku na łóżku i z trwogą nasłuchiwał kłótni rodziców. Zamknął trzymaną na kolanach książkę, podręcznik chemii, i schował ją pod poduszkę. Z hukiem otworzyły się drzwi i w progu stanął ojciec. Chwiał się na nogach, czuć było od niego alkohol.

- No, ruszaj po wodę do studni! – krzyknął. Z wściekłością patrzył na syna. – Ruszaj się, walkoniu jeden!

Chłopiec poderwał się z łóżka i ze strachem wymknął z pokoju. W samej koszulinie, mimo niskiej temperatury, wybiegł na dwór, trzymając w ręku ciężkie ocynkowane wiadro. Omijając wielkie kałuże, w o wiele za dużych dla niego kaloszach poczłapał w kierunku studni. Tuż za nim biegł mały kundelek i lasił mu się do nóg. Chłopiec zatrzymał się i schylił do psiaka.

- Tak, mordko – powiedział do zwierzęcia. – Muszę się uczyć, nie chcę być taki jak tata. Kiedyś zabiorę mamę i ciebie, zaopiekuję się wami.

- Idziesz już? – Usłyszał ponaglający go głos ojca od strony domu. Przerwał głaskanie kundelka i podszedł do studni. Kilkakrotnie spuszczał kubel w dół i podciągał. Nie miał tyle sił, żeby wciągnąć wodę za jednym razem. Kiedy wiadro się napełniło, chwycił je i ciężko sapiąc, uginając się pod ciężarem, ruszył z nim do domu. Wszedł do środka i ze strachem rozejrzał się po izbie. Matka siedziała zapłakana w kącie przy piecu, taty nie było. Pewnie już leżał na wyrku i spał. Zawsze było to samo. Po pracy, kiedy wracał z młyna, skręcał do tej knajpy na rogu ulicy. Później kompletnie pijany wyżywał się na nich. Fryderyk nigdy nie zapomni tego dnia, kiedy poturbował się na rowerze. Ojciec dostał szalu, i to nie z powodu jego obrażeń, ale na widok tylnego koła, przypominającego kształtem kurze jajko. Gdyby nie sąsiedzi, pewnie by go zabił. Oni uratowali mu życie. Tydzień nie chodził do szkoły, wstydził się siniaków. Z czasem ojciec stawał się coraz gorszy, a bywały wieczory, gdy musieli kryć się przed nim u sąsiadów czy dalszej rodziny. Któregoś dnia tak pchnął mamę, że uderzyła głową o rant łóżka i straciła przytomność. Wtedy ojciec się przeraził, na pewien czas przestał nawet pić. Mama po tym wypadku poważnie zachorowała. Ciotka, siostra mamy, z wujkiem złożyli się na lekarza. Okazało się, że po uderzeniu powstał w głowie wielki krwiak. Medyk przepisał jakieś leki, ale nie mieli pieniędzy, żeby je wykupić. Było coraz gorzej. Aż nadszedł ten straszny dzień, mama zmarła.

Wtedy na jej grobie Fryderyk przysiągł, że zostanie lekarzem i wynajdzie cudowne lekarstwo na wszystkie choroby.

Jednak po jej śmierci musiał porzucić naukę. Ojciec pił dzień w dzień i nie starczało na życie. Chłopak poszedł więc do pracy, do tej samej knajpy, gdzie tamten tracił wszystkie zarobione pieniądze. Właściciel zlitował się nad nim i zatrudnił go do sprzątania i mycia kufli po piwie. Praca była od rana do wieczora, czasu ani siły na naukę nie zostawało. I właśnie wtedy zabłysło dla niego światelko w tunelu beznadziei. Kurt, brat cioteczny, zaprowadził go do siedziby Hitlerjugend. Przyjęli go z otwartymi ramionami, dali nowe ubranie, nie musiał już harować jak roboczy wół. Ponownie poszedł do szkoły. Nauczyciel chemii już na pierwszej lekcji zwrócił uwagę na jego zdolności i zamiłowanie do tego przedmiotu. Było wspaniale, aż do momentu, kiedy wracał do domu, bo tam zaczynało się prawdziwe piekło na ziemi. Ojciec coraz częściej dostawał ataków szału, wściekał się, bo stracił pracę i nie miał za co pić. Zaczął wnosić z domu i sprzedawać co cenniejsze rzeczy. Miarka się w końcu przebrała. Sprzedał bowiem pamiątkę po mamie, jej złoty medalion. Fryderyk miał już tego dość. Poszedł na gestapo i zadenuncjował go, pierwszy raz w życiu skłamał.

- Mój ojciec wyzywa Führera od kanalii i świń – zeznał.

I to wystarczyło. Jeszcze tego samego dnia czarny opel zajechał przed ich domostwo, wysiadło z niego dwóch cywili w długich skórzanych płaszczach. Wywlekli ojca w samych kalesonach, zapakowali go do samochodu i wywieźli. Więcej go nie widział. Nie wie, co z nim się stało, nie wie tego

do dziś. Nigdy nie zapomni jego wzroku, jak patrzył, kiedy go pakowali do środka. Domyślił się, że to jego sprawa.

Później skończyła się wojna, kraj potrzebował wykształconych ludzi i dzięki temu Fryderyk mógł się dalej uczyć. Dotrzymał danego sobie słowa, został lekarzem i naukowcem. Zrażony przeżyciami z dzieciństwa, nie chciał zakładać rodziny, chciał jedynie realizować marzenia. Miał dużo szczęścia, bo na swojej drodze spotkał profesora Hautzla. To był wielki naukowiec i miał fantastyczne warunki do pracy. Już w roku 1938 stworzył specyfik podobny w działaniu do talidomidu i podczas wojny podjął pierwsze próby. Profesor nigdy mu tego nie powiedział wprost, ale Fryderyk dobrze wiedział, że testowano lek na więźniach. Przez te lata kilka razy w rozmowie coś się profesorowi wymysknęło mimochodem. Reszty Fryderyk się domyślił. W pierwszej chwili był przerażony swoim odkryciem, ale w miarę upływu czasu, kiedy coraz bardziej pochłaniały go badania, zaczynał profesora rozumieć. W pewnym momencie stanęli bowiem pod ścianą. Trzeba było iść dalej, a nie można było zrobić tego bez testów. Należało sprawdzić efekt końcowy, i to nie na kilkunastu czy nawet kilkudziesięciu ochotnikach, ale na tysiącach. Tylko taki eksperyment mógł dać prawidłowy obraz wyników. Nie mieli takich możliwości i wtedy poszli na całość, sfalszowali parę dokumentów i dzięki temu dopuszczono lek do sprzedaży. Już po roku zauważyli, że coś jest nie tak. Hautzel zaczął mięknąć i chciał wycofać specyfik. Kiedy wcześniej umierali więźniowie, to mu to nie przeszkadzało, ale kiedy Niemki zaczęły rodzić potworki, coś w nim pękło. Dochodziło między nimi do sprzeczek. Profesor chciał iść na policję i przyznać się do wszystkiego. Fryderyk nie mógł do tego dopuścić, był młody i żądny nowych odkryć. Taka afera przekreśliłaby jego przyszłość, zamiast tworzyć, gniłby w więzieniu. W czasie pewnej gwałtownej kłótni zepchnął szefa ze schodów. Wyglądało to na wypadek, a profesor i tak był stary. Nikt nie domyślił się prawdziwej przyczyny zgonu. Vogel po tym awansował i sam zaczął kierować laboratorium. Po cichu wprowadził kilka udoskonaleń i czekał na efekty. Jednak zamiast sukcesów było coraz gorzej, eksperymenty poszły w złym kierunku. Atmosfera zaczęła się zagęszczać, więc któregoś dnia spakował wszystkie notatki, przede wszystkim wyniki badań, i cichaczem opuścił Niemcy.

– Panie Vogel, wszystko w porządku?

Ktoś szarpał go za ramię. Otworzył oczy, rozejrzał się nerwowo. Przy nim stała ta Murzynka, kelnerka. Przyglądała mu się z niepokojem.

– Tak, tak – odburknął. – Przysnąłem na chwilę.

– Może coś podać? Cappuccino? Za zimno na dworze, żeby tu tak przysypiać. Proszę wejść do środka lub napić się czegoś gorącego.

– Tak, poproszę – bąknął zmieszany.

Złożył gazetę i odłożył ją na stolik.

Stefano Bontate szedł w stronę centrum Pietrasanty. Co chwila rozglądał się nerwowo, czy aby ktoś go nie śledzi. Miał sprawę do załatwienia w tutejszym oddziale banku UniCredit i nie chciał, żeby Trovato znów go nakrył na łamaniu warunków umowy.

Kiedy mijał miejski park, zobaczył staruszkę – tę samą, która zaczepiła go w kawiarni i prosiła o datek.

Podeszła do niego, niespodziewanie chwyciła go za rękę i rozwarła mu dłoń. Spojrzała w nią, po czym raptownie ją wypuściła.

– Widzę śmierć! Jesteś nią naznaczony! Strzeż się jej! – krzyknęła i ruszyła w głąb parku.

– Kiepsko się postarałaś, to wiedziałem od dawna. – Zaśmiał się gorzko i poszedł dalej.

Była siedemnasta, kiedy Veronika zajechała przed plebanię.

Oparła skuter o mur i podeszła do drzwi. Wcisnęła klawisz dzwonka. Nie była umówiona, przyjechała dziś właściwie pod wpływem impulsu. Zazgrzytał zamek, proboszcz wyjrzał przez wąską szparę między futryną a skrzydłem drzwi.

– Kto tam? – zapytał.

– Veronika Oliveto.

– Wchodź, dziecino.

Zaskrzypiały zawiasy, drzwi otworzyły się na oścież i dziewczyna weszła do środka.

Ciekawie rozglądała się po mieszkaniu, ale nie zaszły tu żadne zmiany od jej ostatniej wizyty. Ten sam prosty stół na środku pokoju i ten sam sekretarzyk pod oknem, a także skromne, starodawne łóżko, stojące tuż obok wielkiej trzydrzwiowej szafy.

– Siadaj! – Leoni wskazał jej krzesło przy stole. Sam zajął inne, naprzeciw niej. Chwilę się sobie przyglądali.

On w ogóle się nie zmienia, myślała Veronika. Od kiedy pamiętała, zawsze był stary i bardzo pomarszczony na twarzy. Jedyne te jego długie włosy były chyba jeszcze dłuższe i coraz bielsze. Duchowny z wyglądu bardziej przypominał starego indiańskiego wodza niż księdza.

– Dawno się nie widzieliśmy, do kościoła też ci ostatnio chyba nie po drodze, a szkoda. Co cię sprowadza, moja droga? – spytał.

– Kilka spraw.

– Kilka spraw, powiadasz. Krótko i zwięźle. – Zaśmiał się. – To w takim razie porozmawiamy przy kawie. Nie wolno dysputy zaczynać, jak powiadają, o suchym pysku.

– Z chęcią się napiję.

– To idę włączyć ekspres.

Wstał ciężko od stołu i poszedł do kuchni. Kiedy patrzyła, jak z wyraźnym trudem przemieszcza się po mieszkaniu, przypomniała jej się współpasażerka z pociągu. Tamta starszka pamiętała go jako młodego, przystojnego wikarego. Oj, musiało minąć sporo lat od ich ostatniego spotkania.

Po kilku minutach proboszcz wrócił z dwiema filiżankami wspaniale pachnącej kawy.

– Piękny aromat. Ksiądz ma zawsze świetną kawę – pochwaliła Veronika.

– Owszem, to jest specjalny gatunek, dostępny tylko w jednym sklepie w Rzymie. Zawsze jak tam jestem, robię sobie zapas.

Postawił naczynka na stole i usiadł.

– Ktoś prosił mnie, abym pozdrowiła księdza – zaczęła.

– Kto? Kto pamięta o starym Leonim? – Pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Gabriela Sabatti, o ile dobrze zapamiętałam.

– Gabriela Sabatti, powiadasz? – Zmarszczył czoło, próbując sobie przypomnieć.

– To taka starsza pani, którą spotkałam w pociągu. Miło nam się rozmawiało w podróży. Podobno kiedyś mieszkała w Pietrasancie i zna księdza. Prosiła mnie o przekazanie pozdrowień.

– Gabriela? – Duchowny nagle wyraźnie się ożywił. – To ona jeszcze żyje?

– Żyje i wygląda rewelacyjnie. Przypomniał sobie ksiądz?

– No pewnie. To była bardzo ładna kobieta i do tego bardzo religijna. Mój Boże, ile to już lat! – Złapał się za głowę. – Mieszkała w... – Zawahał się. – W sumie, to i dobrze nie pamiętam, gdzie. Stare dzieje. Chyba jednak nie o tym mieliśmy rozmawiać? – zreflektował się.

– Znał ksiądz mojego dziadka?

– Którego dziadka?

Jego wzrok stał się jakiś płochliwy. Proboszcz położył ręce na stole i je złożył. Pocierał nerwowo palce.

– Ojca mego taty.

– Oczywiście, że znałem – potwierdził.

– Może ksiądz wie, dlaczego popełnił samobójstwo?

– Nie mam pojęcia, przypuszczalnie było to chwilowe załamanie. Jesteśmy tylko ludźmi. Zdarzają się nam chwile zwątpienia.

– Ale dlaczego to zrobił?

Proboszcz wyraźnie się zakłopotał. Dziwne, tym bardziej że zawsze był bardzo pewny siebie.

– Być może zrobił rachunek sumienia – zaczął wolno – i doszedł do wniosku, że to będzie najlepsze rozwiązanie. Oczywiście nie popieram samobójstw. Pan Bóg dał nam życie i tylko On ma prawo nam je odebrać.

Veronika była zaskoczona tymi wywodami.

– Rachunek sumienia? O czym ksiądz mówi?

Duchowny wstał, podszedł do okna i otworzył je energicznym ruchem.

– Duszno dziś. Jeśli teraz jest taka pogoda, co będzie w lipcu i w sierpniu?

– Proszę księdza – dziewczyna nie ustępowała – co takiego zrobił mój dziadek, że sumienie kazało mu odebrać sobie życie?

Proboszcz podszedł do stołu i usiadł. Tym razem patrzył na Veronikę, a nie na swoje ręce.

– Nie powiedziałem, że zrobił coś złego. Nieraz wystarczy małe niepowodzenie i tragedia gotowa.

– Tylko małe niepowodzenie? – Dziewczyna nie dawała za wygraną, ani na chwilę nie spuszczała wzroku z twarzy duchownego. Jednak nawet jeden mięsień na niej nie drgnął, jego oblicze było nieprzeniknione.

– Możliwe, nie wiem.

– Chodził do spowiedzi?

– Jest tak zwana tajemnica spowiedzi, moja droga. Wybacz. – Rozłożył ręce w teatralnym geście.

– Ale dziadek nie żyje od kilkudziesięciu lat.

– W Wielkiej Brytanii do tej pory nie otwarto archiwum z dokumentami z drugiej wojny światowej, a jak to porównać?

– To dotyczy wojny? – drążyła dalej.

– Nie miałem na myśli wojny, tylko długość okresu utajnienia.

– Ale to był mój dziadek, mam prawo wiedzieć.

– Wiem, ale nieżyjący też mają swoje prawa. Gdyby chciał ujawnienia swoich tajemnic, toby mi o tym powiedział, ale nie uczynił tego.

Ksiądz ponownie teatralnym gestem rozłożył ręce.

– No cóż, muszę już iść – rzekła, widząc, że nic więcej nie wycisnie z proboszcza.

Dopiła kawę i podniosła się z miejsca.

Kiedy była w progu, nagle przypomniała sobie coś jeszcze.

– Byłabym zapomniała...

Proboszcz wymownie spojrział na zegarek, zapewne musiał już iść do kościoła odprawić mszę.

– Krótkie pytanie. Jeden z moich gości chciałby odwiedzić księdza, ale nie wie, jak będzie przyjęty.

– Jestem księdzem, nie mogę odmówić. A kim jest ten człowiek?

– To były ksiądz.

– Czemu potrzebuje twojego wstawiennictwa?

– Nie wiem. Był na jakichś misjach i później wystąpił ze stanu duchownego.

– Jak się ten człowiek nazywa?
– Lucio Russo.
Proboszcz zmarszczył brwi.
– Russo, powiadasz?
– Zna go ksiądz?
– Nie, ale nie chcę go widzieć!
– Czemu? – dopytywała, ludzając się, że dowie się czegoś więcej na temat tego człowieka.
– Dużo o nim słyszałem... Niestety, same złe rzeczy. Nie chcę o nim mówić. Myślałem, że siedzi w więzieniu, ale skoro jest u ciebie, to pewnie wyszedł za kaucją. Dziwne to prawo. Możesz być najgorszym zbirzem, ale jak masz pieniądze, to nic ci nie zrobią.
– Ale ksiądz przed chwilą sam powiedział, że nie może odmówić potrzebującemu!
Duchowny ciężko westchnął.
– Dobrze, przyjmę go. O tej porze roku masz gościa? Wcześniej.
– Mam ich pięcioro, chyba nie tylko Russo powinien spotkać się z księdzem.
Leoni zbladł, ale w świetle zachodzącego słońca Veronika tego nie zauważyła.
Zaśmiała się ironicznie ze swoich słów, po czym wsiadła na skuter i odjechała.
Proboszcz długo stał w progu i patrzył za oddalającą się dziewczyną. W rękę trzymał różaniec i przekładał paciorki, jego usta poruszały się rytmicznie w modlitwie.

* * *

Rene Lemner leżała na łóżku. Mogło się wydawać, że śpi, ale były to tylko pozory. Wbiła wzrok w sufit i w skupieniu obserwowała chodzącą po nim tłustą muchę. Patrzyła na jej skrzydełka mieniające się barwami tęczy.

– Robacznicza – szepnęła. – Obrzydliwe muszysko!

Wolno podkurczyła lewą nogę i zdjęła z niej but. Mocno go chwyciła i na chwilę znieruchomiła. Nagle ciężki sabot wyleciał jak z procy i uderzył w sufit. Odbił się od niego i spadł na łóżko. Na suficie w miejscu muchy została duża ciemna plama z kawałkiem skrzydełka.

– Dobrze oko jeszcze mi zostało – skwitowała swój sukces Lemner.

Sięgnęła po pilota, wcisnęła jeden z przycisków i uruchomiła telewizor. Wskoczył jakiś kanał i za żadne skarby nie mogła go przełączyć na inny.

Zdenerwowana wciskała inne guziki, ale telewizor nie reagował. Zrezygnowana, rzuciła pilota na łóżko. W tym momencie program sam się zmienił, a na ekranie ukazało się zadymione wnętrze jakiegoś lokalu. Usłyszała muzykę; lubiła ten utwór, ale to było wiele lat temu. Miała wtedy może osiemnaście lat. To była piosenka Rolling Stonesów, tytułu nie pamiętała.

Usiadła na łóżku, sięgnęła po lusterko. W odróżnieniu od tego utworu ją nadgryzł ząb czasu, chociaż i tak trzymała się nieźle. Dwa lata temu spotkała w Paryżu Gabi i gdyby tamta jej nie poznała, przeszłaby obok niej, jak koło zupełnie obcej osoby, a przecież siedziały przez siedem lat w jednej ławce. Gabi teraz była stara i zgrzybiała.

Nagle wszystkie wspomnienia odeszły gdzieś w dal, a na pierwszy plan wysunęły się obrazy w telewizorze. Rene wstała z łóżka i podeszła bliżej. Tak, teraz poznała tę knajpę przy Friedrichstrasse. Tu właśnie poznała Franza. Nigdy nie zapomni, że wtedy zrobił na niej piorunujące wrażenie. Dziewczyny za nim pisały, ale on tylko na nią zwrócił uwagę. Wciągnął ją do organizacji, zaraził nowymi ideami. Do dziś nie wie, dlaczego nie zyskali poparcia społeczeństwa, przecież chcieli dobrze, chcieli rozliczyć kapitalistów, oddawali swoją młodość, a często także życie, dla innych. Zamiast podziwu budzili wszędzie strach i potępienie, co było przecież bardzo krzywdzące.

Teraz na ekranie zobaczyła Franza, siedział przy stoliku w samym kącie sali, przy tym, co zawsze. Dobrze pamiętała ten stolik. Specjalnie tam siadali, żeby móc obserwować wejście i w razie przybycia policji nie dać się zaskoczyć. Obok niego siedziała Helga, ona długo nie była z nimi. Zginęła podczas porwania tego niemieckiego bankiera. Dostała zabłąkaną kulą prosto w głowę, przynajmniej się nie męczyła. Koło niej siedział Rubert, on też zginął, ale zanim umarł, przeszedł istną gehennę. Oberwał w brzuch, a to były najgorsze postrzały, bo bardzo bolesne. Wił się z bólu jak oszalały na tylnym siedzeniu samochodu, a oni nawet nie mogli mu pomóc, bo w tym czasie starali się za wszelką cenę zmylić pościg. Do dziś Rene pamięta jego potępienne wycie, a kiedy wreszcie zgubili policję i zatrzymali się w jakimś zagajniku, już nie żył. Cały tył pojazdu był we krwi i jego wnętrznościach, to przez olbrzymią lochę w brzuchu. Jeszcze teraz, jak sobie przypominała ten widok, ciarki przechodziły jej przez plecy.

Zobaczyła i siebie. Jaka była wtedy młoda, jaka delikatna! Kto nakręcił ten film? Nie pamiętała, żeby ich ktoś filmował. To pewnie ten barman, co ich wydał, od razu nie przypadł jej do gustu. Najpierw ją nachalnie nagabywał i dopiero kiedy pokazała mu giwerę, odczepił się od niej. Parszywiec musiał być w układach z policją, ale w sumie i tak dostał to, na co zasłużył. Franz, kiedy mu powiedziała o wszystkim, zajął się nim z tą swoją znaną wszystkim skrupulatnością. Rubert kiedyś jej powiedział w tajemnicy, że barman najpierw zjadł swoje jaja, a dopiero potem skonał. Początkowo trochę było jej go żal, ale zmieniła zdanie, kiedy okazało się, że był pieprzonym szpiclem.

Nagle ekran zrobił się ciemny.

Podeszła do telewizora i stając na palcach, silnie uderzyła go pięścią. Ponownie zaświecił się ekran i wyskoczył obraz. Jednak to już nie było wnętrze knajpki, tylko czyjś pogrzeb. Kamera pokazała tabliczkę na trumnie. Teraz wszystko było jasne, to był pogrzeb tego bankiera. Widać było rodzinę: dwoje małych i zapłakanych dzieci oraz wdowę odzianą na czarno. Wszyscy oni słaniali się na nogach z bólu. Rene patrzyła w milczeniu na dzieci i coś w niej drgnęło. Przypomniała sobie pogrzeb własnego ojca. Jego zabił pijany kierowca, po czym zbiegł z miejsca wypadku. Znaleźli go po tygodniu, okazało się, że był to wpływowy polityk. Wpływowy na tyle, że wymigał się od odpowiedzialności za zbrodnię. Tak jak te dzieci, tak wcześniej Rene stała przy trumnie ojca. Nie było kamer, nie było nikogo prócz kilku najbliższych znajomych. Kierowca zabójca nie poniósł kary, a one z matką nie dostały odszkodowania, bo tak mataczono w śledztwie, że ojciec z ofiary stał się winnym wypadku.

Obraz zgasł. Rene chwilę stała w bezruchu, po czym chwyciła leżący na łóżku but i z całej siły cisnęła nim o ścianę.

– Pieprzeni kapitaliści! – krzyknęła z wściekłością i rzuciła się na łóżko, chowając twarz w poduszce.

Oliveto siedział w fotelu i co rusz podrywał powieki do góry. One jednak z uporem opadały, jakby ważyły po kilka kilogramów, a nudny film w telewizji chyba był ich cichym sprzymierzeńcem. Kiedy wydawało się, że mężczyzna definitywnie przegra swoją heroiczną bitwę, rozległ się dzwonek u drzwi. Bernardo ocknął się, ciężko dźwignął się z fotela, wyłączył telewizor i poszedł otworzyć. Chwilę szarpał się z zamkiem, nim wreszcie udało mu się przekręcić klucz, po czym nacisnął klamkę i pchnął drzwi. W progu zobaczył młodego mężczyznę. Nie widział dokładnie jego twarzy, ale wydała mu się znajoma.

– Dzień dobry, nie wiem, czy pan mnie poznaje – zagadnął przybysz.

Bernardo zrobił krok do przodu. Tak, teraz go widział wyraźnie. Stał przecież przed nim ten, z którym umawiała się jego Veronika.

– Owszem, dziękuję za kolację. Zapraszam do środka.

Odsunął się na bok, robiąc przejście. Gabriel wszedł do mieszkania. Zatrzymał się w salonie i, najwidoczniej zaciekawiony, rozejrzał wokoło. Nie uszło to uwadze Bernarda.

– Nic interesującego, to wigwam starego, samotnego mężczyzny – skomentował i usiadł na powrót w swoim fotelu.

Trovato zajął miejsce na krześle naprzeciw niego.

Gospodarz wyciągnął w kierunku gościa paczkę papierosów.

– Zapali pan?

– Dziękuję, ale jeszcze się nie nauczyłem.

– To się chwali, młody człowieku, ja się tego nauczyłem już w dzieciństwie i teraz nie mogę się odzwyczaić, mimo że próbuję od wielu lat. Veronika strasznie mnie za to goni!

Wyjął z paczki papierosa i przypalił. Zerkał na gościa. Franciszek jak zwykle przesadził. Trovato nie wyglądał tak groźnie, jak go opisywał kucharz, a jego wzrok wcale nie był zimny niczym mięso w chłodni.

Gabriel cierpliwie czekał na koniec tej lustracji.

– Chciał się pan ze mną zobaczyć, więc jestem – odezwał się po chwili.

– Zgadza się. – Stary Oliveto kiwnął głową. – Mam do pana kilka pytań.

– A zatem zamieniam się w słuch.

Patrzył śmiało w twarz Bernarda. Ten dopalił papierosa i przygasił peta w popielniczce.

– Pozwól, młody człowieku, że od razu przejdę do sedna sprawy. Zastanawia mnie, skąd pan zna tak dużo szczegółów z życia mojej rodziny. Proszę tylko mi nie mówić, że znalazł pan to w archiwach kościelnych. Bardzo dobrze znam ich zawartość.

Wbił pytający wzrok w Gabriela. Widział jego oblicze, każdy skurcz mięśni, to musiało mu zastąpić wariograf.

– Owszem, ma pan rację. Przykro mi, ale mogę powiedzieć tylko tyle, że wiem to od mojego zleceniodawcy.

– Kto nim jest? Co to za zlecenie? Dotyczy mojej rodziny? – zdumiał się gospodarz.

Gabriel rozłożył ręce w geście bezradności.

– To są interesy. Niestety, tego nie mogę ujawnić.

– Czemu to ma służyć? Może mi pan to powiedzieć?

Gabriel uśmiechnął się przyjacielsko.

– Napiłbym się czerwonego wina, jeśli można.

– Jasne. – Bernardo zerwał się z fotela i podszedł do barku. Wyjął z niego wino i napełnił kieliszek. Postawił je na stoliku. – Dobry rocznik – rzekł, odstawiając butelkę.

Trovato uniósł kieliszek i upił łyk. Chwilę smakował trunek.

– Znakomite wino, ale powinno być trochę bardziej schłodzone.

– Zgadzam się z panem, ale może wróćmy do tematu. Kto jest pana zleceniodawcą? Proszę powiedzieć, o co tu chodzi.

– Przykro mi, nie mogę zdradzić jego personaliów.

– Cenię pana lojalność – wydukał Bernardo. – Ale spodziewałem się dużo więcej po pańskiej wizycie. Myślałem, że panu zależy na Veronice. To dobra dziewczyna, nie chciałbym, aby ktoś ją skrzywdził.

Gabriel jakby się zawahał.

– Pamięta pan list, który zmusił pana do przekazania Eryunii Veronice? – spytał niespodziewanie.

Kieliszek zadrżał w dłoni gospodarza. Bernardo spojrzał z niepokojem na gościa.

– Skąd pan wie o istnieniu tego listu?

– To ja go napisałem. Tak życzył sobie mój zleceniodawca. Chciał, żeby Veronika zaczęła rządzić hotelem.

– Dlaczego?! – wykrzyknął stary Oliveto. – Dlaczego mu na tym zależało? O co w tym wszystkim chodzi?

– Nic więcej nie mogę powiedzieć.

– Ale pan to wie? Tak?

– Nie zaprzeczam.

Gospodarz był bardzo zdenerwowany. Odstawił wino, bał się, że dłużej nie utrzyma kieliszka w dłoni.

– Straci go? – spytał drżącym głosem.

– To zależy od niej. Teraz wszystko jest w jej rękach.

Oliveto tylko westchnął z ulgą. Ponownie wziął kieliszek i zbliżył go do ust; wypił łączywie.

Gabriel spojrział na zegarek.

– Muszę już iść. Dziękuję za wino. Proszę mnie nie odprowadzać. Do widzenia.

Wstał z krzesła i wyszedł.

Oliveto został sam ze swoimi myślami i z napoczętą butelką przedniego trunku. Ponownie sobie nalał i sięgnął po papierosy. Rozmowa tylko utwierdziła go w tym, o czym często dumał. Chyba wszystko spięprzył, chyba jednak źle pokierował swoim życiem, trzeba było zostać na poczcie, Erynia nie była warta tego bólu, rozterek i lez Giuseppe.

Zaskrzypiały drzwi wejściowe, przyszła Veronika. Zbliżyła się do ojca i pocałowała go w czoło. Kątem oka zawadziła o stolik, zauważyła dwa kieliszki.

– Miałeś gości?

– Tak. Nie uwierzysz, kto mnie odwiedził.

– Proboszcz?

Spojrzał na nią zdziwiony.

– Czemu akurat proboszcz? Jeszcze nie wybieram się na drugi świat. Czuję się świetnie.

– Nie w tym sensie, tato. Byłam wczoraj u niego i pomyślałam, że dawno nas nie odwiedzał. On mógł pomyśleć to samo.

– To nie on. – Pokręcił głową. – Zgaduj dalej.

– Nie wiem. – Wzruszyła ramionami. – Skąd mogę to wiedzieć? Może któryś z gości?

– Nie, twój Gabriel.

Veronika czuła, że się rumieni. Spojrzała uważnie na ojca.

– Po co przyszedł? Czego chciał? – W jej głosie można było wyczuć niepokój.

– Nic takiego, tylko pogadać. Faktycznie, to bardzo sympatyczny młody człowiek.

Veronika usiadła na krześle. Nalała sobie winą do kieliszka Gabriela i wypila jednym haustem.

– O czym rozmawialiście?

Bernardo zwlekał z odpowiedzią, sięgnął po papierosy.

– Nie pal tyle! – huknęła na niego. On jednak, jakby tego nie usłyszał, przypalił.

– No, o czym rozmawialiście?

– Takie męskie rozmowy. Nie warto powtarzać.

– Męskie rozmowy? O czym są tak zwane męskie rozmowy? Jestem bardzo ciekawa.

– No... – zająknął się. – O kobietach, nie wiesz, o czym gadają mężczyźni?

Rzuciła ojcu groźne spojrzenie.

– Gadaliście o mnie? – podniosła głos.

– No... tak – plątał się. – Poniekąd...

Tego jej było za wiele! Zerwała się wzburzona z krzesła.

– Nie życzę sobie rozmów o mnie beze mnie! – krzyknęła i wybiegła z mieszkania.

– Poczekaj! – zawołał za nią, ale albo nie usłyszała, albo nie chciała usłyszeć.

Trzasnęły z impetem zamykane drzwi. Zaległa cisza. Bernardo wstał ciężko z fotela i podszedł do portretu Giuseppe. Patrzył z rozrzwienieniem na płótno.

– Byłaś taka piękna, nigdy nie uda mi się ciebie namalować. Żaden obraz tego nie odda. Wybacz, kochana.

* * *

– Tego już za wiele! – mamrotała Veronika pod nosem, biegnąc przez ogród. Była wściekła, ojciec i Gabriel posunęli się za daleko. Jak oni ją traktują? Jak jakąś rzecz? W pewnym momencie zawadziła nogą o wystający z ziemi korzeń platana, zachwiała się, niechcący drugą nogą nadepnęła na coś miękkiego i usłyszała przeraźliwy pisk Romulusa; musiała wejść mu na ogon. Zatoczyła się na starego fiata Franciszka i to ją uratowało przed upadkiem. Zobaczyła znajomą butelkę po szampanie na tylnym siedzeniu samochodu. Trzeba było nie iść z nim na tę kolację, to był błąd, pomyślała.

Zadzzwonił telefon. Sięgnęła do kieszeni.

– Słucham.

– Witaj. – Usłyszała głos Gabriela. – Może dasz się zaprosić na kolację?

– Nie! – krzyknęła do aparatu. – Może ojciec da się zaprosić, macie sobie przecież dużo do powiedzenia.

Ostentacyjnie przerwała połączenie. Podeszła do opartego o stary platan roweru, wsiadła i energicznie nacisnęła na pedały. Zachrzęściły kamyczki pod kołami i pojazd ostro ruszył z miejsca. Nie rozglądając się na boki, na pełnym gazie Veronika wyjechała z posesji i skierowała się w stronę morza. Chciała być sama, chciała pochodzić w samotności brzegiem, wtopić się w szum fal.

Koła zaryły w głębokim piachu. Veronika zsunęła się z siodełka. Oparła rower o starą, rozpadającą się łódkę, leżącą chyba od zawsze na plaży. Zdjęła buty, chwyciła je w ręce i na bosaka ruszyła w stronę wody. Ta okazała się przeraźliwie zimna. Dziewczyna poszła wolno w kierunku mola. Omijała olbrzymie hałdy wyrzuconych przez fale wodorostów i niezdarne kraby, wcześniej przyniesione przez morze na brzeg i teraz za wszelką cenę próbujące się na powrót dostać do wody. Musiała wszystkim sobie przemyśleć, tyle się działo wokół, tyle nowego, że nie mogła już tego wszystkiego ogarnąć. To, co było do tej pory poukładane, co było pozapinane na wszystkie guziki, teraz rozpadło się jak zwykły domek z kart. Pojawił się w jej życiu pierwszy mężczyzna, na którym jej zależało, pojawiło się bardzo tajemnicze zlecenie, bardzo dziwni goście i nie mniej zagadkowa kelnerka. To nie było realne, to było jakieś... Sama nie wiedziała, jak to nazwać. Została wciągnięta w płątaninę dziwnych zdarzeń i czuła się w tym wszystkim bardzo zagubiona. Nawet nie miała nikogo, komu mogłaby się zwierzyć. Franciszek trzymał stronę ojca i jeśli nawet coś jeszcze wiedział, na pewno nie puści pary z ust. Ojciec zaś coś zaczynał knuć z Gabrielem. Został jej tylko Romulus jako jedyny wierny słuchacz, ale jeśli Russo jest satanistą, to lada moment kocur może zakończyć żywot w czymś żóładku.

Dlaczego Gabriel nie chce nic powiedzieć o sobie? Jak tylko rozmowa schodzi na temat jego przeszłości, natychmiast milknie, zbywa ją albo zaczyna mówić o czymś zupełnie innym. Odnosiła wrażenie, że skrywa przed nią coś złego, jakąś ponurą tajemnicę. Może siedział w więzieniu? Może jest przestępcą? Na liście poszukiwanych nie widniał. Całą noc poświęciła na przeglądanie fotek, bo musiała się upewnić. Może jest w mafii? Oby nie, od nich ponoć nie można odejść.

Nawet nie zauważyła, kiedy doszła do mola. Otrzeпаła nogi z piasku, założyła buty i weszła na pomost, który o tej porze zwykle świecił pustkami. Jednak tym razem nie był całkowicie pusty, na samej jego szpicy zauważyła jakąś sylwetkę, ktoś stał przy barierce i patrzył w dół. Powoli podeszła bliżej i od razu poznała. To był Fryderyk Vogel – ten, wydawałoby się, sympatyczny starszy pan, który zszokował ją swoim podejściem do inwalidów.

Zauważył ją, uśmiechnął się uprzejmie i skłonił. Sztwno odkloniła się i odwróciła z zamiarem powrotu na brzeg.

– Niech pani poczeka – krzyknął za nią i szybko podszedł.
– Słucham pana. – Spojrzała na niego z nieukrywaną odrazą.
– Rozumiem pani oburzenie, ale proszę mnie nie osądzać.
– Ja pana nie osądzam, ale pańskie poglądy mnie bulwersują.
– Bo nie zna pani zagadnienia. Mogę to pani wytłumaczyć.
– Nie wiem, czy chcę – wyznała szczerze.
– Ale ja chcę to pani wyjaśnić.
– To nie moja sprawa. Mam tylko jedną prośbę: proszę oszczędzić takich wypowiedzi personelowi i pozostałym gościom.

– Muszę z kimś porozmawiać, wszyscy mnie obwiniają. – Jego głos załamał się, a wzrok wyrażał nieme błaganie.

– Czemu panu tak na tym zależy? To tylko poglądy, które w każdej chwili można zmienić.

– Poglądy tak, ale nie przeszłość – odparł.

– Nie rozumiem. O czym pan mówi?

– Jestem współtwórcą talidomidu.

Veronika zdumiała się. Ten oto miły z wyglądu staruszek był współtwórcą armii kalek, oni wszyscy pośrednio byli jego dziećmi.

– Pan jest bestią! – krzyknęła mu w twarz, obróciła się na pięcie i ruszyła biegiem do brzegu.

– Proszę poczekać! – wołał za nią. – Chcę porozmawiać! To nie jest tak, jak pani myśli!

Nie zatrzymała się. Biegła co sił w nogach, żeby tylko być jak najdalej od tego zwyrodnialca.

Dotarła zdyszana do plaży, odwróciła się i zerknęła na molo. Vogel stał tak jak wcześniej przy barierce i patrzył w jej kierunku. Ostentacyjnie odwróciła się i poszła w stronę roweru.

– Boże – szeptała z przejęciem. – Boże, czemu przywiódłeś do mojego hotelu tych ludzi? Przecież to są sami kryminaliści, to są mordercy. Terrorystka, twórca talidomidu i ten Mvumbi też pewnie ma krew na rękach. Książd jest potworem, a być może i sataniścią; i jeszcze ten Bontate, ten od listu. Też zapewne ma wiele na sumieniu. Dlaczego nikt ich nie szuka? Dlaczego policja mnie wyśmiała? A może Franciszek ma rację? Może to faktycznie jakiś telewizyjny show? Może w pokojach są kamery, a ci ludzie tylko grają zbrodniarzy?

To też miało sens i tłumaczyło dziwne zachowanie organów ścigania. Oby Antonio coś wytropił, miał przecież popytać kolegów w prokuraturze. Oni muszą znać prawdę, chociażby o Edycie Knopf. Prawda o niej będzie kluczem do poznania prawdy o innych.

Vogel w zamyśleniu patrzył na oddalającą się Veronikę. Czego oni wszyscy od niego chcą? Przecież to, co robił, robił dla ludzi. Dlaczego porównują go z Mengelem? To jest wielce niesprawiedliwe. Całe życie poświęcił nauce. Nie ożenił się, nie miał dzieci, bo liczyły się tylko badania. Chciał być pierwszy, chciał odkryć coś, co zatrzęśnie światem naukowym, obiecał to mamie nad jej grobem i w zasadzie mu się to udało, a nie miał takiego luksusu jak Mengele, nie miał armii więźniów, na których mógłby testować swoje odkrycia. Wpadł na inne wyjście i dzięki temu szybko namierzył błąd w obliczeniach. Natychmiast zmienił strukturę specyfiku. Niestety, nie doceniono jego trudu i poświęcenia. Musiał uciekać do USA. Tam znalazł wsparcie w profesorze Trullim, który umożliwił mu dalsze badania. Nie przypuszczali, że jest jeszcze jeden błąd w formule, i znów musiał zniknąć. Dopiero w Afryce mógł spokojnie pracować. Za kilka dolarów od łebka miał całą armię ochotników do swoich badań. Tym ludziom było wszystko jedno, czy umrą z głodu, czy w wyniku jego testów. On dawał im komfort zapomnienia o głodzie. Do dziś nie wie, czemu go aresztowali, przecież to wszystko robił dla dobra ludzkości. Ci Murzyni i tak zmarliby na AIDS lub z głodu. Ich życie było gównem warte.

Stefano Bontate przechadzał się bez celu po starówce. Zatrzymał się przy zakładzie fotograficznym. Spojrzał przez szybę na galerię zdjęć.

Nadszedł starszy mężczyzna i otworzył drzwi z klucza.

– Pan do mnie? Zapraszam.

– Nie, tylko patrzę.

– Ależ proszę wejść. Pewnie szuka pan prezentu dla kogoś bliskiego, proszę mi wierzyć, że nie ma nic piękniejszego niż fotografia. Kwiaty zwiędną po kilku dniach, ubranie zniszczy się po kilku latach, a ona nie. Nas już nie będzie, a ona wciąż będzie tkwić w albumie rodzinnym, co i raz przypominać bliskim o naszej bytności na tym świecie, często jako jedyny ślad.

– No nie wiem. – Stefano się zawahał.

– To nie jest jakiś wielki wydatek, zawsze może pan coś dokupić. Proszę się skusić.

– Dobra, niech będzie.

Zakład mieścił się w niedużym lokalu. Stefano rozejrzał się po nim z ciekawością. Nieduża lada, na niej kasa fiskalna i komputer, tuż za nimi umocowano do sufitu grubą kotarę przegradzającą pomieszczenie na pół, za nią mieściły się: atelier mistrza kliszy, wielkie dekoracje ścienne i sprzęt fotograficzny umocowany na masywnych statywach. Od razu na pierwszy rzut oka widać było, że to profesjonalne wyposażenie.

– To już ostatni taki zakład w Pietrasancie. Takie przyszły czasy. Czuję się trochę jak dinozaur biegnący po Manhattanie – tłumaczył właściciel. – Teraz każdy jest fotografem, bo z byle telefonu wychodzą całkiem niezłe zdjęcia. Nie potrzeba już wiedzy, wszystko za nas robi komputer. Zaglądają tu tylko starsi ludzie, i to też jedynie z przyzwyczajenia. – Rozsunął kotarę. – Proszę tu spocząć i patrzeć ciut w bok od obiektywu. – Pokazał ręką stołeczek.

Bontate usiadł na wskazanym miejscu.

Fotograf włączył oświetlenie i skupił się na sprzęcie. Chwilę coś przestawiał, regulował. Po chwili podszedł do klienta i delikatnie przekreślił mu głowę.

– Teraz proszę się nie ruszać.

Wrócił na swoje stanowisko.

– Proszę pomyśleć o czymś przyjemnym. Ma pan dzieci?

– Nie... – Stefano się zająknął – a właściwie tak, córkę.

– Jak ma na imię?

– Maria.

– Ładna?

– Tak, bardzo. Podobna do mojej mamy.

– Proszę teraz pomyśleć o Marii. Proszę o delikatny uśmiech.

Pstryknęła migawka. I jeszcze raz.

– I o taki uśmiech mi chodziło. Wyszło świetnie. Za dwie godziny zapraszam po odbiór. Ile odbitek mam zrobić?

– Jedną. Więcej nie potrzebuję.

– Wedle życzenia.

Bontate opuścił zakład.

Nieopodal kościoła usiadł na ławce. Czemu zrobiłem to zdjęcie? – zastanawiał się. Na cholerę mi ono? Co to za pamiątka i dla kogo? Kim jestem, żeby uwiecznić swoją parszywą gębę? To był idiotyczny pomysł.

DZIEŃ PIĄTY, PIĄTEK

Tego dnia od samego rana lało jak z cebra. Antonio otrzepał parasol z kropli wody, złożył go i wszedł do budynku prokuratury, co chwila nerwowo zerkając na zegarek. Było późno, nie miał dużo czasu, ale obiecał Veronice, że popyta o tę Knopf. Strażnik stojący przy wejściu i uzbrojony po zęby w pierwszej chwili zmierzył Antonia czujnym spojrzeniem, ale po kilku sekundach uśmiechnął się; poznał adwokata.

– Witam, mecenasie! – krzyknął w jego kierunku. Oliveto tylko machnął ręką i podbiegł do zamykających się drzwi od windy. Zdążył, winda pomknęła do góry, by bezszelestnie zatrzymać się na żądanym piętrze. Mężczyzna wysiadł z niej i skierował się korytarzem na lewo, aż do samego jego końca. Tam w pokoju 223 spodziewał się zastać Ricciego Coleta, kolegę ze studiów. Stanął przed drzwiami, zapukał.

– Proszę. – Usłyszał ze środka znajomy głos. Nacisnął klamkę i w chwilę potem znalazł się w małym pokoiku. Zza monitorów i stert akt wyjrzał niski, korpulentny mężczyzna o mocno przerzedzonej czuprynie. Na widok gościa poderwał się z krzesła. Twarz rozjaśnił mu szeroki uśmiech.

– Witaj, stary! Cieszę się! Aż nie wierzę własnym oczom. Chyba się z dziesięć lat nie widzieliśmy?

– Przesadzasz, spotkaliśmy się pięć lat temu na przyjęciu u Resconich.

– Faktycznie, masz rację.

Ucisnęli sobie ręce.

– Siadaj! – Coletto wskazał wolne krzesło po drugiej stronie swojego biurka.

– Napijesz się kawy? – zagadnął.

– Nie, dziękuję – zaprotestował Antonio. – Piłem przed chwilą.

– Mów zatem, co cię sprowadza? – Ricci patrzył na kumpla z ciekawością. To musiało być coś bardzo ważnego.

– Dziwna sprawa – zaczął gość nieśmiało. – Moja siostra prowadzi mały pensjonat w Pietrasancie.

– Pewnie ten po rodzicach, o ile dobrze pamiętam nazywa się Erynia? A w ogóle skąd ta dziwna nazwa? – wtrącił prokurator.

– Tak, teraz Veronika tam rządzi. Jeśli chodzi o nazwę, to nie mam pojęcia, kto go tak nazwał. Ponoć w umowie zakupu był warunek, że stara nazwa ma zostać. Wracając do sprawy, siostra twierdzi, że gości u siebie tę osobę.

Antonio sięgnął do trzymanej w ręku teczki i wyciągnął z niej zdjęcie domniemanej Edyty Knopf. Ricci zerknął na fotografię i zaklął szpetnie pod nosem.

– Twoja siostra twierdzi, że ją gości?

– Tak, jest tego pewna. Zgłosiła to na policję, ale ją wyśmiali. Powiedzieli, że ta kobieta jest w więzieniu, więc nie może jednocześnie być w dwóch miejscach, że to na pewno jest ktoś do niej podobny.

– To prawda – stwierdził Coletto. – Nie może być jednocześnie w dwóch miejscach.

– Czyli jest w więzieniu? – upewniał się Antonio.

– Nie jest na wolności! Tyle mogę ci powiedzieć – odparł tamten.

– To jest zapuszkowana czy nie?

– I tak, i nie. Przykro mi, nic więcej na ten temat nie mogę ci zdradzić!

Młody Oliveto zdenerwował się wymijającymi odpowiedziami kumpla.

– Zaraz, zaraz, chyba nie oświadczysz, że ją zwerbowaliście?
– Nikt jej nie zwerbował, ale nie mogę powiedzieć, gdzie przebywa, bo tego nie wiem.
– Jak to nie wiesz? Co tu się dzieje? Moja siostra może być w niebezpieczeństwie, a ty mi nie chcesz pomóc?
– Zapewniam cię, że nie jest w niebezpieczeństwie. Knopf została przekazana pewnej agencji, tyle mogę ci wyznać.
– Agencji? Jakiej agencji?! To nie będzie sądzona za swoje zbrodnie?
– Za dużo chcesz wiedzieć. Więcej ze mnie nie wyciśniesz, bo sam niewiele więcej wiem.
– Szkoda, liczyłem na pomoc kumpla. – Antonio nie krył zawodu.
Ricci nic na to nie odparł, spojrzął znacząco na kolegę, sięgnął po długopis i coś nabazgrał na fotografii, po czym oddał ją właścicielowi.
Bez słowa uściśnęli sobie dłonie na pożegnanie. Dopiero w holu Antonio zerknął dyskretnie na zdjęcie. W samym górnym prawym rogu widniało jedno słowo: CHARUN.
Co to może znaczyć? Jego myśli wpadły w istną galopadę. Ricci nie chciał nic powiedzieć, bo bał się podsłuchu?
To musiało znaczyć coś ważnego, ale zajmie się tym dopiero wieczorem, teraz musi iść do sądu. Spojrzał na zegarek, już był spóźniony, sędzia się wścieknie.
Po drugiej stronie ulicy stał jakiś mężczyzna i obserwował wychodzących z gmachu ludzi, a kiedy zauważył młodego Oliveto, sięgnął po komórkę.
– Właśnie wyszedł z budynku – zameldował, schował telefon i poszedł za Antonim.

* * *

– Franciszku! Skąd wziął się tutaj ten list? – Veronika trzymała w ręku podłużną kopertę. Dobrze знаła ten charakter pisma, na sam jego widok serce zaczynało jej bić mocniej.
Kucharz wychylił się z kuchni. Jego mina mówiła wszystko, nie miał zielonego pojęcia.
– Nie wychodziłem od siebie od dwóch godzin, może Bruno go odebrał, a może listonosz go położył. Od kogo?
– Od tego, co wam postawił kolację – odparła zgryźliwie. Jeszcze nie do końca minęła jej złość za to śledzenie.
Podniosła kopertę do nosa – ten sam zapach. Za każdym razem, kiedy go czuła, traciła głowę.
List był zaadresowany do niej, jak zawsze odręcznie i bardzo starannie. Rozerwała kopertę i na podłogę wysypały się małe kopertki. Domyśliła się, że to następna porcja quizu dla gości. Rozłożyła kartkę.

*Droga Veroniko,
wiem, że jesteś na mnie bardzo zła, ale naprawdę nic nie knuję z Twoim ojcem i Twoje pretensje są bezpodstawne.
W liście umieściłem nowy quiz dla gości i mam nadzieję, że będą się dobrze bawić.*

*Pozdrawiam
Gabriel*

P.S. Może jednak dasz się namówić na kolację?

Złożyła kartkę i uśmiechnęła się do siebie, no cóż, perspektywa następnej kolacji była bardzo kusząca. Schyliła się, żeby pozbiierać kopertki. Właśnie przechodziła Molbi, więc kiwnęła na nią ręką.
– Masz, rozłóż gościom te listy. Następny quiz od pana Trovata.
Podała kopertki dziewczynie, a ta je kurczowo chwyciła i przycisnęła do piersi.
– Z przyjemnością je zaniosę – odparła i dziwny uśmiech przemknął jej przez twarz.

Pewnie się z nim spotyka, pomyślała Veronika. Widziała, jak kiedyś zabrał ją spod hotelu.

- Dobrze go znasz? - spytała.
- Dość dobrze.
- Coś cię z nim łączy? - drążyła dalej.
- Nie rozumiem. - Murzynka spojrzała na nią uważnie i dopiero teraz zrozumiała sens pytania. - Nie spotykam się z nim, jeśli o to chodzi.

Veronika poczuła, że się czerwieni.

- Niech pani sobie nim głowy nie zaprzęta! - dodała Molbi.
- Bawidamek? Domyślałam się.
- Nie, nic z tych rzeczy. - Dziewczyna zaprzeczyła energicznie. - On jest wyjątkowy, ale jak się pani zaangażuje, to potem będzie bardzo boleśnie.
- Mówisz zagadkowo. - Zdumiała się.
- On, jak by to powiedzieć... - Molbi szukała odpowiedniego słowa - nie pasuje do pani.
- Gej?
- Nie! - Murzynka się zaśmiała. - Proszę mnie źle nie zrozumieć, ale on ma inne rzeczy na głowie.
- No właśnie, gdzie on pracuje? Wiesz coś o jego pracy?
- Niech go pani sama zapyta. Nie chcę mówić o nim poza jego plecami, to byłoby nie w porządku wobec niego.
- Czasem można trochę poplotkować.
- Nie o nim. Zrobił dla mnie bardzo dużo. Jestem jego wielką dłużniczką. Widzę, że wpadł pani w oko, ale proszę mnie posłuchać i nie zawracać sobie nim głowy. To dobra rada. Idę zanieść koperty - ucieła rozmowę.

Minęła zaskoczoną Veronikę i zniknęła w jadalni.

Stara budka telefoniczna stała niedaleko głównego wejścia na molo. Była bardzo zaniedbana; jej ściany wandale wymalowali sprayem w różne esy-floresy. W dobie telefonów komórkowych była skazana na zagładę, tak jak kiedyś dinozaury, i tylko ogólne unijne przepisy zakazywały jej likwidacji. Była może godzina osiemnasta, kiedy obok niej pojawił się Stefano Bontate. Trudno go było rozpoznać, twarz skrywały wielkie rondo kapelusza i wysoko postawiony kołnierz płaszcza.

Mężczyzna rozejrzał się nerwowo wokół, ale nie widząc nikogo, uspokoił się. Wślizgnął się do środka i chwycił słuchawkę. Sięgnął do kieszeni i wygrzebał z niej kilka monet, następnie wrzucił je do automatu i wykręcił jakiś numer. Zastygł nieruchomo, wsłuchując się w sygnał po drugiej stronie.

- Cholera, Mario, bądź tam - szepnął z przejęciem.

Nagle ktoś odebrał.

- Halo.
- To ty, Mario?
- To zależy, kto pyta? - Usłyszał znajomy głos.
- Co, nie poznajesz? To ja, Stefano.
- Stefano? Prędzej bym się ducha spodziewał, przecież cię zapuszkowali - zdziwił się głos w słuchawce.
- To długa historia. Teraz nie ma czasu na wyjaśnienia. Musisz mi pomóc.
- Jak? Wał prosto z mostu.
- Musisz przyjechać do Pietrasanty. Bądź tu pojutrze w południe i weź ze sobą swój ekwipunek.
- Szykujesz jakiś skok? Wchodzę w to, nawet nie pytam o szczegóły.

- Nie, to nie to. O nic nie pytaj. Powtarzam, weź ekwipunek.
- Rozumiem. Gdzie konkretnie mam podjechać?
- Bądź koło mola. Łatwo tam trafić. Tylko nie nawal!

Bontate powiesił słuchawkę na widelkach i opuścił budkę. Ponownie rozejrzył się, ale wokół nie było żywej duszy. Poprawił kołnierz w płaszczu, wsunął ręce do kieszeni i ruszył w kierunku Erynii.

Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Bontate dzwonił do kolegi, Mvumbi chodził jak ranne zwierzę po swoim pokoju.

Dusił się w tym hotelu i w tej miejscowości. Nie cierpiał Europy, nie cierpiał tego klimatu, a teraz musiał tu gnąć.

Co za parszywy los, myślał rozjuszony. Bawią się mną, chcą mnie zniszczyć psychicznie, ale jestem twardy, nie dam się. Spojrzył na kopertę przyniesioną ze stołówki. Otworzył ją, znów kartka z tym samym poleceniem. Wymień trzy powody, dla których miałbym zmienić zdanie.

Pierdol się, Trovato, mam gdzieś te twoje pytania, te twoje gierki. Nie wiem, jak to zrobiliście, że Molbi tu jest. Nie wiem, jakim cudem jest wciąż taka młoda, ale dam sobie głowę uciąć, że to ona! Zresztą, poczekam na dobry moment, zerwę z niej te fatalaszki i wtedy się upewnię. Suka pastwi się nade mną, jest z nimi w zмовie. Jeszcze ją dopadnę i skończę to, co zacząłem. Tym razem nie będzie fuszarki!

Usiadł na łóżku i chwycił długopis. Chwilę się wahał, po czym zaczął pisać.

„Pierdol się z tymi gierkami. Bądź mężczyzną i wreszcie zakończ to. Niczego nie żałuję”.

Rzucił długopis na podłogę, kartkę włożył do koperty, kopertę zakleił.

Sięgnął po pilota i włączył telewizor. Nadawali dziennik, a w nim reportaż z Konga. Na ekranie ukazały się stopy gnijących ciał, oszpecone dzieci i kobiety. Mvumbi podszedł bliżej, żeby lepiej zobaczyć.

- No i co z tego - zaśmiał się histerycznie. - To Hutu, padlina dla krokodyli, im mniej tego gówna, tym lepiej! Pieprzone pismaki nic nie rozumieją. Nie można okazać słabości, trzeba być twardym, bo inaczej sam stajesz się padliną.

Wyłączył telewizor, zarzucił płaszcz na ramiona, wyszedł z pokoju, zszedł po schodach i skierował się do wyjścia. Przed budynkiem zauważył doktora Vogla; siedział przy stoliku, ogrzewał się przy piecyku gazowym, pił kawę i czytał gazetę. Mvumbi podszedł i usiadł naprzeciw niego. Patrzył na tylną stronę pisma. Z tej odległości nawet mógłby je przeczytać, ale teksty były napisane po niemiecku; nie znał tego języka.

- Wiem, kim pan jest - zagadał naraz lekarz. Odłożył gazetę i spojrzał na niego zza tych swoich grubych szkieł.

- Czyżby? - zdziwił się Mvumbi.

- Tak, mój panie, moi pryncypałowie interesowali się panem, powiem więcej, bardzo się interesowali. Niestety ktoś pana zdradził, później było aresztowanie i klops.

- Proszę mówić jaśniej.

- Mój koncern farmaceutyczny chciał otworzyć pod pańską kuratelą ośrodek badawczy.

- Co chcieliście badać i dlaczego w Kongu?

- Nowe specyfiki, chodziło nam o badania kliniczne pewnego produktu. Niezbędne były testy na ludziach. - Vogel zaśmiał się ponuro i dodał: - U pana, jak wiem, nie brakowało królików doświadczalnych.

- Owszem, było sporo tego robactwa. Szkoda, że nic z tego nie wyszło. Dla nas każdy zarobiony dolar oznaczał nowy karabin lub amunicję.

– Wyszło, tylko nie z panem.

– Nie rozumiem.

– Koncern i tak wszedł do Konga, dogadał się z pana wrogami.

– Sukinsyny! – wykrzyknął pułkownik.

– Takie jest życie – zaśmiał się lekarz. – Tak pan, jak i ja byliśmy pionkami na szachownicy w tej grze. Kiedy my się przewróciliśmy, postawili nowe figury. Tak jak pan nie zobaczył nawet dolara z tego kontraktu, tak ja nie zdołałem przetestować mojego nowego leku. Pana aresztowano, mnie porwano w biały dzień z ulicy w Kinszasie i potajemnie wywieziono z Afryki. Obudziłem się w areszcie w Berlinie, na dodatek z potwornym kacem. I wie pan, co mi podali? Specyfik, który produkuje moja firma. Od razu poznałem.

– Zakpiono z pana, tak jak ze mnie – zauważył Mvumbi. – Zarzucają mi zbrodnie ludobójstwa, a sami co robią?!

– Wszyscy jesteście tacy sami. – Vogel pokiwał smętnie głową. – Wszystko zrobimy, żeby osiągnąć sukces. Musi się pan pogodzić z jednym: obydwaj przegraliśmy i tego już nie odwrócimy.

Murzyn wyjął z kieszeni płaszcza cygaro, odgryzł końcówkę i wypluł ją na ziemię. Sięgnął po zapalki, przypalili i w milczeniu puszczał kłęby dymu.

– Dobre cygaro, poznaję po zapachu – zauważył lekarz.

– Owszem, kubańskie; najlepsze z najlepszych, ale to już resztką. Miałem ich kilka skrzynek. Kubańscy doradcy wojskowi przywozili je do Angoli, a stamtąd wędrowały do mnie. Miałem tu i ówdzie swoich ludzi.

– Angola, tam było eldorado! – westchnął z rozrzewnieniem Vogel. – Byłem tam kilka lat. Jednak później sytuacja się unormowała i zaczęto krzywo na nas patrzeć. ONZ i inne organizacje wyniuchały nasze działania. Testowaliśmy tam na skazanych pewien specyfik, który niestety nie sprawdził się u ludzi. Ekshumowano kilku więźniów i wybuchła afera. Wykręciliśmy się, bo mieliśmy ich oświadczenia, ale już nie dało się tam prowadzić interesów. Musieliśmy się ewakuować do Konga.

– Oświadczenia? – zaśmiał się Mvumbi. – To mieli jakiś wybór?

– Mieli, pluton egzekucyjny.

Obaj parsknęli śmiechem.

Russo stał na głównym placu w Pietrasancie i rozglądał się ciekawie wokoło. Było ładnie, tak oceniał. Rzędy starych, z dużym pietyzmem odrestaurowanych kamieniczek, a w nich co i rusz antykwariat. Niepozorne na pierwszy rzut oka miasteczko okazało się ulubionym miejscem pobytu artystów. Może działała magia Michała Anioła, a może niewątpliwy urok tego miejsca.

Nagle jego wzrok zatrzymał się na kościele i stojącej obok niego wysokiej, ceglanej dzwonnicy. Ruszył w tym kierunku. Obszedł kościół i na jego tyłach zobaczył mały, bardzo zaniedbany i jakby przyklejony do świątyni budynek. Stanął przed starymi, niepamiętającymi farby, masywnymi, dębowymi drzwiami i się zawahał. Zrobił na piersi znak krzyża, po czym nacisnął dzwonek.

Ze środka doleciał go odgłos ciężkich kroków, a po chwili drzwi się rozwarły i stanął w nich proboszcz. Zmierzył przybysza od stóp do głów surowym spojrzeniem – otaksował go.

– Słucham? – spytał oschle, jakby czuł podświadomie, kto zawitał w jego proggi.

– Nazywam się Russo – przedstawił się przybysz. – Mogę wejść?

– A mam wybór? Proszę.

Weszli na plebanię, usiedli przy stole w salonie naprzeciwko siebie i w milczeniu obserwowali się nawzajem, Russo z ciekawością, zaś Leoni z nieukrywanym wstrętem.

– Dziękuję za przyjęcie – odezwał się gość po dłuższej chwili. – Bałem się, że ksiądz nie zechce mnie wysłuchać.

– Nie ukrywam, że się wahałem – odparł proboszcz. – Jednak jestem kapłanem. Wiele lat temu byłem spowiednikiem skazańców w więzieniu w Genui, więc i teraz mogę.

– Nie chcę się spowiadać – zaoponował przybysz.

– Nie? To po co ta wizyta? Nic z tego nie rozumiem.

– Jestem wyklęty przez Kościół, ale nie jestem zły.

– A to ciekawe, to może ofiary są winne? – zakpił Leoni. – Chce pan zrzucić winę na te biedne dzieci? One panu zaufały!

– Jestem współwinny.

– Współwinny, powiada pan? A kto jest jeszcze winny prócz pana?

– Kościół.

– Kościół? Nie rozumiem, czemu wciąga pan w swoje brudy tych, którzy dawali panu przez tyle lat opiekę i okazywali serce.

– To proszę mnie wysłuchać. Dlatego tu przyszedłem.

Patrzył na gospodarza z dziwnym, bliskim szaleństwem błyskiem w oczach.

– Zatem słucham pana, tylko proszę się streszczać, bo mam mszę – powiedział Leoni z rezygnacją.

– Jako dziecko mieszkałem we Florencji – zaczął gość już dużo spokojniej. – Moja rodzina była bardzo wierząca i praktykująca. Byłem idealnym materiałem na ministranta i nim zostałem, dając bliskim wielką radość. Dla nich było to szczęście, a dla mnie przekleństwo.

Przerwał i zaczął się cały trząść. Po chwili jednak się uspokoił i kontynuował swoją opowieść:

– Pełen zapału biegałem do kościoła i służyłem do mszy. Proboszcz był stary, schorowany i najczęściej msze odprawiał wikary, ksiądz Daniel, nigdy nie zapomnę tego imienia. Był bardzo sympatyczny, częstował nas cukierkami, a często i czekoladą. Mnie w szczególności polubił, głąkał mnie po główce, uśmiechał się. Któregoś dnia, kiedy po mszy chciałem iść do domu... – Przerwał na moment. – Mogę się czegoś napić? Zaschło mi w gardle.

– Tak, oczywiście. – Proboszcz zerwał się z krzesła i poszedł do kuchni. Po chwili wrócił z butelką wody mineralnej w jednej ręce i szklanką w drugiej. Podszedł do stołu i postawił oba przedmioty przed Russem. Ten natychmiast nalał sobie do pełna i od razu wypił. Odstawił naczynie.

– Dziękuję. Któregoś dnia – kontynuował – po mszy kazał mi zostać w zakrystii. Inni poszli i zostaliśmy tylko my dwaj, on i ja. Posadził mnie na ławce i zaczął obłapywać. W pierwszej chwili nie wiedziałem, o co mu chodzi, i nie stawiałem oporu, a kiedy zorientowałem się, w czym rzecz, zacząłem się sprzeciwiać. Wtedy zdenerwował się na mnie i mnie uderzył. Spadłem z ławki i rąbnąłem głową o bufet stojący tuż za mną. Straciłem świadomość, nie wiem, na jak długo, ale kiedy się ocknąłem, byłem rozebrany od pasa w dół. On stał obok i ubierał się. Nigdy nie zapomnę jego twarzy, jakże innej niż ta w czasie, kiedy odprawiał msze; widziałem obleśny, szyderyczy uśmiech i minę zwycięzcy. Byłem wystraszony i obolały. Bolały mnie głowa i tyłek, nie pamiętałem nic, ale podświadomie wiedziałem, że stało się coś strasznego. Podciągnąłem majtki i spodnie. Bałem się, strasznie się bałem i chciałem jak najszybciej uciec, i to jak najdalej. On podszedł do mnie i chwycił mnie za koszulę. Zbliżył twarz do mojej i zagroził, że jeśli komuś pisnę słowo, wyprze się wszystkiego i powie, że złapał mnie, jak chciałem obrabować skarbonkę w kościele. Wybiegłem jak oszalały i ukryłem się w szopie koło domu. Przez dwa tygodnie udawało mi się omijać kościół, jednak ksiądz Daniel nie dał mi spokoju. Zjawił się w moim domu, i to wtedy, gdy byli rodzice. Kiedy go zobaczyłem, byłem śmiertelnie przerażony. Stałem pod ścianą i z trwożą patrzyłem na niego. Po co przyszedł? Czego chciał? Wie ksiądz, czego on chciał?

Spojrzał pytająco na proboszcza. Ten zaprzeczył tylko ruchem głowy.

– Ja też wtedy nie wiedziałem, a on chciał mnie! Potrzebował mnie, żeby mnie pieprzyć, i to w kościele, tuż przy ołtarzu! Oficjalnie przyszedł poskarżyć się moim rodzicom, że opuszczam mszę i przestałem do niej służyć jako ministrant. Kiedy wyszedł, rozpetęło się w domu prawdziwe piekło. Ojciec z paskiem w rękę gonił mnie po mieszkaniu i tłukł, nie patrząc, że bije sprzączką. Kilka razy tak dostałem, że zacząłem spływać krwią. Co miałem zrobić? No co? Wziąłem sznur i poszedłem pod most, chciałem skończyć ze sobą, czułem się zbrukany i uważałem, że tylko w ten sposób zmyję to wszystko z siebie. Jednak przeliczyłem się, nie potrafiłem, nie starczyło mi odwagi. Owszem, założyłem sobie pętlę, ale na tym poprzestałem. Wróciłem do domu i po południu poszedłem do kościoła. I znów kazał mi zostać i znów mnie gwałcił. W końcu przyzwyczailem się, nie uwierzy ksiądz, ale do wszystkiego można przywyknąć. Mało tego, zauważyłem, że można z tego czerpać korzyści. Ksiądz został proboszczem i prezenty otrzymywane od niego zaczęły być coraz bogatsze. Nagle zorientowałem się, że nie ma to jak być księdzem, więc wstąpiłem do seminarium. Zostałem księdzem i tak jak mnie kiedyś molestował wikary, tak ja poczułem pociąg do dorodnych chłopców. Wyjechałem na misje, a tam miałem nieograniczone możliwości, często tylko za kromkę chleba. I tak coraz bardziej zapadałem się w bagno własnej ułomności. Nie wiem, jak wszystko by się potoczyło, gdyby nie ten ksiądz Daniel. Może nigdy nie spojrziałbym w ten sposób na dziecko, ale sam dorobił się własnych. Nie wiem... On zniszczył człowieka w młodym chłopcu, a stworzył identyczną bestię, którą był sam.

Russo zamilkł. Sięgnął po butelkę, napełnił szklankę i wypił.

Proboszcz ani na chwilę nie spuszczał wzroku z gościa. Opowieść była spójna, rzeczowa i poza chwilowym załamaniem na początku nie czuło się w niej bardzo dużych emocji. Tak jakby opowiadał czyjaś, a nie swoją historię. Wiedział, że źle robił, ale rozkładał odpowiedzialność, częściowo obarczając nią trudne dzieciństwo. Miał trochę racji, ale jednak za swoje dorosłe życie odpowiadał wyłącznie on. Mógł przerwać łańcuszek zła, ale tego nie uczynił. Co więcej, według tego, co opowiadano w Watykanie, uczeń przerósł mistrza. Nie dość, że molestował dzieci w krajach Trzeciego Świata, to kilkoro ofiar jego zboczonych żądz popełniło samobójstwo. Szczególnie głośno było o jednym chłopcu z Mozambiku, który rzucił się do rzeki pełnej krokodyli. Wtedy wkroczyli żołnierze ONZ i aresztowali Russa. Po interwencji Watykanu został sprowadzony do Stolicy Apostolskiej i nagle zrobiło się o nim cicho.

– Byłeś gorszy od niego. Masz krew swoich ofiar na rękach.

– Ksiądz nie rozumie, że tamten kapłan mnie zniszczył?

Russo był zawiedziony. Liczył na coś innego.

– To pana nie rozgrzesza. Jest pan bestią, która przyniosła wstyd Kościołowi – rzekł Leoni.

– To nie tak. Byłem małym chłopcem, który mógł mieć wspaniałe dzieciństwo i życie, ale zbroczeniem w sutannie to zdeptał.

– A pan jako inny zbroczeniec w sutannie zniszczył życie innym. Chciał się pan w ten sposób zemścić? Jeśli tak, to na kim? Na swoich ofiarach?

– To zaczęło przejmować kontrolę nade mną. Kiedy widziałem chłopca, czułem się, jakbym miał wysoką gorączkę, tak pożądanie uderzało mi do głowy. Kompletnie wyłączało mi mózg i nie byłem w stanie racjonalnie myśleć. Robiłem wszystko, żeby go mieć, za wszelką cenę.

– To jest obrzydliwe. – Proboszcz przeżegnał się z przejęciem. – Pan powinien być w więzieniu, jest pan niebezpieczny. Wiem, że pana zamknęli. Kto pana wypuścił?

– Nie jestem wolny. Jestem bardziej zniewolony, niż gdybym był w więzieniu.

– Niemożliwe, przecież widzę pana na wolności.

– Słyszał ksiądz o CHARUN-ie? O organizacji o takiej nazwie.

– CHARUN? – Proboszcz energicznie pokręcił głową. – To tylko plotka. Oni nie istnieją i nie istnieli. Proszę to wsadzić między bajki.

– Tak ksiądz uważa? To się myli, ale mniejsza o to.

– Czemu pan do mnie przyszedł? Czego pan oczekuje?

– Chciałem komuś opowiedzieć moją historię. Teraz jest mi lżej!
– Nie potrafię pana rozgrzeszyć. Jest pan dla mnie potworem.
– Nie spodziewałem się rozgrzeszenia. Zna ksiądz kardynała... – Nachylił się w kierunku gospodarza i szepnął mu do ucha nazwisko.
– Oczywiście, to jest bardzo szacowny duchowny, wszyscy księża powinni brać z niego przykład. Jest wzorem dla nas wszystkich.
Russo nic na to nie odpowiedział, jedynie dziwnie się uśmiechnął.
– Muszę już iść. – Podniósł się z krzesła i ruszył do wyjścia. Gospodarz podążył wolno za nim. Gość zatrzymał się nagle w progu.
– Ów kardynał to jest właśnie ksiądz Daniel. Wtedy brutalnie mnie zgwałcił, a teraz na pewno to on maczał ręce w wydaniu mnie tym ludziom.
– Jakim ludziom?
– Tym z CHARUN. Ksiądz mi wciąż nie wierzy. Do widzenia.
Odwrócił się i wyszedł na ulicę, zostawiając za plecami zaskoczonego proboszcza.

Veronika chodziła po supermarkecie i co chwila wrzucała coś do wózka. Kiedy zamierzała dorzucić dużą paczkę makaronu, zdała sobie sprawę, że będzie ciężko zapakować to wszystko na skuter. Obydwa bagażniki, ten na kierownicy, jak i ten za siedzeniem, miały ograniczoną pojemność.

– Będzie problem – usłyszała zza pleców.
Od razu poznała ten głos, serce jej mocniej zabiło.
– Gabriel?
Stał tuż za nią.
– Witaj – rzekł. – Twój skuter to nie jest tir, chyba ciut przesadziłaś!
Spojrzała na wózek i z rezygnacją rozłożyła ręce.
– Mam duży bagażnik, to ci wszystko podrzucę – zaproponował szybko.
– Nie chcę cię fatygować.
– Nie przejmuj się. Ja cię od kilku dni wykorzystuję. Obarczyłem cię uciążliwymi gośćmi, wciąż mi zarzucasz, że wszedłem w brudnych butach w twoje życie. Chociaż w jakimś stopniu zrekompensuję ci straty moralne – zadrwił.
– Goście nie są uciążliwi, ale dziwni, a z tymi zarzutami ciut przesadasz.
– Chodź! – uciął rozmowę.
Chwycił wózek i popchnął go w kierunku kasy. Veronika poszła za nim, ale jeszcze po drodze porwała paczkę jedzenia dla Romulusa.
Przy kasie nie było kolejki, więc po chwili znaleźli się przed sklepem. Stanęli na parkingu.
– Gdzie teraz? – Veronika rozglądała się za mercedesem.
– Na sam koniec! – Gabriel wskazał dalszą część parkingu i pchnął wózek w tamtym kierunku.
– Wiesz, że śpię z rewolwerem pod poduszką? – rzuciła naraz, zerkając ukradkiem na jego minę.
Zatrzymał się i spojrzał na nią z niedowierzaniem, po czym wybuchnął niepohamowanym śmiechem.
– Żartujesz czy mówisz poważnie?
– To prawda. Franciszek wcisnął mi kiedyś rewolwer w dłoń i kazał go trzymać pod poduszką. W nocy nie wiem, czego bardziej się boję: broni, żeby nie wystrzeliła bez powodu, czy twoich znajomych.

– To nie są moi znajomi – rzekł kategorycznym głosem. – To są... powiedzmy, że wczasowicze. Ja jedynie zorganizowałem im ten turnus, ale nie mam z tymi ludźmi nic wspólnego i nie chcę mieć. Jedynie nasze powiązanie to... – zawahał się. – Niech będzie, że interes.

– Prowadzisz interesy z tymi ludźmi? – spytała z nieukrywanym niesmakiem.

– Nie, źle mnie zrozumiałaś. Zorganizowałem im pobyt i pilnuję, żeby dotrzyмали warunków umowy, nic więcej.

– Wydaje mi się, że nie lubisz swojej pracy. Nie możesz jej zmienić?

Energicznie pokręcił głową.

– Trudno mi powiedzieć, że jej nie lubię. Nie zastanawiałem się nad tym. Zresztą, to jest umowa na stałe, bez możliwości rezygnacji.

– Nie żartuj! Każdą pracę można zmienić na inną – nie ustępowała. – Księża odchodzą ze stanu duchownego, zakonnicy wychodzą z klasztorów, żołnierze do cywila, ludzie się przebranżawiają.

Nic na to nie odpowiedział. Energicznie popchnął wózek w kierunku samochodu. Veronika w milczeniu szła tuż za nim.

Zatrzymali się przy mercedesie, Gabriel otworzył drzwi bagażnika. Wrzucił zakupy do środka i zamknął klapę.

– To ja idę po skuter – rzekła Veronika.

– Zjemy razem kolację czy znów odmówisz? – zagadnął.

– Dziś nie mogę, obiecałam tacie, że z nim zjem, ale jeśli masz czas, możemy przejść się nad morze – rzekła, nie kryjąc żalu, że musiała odmówić.

– Z chęcią. Będę na ciebie czekał przy Erynii.

– Może lepiej nie, czekaj przy plaży. Nie chcę zgryźliwych komentarzy Franciszka, a zakupy zostaw na stoliku w ogrodzie.

– Zgoda, a więc do zobaczenia.

Wsiadł do samochodu, a Veronika wróciła po skuter.

Jeszcze nigdy nie wracała do domu w takim tempie. Po drodze dwa razy z ledwością udało jej się wyhamować, inaczej zderzyłaby się z samochodami. Z piskiem sfatygowanych i dawno pozbawionych bieżnika opon wjechała na hotelowy parking, zeskoczyła z siodełka prawie w biegu. Z kuchni wyciągnęła Molbi, żeby pomogła jej wnieść zakupy, które czekały na stole. Romulus nerwowo kręcił się wokół swojego jedzenia.

– Uciekaj stąd! – Veronika pogoniła go z blatu.

Napuszyl się, zasyczał na nią, niechętnie zeskoczył i pobiegł w kierunku kuchni.

Objuczone pakunkami kobiety weszły z powrotem do budynku i zaniósły wszystko do magazynu. Kelnerka cały czas ukradkiem obserwowała Veronikę, a kiedy były same, chwyciła ją za rękę.

– Proszę, niech pani nie angażuje się w znajomość z Gabrielem – zwróciła się do niej błagalnym tonem.

– Dlaczego? – Veronika patrzyła na nią podejrzliwie. – Czemu mi to odradzasz? Jesteś o niego zazdrosna? Powiedz, zrozumiam.

– Nie – zaprzeczyła kategorycznie Molbi. – Jest pani dobrym człowiekiem i nie chcę, żeby pani cierpiała.

– Coś o nim wiesz? Powiedz mi, proszę, skoro tak mnie przed nim ostrzegasz. Ma dziewczynę, może żonę?

Kelnerka spuściła głowę i nic nie odpowiedziała.

– Powiesz mi w końcu, o co tu chodzi?

– Nie mogę! Niech pani go odtrąci! Tak będzie lepiej dla pani.

– Dlaczego?

– To jest bardzo skomplikowane. Gabriel nie jest zwykłym mężczyzną, on nigdy nie zwiąże się z żadną kobietą.

– Zaraz, zaraz, to w końcu o kogo ci chodzi? Chodzi ci o moje czy jego dobro?

Murzynka nie kryła zakłopotania. Patrzyła na Veronikę i widać było, że męczy ją ta wymiana zdań. Jakby chciała coś powiedzieć, ale nie mogła.

– Chodzi mi o pani dobro – odparła. – Wasz związek nie miałby przyszłości. Dziwię się jemu, bo on o tym dobrze wie. Myślę, że naprawdę zawróciła mu pani w głowie, i to bardzo.

Wyszła z magazynku, pozostawiając szefową samą.

Co Gabriel ukrywa? Co to za firma, w której pracuje? O co tu naprawdę chodzi? – myślała rozgorączkowana Veronika.

Opuściła pomieszczenia kuchenne i zaabsorbowana myślami, nie zauważyła Bontatego idącego korytarzem. Prawie na nią wpadł.

– Dzień dobry!

– Dzień dobry – odburknęła zmieszana.

Był bardzo pobudzony.

– Na pewno wysłała pani ten list?

– List? Jaki list? – W pierwszej chwili nie wiedziała, o czym on mówi, ale się zreflektowała.

– Tak, tak, wysłałam. A co się stało?

– Nieważne. – Machnął ręką. – Było, minęło, już się tego nie odwróci.

Nic nie odpowiedziała, tylko skinęła głową na pożegnanie i wyszła z hotelu. Stojąc w progu, zobaczyła Mvumbiego i Vogla. Siedzieli przy stoliku, pili cappuccino, a byli tak zaaferowani dyskusją, że jej nie zauważyli. Ostatnio często spędzali wspólnie czas przy filiżance kawy.

Veronika poszła w stronę morza, przekonana, że Raul już tam na nią czeka. Minęła przecznice i weszła między domki stojące przy plaży.

Już z daleka go zobaczyła. Siedział na leżącej na piasku od niepamiętnych czasów łódce. Dziwne, że do tej pory się jeszcze nie rozpadła.

Zauważył ją, zeskoczył na ziemię i pomachał do niej ręką.

Poczuła, jak serce jej mocniej bije.

Wolnym krokiem ruszyli brzegiem w kierunku mola. Ona zdjęła buty i szła po kostki w wodzie, on się nie zdecydował, bo morze wciąż było lodowate. Spacerowali w milczeniu. Doszli do samotnej ławeczki, na której usiedli.

– Pięknie tu. – Veronika przerwała milczenie. – Kocham Toskanię i ten widok bezkresnego morza.

– Trudno się z tobą nie zgodzić – przytaknął. – Są jednak inne miejsca na świecie, gdzie jest równie pięknie.

– Dużo jeździsz? – spytała.

– Tak. Nieraz całymi miesiącami jestem w podróży.

– To okropne, nie masz domu?

– Nie jest mi potrzebny.

– Nie masz rodziny? Nie masz do kogo wracać? – zdziwiła się.

Ona by tak nie mogła żyć.

– Nie mam nikogo.

– Jak sobie z tym dajesz radę?

Obserwowała go, gdy siedział obok niej, taki oderwany od rzeczywistości. Patrzył w jakiś punkt daleko na horyzoncie i jak automat odpowiadał na pytania.

- Nie mam wyboru. Muszę sobie jakoś radzić – odparł.
- Każdy ma wybór.
- Nie wszyscy, ja go nie mam. Być może przez to jest mi łatwiej.
- Nie rozumiem. Wy tłumacz mi to, proszę.
- To jest bardzo skomplikowane. Zresztą, nie lubię o tym mówić.
- Możesz mi odpowiedzieć na jedno pytanie?
- Pytaj, zobaczymy.
- Czego się spodziewasz po naszej znajomości?

Słychać było tylko szum fal i pisk rybitw. Gabriel milczał. Cały czas jego wzrok błdził gdzieś hen po krańcach horyzontu.

- Niczego – odezwał się po chwili. – Lubię twoje towarzystwo, i to tyle. Nie wolno mi się z nikim wiązać. To jest granica, której bez względu na okoliczności nie mogę przekroczyć.

- A co by było, gdybyś ją przekroczył?

- To jest niemożliwe. – Mówiąc to, spojrzął na nią, ale zaraz jego wzrok z powrotem powędrował na linię horyzontu.

- To jakaś pokuta? Co takiego zrobiłeś? – dopytywała.

- Zabiłem człowieka – rzekł po dłuższym namyśle.

Veronikę zamurowało.

- Boże, zabiłeś człowieka? – wyszeptwała.

- Tak.

- W obronie własnej? Czy to może był wypadek? – spytała drżącym głosem.

Jeszcze miała nadzieję. Takie zabójstwo mogłaby chyba przełknąć, mogłaby jeszcze zrozumieć... Czekwała na odpowiedź.

- Nie. To nie była samoobrona. Zrobiłem to z zimną krwią.

On jest zwykłym mordercą! Ta informacja ją zmroziła. Była przerażona i jednocześnie zrozpaczona. Mężczyzna, który zaczął odgrywać coraz większą rolę w jej życiu, okazał się zwykłym bandziorem!

Poderwała się z ławki i biegiem ruszyła w stronę hotelu. Nie chciała mieć z Gabrielem nic wspólnego, nienawidziła go! A już zaczynała mu ufać. Niech to się wreszcie skończy! Jeszcze kilka dni i ci przekłeci goście wyniosą się, a wraz z nimi i on. Już nigdy więcej nie zgodzi się na taki wynajem; to było pierwsze i ostatni raz.

Gabriel został sam na plaży. Siedział na ławce i wciąż patrzył bezmyślnie w horyzont. Jego znajomość z Veroniką zaczęła się niebezpiecznie zacieśniać. Trzeba było to zakończyć, a im prędzej, tym mniej boleśnie. Dziś tego nie planował, to był impuls. Polubił te spotkania, było mu szkoda je przerwać i w pewnym momencie zorientował się, że tęskni za nimi, że dziewczyna zaczyna zaprzętać jego umysł, zaczyna go zniewalać. Kiedyś, bardzo dawno temu, przeżył coś podobnego i źle się to skończyło. Nie chciał tego powtarzać. Dlatego to uciął. Tylko w ten sposób mógł chronić dziewczynę.

Wstał z ławki, spojrzął w górę ku niebu i krzyknął:

- Jesteś zadowolony? Zawsze masz to, czego chcesz! Nie możesz mi w końcu odpuścić?

Wsunął ręce do kieszeni i poszedł w kierunku miasteczka.

Veronika wpadła do Erynii jak bomba, cała zalana łzami. Potrafiła wychodzącego z budynku Franciszka, nadepnęła na ogon kręcącemu się pod nogami Romulusowi i nie zważając na jego pisk, pobięła schodami do swojego mieszkania.

Kucharz jeszcze nigdy nie widział jej tak wzburzonej. Co mogło ją tak zdenerwować? Za dużo dziwnych rzeczy działo się podczas tego turnusu, to już zaczynało męczyć wszystkich. Bernardo mocno podupał na zdrowiu ze zgryzoty, sam Franciszek zaś już kilkakrotnie naraził się Veronice, a na dodatek po hotelu snuła się jak jakaś zjawia ta dziwna kelnerka. Jeszcze kilka dni, myślał kucharz, i życie powinno wrócić do normy. Chyba już czas pożegnać się z tą pracą, jest na to wszystko za stary. Teraz jednak powinien zajrzeć do Veroniki.

Zasapany wszedł na trzecie piętro i zapukał do jej drzwi. Stała w progu, cała rozmazana na twarzy.

– Boże, jak ty wyglądasz? – krzyknął przerażony.

– Wejdz – rzuciła w jego kierunku i poszła w głąb mieszkania, on podążył za nią.

Veronika weszła do łazienki, Franciszek usiadł w fotelu i cierpliwie czekał. Gdy wróciła, wyglądała już lepiej. Zmyła makijaż i jedynie czerwone oczy świadczyły o wcześniejszym płaczu. Usiadła naprzeciw niego, sięgnęła do torebki i wyjęła papierosy. Franciszek patrzył i nie wierzył temu, co widzi.

– Co robisz?! – wydarł się na nią.

– Zamierzam zapalić. Zresztą ojciec pali całe życie i ma się świetnie – oznajmiła spokojnym głosem.

– Przecież ty nie palisz.

– Nauczę się, to podobno nic trudnego.

– Co się stało? – Kucharz był coraz bardziej zaniepokojony. – Veroniko, co się z tobą dzieje?

– On jest mordercą! – krzyknęła.

– Kto jest mordercą?! Nie rozumiem. Mvumbi?

– Gabriel! On jest bandytą!

– Skąd wiesz? – dopytywał. – Ta kelnerka ci powiedziała?

– On sam mi to powiedział – odparła. – Tak zwyczajnie, po prostu oznajmił mi, że zabił człowieka!

Oczy jej się zaszkliły.

– Nie płacz. Dobrze, że zdemaskował się zawczasu, że nie zrobił ci krzywdy.

– Zawczasu? – Spojrzała na niego przez łzy, ten wzrok mówił wszystko. – O wiele za późno.

Stefano Bontate siedział na łóżku i czyścił buty. Zawsze przywiązywał wielką wagę do ich czystości. Być może dlatego, że jako dziecko zawsze chodził w obuwii po starszym rodzeństwie, często bardzo zniszczonym i brudnym. Myślni był jednak zupełnie gdzie indziej.

Nagle cisnął akurat polerowany but na podłogę i podszedł do szafy. Z płaszcza wyjął zdjęcie zrobione kilka dni temu u miejscowego fotografa. Długo mu się przyglądał.

– Tak będzie lepiej – mruknął pod nosem i zaczął je z wielką pasją drzeć na małe kawałeczki. Pobierał wszystko i wrzucił do kosza. Ponownie sięgnął po but.

DZIEŃ SIÓDMY, NIEDZIELA

Nadeszło południe, słońce zaczynało coraz mocniej grzać, wciąż było ciepło, mimo że dopiero marzec.

Niedaleko mola zatrzymał się ciemny ford mondeo i wysiadł z niego nieduży, korpulentny mężczyzna. Rozejrzał się, ale nikogo nie widział, nigdzie żywego ducha. Wyciągnął z kieszeni chustkę i przetarł nią czoło. W oddali dostrzegł znajomą sylwetkę; nie mógł się mylić, w jego kierunku zmierzał Stefano Bontate. Faktycznie, skurczybyk jest wolny, pomyślał. W pierwszej chwili, kiedy odebrał telefon, był pewny, że to prowokacja, ale głos brzmiał identycznie jak Bontate. Później obawiał się, że może Stefano go w coś wrabia, ale to było do niego niepodobne.

Kumpel też go dojrzał, pomachał mu ręką.

– Cześć! – Pokleпали się po ramionach.

– Jesteś punktualny jak nigdy.

– Bo sytuacja jest inna. Wsiądźmy – rzekł Stefano i usiadł w samochodzie po stronie pasażera, Mario zajął na powrót miejsce kierowcy.

– Mam mało czasu – zaczął Bontate. – Musisz wyświadczyć mi przysługę. Masz swój sprzęt?

– Mam.

– To świetnie.

Podciągnął prawą nogawkę i podniósł nogę. Powyżej łydki miał założoną bransoletę z wyglądu przypominającą zegarek. Na wierzchu paliło się nieduże zielone światełko.

Kierowca forda zagwizdał z zachwytem.

– Ale cacko! Jestem pod wrażeniem.

– Nie przyszedłem tu, żeby się chwalić. Poradzisz sobie z tym? – spytał podenerwowany Stefano.

Mężczyzna, zakłopotany, podrapał się po głowie.

– Nie wiem, spróbuję, ale ci koleś od razu zorientują się, że nawiałeś.

– Nie kapną się, bo ty ją sobie założysz. Tylko na kilka godzin. Ja muszę się stąd wymknąć na jakiś czas.

– Ja? – Twarz Maria zrobiła się blada ze strachu. – Chyba cię pojebało? Nie ma mowy. Ja w to szambo nie wchodzę!

– Nie bój się, wróć. Masz moje słowo.

– Wierzę ci, ale słyszałem, że jest kilka odmian tych bransoletek. Są wśród nich takie, co urywają nogę, a nieraz rozrywają krocze. Lubię swoje nogi, mimo że są chude, krzywe i obrośnięte jak u pawiana.

– Od kiedy z ciebie taki cykor? Tu nie ma materiału wybuchowego, one mają tylko GPS i mierzą tętno.

– Tylko? – zdziwił się kumpel. Zerkał niepewnie na bransoletę. Chyba nie był przekonany do końca.

– To im wystarczy. Oprócz bransolet mają też inne metody – perswadował mu Bontate.

– Dobra, szkoda czasu, idę do bagażnika po narzędzia. Działamy! Zobaczmy, co da się zrobić.

Mario wysiadł z auta. Z auta wyjął małą stalową walizczkę i położył ją na masce samochodu. Otworzył wieko i chwilę się zastanawiał, czego użyć. Sięgnął po podłużne narzędzie, skrzyżowanie śrubokrętu z haczykiem.

– Wystaw nogę poza samochód – rozkazał.

– Nie możesz w samochodzie? Może ktoś zobaczyć!
– Nie pierdol, co zobaczy? Myślisz, że ludzie wiedzą, jak wygląda elektroniczna smycz? Nie żartuj. Stefano wystawił nogę, a kumpel nachylił się nad urządzeniem.
– Ale masz owłosione łydki, chyba bardziej niż ja. – Zaśmiał się.
– Ale zabawne. Lepiej zajmij się robotą.
– Ciekawe, nie widziałem wcześniej czegoś takiego – mamrotał Mario pod nosem. Gmerał przy zamknięciu, co chwila rzucał jakimś przekleństwem.
– Mam cię! – krzyknął nagle i spojrzął na kumpla. – Co dalej robimy?
– Przenieś to cholerstwo na swoją nogę.
– Jesteś pewny? Może być w tym jakaś niespodzianka, nie masz gwarancji, że tylko sprawdza tętno. Co będzie, jeśli wybuchnie? A jak mi prócz nogi urwie jeszcze klejnoty? Naprawdę, mam pietra.
– Wiem dobrze, że nie wybuchnie. Nie gadaj tyle, przerzucaj! – niecierpliwił się Bontate.
– Jeśli coś pójdzie nie tak, będziesz miał mnie na sumieniu i wychowasz moje córki, a mam cztery!
– Jeden więcej, jeden mniej, co za różnica, a dziewczuchy sprzedam do burdelu. – Stefano zaśmiał się ponuro.

Kumpel był tym mocno zniesmaczony.

– Kiepski żart – warknął.

Schylił się, błyskawicznie zdjął bransoletę z nogi Stefana i założył na swoją.

Zastygł w bezruchu, urządzenie zapiszczało, zapaliło się na nim czerwone światełko, po chwili zgasło i znów zaświeciła się zielona dioda.

– Uff – wyrwało mu się z gardła. – Ulżyło mi, żyję! Co teraz robimy?

– Daj mi kluczyki, jadę do Florencji.

– A ja?

– Ty? Zostajesz tu, pochodzisz po miasteczku, wejdiesz do knajpki na kawę albo pójdziesz nad morze. Po prostu zajmij się sobą.

– Co kombinujesz? Po co tam jedziesz? Chyba mi się jakieś wyjaśnienia należą?

– Lepiej nie pytaj, skoro i tak nie zrozumiesz. Zresztą nie ma na to czasu.

– Wracaj szybko. Bo co spojrzę na to coś na mojej nodze, to od razu czuję gęsią skórę na plecach.

– Nie bój się, nie wybuchnie. – Bontate się zaśmiał, klepiąc kumpla po ramieniu.

Przesiadł się za kierownicę, silnik zawył na wysokich obrotach i ford z piskiem opon ruszył z miejsca, by po chwili zniknąć w przecznicy.

Mario spojrzął jeszcze raz na bransoletę, z rezygnacją rozejrzał się wokoło i poszedł w kierunku mola.

DZIEŃ ÓSMY, PONIEDZIAŁEK

Antonio tego dnia już około ósmej rano zjawił się na komendzie policji. Kolega ze studiów był szefem komórki kryminalnej w randze komisarza. Nieraz zapraszał go do siebie, ale on nigdy nie miał czasu na odwiedziny. Teraz miał interes, więc znalazł czas. Musiał dowiedzieć się, co znaczy kryptonim CHARUN.

Funkcjonariusz z dyżurki zaprowadził go do pokoju na pierwszym piętrze.

Czego tu nie było! Mnóstwo papierowych teczek, biurka uginające się od sprzętu komputerowego, ściany oblepione plakatami prezentującymi zakazane gęby. Zza wielkiej sterty papierów wyjrzała zaciekawiona twarz. Oliveto od razu rozpoznał kumpla ze studiów.

– Antonio! – krzyknął tamten i wyskoczył w jego kierunku z wyciągniętą ręką. Uścisnęli się serdecznie.

– Siadaj! – Policjant wskazał mu rozkolebane krzesło. – Napijesz się czegoś?

– Nie, dziękuję, ja tylko na chwilę.

– Ty zawsze się spieszysz, nie będziesz miał czasu nawet umrzeć.

– Niestety, na to akurat się znajdzie czas.

– Co sprowadza pana mecenasa w ten nasz policyjny bajzel?

– CHARUN! Słyszałeś o nich?

Komisarz zrobił zdziwioną minę.

– Nie wiem, pierwszy raz słyszę. To jakiś skrót?

– Chyba tak. Może to mieć związek z Edytą Knopf.

– Od kiedy interesujesz się terrorystami? Grubo, kolego! To niebezpieczne tematy, lepiej się trzymać od nich z daleka.

– Możesz mi pomóc czy nie?

– Jak wspomniałem, pierwszy raz słyszę tę nazwę, ale zadzwonię do kumpla, on pracuje w służbach, to bardziej ich klimaty.

Chwycił słuchawkę i wykręcił znany sobie numer. Chwilę czekał.

– Cześć, Mario! – krzyknął do mikrofonu. – Mówi ci coś nazwa CHARUN? Mój dobry znajomy bardzo się tym interesuje i chce mu pomóc.

Antonio w napięciu obserwował twarz kolegi. Domyślał się, że jego rozmówca cały czas coś do niego mówi. W miarę upływającej rozmowy oblicze policjanta stawało się coraz bardziej ponure. Wreszcie odłożył słuchawkę.

– No i? – zaatakował go Oliveto.

– Źle – odburknął komisarz. – Ściśle tajne, nic więcej się nie dowiesz.

– Przecież coś ci powiedział, słyszałem.

– Tak, powiedział, że jeśli chcę dalej cieszyć się zdrowiem i rodziną, to mam zapomnieć o CHARUN-ie.

Policjant wziął do ręki długopis i zaczął nim nerwowo pstrykać. Nagle rzucił go na biurko i wstał. Wyjrzał przez okno i zaraz starannie je zamknął, następnie podszedł do drzwi, otworzył je i wyjrzał na korytarz, po czym też je zamknął. Podszedł do zaskoczonego jego zachowaniem Antonia i zbliżył usta do jego uszu.

– Chcesz więcej wiedzieć, to idź do księdza Walentego – wyszeptał.

- Tego, który na studiach prowadził zajęcia z prawa kościelnego?
- Właśnie.
- Myślisz, że to ma związek z Kościołem?
- Policjant tylko tajemniczo się uśmiechnął.
- Idź i przekonaj się sam.
- Czemu nie chcesz więcej powiedzieć, co ci przekazał ten Mario?
- Bo mam rodzinę, a dzieci powinny mieć ojca. Nic więcej nie wiem.
- Spojrzał wymownie na Antonia.

* * *

Oliveto opuścił gmach policji. Stał na ulicy, nerwowo rozglądając się wokoło. Znów zaczęło padać, ale jemu to nie przeszkadzało, nawet nie próbował rozłożyć parasola. To, co usłyszał przed chwilą, wyglądało bardzo podejrzanie. Musiał zadzwonić.

Wyciągnął telefon, przyłożył aparat do ucha.

- To ty, Veronika? Brzmisz jakoś dziwnie, płaczesz? Stało się coś?
- Nie, nic. - Usłyszał słaby głos siostry. - Co tam ustaliłeś?
- Miałaś rację, to jest bardzo dziwna sprawa. Póki tego nie wyjaśnię, uważaj na siebie i trzymaj się z dala od tej baby, tak na wszelki wypadek.
- Owszem, będę się trzymała z dala.
- Na pewno wszystko w porządku? - dopytywał, zaniepokojony jej tonem.
- Tak, nie martw się.
- To dobrze. Mam ciekawy trop, myślę, że uda mi się coś wywęszyć.
- Tylko uważaj, braciszku, to może być niebezpieczne.
- Nie ma obawy. Trzymaj się.

Schował aparat do kieszeni i poszedł w kierunku stacji metra. Uparł się, musiał dziś wszystko ustalić. Zbiegł po schodach i znalazł się na peronie akurat w tym samym momencie co pociąg. Wskoczył do wagonu i w chwilę potem mknął w kierunku centrum. Pamiętał dobrze, gdzie mieszka ksiądz Walenty, kiedyś zanosił mu indeksy do podpisu. Pochłonięty myślami, nie zauważył małej dziewczynki stojącej tuż obok niego. Ta sprytnym ruchem ręki wyciągnęła mu z kieszeni telefon i od razu podała go stojącemu za nią, trochę od niej starszemu chłopcu. Pociąg przyhamował i zatrzymał się na peronie. Antonio wyskoczył z wagonu. Zaniepokojony płaczem Veroniki, postanowił znowu do niej zadzwonić. Sięgnął ręką do kieszeni; była pusta. Sprawdził nerwowo pozostałe, ale nigdzie nie wyczuł charakterystycznego obłego kształtu. Wtedy zrozumiał wszystko. Pociąg akurat ruszył. W oknie wagonu zauważył dziecko o twarzy aniołka machające do niego ręką, to ono go oskubało.

Zły na siebie za brak czujności, udał się do wyjścia; jakiś mężczyzna podązał za nim krok w krok.

Antonio opuścił stację i poszedł w kierunku widocznej z daleka bazyliki, z uwagą przyglądając się mijanym budynkom. Były bardzo podobne do siebie - wszystkie potężne, wysokie i zadbane. Wydawało mu się, że pozna kamienicę, w której mieszka ksiądz. Faktycznie, dobrze ją zapamiętał, bo właśnie zbliżał się do znajomego mu domu. Na parterze znajdował się sklepik spożywczy. Wcześniej też tu był. Antonio kojarzył, że na klatkę schodową wchodziło się od podwórka, więc nie namyślając się, skręcił w bramę. Od razu rozpoznał drzwi wejściowe, nawet po tylu latach ich kolor był ten sam, co wtedy. Wbiegł krętymi, mocno wyszlizganymi drewnianymi schodami na trzecie piętro. Stał przed drzwiami, ciężko sapiąc.

Cholera, mam ostatnio za mało ruchu, pomyślał. Spojrzał na przyciski dzwonek i na moment się zawahał. Teraz sobie przypomniał, to był ten najbardziej zniszczony, wcisnął go. Po minucie zgrzytnął zamek i w progu pojawiła się znajoma filigranowa sylwetka księdza.

Duchowny z miejsca go poznał. Uśmiechnął się życzliwie.

– Ale niespodzianka! Cieszę się, że przypomniałeś sobie o starym księdzu, wejść – zaprosił gościa do wnętrza.

W chwilę potem poprowadził go długim korytarzem prosto do swojego pokoju.

– Właśnie wychodziłem – tłumaczył po drodze. – Ale to może poczekać.

Weszli do małego, przytulnego pokoiku o bardzo skromnym wyposażeniu. Stały tu dwa regały z książkami, łóżko i mikroskopijne biurczko tuż przy oknie. Nic się tu nie zmieniło przez te lata. Antek, nieproszony, usiadł na krześle. Gospodarz spoczął na rancie łóżka.

– Mój najlepszy student przypomniał sobie o mnie. Cieszę się bardzo.

Antonio wyczuł w głosie duchownego delikatną nutkę ironii.

– Wstyd mi – bąknął.

– Nie przejmuj się. Takie jest życie. Myślisz, że ja odwiedzałem moich byłych wykładowców? Nigdy mi się to nie zdarzyło!

– To już mi lepiej. – Odetchnął z ulgą.

– Napijiesz się czegoś?

– Nie, dziękuję, spieszę się. Ksiądz też gdzieś wychodził.

– Czyli masz interes? Pozwolisz, że ja się jednak czegoś napiję.

Wstał i podszedł do szafki. Wyjął butelkę z wodą i szklankę. Napełnił ją i pociągnął łyk.

– No mów, z czym przyszedłeś? – Uśmiechnął się zachęcająco.

– CHARUN, co to jest? – wypalił Oliveto prosto z mostu.

W jednej sekundzie uśmiech zniknął z twarzy księdza Walentego. Duchowny znów podniósł szklankę do ust.

– Czemu pytasz? – Bacznie obserwował gościa.

– Słyszałem co nieco i chciałbym dowiedzieć się więcej – odparł wymijająco Antonio.

– Co nieco, powiadasz...

– Dobrze, powiem wprost. Wiem, że można uznać to za bzdury, ale z tego, co udało mi się ustalić, wynika, że w hotelu mojej siostry przebywa kobieta, którą ów CHARUN przejął z więzienia. Ta kobieta jest niebezpieczną terrorystką. Błagam księdza o pomoc. Boję się o siostrę.

– Jeśli to prawda, nie musisz się obawiać, twoja siostra jest bezpieczna.

– Więc co to jest? Co znaczą te litery? – Antonio nie ustępował.

– Powinno ci wystarczyć, że twojej siostrze nic nie grozi, o więcej nie pytaj.

– To dla mnie za mało. Muszę wiedzieć.

– Więcej ode mnie się nie dowiesz, przykro mi.

– Nie chce mi ksiądz pomóc?

– Ranisz mnie – odparł tamten z wyrzutem. – Jednak trochę ci rozumiem, bo obawa o siostrę tłumaczy twoje zachowanie. Odejdź w pokoju i radzę ci, odpuść sobie. Jeszcze raz powtarzam: twoja siostra jest bezpieczna i to musi ci wystarczyć.

Ksiądz Walenty dźwignął się na nogi, dając gościowi do zrozumienia, że jego wizyta dobiegła końca.

– Wobec tego przepraszam za najście – powiedział Antonio i ruszył za duchownym do wyjścia. Kiedy już stali w progu, ksiądz Walenty szepnął mu do ucha:

– Powtórzę po raz ostatni, nie musisz się lękać o zdrowie czy życie siostry, ona jest teraz bezpieczna jak nigdy dotąd, daję ci słowo jako ksiądz. Miej wiarę w sercu, idź z Bogiem, synu.

– Do widzenia – rzekł Oliveto i zszedł na dół.

Zatrzymał się na ulicy. Praktycznie jego trop urywał się w tym miejscu. Czemu wszyscy boją się mówić o CHARUN-ie? Jaką tajemnicę kryje ta nazwa, czy może skrót? Każdy z jego rozmówców

sprawiał wrażenie, jakby bał się nawet pomyśleć na ten temat. Zapewne bali się podsłuchów, to by wiele tłumaczyło. Chodzi o jakąś organizację rządową. To ma sens, dlatego ksiądz Walenty twierdził, że Veronika jest bezpieczna. Antonio sprawdził to słowo w internecie, oznaczało po etrusku to samo co mitologiczny Charon. To przecież bez sensu. Może faktycznie odpuścić? Przecież jeszcze kilka dni i będzie po kłopotcie. Zadzwoni do Veroniki, postara się ją uspokoić. Sięgnął do kieszeni, ale zaraz przypomniał sobie zdarzenie z metra. Zaklął siarczyście pod nosem, zerknął w niebo, bo znów zaczęło delikatnie kropić, rozłożył parasol i ruszył w kierunku stacji.

Rene Lemner szła wiale Apua w stronę centrum Pietrasanty. Z zainteresowaniem przyglądała się domom, a właściwie eleganckim willom. Teraz były pozamykane na cztery spusty, ale zapewne z nastaniem letniego sezonu życie w nich kipiało. Nagle ktoś otworzył furtkę mijanej akurat przez nią posesji i na chodnik wyjechał chłopiec w wózku inwalidzkim. Gdyby kobieta nie wykazała się nieprzeciętnym refleksem i nie odskoczyła, przypuszczalnie zostałaby nim potrącona.

– Bardzo panią przepraszam! – krzyknął chłopak po niemiecku.

– Nic się nie stało – odburknęła i chciała wyminąć inwalidę.

– Pani jest Niemką?

– Tak.

Zatrzymała się, nie kryjąc niechęci. Przed nią na wózku siedział uśmiechnięty niebieskooki blondynek w czerwonym dresie Adidas, typowy aryjczyk. Zdumiała się własnym spostrzeżeniem, przecież nigdy nie zwracała uwagi na takie rzeczy; dla niej zawsze ważne były idee, a nie narodowość.

– Mówią, że Niemców można spotkać wszędzie, ale pani jest pierwsza, a jestem tu już od dwóch tygodni – zagadał do niej.

– To jeszcze nie sezon na Niemców, pewnie dlatego – wysiliła się na żart.

– Ale pani już przyjechała.

– Tak się złożyło.

– Mnie też się tak złożyło – dodał ze śmiechem. – Pomoże mi pani?

– To znaczy? – Spojrzała na niego, nie rozumiejąc, o co chodzi.

Zrobił głupkowaną minę.

– Tu jest nierówno i ciężko mi się poruszać, a chciałbym podjechać nad morze. Pomogłaby mi pani?

Rene zawahała się. Zamierzała iść do centrum, a zatem w zupełnie innym kierunku. Rozejrzała się wokół, szukała kogoś, kto mógłby ją wyręczyć, na kogo by mogła przerzucić jego prośbę. Zauważył to.

– Jestem tu sam – wyjaśnił. – Już kilka dni temu o mało nie zabiłem jakiegoś starszego mężczyzny jadącego na rowerze i nie chcę tego powtórzyć.

– Czemu jesteś sam? Nie masz nikogo?

– Nie mam – odparł smutnym głosem.

Lemner chwyciła wózek za umocowane z tyłu rączki i popchnęła go.

– Dziękuję.

Faktycznie, chodnik był dziurawy i co chwila rzucało wózek na boki. Minęli jedno skrzyżowanie, następnie drugie, w końcu dotarli na bulwary. Tu już nie dało się jechać, schody okazały się zaporą nie do pokonania.

– I co dalej? – spytała Rene.

– Nie wiem, w sumie to i stąd widać morze.

Kobieta podeszła do wózka od przodu i się nachyliła.

– Złap mnie za szyję – rzekła tonem nieznośnym sprzeciwu. Chłopak był zaskoczony, ale posłuchał polecenia i objął ją mocno. Lemner chwyciła go jedną ręką pod plecy i podciągnęła do góry. Pled zsunął

się na ziemię, odsłaniając kikuty nóg.

Dziwny dreszcz przeszył jej ciało. Trzymając kalekę przed sobą, ruszyła w kierunku plaży. Nie było to łatwe, chłopak ważył swoje. Czowała oddech chłopca na szyi, a on czuł szybkie bicie jej serca.

– Ciężko? – szepnął.

Nie odpowiedziała, tylko skinęła głową. Delikatnie posadziła go na ławce i poszła z powrotem.

– Dokąd pani idzie? – krzyknął za nią.

– Po pled, chyba nie chcesz zmarznąć.

Wróciła po chwili i dokładnie otuliła chłopca kocem. Usiadła obok niego. Włożyła ręce do kieszeni i uważniej mu się przyjrzała.

– Jak masz na imię?

– Kurt.

– Ładnie.

– To po dziadku. A pani?

– Hm... – zawahała się. – Rene – odparła w końcu.

– Też ładnie.

– Dziękuję.

Zamilkli. Patrzyli obydwoje na morze.

– Czemu jesteś sam? Co się stało z twoimi rodzicami? – odezwała się po jakimś czasie.

– Zginęli – odpowiedział.

– Wypadek?

– Jeśli zamach z jedenastego września można nazwać wypadkiem, to tak.

– Byli w któryś z samolotów?

– Nie, akurat zwiedzaliśmy wieże. Ja żyję, chociaż czy życie na wózku można nazwać życiem? To jest jedynie jego namiastka. Oni mieli jeszcze mniej szczęścia.

– Ja też nie mam rodziców. Straciłam ich dawno temu. Z dnia na dzień zostałam na świecie zupełnie sama, bez pieniędzy, i do tego z długami rodziców. Bank zabrał mi dom i samochód, dano mnie do rodziny zastępczej, nawet nie pytając, czy mi ona odpowiada. Jednak nie żalę się, było, minęło.

Zamilkła.

– I co było dalej? – spytał chłopak.

– Byłam już dorastającą dziewczynką, kiedy wpadłam w oko mojemu opiekunowi. Nie mogłam się opędzić od jego zalotów, i opowiedziałam wszystko jego żonie.

– Wygoniła go?

– Nie, wygoniła mnie. Oddano mnie do następnej rodziny, a tam, owszem, nikt nie próbował mnie zdeprawować, ale wciąż mieli do mnie o coś pretensje. A to, że bałaganie, a to, że za późno wróciłam ze szkoły, a to, że zjadłam za mało lub za dużo. W końcu nie wytrzymałam i uciekłam od nich. Włóczyłam się po mieście z różnymi dziwnymi typami... Ale to już i tak za dużo na mój temat. Lepiej ty powiedz coś o sobie.

Chłopak poprawił pled, który wciąż uparczywie mu się zsuwał z nóg.

– A co ja mogę powiedzieć? Ciężko mi mówić o tym – wydukał. – Nieraz budzę się w nocy i mam to wszystko przed oczami. Spadła na nas wielka bryła betonu, ważyła podobno sto ton. Wie pani, co zostało z moich rodziców? – Przerwał i wytarł oczy. – Miazga – dokończył po chwili.

– Zginęło tam również kilkoro moich przyjaciół – wtrąciła. – Byli w jednym z samolotów.

– Ich też terroryści skazali na śmierć. W tym boeingu, co runął na Pentagon, zginął kuzyn mojej koleżanki.

– Jak by to rzec...? – Rene próbowała dobrać odpowiednie określenie.

Kurt zaczął ją dosłownie pożerać wzrokiem.

– Chyba nie byli... – Zaciął się, nie mógł skończyć zdania. Już znał odpowiedź. Zbladł niczym papier.

– Tak. To jest to, co myślisz. Byli zamachowcami. Zginęli za idee. Wiem, że tego nie zrozumiesz – odparła z przekonaniem w głosie.

– Oni zabili moich rodziców! – zaczął krzyżeć. – Pani przyjaciele zabili moich rodziców!

– Uspokój się, to był przypadek. Oni na pewno nie chcieli zabić twoich rodziców.

– Zabili moich rodziców – powtarzał, trzęsąc się potwornie. – Pani jest pewnie taka sama, skoro to byli pani przyjaciele.

– Nic nie rozumiesz!

Rene próbowała go przekrzyżać. Była wściekła na siebie za tych kilka niepotrzebnych słów. Chwyciła go za ramiona i potrząsnęła nim.

– Zrozum! Nie chcieli ich zabić, znaleźliście się tam przypadkowo tego dnia; to był przypadek!

– Zabili moich rodziców – powtarzał, nie słuchając jej słów.

Kobieta trzęsła nim coraz bardziej, a on nie przestawał szeptać „zabili mi rodziców”.

W pewnym momencie Rene chciała go przytulić do piersi, ale zaparł się z całej siły. Wbił w nią nienawistny wzrok.

– Mnie też zabijesz?! To zrób to teraz, oszczędzisz kalece cierpień. Twoi przyjaciele spaprali sprawę, ty to dokończ! No, zrób to!

– Przestań! – krzyknęła.

Puściła go. Osunął się na ławkę, schował głowę w rękach i płakał. Kobieta zerwała się na równe nogi. Pierwszy raz od wielu lat spanikowała. Ona, Edyta Knopf, zimna i bezwzględna, stała bezradnie nad małym, załamany kaleką. Kiedyś wyjęłaby pistolet, założyła tłumik i bez skrępowań strzeliła mu w głowę, a dziś nie wiedziała co robić.

Powoli odwróciła się i ruszyła w stronę bulwaru. Co jakiś czas się odwracała; chłopiec leżał na ławce i szlochał.

– Pieprzony gówniarz – burknęła pod nosem i przyspieszyła kroku.

Luiza wzięła urlop, aby dłużej pobyc z Marią. Ta źle się czuła od kilku dni. Prawie codzienne kilkugodzinne dializy to nie był sposób na życie. Gdyby tylko była taka możliwość, to Luiza bez wahania dałaby jej swoją nerkę. Niestety, nie pasowała, ostatnia nadzieja była w biologicznym ojcu.

Przez chwilę ten pomysł wydawał się względnie realny. Dzięki przypadkowo spotkanemu koledze Stefana zdobyła jego numer telefonu, ale później chyba źle to wszystko rozegrała. Trzeba było wsiąść w samolot, polecieć do Włoch i rozmówić się z nim na miejscu, ale nie chciała zostawić Marii samej. Teraz była wściekła, bardzo wściekła na siebie i zastanawiała się, jak to naprawić. Stefano powinien zobaczyć córkę, może wtedy coś by w nim drgnęło, może chociaż raz w życiu poczułby się ojcem, a nie tylko przypadkowym dawcą nasienia. Luiza rozmyślała o całej sytuacji, siedząc na balkonie i popijając macchiato.

Nagle usłyszała znajomy głos z ulicy. Wstała i wychyliła się przez barierkę. Przed furtką stał Ramirez, listonosz, rozmawiał z sąsiadką. Też ją zobaczył i pomachał w jej stronę jakimś listem.

– Wrzuć do skrzynki! – krzyknęła.

– Ale to list z Włoch! – zawołał. – Musisz podpisać.

Serce mocniej zabiło w jej piersi. Czyżby?

– Już lecę!

Zbiegła po schodach i w minutę znalazła się przy furtce.

– Tu podpisz. – Listonosz wskazał miejsce na jakiejś kartce. Nawet nie rzuciła okiem na to, co podpisuje, skupiła wzrok na odręcznie zaadresowanej kopercie.

– Oj, chyba jakiś narzeczony? – zażartował listonosz, ale ona już tego nie słyszała. Szła z listem w dłoni do domu.

Usiadła w kuchni przy stole i bała się otworzyć przesyłkę. Domyślała się, od kogo jest, mimo braku nadawcy, i bała się rozerwać kopertę. Chciała chociaż jeszcze chwilę żyć nadzieją. Zaskoczył ją tym listem. Pamiętał adres, i to po tylu latach, czyli jednak coś dla niego znaczyła. Musiał pamiętać historię tego domu i wiedzieć, że go nigdy nie sprzeda. Co jest w środku? Nadzieja czy wulgarnie wyzwiska? Zbyt dobrze go nie znała i żadna treść nie mogła jej zaskoczyć.

– Mamo, otwórz wreszcie – usłyszała zza pleców. Maria stała tuż za nią, była chyba jeszcze bardziej blada niż zwykle.

– Chodź – rzekła Luiza. – Usiądź tu koło mnie.

Dziewczyna siadła obok matki i mocno ścisnęła jej dłoń.

– Otwórz, mamo – szepnęła. – Miejmy to już za sobą.

Kobieta rozdarła kopertę, wyjęła złożoną na pół kartkę papieru i delikatnie ją rozchyliła.

Luizo,

Twój telefon kompletnie mnie zaskoczył. Uważam, że to nie w porządku, że przez tyle lat nic mi nie powiedziałeś. Mogłbym przecież ci pomóc, co jakiś czas wysłać czek. Co do nerki, to potrzebuję obydwóch, ale po mojej śmierci możecie wziąć nawet obie. Wtedy będzie mi wszystko jedno.

Pozdrów ode mnie swoją córkę. Jest ładna.

Pozdrawiam

Stefano

– Palant! – Luiza rzuciła list na stół. – Parszywiec! Jak można odmówić nerki swojemu dziecku? Łajdak, skończony łajdak. Ale czego się spodziewałam?

Była wściekła na siebie, że jeszcze się łudziła.

– Mamo, uspokój się, nic na to nie poradzisz. – Maria objęła matkę ramieniem. – Bądźmy dobrej myśli, może znajdzie się jeszcze dawca.

– Żałuję, że w ogóle do niego zadzwoniłam.

Przetarła oczy i nerwowo zerknęła na zegarek.

– O mój Boże, musimy jechać, za godzinę powinniśmy być w klinice.

– Jestem gotowa.

– To chodźmy!

Wyszły z domu, wsiadły do czerwonego, rozklekotanego džipa, pamiętającego jeszcze generała Franco, i przy akompaniamencie ryku z dziurawego tłumika pojechały w kierunku szpitala.

Szpitalny korytarz pękał w szwach. Tłum odwiedzających mieszał się z personelem i chorymi oczekującymi pomocy. Na pojedynczych krzeselkach siedzieli ci, którym się poszczęściło, reszta czekających podpierała brudne ściany, niepomniątąjące pędzla i farby.

– Dzień dobry.

Luiza podniosła głowę. Stał przed nią oszałamiająco przystojny młody mężczyzna. Ubrany był w jasny sportowy garnitur i wyglądał jak gwiazdor filmowy. Co taki ktoś tu robi? W tym miejscu wydawał się jej co najmniej przybyszem z innej planety.

– Dzień dobry – odparła. – Ja pana znam?

– Nie. Jestem posłańcem, szukałem pani.

– Posłańcem? A kto pana posłał? – Zaśmiała się ironicznie. Pewnie chce ją poderwać, goguś jeden.

– Pewien mężczyzna, który interesuje się losem pani córki.

Rzuciła mu niespokojne spojrzenie. Nie zna nikogo takiego, chyba że...

– Czy przyjechał pan z Włoch?

Mężczyzna zrobił bardzo tajemniczą minę.

– To nie jest istotne...

Tak, to na pewno jakiś kumpel Stefana, pomyślała. Coraz bardziej była tego pewna.

– Na dole jest kawiarenka, może napijemy się dobrej czarnej kawy, a przy okazji porozmawiamy? – zaproponował.

– W porządku, kawa dobrze mi robi – przystała na jego propozycję.

Wstała z krzesła, podniosła z podłogi torebkę i ruszyła za nim. W milczeniu przeszli szpitalnymi korytarzami i zesłi na dół wprost do szpitalnej kawiarenki, a raczej pomieszczenia, które za kawiarenkę niesłusznie uchodziło. Mężczyzna kupił kawę i usiedli przy stoliku przy oknie. Luiza wbiła w niego zaciekawiony wzrok, spotkanie od samego początku było dla niej wielką zagadką.

– Czemu pan mnie odszukał? Kto pana przysłał?

– Pewien znajomy opowiedział mi o pani sytuacji, zainteresowałem się sprawą i chcę pomóc.

– Dziwne, obcy człowiek zadaje sobie tyle trudu, chce pomóc, a własny ojciec ma to w dupie.

Luiza podniosła filiżankę i upiła łyk. Faktycznie, kawa jest bardzo dobra, stwierdziła. Spoglądała na mężczyznę i zastanawiała się, czego on naprawdę chce. Nikt nie goni nikogo po świecie tylko dlatego, że zainteresowała go jego historia. Czego naprawdę oczekuje od niej, a może od jej córki?

Mężczyzna pił w milczeniu i co jakiś czas zerkał przez okno, jakby na kogoś czekał. Z daleka widać było wpływające do portu wielkie statki.

– Oferuje mi pan pomoc? Jeśli tak, to czego oczekuje pan w zamian? – spytała prosto z mostu.

Przerwał swoje obserwacje i uśmiechnął się do niej.

– Niczego, kompletnie niczego.

– Nie wierzę – kręciła głową – ale to wszystko nieważne, jeśli może pan w jakiś sposób pomóc Marii.

– Same musicie sobie pomóc. Ja mogę wam to ułatwić, reszta jest w waszych rękach.

– Jak? – Patrzyła na niego ze zdziwieniem i odrobiną ironii. – Jak może pan nam to ułatwić? Odda pan swoją nerkę? Będzie pasować? Nie każdy może być dawcą.

Mężczyzna nie odpowiedział. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyciągnął z niej dwie podłużne książeczki. Położył je na stoliku.

– Co to jest? – spytała Luiza.

– To są bilety do Florencji dla dwóch osób. Stamtąd pojedziecie do miejscowości Pietrasanta w Toskanii. Czy mam mówić dalej?

Patrzyła na przemian na bilety i na niespodziewanego darczyńcę.

– Może faktycznie nadszedł czas, żeby ojciec zobaczył córkę? – rzekła. – Może jego serce w końcu zmięknie?

– Trzeba się o tym przekonać.

– Czemu pan to robi? Co pana obchodzi jakaś biedna chora dziewczyna?

Mężczyzna tylko się uśmiechnął, położył rękę na jej dłoni i mocno ścisnął.

– Ma pani duszę wojownika, niech pani walczy. Powodzenia.

Dopił kawę, wstał z krzeselka i poszedł do wyjścia.

– Kim pan jest? Jak pan się nazywa? – krzyknęła za nim, ale on tylko jej pomachał i zniknął za progiem. Bez zastanowienia chwyciła torebkę z krzeselka i ruszyła za nim. Jednak kiedy wybiegła na

ulicę, po mężczyźnie nie było już śladu. Rozglądała się nerwowo, ale on jakby zapadł się pod ziemię.

Wróciła do szpitala.

Usłyszała wołanie Marii, szła korytarzem, machając do niej.

– Nie mogłam cię znaleźć – rzekła córka z pretensją.

– Przepraszam, że mnie nie było, ale zupełnie niespodziewanie kogoś spotkałam.

Córka natychmiast zorientowała się, że to nie było zwykłe spotkanie. Patrzyła na Luizę z niepokojem. Matka miała rozpromieniony wzrok.

– Z kim się widziałaś? Kto to był?

– Są jeszcze dobrzy ludzie na tym świecie – odpowiedziała Luiza ze łzami w oczach.

– Nie rozumiem. O czym mówisz?

Matka sięgnęła do torebki, wyjęła bilety i podała je Marii.

– Popatrz na to.

Dziewczyna trzymała je w rękach, ale w dalszym ciągu niczego nie rozumiała.

– Co to za bilety? Kto i po co ci je dał?

– Jak to? Nie widzisz, córeczko? – Luiza nie kryła radości. – To dla nas. Bilety na lot do Włoch, to jest, kochanie, nasza szansa na życie.

– Mamo, czy przysłał je tata? Jeśli nie, to nie chcę, żebyś się przed nim płaszczyła. Nie chcę jego nerki!

– Nie wiem kto. Nie przedstawił się.

Luiza prowadziła pojazd w milczeniu. Wciąż myślała o nieznanym z kawiarni. Skoro z własnych pieniędzy opłacił im lot, to one tym bardziej nie mogą odrzucić jego propozycji. Nie można wzgardzić takim prezentem od losu, zwłaszcza że w grę wchodzi życie córki.

– Lecimy do Włoch! – odezwała się zdecydowanym głosem.

– Mamo, jesteś pewna, że to dobry pomysł?

– Tak. – Luiza skinęła głową. – Lecimy, córko, przycisnąć do muru twojego ojca. Wtedy dał nasienie, teraz niech da nerkę. To jego obowiązek.

– Wciąż nie wiem, czy tego chcę.

– Ale ja wiem. – Luiza już była pewna. – Lot jest o ósmej rano. Czeka nas długa podróż. Muszę porozmawiać z twoim lekarzem, trzeba załatwić dializy dla ciebie tam na miejscu. Jakiś czas temu o tym z nim rozmawiałam i obiecał mi pomóc.

DZIEŃ DZIEWIĄTY, WTOREK

Veronika kręciła się po kuchni, pomagając kucharzowi. Było wcześniej rano, pracownicy mieli zjawić się za godzinę, a goście jeszcze spali. Z determinacją kroił szynkę parmeńską, nóż co chwila z wielką siłą spadał tuż obok palca na wędlinę i odcinał cienki plaster. W pewnym momencie Franciszek nie wytrzymał i złapał dziewczynę za rękę.

– Co ty wyprawiasz? Chcesz sobie odciąć dłoń? Ten facet nie jest tego wart.

Spojrzała na niego wrogo.

– Daj mi spokój!

Rzuciła nóż na blat i wybiegła na korytarz.

– Oj, może się to źle skończyć – burknął pod nosem i sięgnął po nóż; musiał dokroić wędliny.

Nagle usłyszał jakieś szmery za plecami, odwrócił się gwałtownie. Za nim stała Molbi.

– Uff, nastraszyłaś mnie. Mogłabyś tak nie robić – powiedział z wyrzutem. – Już jesteś?

– Nie mogłam spać, nie mogę znaleźć spokoju – odparła. – Wolę być tutaj. Zaraz panu pomogę, tylko najpierw pójść się przebrać.

– Nie spiesz się, zdążę. Możesz mi coś powiedzieć?

Miał okazję podpytać ją, czemu ją tu przysłano.

– Słucham.

Patrzyła na niego z uwagą, a wydawałoby się, że również z lekkim niepokojem.

– Jesteś tu na specjalne życzenie tego Trovata.

– Zgadza się, prosiłam go, żeby mi umożliwił tu zatrudnienie i on się na to zgodził.

Kucharz przerwał krojenie, wbił nóż w blat.

– Nie obchodzi mnie, jakie są układy między tobą i tym, jak mu tam... Mvumbi to nie jest moja sprawa. Ale bardzo mnie obchodzi układy między Trovatem a Veroniką. To mnie niepokoi.

– Co konkretnie pana niepokoi?

– Nie wiem, co o nim wiesz, ale on przyznał się Veronice, że jest zabójcą. Ja i ojciec Veroniki nie chcemy, żeby miała do czynienia z człowiekiem tego pokroju. To jest bardzo dobra dziewczyna i my wszyscy ją kochamy.

Delikatny uśmiech przemknął przez twarz kelnerki.

– Czemu się uśmiechasz?

– Wydawało się panu.

– Może, nieważne. – Machnął ręką. – Chcę, żebyś nam pomogła.

Patrzyła na niego ze zdziwieniem. O co mu chodzi? W czym ma mu pomóc? Przecież on opowiada jakieś bzdury.

– Porozmawiaj z Veroniką.

– Ale o czym? Nie rozumiem pana intencji.

– Wymyśl coś! Obrzydź go jej do końca. Niech wreszcie przestanie o nim myśleć, niech o nim zapomni. Widzę, co się z nią dzieje. To nie ta dziewczyna, co wcześniej, to jest kłębek nerwów.

– Nie mogę – odparła zdecydowanym głosem Molbi. – Przykro mi, ale nie mogę.

– Dlaczego? Przecież nie proszę cię o kłamanie. On nie jest kryształowym człowiekiem. Sam się przyznał Veronice, że zabił kogoś.

– Nie, nie pomogę panu, nie mogę...

– Dlaczego? Błagam.

– Pan nic nie rozumie – zaczęła z wahaniem. – Nigdy nie powiem złego słowa na osobę, której tak wiele zawdzięczam. Wam też pomógł. Ratuje wasz hotel. Czego od niego chcecie? Nie docenicie tego, co dla was robi.

– Nie chcę, żeby Veronika cierpiała, żeby stała jej się krzywda! – wybuchnął Franciszek. Twarz mu nabrzmiała i cały trząsł się ze zdenerwowania.

– Gabriel jej nie skrzywdzi. Wiem, co mówię – odparła Molbi, patrząc mu prosto w oczy.

Franciszek chwycił dziewczynę za rękę, ale uwolniła się z uścisku.

– Pani Veronika ma wielkie szczęście, że ma takich opiekunów. Ja nigdy ich nie miałam – rzekła.

– Błagam. – Kucharz zmienił ton.

Molbi pokręciła głową.

– Przykro mi, ale nie mogę.

Franciszek zdał sobie sprawę, że nic więcej nie wskóra. Wrócił do krojenia szynki, a dziewczyna poszła się przebrać.

Mvumbi tej nocy spał fatalnie i dlatego z wielką ulgą przywitał świt. Był zmęczony, miał dość tego okropnego miejsca, miał dość tego ponurego quizu, miał dość takiego życia. To wszystko przez Nuobambo, to przecież on go zdradził. Przez niego teraz gnął w tej mieścinie. Zaskoczyli go w nocy podczas snu, wyróżnęli ochronę, pojmali go, ale nie odważyli się zabić. Za dużo znaczył, żeby go tak najzwyczajniej zlikwidować. Teraz jednak żałował, że nie zginął, bo przynajmniej jego kości spoczęłyby w ukochanym Kongu. Dwa lata przesiedział w więzieniu, ale trzeba przyznać, że dbali o niego. Zawsze miał swoje ulubione cygara, dobre jedzenie i telewizor w celi. Coraz więcej od nich żądał, a oni jego żądania, o dziwo, spełniali. Mieli z nim problem, i to duży. Nuobambo był wcześniej jego zastępcą i brał udział we wszystkich krwawych kampaniach przeciwko Hutu. Proces sądowy i jego by skompromitował, więc za żadne skarby nie mógł do niego dopuścić.

Nagle do Kinszasy przyjechali jacyś wojskowi. Wprawdzie nie mieli na sobie mundurów, ale żołnierza Mvumbi poznawał na odległość, choćby po sprężystych ruchach.

Mówili po angielsku i wyglądali na Amerykanów. Bodajże dwa razy byli u niego, raz nawet zrobili mu zdjęcia, do dziś nie wiedział po co. Minał chyba tydzień i wtedy to po raz pierwszy odwdzielił go ten młody mężczyzna. Trzeba przyznać, że był bardzo grzeczny. Zostawili ich samych w celi, bez strażnika. Ten mężczyzna miał dla niego propozycję. Powiedział, że pracuje dla międzynarodowego konsorcjum, pomagającego ludziom skazanym we własnych krajach na śmierć lub zagrożonym takim wyrokiem. Jego firma weryfikuje wszystkie dokumenty i szuka kruczków prawnych umożliwiających uwolnienie więźniów. Nie daje gwarancji, ale daje nadzieję, czyli coś, czego w obecnej chwili te osoby są pozbawione. Do dziś Mvumbi pamiętał tę rozmowę. Musiał przyznać, że przybyśz był bardzo konkretny, a kiedy skończył, położył przed nim papier i długopis. Wcześniej dał mu do zrozumienia między wierszami, że brak zgody na ten układ będzie skutkował szybkim sfingowanym procesem i egzekucją. Nie było wyboru, należało to podpisać. Od tej chwili młody mężczyzna odwdzielił go jeszcze dwa razy. Za pierwszym razem założył mu na nogę tuż przy kostce dziwną bransoletkę, przypominającą zegarek z kilkoma świecącymi się zielonymi lampkami. Powiedział, że to cacko jest lepsze od krat, bo przy próbie uwolnienia się następuje eksplozja materiału wybuchowego umieszczonego w tym urządzeniu. W najlepszym razie urywa nogę i rani krocze. Już na samą myśl o takich ranach Mvumbiemu odechciało się ucieczki. Umieszczony w bransoletce GPS pozwalał za pomocą satelity śledzić każdy ruch więźnia.

Za drugim razem ów mężczyzna przyniósł mu bilet na samolot i pięć tysięcy dolarów. Na kartce zapisał adres tej przeklętej nory, w której teraz siedzi, i datę, kiedy ma się tu zjawić. Na lotnisko mieli go odwieźć wartownicy, ale w cywilu, żeby nikt go nie rozpoznał.

Tak oto trafił na to niewygodne łóżko, które teraz z chęcią zamieniłby na swoją starą celę w Kongu.

Mvumbi wolno wstał i włożył ubranie. Wyjął z walizki ostatnie pudełko z cygarami, zerwał banderole i sięgnął po jedno z nich, odgryzł końcówkę i przypalił, rozkoszując się aromatem kubańskiego tytoniu. Tylko ta przyjemność mu została. Wiedział dobrze, że to już koniec. Siedząc w więzieniu, jeszcze się ludził, że ktoś go odbije, że umożliwi powrót do swoich żołnierzy. Wraz z upływem czasu nadzieja powoli gasła. Ukochani żołnierze mieli nowego dowódcę, a jego los przestał ich obchodzić; Sagesse zrozumiał, że to koniec, że przegrał.

Usiadł na łóżku, podciągnął nogawkę i z nieukrywaną złością patrzył na bransoletę. Gdyby nie ona, już by go tu nie było. Wsiadłby do pierwszego samolotu lecącego do Konga, a gdyby mu zabrakło pieniędzy, wsiadłby na pierwszy okręt płynący do Afryki. Nie bał się już śmierci jako takiej, bał się śmierci na obczyźnie w kompletnym zapomnieniu. Czemu nikt za mną nie tęskni? – myślał z rezygnacją. Zabijał, ale tak robili prawie wszyscy dowódcy afrykańscy. Osobiście nie zabił wielu, tylko wydawał rozkazy, nie miał czego żałować. Gdyby mógł cofnąć czas, wszystko zrobiłby tak samo, no może inaczej postąpiłby z Molbi; ta sprawa nie dawała mu spokoju do dziś. A ta kelnerka sprawiała, że wracały do niego tamte zdarzenia i tamte uczucia. Wściekł się, nie zapanował nad sobą i stracił kontrolę; powinien był ją oszczędzić. Ale co powiedzieliby o nim jego podwładni? Nie mógł przecież okazać słabości, musiał być twardy. Pamięta, jakby to było wczoraj, ten dzień, kiedy zjechał do rodzinnej wioski po córkę naczelnika. Już samo przyjęcie mocno go zdziwiło, bo Mucamba na jego widok bardzo się zdenerwował. Wszystko wydało się podczas wspólnej biesiady, kiedy kazał przyprowadzić Molbi. Mvumbi wciąż pamiętał płonące oczy tamtego, jakby to działo się w tej chwili lub wczoraj.

– Zrezygnuj – prosił go naczelnik, ale na próżno. Była mu obiecana i koniec. Może specjalnie nie jechałby z Kinszaszy po jakąś tam dziewczkę plemienną, ale wtenczas kwaterował niedaleko. Przypomniawsobien ten kontrakt i postanowił go wyegzekwować, zawsze to następna dziewczyna do wzięcia. Pewnie wkrótce i tak by ją zostawił. Kto by zliczył wszystkie te brzuchate dziewczki na jego szlaku?

– Nie zrezygnuję! – krzyknął na całą chatę. – Umowa jest umową, przyprowadźcie dziewczkę.

– Myśleliśmy, że zrezygnowałeś. Po co wielkiemu pułkownikowi moja córka? – Mucamba wiercił się coraz bardziej, co chwila zerkając z niepokojem na uzbrojonych po zęby i do tego już niezłe podchmielonych gości.

– Nie wiesz po co?! – Mvumbi wybuchnął śmiechem, po czym zwrócił się do swoich oficerów: – Słyszeliście? On nie wie, po co mi ona!

Tamci natychmiast mu zawtórowali.

– No, na co czekasz? – ponaglał naczelnika. Ten jednak nawet się nie ruszył i jedynie spuścił głowę.

– Mów, co z nią? Parszywa jakaś czy co?

– Nie.

– To co z nią?

– Wydana za męża – szepnęła Mucamba.

– Co takiego?! – Mvumbi zerwał się na równe nogi. – Zerwałeś umowę? Wiesz, z kim zadarłeś?

– Nie złość się. – Głos naczelnika drżał. – Mam inną córkę, młodszą, spodoba ci się.

– Nie chcę innej! Chcę Molbi.

– Ona jest mężatką, weź młodszą.

– Obraziliście mnie! – Mvumbi trząsał się z wściekłości. – Co to za łajza zabrała obiecaną mi dziewczynę? Zawołaj go!

Gospodarz wpadł w panikę.

– Po co ci on? Opuść mu, to przecież nie jego wina. Ja zerwałem umowę.
– Zawołaj go! – Pułkownik opanował się, spokojnie usiadł z powrotem na swoim miejscu. – I to biegiem! – rozkazał.

Mucamba posłał po zięcia.

Mvumbi tymczasem analizował sytuację. Jak śmiał jakiś dzikus posiąść przed nim tę Molbi? Jakim prawem? Co pomyślą jego żołnierze? Przecież to podrywa jego autorytet, poniża go.

Do chaty wszedł drobny młody chłopak. Nie miał więcej niż szesnaście lat. Rozglądał się wystraszony po izbie.

– Ty byłeś mężem Molbi? – złowrogo zagrzemiał Mvumbi.

W oczach chłopaka nie było strachu, była panika.

– Jestem jej mężem – wydusił słabym drżącym głosem.

– Przecież powiedziałem, że byłeś.

Pułkownik wyrwał zza paska rewolwer i nim ktokolwiek się zorientował, strzelił w kierunku chłopaka. Tamten osunął się bez życia na ziemię, a w chacie zaległa grobowa cisza.

Mvumbi pamiętał do dziś pełne przerażenia oczy gapiów. Wtedy udał, że tego nie dostrzega. Schował rewolwer za pasek i wstał.

– Koniec przyjaźni! – krzyknął do Mucamby, po czym zwrócił się do swoich ludzi: – Możecie się teraz zabawiać do woli z tą Molbi, a później oderżnijcie jej cycki maczetą, żeby nigdy mnie nie zapomniła. Niech wspomina do śmierci tego, któremu była obiecana.

Wyszedł z chaty, usiadł do stojącego obok dżipa i opuścił wieś.

Po jego wyjeździe doszło tam do pogromu. Pijani żołnierze nie przepuścili żadnej kobiecie, a ponieważ nie byli pewni, która to ta Molbi, na wszelki wypadek obcięli piersi każdej z nich.

– Może byłem nieco za surowy – westchnął Mvumbi. Zgasił cygaro i wstał. Z szafy wyjął płaszcz, zarzucił go na ramiona i wyszedł z pokoju. Chciał zimnym wieczornym powietrzem schłodzić głowę, zbyt rozpaloną wspomnieniami.

Veronika stała w holu i patrzyła na piękny bukiet z czerwonych róż, leżący na blacie recepcji.

– Skąd te kwiaty? – spytała przechodzącego akurat Franciszka.

– Nie wiem. – Wzruszył ramionami, zrobił głupią minę i poszedł do kuchni.

Wzięła i powąchała wiązankę. W tym momencie wypadł z niej bilecik. Schyliła się, podniosła go i rozłożyła. Gorąco uderzyło jej do głowy; tak, to był jego charakter pisma.

Wybės.

– Ten ktoś musi panią kochać. – Usłyszała za sobą głos Stefana Bontatego.

– Proszę? – Odwróciła się gwałtownie w jego kierunku. Patrzył na wiązankę.

– Skoro przysyła takie kwiaty, to musi być zakochany – wyjaśnił.

– To tylko kwiaty – skwitowała.

– Oj, chyba nie zna się pani na różach – nie ustępował. – To jest bardzo rzadka i droga odmiana, nie dostanie jej pani w zwykłej kwiaciarni. To są róże kupione w Rzymie, nieopodal Koloseum.

– Skąd pan to wie? – spytała zdziwiona.

– Skąd wiem? – Zaśmiał się. – Ja też byłem kiedyś zakochany i też kiedyś byłem bogaty.

Odwrócił się i poszedł w kierunku wyjścia.

– I tak nie chcę cię znać, ale kwiaty trzeba włożyć do wazonu – wyszeptala Veronika, po czym udała się z bukietem na górę.

Kiedy otworzyła drzwi od mieszkania, zadzwonił telefon.

To on. Musiała odebrać. Gabriel wciąż wynajmował jej hotel, dalej łączyły ich interesy.

Przyłożyła aparat do ucha.

– Słucham – powiedziała oschle.

– Musimy się spotkać! – Głos mężczyzny był jak zwykle mocny i zdecydowany.

– Nie chcę cię widzieć! – odparła równie stanowczo.

– Wiem, ale mamy umowę.

– W takim razie po południu będę w recepcji. – Jej ton stał się szorstki, nieprzyjemny.

– Ładne kwiaty? – zapytał.

Piękne, ale przecież tego mu nie powie.

– Nie wiem tylko, po co je przysłałeś.

– W ramach przeprosin. Oszukałem cię.

Serce mocniej jej zabiło. Nie mogła z siebie wydobyć żadnego słowa.

– Przyznaję się do kłamstwa, wybacz.

Zamilkł na chwilę. Słyszała tylko jego oddech.

– Nikogo nie zabiłem. Chciałem cię zniechęcić do mojej osoby i nie przyszło mi do głowy nic lepszego.

– Ale dlaczego? Bawi cię granie na moich uczuciach?

– To nie tak, jak myślisz. Jesteś wspaniałą kobietą, ale chciałem, żeby nasza znajomość wskoczyła z powrotem na odpowiednie, służbowe tory.

– Nie rozumiem cię. – W jej głosie słychać było zawód. – To po co wciąż przysyłasz mi kwiaty, zapraszasz mnie na kolację?

– To nie ma przyszłości. Za kilka dni kończy się turnus i więcej mnie nie zobaczysz.

– Skoro tak do tego podchodzisz...

– Taką mam pracę. Wybacz.

Usłyszała przeciągły dźwięk. Połączenie zostało przerwane.

Veronika odłożyła telefon. Była zawiedziona, wściekła na siebie, bo od początku, gdy się tu zjawiał, czuła kłopoty.

Poszła do kuchni i z szafki wyjęła wysoki szklany wazon. Zupełnie o nim zapomniała, dopiero wczoraj przypadkowo na niego natrafiła. Dostała go od Antonia na urodziny, powiedział jej wtedy: „wazon od brata, a kwiaty od wielbicieli”. Do czasu poznania Gabriela stał w szafce, wyciągany jedynie dla przetarcia z kurzu.

– A ty co tu robisz? – krzyknęła do Romulusa łążącego po szafce. Zgoniła go ruchem ręki.

Nalała do wazonu zimnej wody i wstawiła różę. Wyjrzała przez okno i zobaczyła proboszcza zmierzającego w stronę hotelu. Szedł ciężko, wspierając się na lasce. Ciekawe, czy idzie do mnie czy do taty? – pomyślała i przycisnęła twarz do szyby, żeby lepiej widzieć. Duchowny skręcił do ogrodu, szedł w odwiedziny do Bernarda.

– Kogo moje oczy widzą? – zapytał ze śmiechem Oliveto, otwierając drzwi.

– Twoje sumienie – odgryzł się proboszcz, wchodząc do mieszkania. – To wstyd i hańba, że zaszłyś się w tej swojej pustelni i nie odwiedzasz starych przyjaciół. Jestem od ciebie dużo starszy, wstydź się.

– Nie gderaj, mój drogi. – Bernardo poklepał duchownego po ramieniu. – Chodź, poczęstuję cię pewnym trunkiem i gwarantuję, że będzie ci wyjątkowo smakowało.

– Wątpię, dobrze wiesz, co mi najbardziej smakowało.

Usiedli w salonie w fotelach, blisko kominka. Gospodarz sięgnął po papierosy.

– Zapalisz? – Skierował paczkę marlboro w stronę gościa.
– A czemu nie?
– Veronika wciąż goni mnie za nie, mówi, że to okropna trucizna.
– Jesteśmy starzy i na coś musimy umrzeć. – Leoni się zaśmiał.
– Ale to chyba grzech?
– Jaki to grzech, mój drogi? – obruszył się kapłan. – Znam tysiące dużo gorszych. Jeden mały nie zaszkodzi.

Bernardo parsknął śmiechem. Dźwignął się ciężko z fotela i podszedł do barku. Zabrzęczały przesuwane kieliszki. Wrócił, wymachując jakąś butelką.

– Uważaj, bo wyleci ci z ręki! – strofował go proboszcz. – Nie wierzę moim oczom.
– A jednak! Skąd wiedziałeś? – W głosie gospodarza można było wyczuć nutkę zawodu.
– Pamiętam to charakterystyczne zielone szkło i ten lak na korkach zalewanych przez nieboszczkę Giuseppe. Skąd masz tę flaszkę? Jeszcze się uchowała? – Duchowny pokręcił głową. – Niesamowicie!
– Ta była na specjalną okazję.
– Na specjalną okazję? – Proboszczowi uniosła się ze zdziwienia lewa brew. – Gdybym wiedział, że moje przyjęcie skutkuje tak miłymi dla podniebienia konsekwencjami, to byłbym u ciebie kilka razy w tygodniu.

– Butelek by wtedy zabrakło.

Gospodarz zręcznie ją odkorkował i z namaszczeniem nappełnił nieduże, wysmukłe kieliszki z pięknego weneckiego szkła.

Proboszcz delikatnie chwycił w dwa palce swój kieliszek przy podstawie i podniósł go do światła.

– Piękny krystaliczny kolor – ocenił. – Który to może być rocznik?
– Dobre pytanie – zastanowił się Oliveto. – Chyba dwa lata przed przyjściem na świat Veroniki, czyli siedemdziesiąty ósmy. Tak, na pewno to był ten rok.

W skupieniu zbliżyli naczynia do ust i zamoczyli wargi w nalewce.

– Rozkosz w gębie – delektował się proboszcz. – Te lata leżakowania dodały jej mnóstwo walorów smakowych. Cieszę się, przyjacielu, że dziś tu jestem, to dla mnie wielki dzień. Już nigdy w życiu nie będę miał czegoś takiego w ustach. Nalej jeszcze, proszę.

Kieliszki ponownie nappełniły się szlachetnym trunkiem. Duchowny bystro zerknął na przyjaciela.

– Jaka to okazja, że ta bezcenna butelka ujrzała światło dzienne?

– Skończyłem obraz. Odchodzę.

Duchowny, zaskoczony, spojrzął na przyjaciela, nie zrozumiał, o czym on mówi. Nagle coś go oświeciło.

– Skończyłeś portret? – nie dowierzał. Znał dobrze historię tego wiecznie niedokończonego obrazu.

– Tak. Pamiętasz, jak dawno temu powiedziałem ci, że kiedy go skończę, to wtedy odejdę?

Dobrze to pamiętał, ale zawsze podchodził z przymrużeniem oka do tych pogroźek.

– Dokąd odchodzisz, jeśli można wiedzieć?

– No, nie wiesz?

– Wyjeżdżasz dokądś?

– Nie, odchodzę. Ksiądz chyba powinien najlepiej wiedzieć, dokąd odchodzimy. Dlatego mnie się nie pytaj dokąd. Nie wiem.

– Cholera, mów jaśniej. Jesteś chory?

Proboszcza zdenerwowały słowa Bernarda.

– Oprócz serca, z którym od lat mam problemy, nic więcej mi nie dolega.

– Chyba nie chcesz popełnić samobójstwa? Pamiętaj, to według Kościoła wielki grzech. Wystrzegaj się tej pokusy!

– Nie. Nie zamierzam iść w ślady ojca.

– Twój ojciec nie miał wyboru.

Oliveto spojrział na przyjaciela i widać było po nim, że jest kompletnie zaskoczony.

– Co proszę? Powtórz to! – krzyknął.

– Nie wiedziałeś? Twój ojciec został zmuszony do popełnienia samobójstwa.

– Dlaczego? Kto go zmusił? Co wiesz o moim ojcu?

– Nalej mi jeszcze.

Gospodarz ponownie napełnił kieliszki i wbił wyczekujące spojrzenie w gościa.

– Skąd wzięłeś pieniądze na zakup, a później remont Eryinii? – spytał proboszcz.

– Jak to skąd? Znalazłem je w domu kilka lat po śmierci ojca.

– Nie zastanawiałeś się, jakie było ich pochodzenie?

– Nie – odparł Bernardo z wahaniem. – Myślałem, że to oszczędności całego życia.

– Mówisz szczerze?

– Dobra, zastanawiałem się. Spytałem mamę, ale ona nie chciała na ten temat rozmawiać.

– Nie wiedziałeś, że pochodzą z przestępstwa, że twój ojciec doszedł do nich nieuczciwie? Nie zastanawiałeś się, czemu mimo takiego bogactwa żyliście bardzo skromnie?

Oliveto skrzywił się, jakby lyknał octu.

– Słyszałem co nieco, ale nie wierzyłem w to wszystko, zaś po pieniądze nikt się do dziś nie zgłosił.

– Może po prostu twojemu ojcu się udało? Jednak to nie tłumaczy ciebie. Użyłeś brudnych, splamionych krwią pieniędzy na zakup hotelu i jego remont.

– A co miałem zrobić? – Bernardo podniósł głos. – Potrzebowałem ich, inaczej nie odbiłbym się od dna. Myślisz, że mnie to nie gryzło przez te wszystkie lata? Każde pukanie do drzwi, każdy dzwonek telefonu stawiały mnie na baczność. W każdej chwili drżałem, że przyjdą i zabiorą mi wszystko. Wszystko to, co zbudowałem ciężką pracą.

– Taka była tego cena – wtrącił duchowny.

– Wiesz co, gdybym mógł cofnąć czas, to nie wzięłbym tych pieniędzy, wolałbym żyć w spokoju jako listonosz. Może wtedy i Giuseppa by żyła? Te pieniądze zmarnowały nam życie.

– Tak nie mów. Wychowałeś dzieci na porządnym ludzi, w pewien sposób spłaciłeś tę pożyczkę.

– Można to tak tłumaczyć, ale niesmak pozostał. Teraz, kiedy stoję nad grobem, coraz częściej o tym myślę i od nowa nie daje mi to spać. Wiem, że nadchodzi mój koniec, czuję to. Dlatego chcę się jakoś rozliczyć z mojego życia.

– A z czego ty chcesz się rozliczyć, przyjacielu?

– Dziś postanowiłem, że wszystko opowiem Veronice. Do tej pory wzbraniałem się, myślałem, że zabiorę to przekleństwo razem ze sobą do grobu, ale jednak widzę, że to niemożliwe, że ono będzie tu nawet po mojej śmierci. Veronika zostaje i musi jak najwięcej wiedzieć, bo bez poznania przeszłości nie zbuduje swojej przyszłości i dlatego proszę ciebie, stary druhu, że gdybym nie zdążył, ty to uczyni.

– Ja? Ja wiem tak mało – odparł proboszcz zdumiony tym wywodem.

– Obawiam się, że ty wiesz więcej ode mnie. – Bernardo zaśmiał się ironicznie. – Tylko nie chcesz mi powiedzieć wszystkiego. Przecież, o ile dobrze pamiętam, byłeś spowiednikiem mojego ojca.

– Krótko.

– Może krótko, ale pod koniec jego życia. Musisz znać jego tajemnice.

– On nie żyje. Dajmy mu spoczywać w pokoju.

– Jego nie ma, ale jego wnuki żyją, nie uważasz, że powinny wiedzieć więcej? Sam oceń i opowiedz Veronice tyle, ile uważasz za stosowne. Ochroni ją przed informacjami, które mogłyby położyć cień na jej życiu.

Staremu głos drżał ze wzruszenia, momentami się zacinął. W pewnej chwili Oliveto przeraźliwie zbladł i złapał się za serce. Jego twarz wykrzywiła się w straszliwym grymasie, bezwładnie runął na podłogę, strącając po drodze wszystko ze stolika. Duchowny, przerażony, poderwał się na równe nogi i rzucił się w stronę Bernarda. Przyklęknął przy nim. Od razu wiedział, że na pomoc jest za późno, tracił ostatniego przyjaciela. Chwycił jego dłoń w obie ręce, schylił się do jego ucha.

– Spełnię twoje życzenie – szepnął. – Obiecuję, możesz odejść w spokoju, ale jeśli jeszcze jesteś obecny tu duchem, to jestem ci winien pewne informacje: dowiedziałem się o tym na kilka dni przed śmiercią twojego ojca. Staraj się wysłuchać mnie do końca, bo to niesie nadzieję. Nie chcę, żebyś zszedł z tego świata pełen niepokoju, nie zasłużyłeś na to. Ściśnij moją dłoń, jeśli mnie słyszysz.

Poczuł delikatny uścisk. Spojrzał w górę.

– Dzięki ci, Boże, że go jeszcze nie zabrałeś, bo nie powinien odejść, zanim nie pozna całej prawdy.

Nachylił się bardziej nad konającym.

– Twój ojciec przyszedł do mnie...

Rene Lemner przechadzała się pustymi uliczkami miasteczka. Było ciepło, słońce mocno przygrzewało. W pewnej chwili kobieta poczuła zmęczenie i przysiadła na jednym ze stopni wiodących do pobliskiego kościoła. Rozejrzała się i nagle zatrzymała wzrok na młodym mężczyźnie idącym w poprzek ulicy. Zbliżał się, a ona coraz natarczywiej się w niego wpatrywała.

On czy nie on? – zastanawiała się. Nie, to niemożliwe. Co by Mehmed robił w tym miejscu? Taka sama trochę przygarbiona sylwetka, gęsta czarna broda, nawet kolorystyka ubioru zbliżona. Mehmed lubił jasnoszary i nosił chustkę arafatkę na szyi. Ten mężczyzna też miał taką samą.

Raptownie zerwała się na równe nogi.

– Mehmed! – krzyknęła.

Mężczyzna spojrzał w jej kierunku, następnie odwrócił się, jakby chcąc sprawdzić, do kogo ta kobieta krzyczy. Poza nim nikogo nie było. Jeszcze raz zerknął na Rene, wzruszył ramionami i skręcił w boczną uliczkę.

To nie on! Była zawiedziona.

Lubiła Mehmeda, wiele razy byli na akcjach, a raz nawet uratował jej życie. Zawsze podziwiała jego zaangażowanie. Może dobrze, że to nie on? Co by mu powiedziała? On od razu zapytałby, czemu tu siedzi, czemu nie walczy?

Podwinęła nogawkę i spojrzała na bransoletkę. Znała dobrze to urządzenie, wielokrotnie uwalniała od podobnych gadżetów swoich współtowarzyszy. Tylko raz się nie udało. Było to w Pakistanie, tego dnia odbili jednego bojownika. Nikt nie znał się na elektronicznych smyczach i jej kazali zdjąć mu to paskudztwo z nogi.

– Edyta, ty jesteś z Europy, jak ty nie dasz rady, to chyba już nikt – znalazł dowódcę. Nie miała wyboru, schyliła się i zerknęła na miniaturową klawiaturę. Trzeba było wcisnąć jakąś kombinację cyfr. Nie miała zielonego pojęcia, co zrobić. Czuli na sobie nagłące spojrzenia współtowarzyszy, paliły ją jak laser. Bez namysłu wklepała cztery cyfry. Do dziś je pamięta, cztery przekłete siódemki.

Mówiono, że te cyfry przynoszą szczęście. Może tak, ale na pewno nie temu muzułmaninowi. Zapaliła się czerwona lampka i wszyscy jak na komendę wybiegli w panice z chaty, pozostawiając nieszczęśnika w środku. Po minucie nie było chaty, a właściciel stalowej bransoletki na nodze wyparował. Został po nim tylko jeden mocno osmolony sandał.

Następnym razem było lepiej, dzięki temu, że przeszła odpowiednie szkolenie i już nie bała się tych technicznych gadżetów. Ta, którą miała na nodze, nie była zbyt wyrafinowana. Kiedyś nawet by się nie zastanawiała i po prostu się jej pozbyła, ale dziś? Dziś jest inaczej. Ten inwalida tak dziwnie na nią podzierał. Ciągle miała przed oczami jego pełne bólu spojrzenie, a w uszach dźwięczały jej jego słowa. Mimo że jedenastego września nie było jej w Nowym Jorku, poczuła się współwinna.

Chyba się starzeję, westchnęła. Mehmed zawsze mówił „jeśli masz skrupuły, to już po tobie”. To było mądre zdanie.

Miała skrupuły i dlatego nie zdjęła bransolety. Miała też dość wiecznego zabijania i wiecznej ucieczki. Była tym już zmęczona. Teraz po latach widziała, że to wszystko było bez sensu, z góry skazane na niepowodzenie. Nic nie osiągnęli, a jedynie pozostawili za sobą stopy trupów, setki wdów i jeszcze więcej sierot. Ginęli Bogu ducha winni ludzie, a ci, z którymi walczyli, cały czas mieli się dobrze. Ze starej paczki zostali już tylko ona i Mehmed, reszta dawno nie żyła. W jakimś momencie zgasły w niej idee, które im przyświecały przez wiele lat. Niepostrzeżenie świat się przeobraził i zmieniły się cele bojowników. Młoda generacja chciała walczyć z chrześcijańską Europą, a tego ona nie akceptowała. Nie będzie walczyć w imieniu Allacha, co to, to nie.

Zerknęła na zegarek, dochodziła szesnasta. Trzeba wracać do hotelu. Wstała ze schodka i powoli poszła w stronę Eryunii.

W progu natknęła się na kobietę zajmującą pokój na parterze i jej ułomnego syna Juliana. Żegnali się z właścicielką. Właśnie przyjechała po nich taksówka. Rene niespodziewanie chwyciła wózek i pomogła przetransportować kalekę do auta, czym wzbudziła zdziwienie Veroniki. Czego jak czego, ale takiego odruchu się u niej nie spodziewała.

Wymieniły grzecznościowe ukłony i Rene weszła do budynku.

DZIEŃ JEDENASTY, CZWARTEK

Na cmentarzu zgromadziła się garstka ludzi. Zebrał się pod starym rozłożystym dębem, przy grobie Giuseppy.

Bernardo – z wyboru samotnik – nie miał wielu znajomych, a przyjaciół mógł policzyć na palcach jednej ręki.

Śmierć ojca to był dla Veroniki ciężki cios. Patrzyła na trumnę stojącą tuż przed nią na katafalku i wciąż nie docierało do niej, że on tam leży. Przecież jeszcze dwa dni temu rozmawiali, śmiała się i żartowała wraz z nim. Śmierć przyszła niespodziewanie i bez skrupułów zabrała go z tego świata.

Za chwilę go zakopią, myślała, umieszczą obok mamy pod płytą z czerwonego marmuru i znów będzie z nią, z tą, której mu tak bardzo przez te wszystkie lata brakowało.

Spojrzała na przyjaciół stojących nad otwartą mogiłą, na braci, na przygarbionego Franciszka, przyjaciela ojca od zawsze, na Bruna, z którym kłócił się nieraz tak ostro, że trzeba ich było rozdzielać, a teraz wycierającego skrycie łzy, na listonosza doręczającego przesyłki od niepamiętnych czasów, na starego proboszcza, jedynego świadka jego śmierci, i na Gabriela stojącego samotnie kilka grobów dalej. Możliwe, że on jeden z tej grupy przyszedł tu tylko dla niej, z szacunku dla jej cierpienia, reszta tu była dla Bernarda.

Leoni odmówił ostatnie modlitwy, trumna została przeniesiona na skraj grobu, a po chwili spuszczona na dół. Proboszcz poświęcił ją, schylił się i jako pierwszy rzucił garść ziemi na wieko, po nim po kolei podeszła rodzina. Veronika stanęła nad grobem ostatnia.

– Ciężko mi się żegnać z tobą, tatku – szepnęła. – Żegnaj!

Rzuciła grudkę ziemi i odeszła, szlochając. Zrobiła kilka kroków i się zachwiała. Gdyby nie czyjś silny uchwyt, zapewne by się wyrzuciła. Uniosła wzrok. Przy niej stał Gabriel i to jego żelazny uścisk uchronił ją przed upadkiem.

– Współczuję. Przykro mi, to był dzielny człowiek.

Nie odpowiedziała, tylko skinęła głową i poszła w stronę stojących z przeciwnej strony grobu braci.

Proboszcz podszedł do Franciszka i pociągnął go za rękaw. Ten spojrzał na niego zaskoczony.

– Kim jest ten mężczyzna, który przytrzymał Veronikę? – szepnęła mu na ucho.

– Niejaki Trovato, to on wynajmuje teraz cały nasz hotel – odparł kucharz.

– Skądś znam tego człowieka.

Duchowny nawet na chwilę nie spuszczał Gabriela z oczu. W końcu nie wytrzymał i podszedł bliżej. Stanął przed nim i zaczął mu się nachalnie przyglądać.

– Czy my się nie znamy? – zagadnął.

Gabriel się uśmiechnął.

– Owszem, drogi Leoni, znamy się, i to od dawna.

Duchowny teraz go poznał. Pożerał go wzrokiem, wyglądał, jakby co najmniej spotkał ducha.

– Ależ to niemożliwe! – wydusił z trudem. Chwycił się kurczowo ręką pobliskiego pomnika, inaczej bowiem upadłby jak długi na ziemię.

– Jak widzisz, wszystko jest możliwe – odparł drwiąco Gabriel i poklepał Leoniego po plecach. – Znów historia zatacza koło. Żegnaj, przyjacielu.

Trovato odwrócił się i wolnym krokiem poszedł w stronę cmentarnej bramy.

Zdarzenie to nie uszło uwadze Veroniki. Podeszła do proboszcza i wskazała na oddalającego się Gabriela.

– Zna go ksiądz? – spytała.

– Jego? – zawahał się. – Nie, nie. Nie znam go. Nie wiem, kto to taki.

– Ale wydawało mi się – nie ustępowała – że rozmawiacie jak dwaj znajomi.

– Wydawało ci się. Pomyliłem go z kimś innym – odrzekł stanowczym głosem. – Przepraszam, muszę już iść, jeszcze raz przyjmij wyrazy współczucia.

Mocno ścisnął jej rękę i szybko, jak na swój wiek, ruszył w kierunku wyjścia z cmentarza.

– Veroniko, chodź do nas! – zawołał Antonio.

Chwilę jeszcze patrzyła za Leonim, po czym dołączyła do rodziny.

Vogel wyszedł z przychodni. Przed chwilą zdjęto mu szwy, założone tuż po pechowym zderzeniu z wózkiem inwalidzkim sprzed kilku dni. Był jeszcze trochę oszołomiony środkiem znieczulającym. Rozejrzał się wokoło i nagle jego wzrok zatrzymał się na wózku inwalidzkim, identycznym jak ten, który go wtedy potrącił. Tak pojazd, jak i pasażer wyglądali bardzo znajomo. Podeszedł bliżej i od razu rzuciły mu się w oczy świeże, głębokie rysy na ramie. Miał przed sobą winowajcę, to przez tego główniarza musiał się tyle nacierpieć, być cerowany niczym stare dziurawe gacie. Natychmiast wszystko się w nim zatrzęsło z wściekłości.

Stanął tuż przed kaleką.

Kurt, bo to on został rozpoznany przez swoją ofiarę, w pierwszym momencie nie zorientował się, o co chodzi, i uśmiechnął się przyjacielsko do Vogla, ale na widok pastrów na głowie tamtego uśmiech zmarł na jego twarzy. Teraz i on go poznał.

– Mam przechlapane?

– Masz – warknął mężczyzna.

– Przepraszam, nie zdążyłem wyhamować.

– To mało! – wykrzyknął poszkodowany.

– To co mam zrobić? Biczować się?

– Ty nic, ale ja i owszem.

Mężczyzna zbliżył się do Kurta jeszcze bardziej, pochylił i wziął zamach. Dłoń spadła z wielką siłą na lewy policzek chłopaka, a jego głowa gwałtownie odskoczyła na bok.

– Bijesz bezbronnego!?

– Kaleki powinny być poddawane eutanazji, jesteście ciężarem dla społeczeństwa.

– Hitlerowiec! – krzyknął Kurt. – Gdybym był zdrowy, tobyś na mnie nie podniósł ręki, faszysto!

Vogel nie odpowiedział, tylko zamierzył się ponownie. Chłopak odruchowo zasłonił się ramieniem, ale cios nie padł.

Dłoń lekarza zawisała w powietrzu. Tuż obok stała Rene Lemner i to ona powstrzymała napastnika.

– Bijesz kalekę, padalcu? – warknęła groźnie, po czym drugą dłonią walnęła Vogla z całej siły w podbródek. Cios musiał być atomowy, lekarza odrzuciło metr do tyłu, po czym gruchnął plecami na ziemię, zawadzając po drodze tyłem głowy o stalową poręcz dla inwalidów.

Leżał zamroczony, nie bardzo wiedząc, co się z nim dzieje. Kobieta ze wzdrgnąłymi ustami spuściła wzrok na niego, chwyciła wózek za rączki i pociągnęła go w kierunku ulicy.

– Nic ci nie jest? – spytała, zerkając na chłopaka z niepokojem.

– Nie, wszystko w porządku, dziękuję pani.

– A to bydlę, ale już cię więcej nie będzie atakował. To ci gwarantuję.

– Dlaczego jest taki wściekły na mnie? – dziwił się Kurt. – Przecież to był wypadek, nie chciałem w niego wjechać. Takich powinni zamykać.

– I tak będzie. – Rene zaśmiała się dwuznacznie. – Domyślam się, że i za niego się już wzięli.

– To dobrze.

Jechali w kierunku wiale Apua. Nagle Kurt wyciągnął lewą dłoń i położył na jej prawej ręce.

– Przepraszam.

– Za co przepraszasz? – zdziwiła się.

– Za to, co wyrzyczałem wtedy, żałuję tego. To było głupie i zupełnie niepotrzebne.

– Nie przepraszaj – odezwała się po chwili. – Miałaś rację. Moi przyjaciele zabili ci rodzinę, a ciebie okaleczyli, masz prawo krzyczyć, więc krzycz.

– Nie popiera ich pani?

– Teraz już nie. Kiedyś byłam jedną z nich, ale wtedy wszystko było inaczej. Czułam się odrzucona, tak jak i moi przyjaciele. Chcieliśmy równości, sprawiedliwości społecznej, chcieliśmy zabijać bogatych, żeby biednym lepiej się żyło. Jednak nie tędy droga, to było błędne myślenie.

Wózek przyspieszył, Rene pobudzona wspomnieniami na chwilę zapomniała o rzeczywistości.

– Nie za szybko? – Jak przez mgłę dotarł do niej głos Kurta.

Oprzytomniała, zwolniła.

– Przepraszam. Starzeję się i przez to za bardzo żyję wspomnieniami.

– Wspomnienia to piękna rzecz. Ja też często nimi żyję – odparł.

– Może twoje, ale na pewno nie moje. Moimi można straszyć, i to niegrzecznych dorosłych. Niestety za późno się obudziłam ze złego snu. To już koniec.

– Koniec? Przecież jest pani wolnym człowiekiem. Może pani jeszcze wszystko zmienić.

Lemner zatrzymała wózek i się schyliła. Podciągnęła nogawkę dzinsów i Kurt zobaczył powyżej kostki stalową bransoletkę z mrugającym rzędem zielonych lampek.

– Wiesz, co to jest? – spytała.

– Nie. Nigdy nie widziałem czegoś podobnego.

– To jest elektroniczna smycz. Jestem więźniem. To jest wypadkowa mojego życia. Wiem, co mnie czeka. – Zaśmiała się gorzko. – Nie ma w tym nic dziwnego i nie mam do nikogo pretensji.

Usiadła na pobliskiej ławce.

– Skąd jesteś?

– Z Monachium, a pani?

– Z Leverkusen.

– Tu Bayern, a tam Bayer. – Kurt się zaśmiał.

Kobieta spojrzała na niego z ciekawością.

– Nie lubi pani piłki nożnej?

– A, piłki... Nie bardzo, nie znam się na tym, ale mój tata był zagorzałym kibicem. Co weekend wymykał się z domu i szedł z kolegami do pubu, żeby przy piwie wspólnie oglądać mecz.

– Mój też. Brał mnie nieraz na mecze. Mam okazałą kolekcję szalików różnych klubów.

– Skalpy wrogów?

Chłopak wyraźnie się pobudził na samą myśl o piłce.

– Fajnie to pani nazwała. Teraz też chętnie bym poszedł na jakiś mecz, ale nie dam rady.

– Czemu tak uważasz?

– Za ciężko samemu, a dziadek już ma swoje lata, nie chcę go fatygować, tym bardziej że nie lubi piłki. Może kiedyś pani ze mną pójdzie? Naprawdę Bayern jest świetny. Polubiłaby pani i mój klub, chociaż ten z Leverkusen też nieźle gra.

-Može...

DZIEŃ DWUNASTY, PIĄTEK

Veronika stała nad grobem rodziców i trzymała w ręku znicz, zastanawiając się, gdzie go ustawić.

- Jak zwykle niezdeterminowana. – Usłyszała znajomy głos zza pleców.
- Jak zwykle spotykamy się na cmentarzu – odgryzła się.
- Tak się składa, że ostatnio nie dajesz się nigdzie zaprosić. Zostaje tylko nekropolia.
- Bo wciąż nie wiem, kim ty jesteś naprawdę.

Trovato podszedł do niej i delikatnie ją objął ramieniem.

- Jestem twoim aniołem stróżem i jednocześnie przekleństwem dla twoich gości – szepnął jej do ucha.
- Ściemniasz. Raczej agentem czy detektywem – powiedziała, odpychając jego ramię.
- Według ciebie jestem kimś takim?
- Albo pracownikiem bardzo tajnej organizacji czy agencji rządowej lub... – zawahała się – lub pracownikiem telewizji.
- Telewizji? – powtórzył, z trudem tłumiąc wesołość.
- Chwilami zastanawiam się, czy w naszym hotelu nie jest zorganizowany jakiś telewizyjny show. Nie wiem, na czym to polega, ale goście są dobrani według jakiegoś klucza. To nie są przypadkowi ludzie. Chociaż agencja rządowa też do ciebie pasuje. Co to jest CHARUN? – zapytała niespodziewanie.

Wzruszył ramionami.

- To wytwór czyjejś chorej wyobraźni, nic więcej. CHARUN nie istnieje.
- Czyli słyszałeś o tym? – drążyła dalej.
- Słyszałem, nie zaprzeczam, ale mówię ci, że nie istnieje. Tę legendę stworzyli wielbicielowie teorii spiskowych dziejów, i tyle.
- Skąd ta pewność? Może nie wiesz wszystkiego?
- Może... – Trovato dziwnie się uśmiechnął i w tym momencie Veronika utwierdziła się w przekonaniu, że jest pracownikiem właśnie tej agencji.

Gabriel wziął znicz z jej dłoni, schylił się i postawił go na środku grobu. Z kieszeni wyjął zapalniczkę i zręcznie go zapalił. Spojrzał na Veronikę.

- Masz te koperty?
- Koperty? – W pierwszej chwili nie wiedziała, o jakie koperty mu chodzi.
- No, te od naszych gości.

Sięgnęła do torebki i zaczęła nerwowo ją przeczesywać. Wreszcie jej palce trafiły na podłużną paczuszkę, wyciągnęła ją i mu podała. Zerwał gumkę i zaczął wyjmować kartki. Nawet nie spojrzął na ich zawartość, tylko rolował je i podkładał pod płomień. Dzięki temu znicz nie zgasł. Dziewczyna patrzyła na to w milczeniu, ale w końcu nie wytrzymała.

- Czemu tego nie czytasz? Nie jesteś ciekawy, co piszą?
- A po co?
- To bez sensu. Nie rozumiem tego.
- To proste – zaczął wyjaśniać, jednocześnie rolując kolejne kartki. – Chcę, żeby pomyśleli o swoim życiu. Chcę, żeby zrobili rachunek sumienia, żeby sami doszli do ładu ze sobą, i ludź się, że chociaż jedno z nich odda mi pustą kartkę.

– Pustą? Nie rozumiem... – Veronika nie nadążała za jego myślą.
Gabriel spalił kartki, podszedł bliżej i spojrział jej prosto w oczy.
– Jesteś śliczna, mądra, ale zadajesz stanowczo za dużo pytań. Muszę już iść. Do zobaczenia!
Minął ją i poszedł między grobami w kierunku bramy.
Odwróciła się, szukając go wzrokiem, ale wokół było kompletnie pusto.
Gdzie on się podział?

Trovato jednak nie opuścił nekropolii. Zauważyła go, dopiero kiedy szła w stronę wyjścia. Stał przed starym, zniszczonym pomnikiem nagrobnym, przedstawiającym anioła gotowego do lotu, z rozwiniętymi skrzydłami. Paznokciami zdrapywał mech porastający pęknięcia marmuru. Robił to z takim zapamiętaniem, że w pewnym momencie z palców zaczęła mu tryskać krew. Nie zauważył Veroniki, która schowana za starym jałowcem od dłuższego czasu przyglądała się jego zmaganiom.

Raptem przerwał. Chwycił monument oburącz i zaczął bić w niego głową. Robił to coraz mocniej i mocniej. Słychać było głuchy stuk uderzeń.

Veronika patrzyła na to przerażona. Odruchowo zatkała dłońmi uszy, nagle odwróciła się i zaczęła biec w stronę cmentarnej bramy. Potykała się co i rusz na wystających korzeniach drzew, uderzała o tablice nagrobne. Nic nie czuła, tylko biegła, byle dalej od tego miejsca. Wciąż brzmiał w jej uszach ten odgłos.

Nie zauważyła, kiedy dotarła do ulicy.

Stanęła zdyszana, czuła bicie serca, było tak silne, jakby chciało wyskoczyć jej z piersi. Wciąż miała przed oczami Gabriela tłukącego bez opamiętania głową w nagrobek. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że jest tylko marnym statystą w jakiejś niezrozumiałej dla niej rozgrywce, a rola Trovata w tym wszystkim stała się jeszcze bardziej tajemnicza.

– Veronika! – Usłyszała głos proboszcza. Mknął z rozwianymi włosami na zdezelowanym rowerze. Z piskiem opon zatrzymał się tuż przy dziewczynie. Sapał jak stary miech kowalski, wyjął z kieszeni sutanny chustkę, żeby przetrzeć spocone czoło.

– Witam księdza – powiedziała, wciąż mocno rozkojarzona.

– Czy coś się stało? – zapytał, z troską patrząc na zadrapania na jej twarzy.

– Wszystko w porządku.

– Masz czas jutro? – zapytał, naciskając na pedały. – Przyjdź koniecznie! Musimy porozmawiać – krzyknął jeszcze w jej kierunku i rower ruszył.

Nie bardzo miała ochotę na odwiedzinę, ale nie zdążyła nic odpowiedzieć, bo Leoni już odjechał.

Podeszła do stojaka na rowery, odpięła linkę blokującą i wyszarpnęła z metalowych pałków swój pojazd. Dopiero teraz zauważyła, że ma poobijane ręce, dłonie poranione gałęziami i obtarte łokcie. Musiała się to stać, kiedy biegła przez cmentarz.

Jaka tragedia tak szarpała duszę Gabriela? Jaka drzazga tkwiła w jego sercu? Tylko to mogło jakoś tłumaczyć jego zachowanie.

Veronika postawiła rower pod starym platanem. Była tak pochłonięta swoimi myślami, że wchodząc do hotelu, nie zauważyła drepzczącego przy recepcji zdenerwowanego Vogla.

– O, jest pani! – zagadnął ją.

Zatrzymała się i spojrzała na niego. Wyglądał strasznie; głowę miał owiniętą bandażem elastycznym, a koło oka widniały dwa świeże szwy. Okulary lekarza były odkształcone, a jedna soczewka zbita.

– Zostałem pobity – oświadczył podniesionym głosem.
– Trudno tego nie zauważyć – odparła opryskliwie.
Zdenerwował się jeszcze bardziej, nie widząc żadnego zainteresowania z jej strony. Jego twarz zrobiła się czerwona ze złości.
– Jeden z pani gości mnie pobił. To ten babochłop.
Dobrze ci, bydlaku, zasłużyłeś, pomyślała. Uśmiechnęła się ironicznie.
– Co z pana za facet, że dał się pan pobić kobiecie?
– To nie jest zwykła kobieta! – wykrzyknął. – To groźna terrorystka, od razu ją poznałem!
– Tak? A pan jest kim? Może Misiem Yogi? Z pana też jest niezłe ziółko!
– Ma coś pani do mnie? – W jego tonie dało się wyczuć zaczepkę.
– Ja nie, ale CHARUN tak – wypaliła bez zastanowienia.
Vogel nagle zbladł, rzucił jej wściekle spojrzenie, minął ją i poszedł na górę, do swojego pokoju.
Jednak CHARUN istnieje, tylko się w tym utwierdziła. Ten typiek przeraził się tej nazwy jak diabeł święconej wody. Nie bałby się czegoś, czego nie ma.
– Bravo – usłyszała od strony drzwi kuchennych. Franciszek stał w nich z podniesionym kciukiem.
Podeszła do niego bliżej. Objął ją i przytulił.
– Jak się trzymasz, dziecinko?
– Jakoś, ale jest ciężko – odparła łamiącym się głosem. – Brak mi tego starego, wiecznie palącego te swoje paskudne papierosy skurczybyka. Brak mi jego opowieści, jego zatroskanego oblicza, wszystkiego tego mi brak.
– Mnie też. Wiesz przecież, że ty i twój ojciec to duża część mojego życia.
– Wiem, wiem, Franciszku.
Podeszła do szafki z kluczami i chwilę czegoś szukała. Wreszcie trafiła na klucz od domku.
– Idę tam zajrzeć.

Już dawno nie otwierała zamka w tych drzwiach, bo przecież Bernardo tu zawsze był, praktycznie nie opuszczał domku lub ławki stojącej tuż przy nim. Chwilę się mocowała z mechanizmem, nim puścił.

Pchnęła drzwi i weszła do środka. Patrzyła na salon, na stary, zarwany fotel, przesiąknięty zapachem marlboro, na ławę, wiecznie pełną różnych niepotrzebnych przedmiotów. Krążyła po pokoju ostrożnie, jakby bała się, że zbudzi Bernarda. Ileż to razy skradała się do fotela, żeby zdjąć książkę z kolan śpiącego w najlepsze ojca. Dobrze pamiętała to jego głośnie i wciąż ją drażniące chrapanie. Ile by teraz dała, żeby je znów usłyszeć!

Podeszła do fotela i usiadła. Ileż wspomnień jest związanych z tym miejscem. Tu przecież się wychowała. Owszem, Bernardo w pewnym momencie przeniósł się na trzecie piętro hotelu, ale to było zaledwie kilka lat przed rezygnacją z jego prowadzenia. Jej dzieciństwo było powiązane tylko z tym domkiem. To w tym pokoju, siedząc u ojca na kolanach, uczyła się czytać, to tu uczyła się malować. Dał jej podstawy tego zawodu, ale nie chciała pójść w jego ślady, nie odnalazła w sobie duszy artysty. Potrafił to zrozumieć i nie naciskał, choć wiedziała, że jest zawiedziony.

Spojrzała na portret mamy. Wiele lat nad nim pracował, a kiedy obraz był na ukończeniu, zamalowywał twarz i od nowa ją tworzył. Kiedy pytała dlaczego, zawsze mówił, że to nie to, że mama była dużo ładniejsza.

Ta wersja była ostateczna. Nie będzie już żadnych poprawek.

Sięgnęła po leżący na ławie gruby, oprawiony w czarną skórę album ze zdjęciami. Ileż to razy siedzieli w zimowe wieczory i oglądali zdjęcie po zdjęciu, a wspomnieniom nie było końca. Kilkakrotnie nawet zastał ich świt. Stare to dzieje, ale jakie piękne. Otworzyła album i zaczęła

przerzucać kartki. Zdjęcia rodziców, jej, braci przelatywały przed oczami i nagle jej wzrok zatrzymał się na dużym zdjęciu z imprezy inauguracyjnej jej rządu w Erynii. Zrobili je pracownicy, z zaskoczenia. Palcem dotknęła fotografii i powoli przesuwała nim po uwiecznionych tam postaciach. Bernardo stał na dalszym planie razem z Franciszkiem. Nagle poczuła, że zdjęcie zapadło się delikatnie pod naciskiem opuszki. Zaskoczona, ponownie nacisnęła, tak, to nie było przywidzenie, pod zdjęciem jakby coś było, jakaś kartka. Delikatnie je odchyliła i nie bez trudu wyciągnęła złożony papier.

Dziwny dreszcz przeszedł jej przez plecy, bowiem poznała charakter pisma Gabriela. To na pewno był list od niego, ale tym razem nie był skierowany do niej, tylko do jej ojca.

Zerknęła na datę, przecież to dzień objęcia przez nią hotelu. Co Gabriel miał z tym wspólnego?

Trzymała kartkę w dłoni, ale nie mogła czytać, mroczki latały jej przed oczyma, drżały jej ręce. Po chwili uspokoiła się na tyle, że przestały jej się zlewać litery.

Atrament wypłowił trochę, ale można było bez trudu odczytać słowa:

Szanowny Panie,

piszę ten list nie z własnej woli i dlatego z góry proszę o wybaczenie. Jestem w posiadaniu wielu ciekawych informacji na temat Pana ojca i pochodzenia pieniędzy, za które Pan kupił i wyremontował ten hotel. Przyszedł czas na zmiany. Proszę przekazać Erynię córce, i to jeszcze dziś. Jeśli zastosuje się Pan do moich sugestii, daję słowo, że żadna informacja kompromitująca Pańską rodzinę nie zostanie nigdy wyjawiona.

Z wyrazami szacunku

G.T.

Veronika, oszołomiona, siedziała nieruchomo w fotelu z listem w dłoni. Nigdy by nie pomyślała, że Gabriel szantażował jej ojca i że od dawna krążył wokół jej rodziny. Kim był ten tajemniczy zleceniodawca, w którego imieniu występował? Czego naprawdę chciał od niej? Zastanawiała się gorączkowo. Może chciał przejąć Erynię? Ale przecież to jest pozbawione sensu, wyglądała na bogatego człowieka. On mógł sobie kupić każdy hotel, nie musiał posuwać się do takiego łajdactwa. O co tu chodziło? Czemu akurat on jest wart takich zabiegów? Jaką jeszcze kryje tajemnicę? Co to za informacje dotyczące rodziny? O jakich pieniądzach on pisał? Kto może coś wiedzieć? Gabriela nie warto pytać; i tak jej nie powie. Franciszek przysiągł, że nic nie wie, a ona za długo go zna, żeby mu nie wierzyć.

Zaraz, jest przecież proboszcz... Może nie bez przyczyny dziś ją zaczepił, chce pilnie porozmawiać. Był przy ojcu, kiedy ten umierał. Może tata coś mu powiedział przed śmiercią. Trzeba do niego pójść. Koniecznie.

Odłożyła album na ławę, a kartkę schowała do kieszeni. Rzuciła ją Gabrielowi prosto w twarz, niech wie, że nie jest naiwną kretynką. Łzy ciekły jej po policzkach, ale nawet nie szukała chusteczki, tylko przetrzała oczy rękawem bluzki. Wstała z fotela i wyszła. Może gdyby nie silne wzburzenie, które nią ośwładnęło, to zauważyłaby Gabriela stojącego na zewnątrz budynku i obserwującego ją przez niedokładnie zaciągniętą firankę. Stał i patrzył, a kiedy zauważył w jej ręku list, jego dłonie zacisnęły się tak silnie, że o mało nie popękały nabrzmiałe na nich żyły.

DZIEŃ TRZYNASTY, SOBOTA

Russo wolnym krokiem szedł brzegiem morza. Patrzył na fale nacierające na plażę, obserwował bezkresny horyzont. Mimo że nie chciał tego, co i rusz atakowały go wspomnienia. Nie były to jednak zdarzenia, o których opowiadał staremu proboszczowi, te, które w jakimś stopniu mogły wytłumaczyć i rozgrzeszyć jego późniejsze życie; wciąż miał przed oczami Edoarda.

Jeśli zamykał je chociaż na chwilę, od razu widział jego twarz z wysuniętym i przechylonym na bok językiem i martwymi, wywróconym gałkami oczu. Chłopiec powiesił się przez niego, powiesił się, bo nie wytrzymał. On sam, kiedy go pierwszy raz zgwałcono, też chciał sobie odebrać życie, już miał powróż na szyi, ale stchórzył. Edoardo był odważniejszy, miał odwagę zerwać ogniwo łańcuszka. Jeden z nielicznych, bo większość ofiar po jakimś czasie stawała się takimi samymi potworami jak ich oprawca. Tak działała machina, i to od nie wiadomo jakiego czasu. Ilu młodym chłopcom zламаł życie on sam, nie pamiętał, ale było ich na pewno wielu. Na misjach było najłatwiej, tam chłopcy wszystko by zrobili za jedzenie.

Gorzej było w Europie, ale prestiż duchownego potrafił czynić cuda.

Brzydził się sobą, czuł się zbrukany swoimi występkami, ale nie potrafił znaleźć środka, żeby to z siebie zmyć. Nie było na to mydła, ten brud wżarł mu się w skórę tak mocno, że musiał żyć z nim aż do śmierci. On, ksiądz katolicki, wyhodował w sobie demona, który zawładnął całkowicie jego duszą.

Edoardo przepełnił czarę, demon posłiznął się na tym małym chłopcu. A był taki śliczny... Russo wzruszył się obrazem przepływającym przed oczyma.

Pewnego dnia dwóch policjantów w cywilu zapukało do jego mieszkania i kazało mu się spakować. Nie powiedzieli, o co chodzi, byli grzeczni, ale bardzo stanowczy. On podświadomie czuł pismo nosem. Zapakowali go do nieoznakowanego radiowozu i wywieźli. Przewieźli na lotnisko, a następnie samolotem do Włoch, do Rzymu. Myślał, że jadą do prokuratury czy na policję, ale czarne policyjne alfa romeo mknęło przez cały Rzym i w pewnym momencie skręciło w kierunku Stolicy Apostolskiej. Zaskoczony, patrzył, jak radiowóz wjeżdża boczną bramą na teren Państwa Watykańskiego. Sądził, że to wróży dobrze, ale jak się niedługo okazało, przeliczył się w swoich spekulacjach. Wyszadł go na tyłach nieznanego mu budynku. Policjanci zaprowadzili go długim korytarzem do jakiegoś pomieszczenia i zostawili tam samego. Siedział tak z kwadrans, może krócej, trudno określić czas, kiedy człowiek czeka na wyrok. Czuł bowiem, że ujawniono jego demona i teraz ten demon czeka na surowe rozstrzygnięcie. Do pokoju wszedł młody, elegancko ubrany mężczyzna z grubym skoroszytem w rękę. Trochę go to zdziwiło, bo spodziewał się duchownego. Znał procedury kościelne stosowane w takich sytuacjach, wiedział, że istnieje całe grono surowych hierarchów serwujących równie surowe wyroki.

Mężczyzna usiadł naprzeciwko niego i zaczął mu się wnikliwie przyglądać. Patrzyli w milczeniu na siebie. Wreszcie przybysz przemówił.

– Jestem tu na prośbę jego świątobliwości.

Pamiętał dobrze, że zrobiło to na nim piorunujące wrażenie.

– Samego papieża? – wyrwało mu się.

– Zgadza się, ksiądz stał się wielkim problemem dla Kościoła, ropiejącym wrzodem. Dokonania księdza od jutra będą opisywać wszystkie gazety, nie tylko rzymskie, ale być może na całym świecie. Watykanowi nie jest potrzebna kolejna afera, dlatego mnie wezwano.

Skoro został przywieziony tutaj, oznaczało to jedno: rzymski wymiar sprawiedliwości umył ręce i powierzył sprawę Kościołowi. I tu zagadka, ten człowiek nie był duchownym.

– Kim pan jest?
– To dla księdza jest bez znaczenia.
– Proszę powiedzieć, kim pan jest? Chcę to wiedzieć.
– Jestem przedstawicielem organizacji zwanej w skrócie CHARUN.
– CHARUN? Co to takiego?
– Organizacja, która wybawia swoich zleceniodawców z kłopotów, i dlatego mam dla księdza propozycję.
– Propozycję? Mam jeszcze jakiś wybór? – zdziwił się.
– Tak, może ksiądz stanąć pod pręgierzem prasy i telewizji i pociągnąć za sobą w to bagno Kościół lub może ksiądz otrzymać w prezencie dwa tygodnie względnej wolności, a w tym czasie pewne szacowne grono zastanowi się nad księdza losem. Proszę się zastanowić. Tu mam w teczce opisy wszystkich księdza dokonań, nic nie brakuje. Mam nadzieję, że ten materiał zniechęci księdza do pierwszego rozwiązania. Nie muszę chyba wspominać, że Jego Świątobliwość też jest za drugim, zaś rzecznik prasowy Watykanu już przygotował komunikat o opuszczeniu przez księdza stanu duchownego i o wyjeździe, w ramach pokuty, do kolonii trędowatych.

Mężczyzna położył przed nim teczkę.

Russo zerknął na nią, ale nie miał odwagi jej otworzyć, bał się dokonań swojego demona. Wciąż czuł na sobie jego śmierdzący oddech.

– Zgoda – zdecydował.

– Cieszę się. – Mężczyzna po raz pierwszy się uśmiechnął. – Zaraz założymy księdzu elektroniczną bransoletę i wręczymy bilet kolejowy do Toskanii, a konkretnie do Pietrasanty. Tam proszę się zgłosić do hotelu Erynia. Wspomnę jedynie, że w tej bransoletce jest materiał wybuchowy i nadajnik GPS. Każda zmiana kierunku podróży skończy się źle, nie będzie to szybka śmierć, proszę mi wierzyć, bo to byłoby za łatwe.

Wziął z powrotem teczkę i wyszedł.

Russo się ocknął. Był zadowolony z pobytu w Pietrasancie. Mógł w spokoju wszystko sobie przemyśleć, poukładać. Czy to mu się udało? Na pewno przekonał się, że demon tkwi w nim tak samo mocno jak wcześniej. On sam go nie wygoni, ktoś musi to zrobić za niego.

Powoli ruszył w kierunku hotelu. I nagle znów go zobaczył. Tak, to on, Edoardo. Szedł plażą w jego kierunku, był jeszcze daleko, ale od razu go poznał. W słońcu błyszczały białka wywróconych gałek ocznych i wysunięty język wisielca. Był ubrany w długą białą szatę zakonną i wyciągał ręce w jego kierunku.

Twarz Russa momentalnie zbladła i pokryła się potem, dłonie zaczęły się trząść jak w febrze.

– Nie! – krzyknął, następnie odwrócił się i zaczął biec jak oszalały. Nie oglądał się za siebie, nie widział nic przed sobą, tylko biegł, żeby być jak najdalej.

Kiedy dotarł do ulicy, nawet nie spojrzał na przejeżdżające pojazdy, tylko tuż przed ich maskami przy akompaniamencie klaksonów przebiegł na drugą stronę. Z dzikim wzrokiem wpadł do hotelu, potarcił przechodzącą korytarzem Molbi, i to tak mocno, że wypuściła z rąk niesioną tacę z filiżankami. Nie zważając na rumor rozbijanych naczyń, wbiegł schodami na górę, po czym zniknął w swoim pokoju.

Bontate siedział na ławce przy viale Apua. Było kompletnie pusto, próżno szukać przechodnia.

– Ale kurewskie zadupie – zaklął. Kazano mu tu przyjechać, to przyjechał. Kazano czekać, ale on czekać nie lubił. To nie leżało w jego naturze. W swoim środowisku uważany był za raptusa. Kiedy był wściekły, wszyscy schodzili mu z drogi, bali się. Taki już był. Zresztą, na co ma czekać? Przecież wie, co go spotka. Nikt przy zdrowych zmysłach go nie wypuści na wolność, on sam nie ma żadnego atutu, żeby coś z nimi utargować. Wszystkie asy są w ich rękach, jemu zostały tylko blotki. Mimo to nie pójdzie jak krowa na rzeź, niedoczekanie ich.

Ulicą przeszła jakaś dziewczyna. Zerknął na nią. Jego córka jest ładniejsza. Chyba ładniejsza od matki. Szkoda, że dopiero teraz dowiedział się o jej chorobie. Mógł ją ściągnąć tu do Włoch, ale matka pewnie by się nie zgodziła. A co by miała do gadania? Wysłałby chłopaków i by ją przywieźli, jak nie dobrowolnie, to siłą. Zresztą może by ją wykupił od matki. Wszystkich można kupić. Sto tysięcy by jej zapłacił, dałby nawet i milion. Za taką kasę na pewno by się zgodziła. Wykształciłby ją, może by została bankowcem, może prawnikiem. Nie tak jak on, jego wychowała ulica, a wykształcił półświatek. Dałby jej lepsze życie, zaślubił ją na niego, w końcu to jego jedyna córka. Ale na co tu rozmyślać? Kijem nurtu rzeki nie zawrócisz. Nie cofnie się czasu, nawet on, Stefano, nie potrafi tego zrobić.

Wstał z miejsca i ruszył wolnym krokiem ulicą. Pojawili się przechodnie, było ich coraz więcej, kilka domów dalej zauważył dwie kobiety. Raptownie się zatrzymał. Luizy nie poznał, bardzo się zmieniła, ale Maria wyglądała dokładnie tak jak na zdjęciu.

Postawił kołnierz płaszcz a nasunął kapelusz na twarz. Nie chciał być rozpoznany. Jednak przyjechały, jego plan się powiódł. Jaka ona ładna! Tylko jest blada, to niedobrze. To pewnie przez tę jej chorobę, cierpi dzieciak.

Kobiety jakby wyczuły natrętne spojrzenie, zerknęły na niego. Szybko ustawił się bokiem. Poszły w przeciwnym kierunku. Odczekał chwilę, a kiedy były już dość daleko, wolno ruszył za nimi. Chociaż na odległość chciał mieć jakiś kontakt z Marią.

Veronika siedziała w recepcji i wypełniała urzędowe papiery. Nie cierpiała tego, ale dzięki temu, że nie korzystała z usług biura podatkowego, udawało jej się zaoszczędzić co miesiąc trochę pieniędzy. Dziś jednak nie mogła skupić się na pracy. Romulus wciąż pchał się jej na kolana. Myślała o ojcu, Gabrielu, o tym dziwnym liście i o Erynii. Pierwszy raz w życiu w jej sercu zagościło wahanie co do przyszłości hotelu, zaczęła mieć wątpliwości, czy na pewno chce go dalej prowadzić. Jej ojcu nie przyniosło to szczęścia, a jak mówi przysłowie, historia lubi się powtarzać. Obecność Trovata, tajemnicze pochodzenie funduszy ojca i ci dziwni goście – to wszystko zachwiało jej wiecznym optymizmem, stłamsiło jej duszę.

Tak była pochłonięta myślami, że nie zauważyła Gabriela stojącego z drugiej strony kontuaru. Jak zwykle był elegancko ubrany, na odległość pachnący drogimi perfumami. Chrząknął.

– Nie przeszkadzam? – spytał.

Poderwała się do góry, nie spodziewała się go, nigdy tu nie zaglądał.

Uśmiechnął się do niej.

– Zaskoczyłem cię?

– Tak. – Skinęła głową jak automat. Poczula jakiś dziwny ucisk w sercu. Jeszcze nigdy nie miała w jednym momencie tak sprzecznych odczuć, jej radość mieszała się z wściekłością.

– Przy via Carducci, kilka domów dalej, podają wyśmienite lazanie, dasz się zaprosić? – zagadał.

– Nie! – odparła podniesionym głosem. – Nigdy!

Był zaskoczony jej odmową.

– Co cię tak wzburzyło? Domyślam się, że to wszystko przez ten list?

Patrzyła na niego zdumiona. Skąd wiedział, że go znalazła?

– Zgadza się! Ten list pokazał, kim jesteś naprawdę.

Mężczyzna, wciąż uśmiechnięty, oparł się oburącz o kontuar.

– Kim jestem? Powiedz mi. Jestem bardzo ciekaw.

– Jesteś nędznym szantażystą! Idź stąd... – Głos jej się załamał. – Idź, proszę i nie przychodź tu więcej!

– Nie chcesz mnie nawet wysłuchać? – zdziwił się.

– Nie! Mam już dość! Odejdź z mojego życia, odczep się od mojej rodziny. Najpierw prześladowałeś mojego ojca, a teraz mnie. Idź stąd! Na szczęście nasza umowa dobiega końca!

Ostatnie słowa wykrzyczała, szlochając.

Nic nie rzekł, jedynie na nią patrzył. Twarz mu się powoli zmieniła, zniknął z niej uśmiech, stała się posępna, nieprzenikniona.

Odezwiał się, kiedy już wylała swoje żale.

– Zostawię tu paczkę dla pana Mvumbiego. – Wskazał mały pakunek leżący na blacie. – Jak już wspomniałaś, turnus się kończy, więc nastał czas pożegnań. Życzę ci powodzenia!

Odrzucił się i energicznym krokiem poszedł w kierunku wyjścia.

Veronika patrzyła za nim z paniką w duszy. Boże, co ja robię? – krzychało jej serce. Przecież odtrącam tego jedyne. Cały czas marzyłam o nim, a kiedy się zjawił, to go wyganiaam, nie daję mu nawet szansy na wyjaśnienia. Przecież w tym liście przeproszał ojca, że to nie jego decyzja, wykonywał jedynie polecenie. Może za surowo go oceniłam?

Trzasnęły drzwi, Gabriel wyszedł z hotelu.

– Jesteś jakaś roztrzęsiona. Stanowczo za dużo pracujesz.

Franciszek stał nad nią i kręcił głową.

– Dobrze, że to już ostatnie dni – westchnął. – Jeszcze trochę i wykończylibyśmy się wszyscy. Zasięgnąłem języka na temat tego elegancika.

– Tak? – spojrzała na niego. – Mów, co wiesz!

– W całym regionie nie ma kogoś takiego, musi używać fałszywego nazwiska.

– Co ty opowiadasz?

– Moja siostrzenica wyczytała w Internecie, że wieki temu na południu kraju nazwisko Trovato było nadawane przybłędom, dzieciom niewiadomego pochodzenia.

Veronika patrzyła na kucharza z osłupieniem.

– Kiedyś ukradkiem zrobiłem mu fotkę – kontynuował – i nawet zdobyłem odciski palców. Zaniósłem je do znajomego policjanta, a on to wrzucił w komputer. Jestem pod wrażeniem, niesamowita maszyna...

– Sprytny jesteś, dbasz o mnie.

– To nie ja. To pomysł Bernarda, bał się o ciebie.

– Kochany staruszek – szepnęła, a w oku zakręciła jej się łza.

– Nie jest poszukiwany przez policję – ciągnął Franciszek – i raczej nie jest groźny, ale na pewno nie ma uczciwych zamiarów. Inaczej używałby swojego nazwiska.

– Dziękuję, masz rację, ale on i tak jest już historią – oświadczyła.

– I dobrze, bardzo dobrze – pochwalił ją. – Znajdziesz sobie innego. Co to za paczka? – Wskazał pakunek na kontuarze.

– Przesyłka dla Mvumbiego, on ją przyniósł.

Kucharz wziął pakunek i potrząsnął nim. Wyraźnie był zadowolony.

– Zajrzyjmy tam?

– Nie! – oparła się. – Mam dość, nie chcę następnych kłopotów. Nie otwieraj.

– Ja bym otworzył – nie ustępował. – Lepiej wiedzieć, co w trawie piszczy.

– Nie rób tego, chcę mieć wreszcie święty spokój! Turnus się kończy, wreszcie zamknę Erynię na cztery spusty i otworzę dopiero w połowie maja.

– Tylko tak mówisz. – Pokręcił głową z niedowierzaniem i poszedł do kuchni.

Veronika poprawiła makijaż i od nowa zajrzała w papiery.

– Romulus, uciekaj stąd! – wydarła się na kota.

Wszystko jednak zlewało jej się przed oczami. Zrezygnowana, złożyła dokumenty i wrzuciła je do szuflady. Jutro to zrobi.

Trzasnęły drzwi wejściowe. Holem szedł Mvumbi.

– Przesyłka dla pana – oznajmiła mu.

Spojrzał na nią zaskoczony.

– Niczego się nie spodziewam, to pewnie pomyłka.

– Nie, pan Trovato prosił, żebym ją panu dała.

Wziął pakunek w ręce tak, jakby się bał, że za chwilę wybuchnie. Wpatrując się w niego, poszedł po schodach do swojego pokoju.

Mvumbi zamknął drzwi na klucz. Nie zdejmując nawet płaszcza, usiadł na krawędzi łóżka, ani na chwilę nie spuszczał wzroku z pudełka. Nie było duże, ot, sześćdziesiąt centymetrów, ale dość ciężkie. Pułkownik sięgnął do stolika po nóż i zaczął ostrożnie przecinać papierowe opakowanie. Kiedy się go pozbył, delikatnie otworzył pakunek, nachylił się nad nim i z prerażeniem patrzył na zawartość.

– Nie! – krzyknął i szybko go zamknął.

Płynęły minuty, a on siedział jak skamieniały z przesyłką na kolanach.

Stefano Bontate przechadzał się przy fontannie tuż obok wejścia na molo i nerwowo rozglądał dookoła.

Ciemny ford mondeo zatrzymał się tuż przy nim. Mężczyzna wsiadł do samochodu.

– Cześć. Zorganizowałeś chłopaków?

– Zgodnie z umową. Co to za robota? Może w końcu trochę mnie oświecisz? Chłopaki się pytają, a ja tylko świecę gałami przed nimi.

– Spokojnie, spokojnie. – Stefano się zaśmiał. – Ze wszystkim cię zapoznam.

– Może nadszedł czas, żebyś jeszcze powiedział, jak się wydostałeś z mamra? Co niektórzy zaczynają gadać, że sypiesz.

– Myślisz, że za to by mnie wypuścili? Z takimi jak ja nie idą na żadne układy. – Zaśmiał się gorzko. – Mam murowane dożycie, i to kilkukrotne, przecież wiesz.

– To czemu latasz z tym szwajcarskim zegarkiem na nodze, a nie gnijesz w pierdłu?

– Myślisz, że ktoś mnie pytał o zgodę, kiedy mi go zakładali?

– Podejrzanie to wygląda.

– Nie wkurwiaj mnie. Masz mnie za pierdolonego kapusia?

– Uspokój się...

– Zgodziłem się poddać karze bez procesu. Sprawa w sądzie z powodu moich powiązań rodzinnych z prezydentem była im nie na rękę.

– A co masz w zamian? Nie mów, że to za friko? Nie uwierzę, za dobrze cię znam.

– Dali mi dwa tygodnie względnej wolności.

– Ale mi wolność z elektroniczną smyczą, jak ten, jak mu tam, reżyser?

– Polański.

– No, Polański! Nie mógł na krok wyjść poza swój dom.

– Wszystko jest lepsze od więziennej celi, ale wystarczy już tego bezproduktywnego gadania.

Bontate sięgnął do kieszeni i zaczął intensywnie w niej gmerać. W końcu wyciągnął pognicioną kartkę i zdjęcie. Podał je kumpłowi.

– Co to jest? – spytał tamten, spoglądając na fotografię ładnej młodej dziewczyny.

– Macie ją jutro porwać, tylko nie zróbcie jej krzywdy!

– Ładna. Co to za cizia?

– Nie twój zasrany interes. Przebywa pod adresem zapisanym na kartce. Jest tu z matką, tamtej też nie może nic się stać.

– Chłopaki nie mogą się z nimi zabawić? Będą zawiedzeni.

Bontate zmarszczył groźnie brwi.

– Zabiję każdego, który dotknie którąś z nich – warknął przez zaciśnięte zęby.

– Dobra, dobra. Jaka działka dla chłopaków? Liczą na dobry zarobek.

– Sto tysięcy euro, pasuje?

Kumpel patrzył na niego podejrzliwie.

– Sto tysięcy euro? A ty może milion? Pewnie tatuś rzyga forsa i chętnie zapłaci za ślicznotkę.

Stefano, słysząc to, zwrócił się w jego stronę i chwycił go za kłapy kurtki. Przybliżył twarz do jego twarzy.

– Ta młodsza to moja córka, więc uważajcie, żeby włos jej z głowy nie spadł. Jest chora, nie zapomnijcie o zabranii jej leków – szeptał. – Ty osobiście za nią odpowiadasz, a jeśli coś pójdzie nie tak, to cię znajdzie, nawet pod ziemią. Znajdę i wypatroszę jak indyka na Święto Dziękczynienia. Daję ci na to słowo, słowo Stefana Bontatego. Chyba jeszcze pamiętasz, co to znaczy?

Oprych zdrętwiał ze strachu, dobrze wiedział, do czego jego kumpel jest zdolny w takim stanie.

– W porządku. Żartowałem. Uspokój się, wszystko będzie dobrze – odparł pojednawczo. – Co mamy z nimi zrobić?

– Cholera, nie słuchasz mnie uważnie. Macie porwać młodszą, tylko ją. Tu masz adres, pod który ją dostarczycie.

Wyciągnął notes i długopis. Napisał kilka linijek i wyrwał kartkę.

– Tam ją ktoś odbierze – dodał.

– To tyle?

– Nie, przyjedziesz i zrelacjonujesz mi wszystko. Wtedy otrzymacie szmal, nie wcześniej.

– Dobra, niech będzie i tak. A zatem jutro?

– Tak, jutro. Zróbcie to tak, żebyś był u mnie około szesnastej. Będę tu na ciebie czekał. Nie spierdolicie tego, nie zawieź mnie.

Bontate wysiadł z samochodu i puknął ręką w dach.

Mvumbi zszedł na dół do jadalni na kolację, ubrany w bardzo elegancki mundur galowy. Na piersi przypięte miał ordery. Było jeszcze pusto, więc zajął miejsce przy stole i w napięciu obserwował korytarz, z którego wychodziły kelnerki. Czekał na Molbi, musiał coś jej powiedzieć.

Tak jak codziennie, przyszła pierwsza. Postawiła przed nim filiżankę z herbatą, a gdy odchodziła, złapał ją błyskawicznie za rękę.

– Usiądź, proszę.

Zawahała się. Patrzył jej prosto w oczy, zauważyła, że jego wzrok po raz pierwszy pozbawiony jest buty i pychy. Był jakiś smutny, przegrany.

– Proszę – powtórzył.

Usiadła i siedziała bez słowa.

– Nie patrz tak na mnie – warknął. – Twój wzrok pali mnie jak ogień.

– Zasłużyłeś na to – szepnęła.

– Wiem. Przesadziłem.

Słyszając to, zerwała się raptownie.

– Przesadziłeś?! Tylko tyle masz do powiedzenia? Krwawy dyktator, mający na swoich rękach krew tysięcy niewinnych ludzi, mówi mi, że przesadził.

– W stosunku do ciebie tak.

– Tak? – Patrzyła na niego zaskoczona. – Wiesz, kim ja jestem?

– Jesteś Molbi, poznałem od razu.

– Jestem Molbi, bo chcesz, żebym nią była, ale nie jestem tą twoją Molbi, jestem inną Molbi, której nawet nie pamiętasz, nawet nie spytałeś się o moje imię, kiedy mi to zrobiłeś.

To mówiąc, zerwała z siebie fartuch i bluzkę, a oczom Mvumbiego ukazał się nagi, straszliwie okaleczony, pozbawiony kobiecych atrybutów tors.

Zbliżyła się do niego.

– No, dotknij moich piersi, nie chcesz?! – krzyczała. – Nie chcesz się nimi pobawić? Nie chcesz ich popieścić? Jesteś potworem! Nie wiem, która z tych wszystkich Molbi ruszyła twoje sumienie, ale to nie byłam ja. Marzyłam, żeby zobaczyć strach w twoich oczach, i zobaczyłam, spełniło się marzenie tych pozostałych żyjących i nieżyjących Molbi. Teraz, sukinsynu, może cię trafić szlag!

Cofnęła się, chwyciła zdarte z siebie ubranie i zasłaniając nagie ciało, wybiegła z jadalni.

Mvumbi raptownie wstał od stołu i przewracając krzesła, z impetem opuścił pomieszczenie. Nawet nie spojrzał na stojącą w progu przerażoną Veronikę. Wbiegł na schody. Po chwili trzasnęły drzwi jego pokoju.

– Odchodzę.

Veronika usłyszała głos Molbi. Zwróciła się w jej kierunku. Dziewczyna stała z kuferkim w ręku, z tym samym, z którym zjawiała się tu pierwszy raz. W drugiej ręce miała klucz od szafki z ubraniami. Włożyła go w dłoń szefowej i ruszyła do drzwi.

– A wypłata? – krzyknęła za nią Veronika.

Tamta odwróciła się i uśmiechnęła dziwnie.

– Właśnie ją odebrałam – rzekła. Machnęła ręką na pożegnanie i wyszła.

Franciszek wychylił się z kuchni.

– Co tu się dzieje? Ta nowa kelnerka odeszła.

– Wiem.

Nagle padł strzał.

Obydwoje z przerażeniem spojrzeli po sobie. Nie przesłyszeli się, ktoś strzelił na pierwszym pięttrze. Franciszek ruszył na górę. Gestem ręki zatrzymał Veronikę.

– Poczekaj, może być niebezpiecznie.

Zaczął się wolno skradać, krok po kroku, stopień po stopniu piął się na górę.

Stał przy drzwiach pokoju Mvumbiego, chwilę odczekał, po czym nacisnął klamkę. Drzwi ustąpiły i kucharz ostrożnie wsadził głowę do środka, a po chwili zniknął w pomieszczeniu.

Veronika stała na parterze i kręciła się nerwowo. Czemu Franciszek nie wychodzi? Co tam się stało? Dlaczego nie wraca? Zadarła głowę i wbiła wzrok w to jedno miejsce.

Jest! Wreszcie kucharz się pojawił. Wyszedł z pokoju i dokładnie zamknął drzwi za sobą. Powoli zszedł na dół i stanął przed Veroniką.

– Co tam się stało? – dopytywała. – Mów!

– Nie żyje. Strzelił sobie w łepetynę. Nie wchodzi tam, to straszny widok. – Mówiąc to, usiadł na schodku.

– Skąd miał broń?

– Przy łóżku leży puste pudełko, podobne do tego, które przyniósł dziś ten Trovato.

– Znów Gabriel – szepnęła.

– Trzeba zadzwonić na policję.

Franciszek wstał, minął Veronikę i podszedł do telefonu stojącego na kontuarze. Chwycił słuchawkę, ale nie zdążył wykręcić numeru, kiedy do holu weszło trzech nieznanymi mu młodych mężczyzn, ubranych w identyczne szare garnitury.

– Panowie w jakiej sprawie? – zwrócił się do nich.

– Agencja Bezpieczeństwa. – Pierwszy z nich machnął im przed oczami jakąś legitymacją służbową. – Usłyszeliśmy wystrzał. Czy to u państwa?

– Tak. Na górze, pierwszy pokój na lewo. Gość strzelił sobie w głowę. – Kucharz wskazał palcem schody.

– Proszę wrócić do swoich spraw, ale nie opuszczać hotelu, my zajmiemy się wszystkim – zarządził nieznanym tonem nieznośnym sprzeciwu. Odwrócił się i coś powiedział półgłosem do swoich kolegów, pokazując ręką piętro. Mężczyźni rządkiem weszli na górę.

Franciszek zniknął w kuchni, ale po chwili znów się pojawił, przyniósł dwie filiżanki z kawą; postawił je na kontuarze recepcji. W tym czasie goście pojedynczo zaczęli schodzić się na kolację. Trochę zdziwieni ruchem na dole poszli do jadalni.

Veronika zerknęła na kucharza, widziała, że jest bardzo przejęty.

– Dziękuję, że jesteś ze mną, że zaoszczędziłeś mi tego widoku.

Pokręcił głową.

– Ja tylko raz widziałam trupa, i to podczas ostatniej wizyty w Rzymie – szepnęła. – Nawet taty nie miałam odwagi oglądać po śmierci.

– To zrozumiałe, ale twój tata wyglądał dostojnie.

– A on?

– Jak samobójca, czyli jak ten, co przegrał życie.

– Jak mój dziadek.

– Nie wiem. Nie widziałem go.

Drzwi na górze otworzyły się i z pokoju wyszedł ten sam agent, który z nimi wcześniej rozmawiał. Zbiegł po schodach i zwrócił się do nich:

– Samobójstwo. Zabierzemy ciało. Wiem, że takie zdarzenie jest dla państwa antyreklamą, dlatego postaramy się załatwić to bardzo dyskretnie. Niech się pani nie martwi, świat jest pełen czubków targających się na swoje życie, a patrząc z drugiej strony, lepiej, że na swoje, a nie na czyjeś.

– Dziękuję panu. – Veronika posłała mu wdzięczne spojrzenie.

W tym momencie pozostali tajniacy pojawili się na klatce schodowej. Uginali się pod ciężarem dużego czarnego worka. Zgięci w pół szarpali się z nim. W końcu zeszli na dół i skierowali się do wyjścia.

Wreszcie opuścili Erynię.

– Coś szybko poszło. Skąd oni się tak nagle tu zjawili? Tak jakby czekali na trupa. Nie dziwne? – Franciszek zaczął się zastanawiać.

– Jak wszystko, co dotyczy tego turnusu – zauważyła Veronika. – Idę do siebie. Wystarczy mi już wrażeń.

Z lękiem poszła na górę. Kiedy mijała pokój Mvumbiego, poczuła się nieswojo.

Weszła do mieszkania, szybko zaryglowała drzwi, włączyła płytę Whitney Houston i zaczęła naporzącać wodę do wanny. W tym momencie zadzwonił telefon. Była zmęczona, nie chciała z nikim rozmawiać.

To Gabriel. Od jakiegoś czasu czuła, że ją osacza ze wszystkich stron, że jakaś niewidzialna pętla zaciska się na jej szyi.

– Słucham.

– Przykro mi, że zrobił to w hotelu, ale moi ludzie już po nim posprząтали.

– To byli twoi ludzie? No tak, już mnie nic nie zdziwi. Daleś mu broń! – krzyknęła. – Gdyby nie to, dalej by żył.

– To był sadystyczny morderca, czemu go żałujesz?

– Nie jesteś panem życia i śmierci!

– Ja go przecież nie zabiłem, zabiło go jego sumienie.

– Ale ty mu to ułatwiłeś, przyłożyłeś do tego rękę.

– Owszem, mimo że był zbrodniarzem, dałem mu możliwość wybrania honorowej śmierci i skorzystał z tego.

– Mój dziadek nie miał takiej szansy – szepnęła.

– Twój dziadek na to nie zasłużył. Twój dziadek przekroczył Rubikon – usłyszała z drugiej strony.

– Co powiedziałaś?! – krzyknęła, ale jedyny odgłos, jaki usłyszała, to było pyknięcie wyłączanego telefonu.

Szybko wybrała numer Gabriela. Co jeszcze wie o jej dziadku? Czemu więcej wie niż ona?

Nie dodzwoniła się, jego telefon był wyłączony. Ponownie spróbowała, ale znów usłyszała ten sam komunikat. Odłożyła aparat i poszła do łazienki. Zdążyła w ostatniej chwili; wanna była już przepełniona. Veronika zakręciła kran, zrzuciła z siebie ubranie i zanurzyła się w kąpiel.

DZIEŃ CZTERNASTY, NIEDZIELA

Ranek był bardzo rześki. Luiza wstała wcześniej i cichutko krzątała się po pokoju. Nie chciała budzić Marii, wykończonej wczorajszą eskapadą. Dwa dni szukały tego łobuza i nic. Stefano Bontate jakby się pod ziemię zapadł. Może ten mężczyzna się pomylił? Może ten fircyk już stąd wyjechał? Dzisiaj był ostatni dzień, ostatnia szansa na jego odnalezienie. Zostały do sprawdzenia hotele przy dwóch ulicach, i koniec. Wciąż jednak nie traciła nadziei. Nie zamierzała się poddać tak łatwo.

Podeszła do łóżka córki, nachyliła się nad nią i delikatnie pogłaskała ją po włosach. Oddałaby wszystko, żeby to jej nerka pasowała. Od jakiegoś czasu zadawała Bogu pytanie: czemu spletał im takiego figla? Jeśli to wyrok na jej córkę, to się temu sprzeciwiała, nie zgadzała się z nim. Maria nie zasłużyła na taki los i jeśli ten tam wysoko na górze im nie pomoże, jej noga nigdy już nie postanie w kościele. Jeśli on ją opuści, to i ona się go wyrzeknie. Tak sobie postanowiła. Tak, dla córki może i Boga zaszantażować, nie boi się go.

Poprawiła koldrę i na paluszkach wyszła do przedpokoju; stwierdziła, że pójdzie ulicę dalej do piekarni po świeże pieczywo. Otworzyła drzwi, na korytarzu... stało dwóch rosyłych drabów.

Nim zdążyła krzyknąć, rzucili się na nią. Jeden z nich przewrócił ją na podłogę, a drugi zakleił jej usta szeroką taśmą i związał ręce i nogi. Przeciągnęli ją do salonu i poszli po jej córkę. Przez uchylone drzwi Luiza zobaczyła, jak łobuzy nachylają się nad śpiącą dziewczyną. Związali ją, ale wykazali się przy tym dziwną delikatnością, po czym wynieśli ją, pozostawiając Luizę samą.

Chciała krzyczeć, ale nie mogła wydobyć głosu, a im bardziej próbowała, tym mocniej dławiała się śliną. Leżała i miotała się po podłodze. W pewnym momencie udało jej się doczołgać do drzwi wejściowych i zaczęła bić w nie głową. Nie zważała na ból, tylko tłukła z coraz większą determinacją, a głucho dudnienie rozchodziło się po budynku. Co chwila przerywała i nasłuchiwała, ale za drzwiami nie było żadnej reakcji. Więc znów tłukła. Czuła krew spływającą z rozbitej głowy, ale nie zważała na to. Jakieś bandziory porwały jej dziecko, a ona tu leżała kompletnie bezradna. Tłukła więc bez ustanku, aż wszystko odpłynęło.

– Proszę pani, proszę pani...

Luiza usłyszała nad sobą głos. Otworzyła oczy i zobaczyła twarz pokojówki. Dziewczyna wyglądała na przerażoną.

– Co pani jest? Co tu się stało? – dopytywała.

Luiza nie miała już plastra na ustach, mogła mówić.

– Porwali moją córkę, porwali moją córkę... – płakała. – Było ich dwóch... Wezwij policję, natychmiast!

– Proszę się uspokoić, już wezwałam, karetkę też.

Luiza usiłowała się podnieść, sprzątaczką starała się jej pomóc. Usiadła ostrożnie.

– Musimy szukać Marii. Oni mogą jej zrobić krzywdę. – Załamywała ręce.

– Spokojnie, spokojnie, policja na pewno ją znajdzie...

– To musi być sprawa Stefana, tylko on mógł ją porwać... Ale w jakim celu? To bez sensu... chyba własnemu dziecku nie zrobiłby krzywdy? Chyba nie jest aż takim draniem.

Przyjechała policja, za nią ambulans. Sanitariusze zajęli się ranną. Funkcjonariusze rozmawiali z pokojówką.

Luiza nie chciała pomocy lekarskiej, wrywała im się, w stresie nie czuła bólu.

– Zostawcie mnie. Szukajcie Marii!

Jeden z policjantów podszedł do niej.

– Proszę się uspokoić, na pewno córkę znajdziemy. Ma pani jej zdjęcie?

– Mam w portfelu, ale stare.

Zastanowiła się. Powinnam gdzieś mieć inne, myślała gorączkowo. Zaraz, zaraz, w walizce jest, razem z dokumentacją medyczną.

– Tam! – Wskazała leżący obok łóżka kufer. – W dużej szarej kopercie wśród dokumentów powinno być zdjęcie.

– Dobrze, to ułatwi nam zadanie.

Policjant otworzył walizę, na wierzchu zobaczył kopertę. Otworzył ją i wyjął z niej kolorową fotkę bardzo ładnej dziewczyny. Pokazał koledze. Wymienili między sobą dziwne, dwuznaczne spojrzenia, co nie uszło uwadze Luizy.

– Bardzo ładna, mogli ją porwać handlarze żywym towarem – rzekł jeden z policjantów. – Musimy działać błyskawicznie.

– Ratuje ją, panowie, ona jest bardzo ciężko chora. Bez lekarstw długo nie przeżyje.

– Co jest pani córce?

– Jest chora na nerki, czeka na przeszczep – tłumaczyła. – Bierzcie mnóstwo lekarstw, musi to robić systematycznie, a prócz tego jest dializowana.

– Dziś rano już je wzięła?

– Nie, raczej nie, przecież jak wtargnęli, to jeszcze spała. Chwileczkę, sprawdzę. – Starła się podnieść, ale zakręciło jej się w głowie i gdyby nie sanitariusze, upadłaby.

– Gdzie są leki? – spytał jeden z funkcjonariuszy.

– W szafce przy łóżku. – Wskazała palcem.

Przeszukał szafkę, ale ich nie znalazł. Schylił się i sprawdził, czy nie wypadły na podłogę, ale nigdzie nie było po nich śladu.

– Nie ma – zakomunikował, rozkładając ręce.

– Jak to nie ma?

Kobieta wstała i chwając się na nogach, zaczęła przetrząsać pokój. Sanitariusze chcieli ją podtrzymać, ale ich odrzuciła.

– Nie ma ich – szeptała, wyrzucając nerwowo wszystko z walizki. Nagle usiadła zrezygnowana na łóżku. Spojrzała z rozpaczą na policjantów.

– To Stefano ją porwał – rzekła. – Tylko on wiedział, że jest chora.

Policjant usiadł obok niej i wyciągnął z kieszeni notatnik.

– Kto to jest Stefano?

– Stefano jest jej ojcem.

– Ten Stefano ma jakieś nazwisko?

– Nazywa się Stefano Bontate. W każdym razie takie mi podał.

Policjanci spojrzeli po sobie porozumiewawczo.

– Co znowu? – spytała z niepokojem.

– Jeśli to ten Stefano Bontate, o którym myślimy, to nie mógł porwać pani córki – oświadczył policjant, zamykając notatnik.

– Dlaczego? Co wy mówicie?

– Obecnie przebywa w więzieniu, aresztowano go trzy miesiące temu.

– To niemożliwe, to jakaś pomyłka. Może chodzi o innego Bontatego?

– Być może, wszystko sprawdzimy. Proszę podać więcej szczegółów.

– Urodził się w Marsylii i tam też przez wiele lat mieszkał. Później w San Remo.

– Wszystko się zgadza, to raczej on.

– Stefano Bontate siedzi w więzieniu? – upewniała się.

– Tak, i to od dawna.

– Ale ja z nim rozmawiałam przez telefon przed kilkoma dniami.

– Jest to możliwe. Więzień często ma prawo do telefonowania.

– Ma prawo do posiadania komórki?

– Do komórki nie, to jest wykluczone.

– Dzwoniłam do niego na komórkę, a on odebrał.

– Może to nie był on? Może ktoś sobie z pani zażartował?

– Nie, wszędzie poznałabym ten głos, to był on. – Wybuchła płaczem. – To on porwał moją córkę.

– Mógł zlecić porwanie – wtrącił drugi z policjantów.

– Ale po co?

– Nie wiemy, zajmijmy się tym. Wszystko sprawdzimy, proszę być dobrej myśli.

– Za co on siedzi w więzieniu? – spytała. – Co zrobił?

– Jest zabójcą, handlarzem żywym towarem, głową międzynarodowego gangu narkotykowego, ale to nie wszystko...

– Wystarczy! – krzyknęła. – Nie chcę tego słyszeć. Boże, taki człowiek jest ojcem Marii! Uwolnijcie ją! Błagam.

* * *

Ciemny ford mondeo mknął autostradą w kierunku Florencji. Mario co chwila zerkał ciekawie w lusterko, bo na tylnym siedzeniu między dwoma jego kumplami siedziała córka Stefana. Nigdy by nie pomyślał, że tamten ma dziecko, a tym bardziej że będzie się nim tak interesował. To było do niego zupełnie niepodobne. Przed chwilą zdjęli jej knebel i podali lekarstwo.

– Czego chcecie ode mnie? – spytała po angielsku. Mario zrozumiał, bo znał ten język. Nauczył się go w angielskim więzieniu, a był to kurs pięcioletni.

– Spokojnie, mała – rzekł pojednawczym tonem. – Nie stanie ci się krzywda.

– To wypuście mnie, nikomu nic nie piszę – prosiła.

– Nie mogę. Mamy zlecenie. Dowieziemy cię na miejsce, skasujemy pieniądze i już nas nie ma.

– Kto was wynajął? Czego chce ode mnie?

– Tatusz nas wynajął. – Zaśmiał się. – Co za czasy! Teraz tatusiowie, żeby zobaczyć córeczki, muszą je porywać.

Umilkła zaskoczona. Tyle dni bezowocnie go przecież szukały.

– Gdzie jest mama? Zrobiliście jej krzywdę? – dopytywała z niepokojem.

– Nic jej nie jest. Została w pokoju.

– Na pewno?

– Daję słowo. Nie ma nawet obtarcia naskórka. Widząc zaangażowanie tatusia, też chyba nie musisz się niczego obawiać. On musi cię bardzo kochać.

– Dziwna metoda okazywania uczuć! – burknęła.

– Dużo nam zapłaci za ciebie, bardzo dużo, o wiele więcej niż zwykle.

– Niż zwykle?

– No cóż, nieraz porywało się młode dziewczyny, ale nie po to, żeby mogły uściskać stęsknionego tatusia, no może czasem tatusia, ale na pewno nie swojego. – Zarechotał.

Pojazd skręcił z autostrady i wjechał w boczną drogę. Teraz przemieszczali się wśród pól, aż znaleźli się na żwirówce. Przejechali nią około kilometra. Zatrzymali się przed wysoką kutą bramą. Kierowca otworzył okno i sięgnął do domofonu.

– Jesteśmy od Bontatego – powiedział i momentalnie brama zaczęła się uchylać.

Samochód ruszył, przejechał ze trzydzieści metrów i zatrzymał się na podjeździe przed potężnym, trzykondygnacyjnym gmaszyskiem.

Dziewczyna patrzyła na budynek z przerażeniem.

– Gdzie jesteśmy? – spytała.

Mario wzruszył ramionami.

– Cholera wie. Kazał mi cię tu przywieźć i na tym kończy się nasza rola, moja panno.

Z budynku wyszedł przeraźliwie chudy starszy mężczyzna w białym fartuchu i w wielkich okularach na nosie. Zbliżył się do samochodu. Bandyci wyciągnęli dziewczynę z auta i stali, mocno trzymając ją pod pachami. Ów mężczyzna podszedł do niej od tyłu i zniecierpliwiony wbil jej igłę w ramię.

* * *

Mario podjechał na parking przy moło w Pietrasancie, wyłączył silnik, wyjął z kieszeni papierosy i włączył zapalniczkę.

Przypalił. Ktoś zapukał w boczną szybę. Zerknął i zobaczył twarz Bontatego. Wcisnął przycisk zwalniający blokadę zamków i przybysz zajął miejsce na fotelu pasażera.

– Jedź! – rozkazał.

Ford powoli ruszył z parkingu, kierując się w stronę centrum.

– No i jak? Nie było problemów? – spytał Stefano.

– Tak jak chciałeś. Załatwione, dziewczyna jest pod wskazanym adresem.

– To już wiem.

Zaskoczony kierowca spojrzął na Bontatego.

– Skoro wiesz, to czemu pytasz?

– Pytam o matkę dziewczyny.

– Matka też w porządku, wszystkiego przypilnowałem.

Bontate sięgnął za pazuchę, po czym zaczął wyciągać zza niej paczki banknotów. Rzucił je na tylne siedzenie.

– Dziesięć tysięcy, dwadzieścia, trzydzieści, czterdzieści... – głośno liczył – ...sto tysięcy euro. Zadowolony?

Mario skrzywił się z niesmakiem.

– Nie bardzo, bo podświadomie czuję, że to nasz ostatni interes.

Bontate roześmiał się w głos.

– Boisz się, że cię zabiję?

– Nie, tego akurat się nie boję. Nie masz powodu, zawsze byłem lojalny wobec ciebie i ty o tym dobrze wiesz.

– Wiem. Mam do ciebie jeszcze jedną prośbę i też za to zapłacę.
– Wał prosto z mostu, ale nie mów o forsie. Te sto tysięcy wziąłem, bo muszę zapłacić chłopakom.
– Jeszcze jeden raz przepnij tę cholerną bransoletę. Potrzebuję dwóch godzin. Później możesz ją zdjąć i cisnąć do morza. Potrzebuję tych dwóch godzin – powtórzył. – Chyba tyle możesz zrobić dla starego kumpla?

– Nie ma sprawy. Zaraz to zrobię.

Samochód się zatrzymał. Mario wysiadł, chwilę pogrzebał w bagażniku i wrócił z narzędziami. Zgarnął pieniądze do plecaka, następnie ręką pokazał Stefano, żeby podciągnął nogawkę, co tamten niezwłocznie uczynił. Chwilę pogmerał przy mechanizmie bransolety i nim się Bontate zorientował, smycz zmieniła „psa”.

– Gotowe. Położę trzy godziny, jedna dodatkowo z przyjaźni. Zaspokój jednak moją ciekawość i zdradź mi coś. Uciekasz razem z córką do Brazylii?

Na twarzy Bontatego pokazał się zagadkowy uśmiech.

– Coś w tym stylu – odparł.

– Ale czy ona będzie chciała? Nie wyglądała na zadowoloną.

– Nie będzie miała wyjścia.

Stefano przesiadł się za kierownicę forda i z piskiem opon odjechał. Spieszył się tak bardzo, że o mały włos nie potrącił Veroniki mknącej ulicą na rowerze.

– Jak jedziesz, kozo! – wrzasnął przez szybę i dopiero wtedy ją poznał.

* * *

Ford mondeo zatrzymał się na czerwonym świetle na wylotowej ulicze w Pietrasancie. Bontate nerwowo pukał ręką w kierownicę, spieszył się. Ktoś szarpnął klamką od strony pasażera. Ze zdumieniem rozpoznał Trovata. Tamten, nie czekając na zaproszenie, wsiadł do samochodu. W rękę trzymał duży nesesor ze stali. Cisnął go bezceremonialnie na tylne siedzenie.

– Czego chcesz? – wydukał Stefano.

– Jedź! Jest zielone. – Gabriel wskazał na uliczny sygnalizator.

Ruszyli. Stefano kątem oka zerkał na niespodziewanego pasażera. Był wściekły. Cały jego misterny plan mógł teraz wziąć w łeb.

– Chcę negocjować – odezwał się Gabriel.

– Negocjować? Chyba jesteś szalony? – Bontate spojrział na niego z niedowierzaniem. – Ja nie mam nic, już nawet nie mam pieniędzy. Nic nie masz do zyskania.

– Mylisz się. Twoja córka...

– Zostaw moją córkę! – krzyknął. – Mnie możesz zabić, ale wara ci od niej!

– Spokojnie, nie dałeś mi dokończyć. Nie chcę jej zrobić krzywdy.

– Mów! – warknął Stefano. Jednocześnie zastanawiał się, jak pozbyć się intruza.

– Wiem, że zdjąłeś bransoletę, i wiem, co zamierzasz. Mogę to przerwać, a twojego kolegę wysłać do diabła, bo wbrew temu, co myślicie, w tym gadżecie jest umieszczony materiał wybuchowy. Jednak to i mnie nie byłoby na rękę.

– To znaczy? Nic z tego nie rozumiem.

– Chcę ci zaproponować układ. W tej walizce – wskazał ręką za siebie – jest pięć milionów euro.

– Ile? – wydukał Stefano.

Ten człowiek jakby nigdy nic przynosi do niego taką forszę...

– Głuchy jesteś? Pięć milionów w gotówce. Ta walizka stanie się własnością twojej córki, ale pod jednym warunkiem.

– Czemu chcesz dać Marii tyle kasy? Ja nigdy w życiu nie dałem żadnej kobiecie nawet jednej dziesiętej tego.

– Widocznie jestem od ciebie lepszy.

Gabriel wyjął z kieszeni marynarki dwie koperty i położył je za przednią szybą.

– Co to jest?

– Nie widzisz? Listy.

– Jakie listy? Do mnie? Od kogo?

– Nie do ciebie, ale od ciebie, jeden do Luizy, a drugi do Marii. Zdziwiony? – zadrwił Gabriel.

– Jaja sobie ze mnie robisz? – obruszył się Stefano. – Ja nie napisałem żadnych listów!

– Wiem. To moja robota, ty nie byłbyś w stanie ich napisać.

– Co w nich jest?

– Nie mogę ci powiedzieć.

– To co to za układ? Wciąż nic nie rozumiem.

– Ja pozwalam ci dalej jechać, a ty nie pytając o nic, przekażesz walizkę i listy. To wszystko. – Gabriel rozłożył ręce w teatralnym geście.

– Co będzie, jeśli się nie zgodzę?

– Też nic. Nic nie wyjdzie z twoich planów. Przemyśl to sobie, i to szybko, bo czas leci. Jeśli przystajesz na moje warunki, to zatrzymaj się i mnie wysadź. Inaczej zawracaj.

Russo chodził po pokoju niczym dzikie zwierzę w klatce. Nagle zatrzymał się.

Na łóżku siedział Edoardo.

Skąd się tu wziął? Czemu wciąż go prześladowe?

Oczy miał zamknięte, włosy w nieładzie, wyglądał okropnie.

– Zrób to. Nie zwlekaj. – Usłyszał jego głos.

– Co mam zrobić? Powiedz mi? Jak zmyć z siebie to wszystko?

– Nie wiesz?

Edoardo rzucił mu do nóg gruby lniany sznur, po czym uniósł powieki, odkrywając puste oczodoły.

Przerażony Russo cofnął się raptownie, chwycił ręką parapetu, inaczej by upadł. Trząśnięcie jak w febrze.

– Boję się. Odejdź stąd! Błagam! – wyszeptał.

Veronika od rana była bardzo podekscytowana, dziś miała spotkanie z proboszczem. Obiecała sobie, że przycisnie go do muru, że nie da się zbyć byle czym.

Podróż na plebanię zajęła jej około dwudziestu minut. Oparła rower o mur i stanęła przed wejściem. Nacisnęła przycisk dzwonka, drzwi otworzyły się natychmiast; Leoni widocznie już na nią czekał. Dziś wydawał się dużo starszy niż zawsze, był jakby mocniej przygarbiony.

– Zapraszam – rzekł.

Odsunął się na bok, robiąc przejście. Veronika weszła na plebanię, drzwi z ponurym łoskotem zamknęły się za nią.

Proboszcz poprowadził ją do saloniku, który dobrze знаła. Gdy była mała, często się tu bawiła, a panowie grali w karty lub w szachy. To jednak już stare dzieje.

Duchowny chyba odczytał jej myśli.

– Kiedyś byłeś tu częstym gościem, tak jak twój tata.

Usiedli przy stole. Leoni wyjął z kieszeni papierosy. Spojrzał na dziewczynę.

– Mogę zapalić?

– Skąd to pytanie? Ksiądz jest przecież u siebie – obruszyła się.

– Tak, ale wiem, że ty jeszcze się nie nauczyłaś. Z papierosem będzie mi łatwiej.

– Jest aż tak źle? – Zerknęła na niego z niepokojem.

– Tak.

– Proszę, niech ksiądz mnie nie straszy. – Zaśmiała się sztucznie.

Jakoś dziwnie na nią spojrział, przypalił papierosa.

– Nie straszę, Veroniczko. Nigdy nie przypuszczałem, że kiedyś będziemy tu siedzieć i akurat mnie przypadnie w udziale wyznać ci całą prawdę o twojej rodzinie.

– Czemu tata mi tego nie powiedział? – spytała z żalem.

– Twój tata nie znał całej prawdy i dopiero w chwili śmierci ją poznał.

– A ksiądz skąd ją zna?

– Byłem ostatnim spowiednikiem twojego dziadka.

Wbiła wzrok w Leoniego i nie wiedziała, czy jest bardziej ciekawa czy przerażona. Ta przedmowa nie wróżyła dobrze.

– Co to za straszna tajemnica?

– Wiesz już zapewne, że twój ojciec dawno temu kupił Erynię, a później ją wyremontował?

Skinęła tylko głową.

– Bernardo użył na to pieniędzy, które przypadkowo znalazł w domu podczas porządkowania rzeczy po dziadku. Nie znał ich pochodzenia, ale sądząc z kwoty, czuł, że są trefne. I jak się okazało, miał rację...

– Pochodziły z napadu na bank? – weszła mu w słowo.

– Gorzej. Jednak muszę się cofnąć w czasie. Muszę wrócić do wojny. Twój dziadek nie był urzędnikiem w magistracie, jak opowiadano w rodzinie, ale wojskowym.

– Dlaczego to zatajono? – wydukała Veronika.

– Służył w niemieckiej armii, był w SS.

– Co takiego? – zapytała łamiącym się głosem. – To niemożliwe. Przecież Włosi nie byli w SS. To nawet ja wiem.

– On był Niemcem.

– Jak to Niemcem? Co ksiądz wygaduje? To nieprawda!

Dobrze wiedziała, co robiło SS podczas drugiej wojny światowej. To byli oprawcy, degeneraci.

Spojrzał na nią z troską.

– Mam przerwać?

– Nie, proszę mówić. To jest tak nieprawdopodobne, że aż mi się nie chce w to wierzyć.

– Twój dziadek służył w Auschwitz, Dachau i jeszcze gdzieś, już nie pamiętam gdzie. Oszczędzę ci szczegółów. Przez wiele lat bezskutecznie szukały go międzynarodowe trybunały zajmujące się zbrodniami wojennymi. Przykro mi, ale niestety taka jest prawda.

– Boże – szepnęła. – Jestem wnuczką potwora.

– Nie mów tak, nie mamy wpływu na przeszłość swoich przodków, jak i nie możemy odpowiadać za ich winy.

– Kiedyś byłam na wycieczce w Auschwitz. Kim trzeba było być, żeby uczestniczyć w takim procederze? To, co ksiądz opowiada, jest tak potworne, że nawet w najstraszniejszych scenariuszach dzisiejszej wizyty tego nie przewidziałam – oznajmiła, nie kryjąc wzburzenia.

– Przykro mi i wierz mi, Veroniko, że z ciężkim sercem ci to przekazuję. Bernardo w momencie śmierci wymógł to na mnie i teraz spełniam ostatnią wolę zmarłego. Uznał, że bez poznania swojej trudnej przeszłości nie zbudujesz przyszłości.

– Tata... – szepnęła i skrycie przetarła oczy. – Taki prawy, dobry człowiek miał ojca bestię.

– Czy mam mówić dalej? – Leoni obserwował ją z nieskrywaną obawą.

Przytaknęła bezgłośnie.

– Tak, proszę. Miejmy już to za sobą.

– Ciąg dalszy jest równie przerażający.

– Może być coś gorszego niż dziadek esesman?

– Posłuchaj zatem. Kiedy skończyła się wojna, ukrył się w Genui. Znał świetnie język włoski, zmienił nazwisko i stał się szanowanym obywatelem. Skrzynie wyrwanych złotych zębów, zegarków i biżuterii spieniżył, a gotówkę ukrył.

Veronika zbladła.

– I właśnie te pieniądze znalazł tata?

Proboszcz skinął głową.

– Owszem. Mijał czas. Wydawało się, że dziadkowi uda się ukryć swoją haniebną przeszłość. Tropiciele nazistów szukali go w krajach Ameryki Południowej i nikomu nie przyszło do głowy zajrzeć do Genui.

Pewnego dnia do drzwi jego domu zapukał młody mężczyzna. Był bardzo elegancki, miał nienaganne maniery i poprosił o rozmowę w cztery oczy. Przedstawił się, że jest z organizacji zajmującej się rozwiązywaniem niewygodnych dla władz sytuacji...

– CHARUN?!

Leoni spojrział na nią zaskoczony.

– Zgadza się. Gdzie o tym słyszałaś?

– Nieważne.

– Otóż ten mężczyzna zaproponował twojemu dziadkowi układ. Miał do wyboru dwie możliwości: albo zostanie osądzony w publicznym procesie i zniszczy życie rodzinie, albo pojedzie do Pietrasanty, do wskazanego przez niego pensjonatu na dwutygodniowy turnus. W tym czasie organizacja podejmie decyzję co do jego dalszego losu.

– Boże mój! To był nasz hotel?! – krzyknęła.

– Zgadza się. Resztę historii chyba znasz lub się jej domyślasz. Pamiętasz tę kobietę, którą spotkałaś w pociągu?

– Tak, bardzo miła staruszka.

– Ona wtedy tu zarządzała, a po tych wszystkich samobójstwach opuściła miasto. O ile wiem, nigdy więcej jej noga nie stanęła w Pietrasancie.

– Samobójstwach? O czym ksiądz mówi?

Patrzyła na proboszcza z coraz większym przerażeniem.

– No tak, pięć osób odebrało sobie życie. Nie wspominałem o tym?

– Jest ksiądz tego pewny?

– Oczywiście, chowałem tych ludzi.

– Wszyscy się powiesili?

– Większość tak, ale pamiętam, że jedna z nich strzeliła sobie w głowę. Tak czy owak paskudna, haniebna śmierć.

Leoni wyciągnął papierosa i zapalił; cały czas nie spuszczał wzroku z Veroniki. Dziewczyna siedziała jak skamieniała, ta wiedza ją zmroziła.

– Historia zatoczyła koło – szepnęła trwożnie.

– To samo powiedział on.

Veronika spojrzała na Leoniego, nie rozumiejąc.

– Kto tak powiedział?

– Pewien mężczyzna, nieważne. – Machnął ręką.

– Ważne. Proszę mi powiedzieć kto.

– Ten mężczyzna, który był na cmentarzu.

– Gabriel Trovato?

– Nie wiem, jak się nazywał.

– Proszę księdza, muszę wiedzieć, czy za tym wszystkim stoi Gabriel? Nie, przepraszam, mówię bzdury. On nie może za tym stać... To nie ma żadnego sensu.

Puknęła się w czoło. Ależ jest głupia! Przecież tamta sprawa miała miejsce wiele lat temu, to jest niemożliwe.

– Czy on pracuje dla CHARUN?

– Nie wiem, być może...

– Ale czym jest to CHARUN? Może się w końcu dowiem? – dopytywała.

– Różnie mówią. Jedni twierdzą, że są z innego świata, inni, że to masoni. Ich macki sięgają wszędzie, z nimi się nie zadziera. Tyle słyszałem, ale co jest prawdą? Nawet nie wiem, czy naprawdę istnieją.

– Słucham i aż nie wierzę w to, co słyszę!

– Domyślam się. – Leoni pokiwał głową ze zrozumieniem. – Mnie też trudno było w to uwierzyć. Twój dziadek wyspowiadał mi się tuż przed śmiercią, opowiedział wszystko ze szczegółami. Niestety, nie mogłem mu dać rozgrzeszenia, mam za małe kompetencje, on wymagał innego spowiednika.

– A tamci? Kim byli tamci? Pozostali...

– Nie wiem, ja ich nie znałem. O nich wiedziałem od dziadka. Powiedział mi, że oni wszyscy w pensjonacie czekają na koniec. Wspomniał o czterech innych, a kiedy spytałem, kim oni są, zaśmiał się tylko i odparł, że tacy jak on, dzieci tej wojny. Ona ich wyhodowała, stworzyła.

– Okropne.

– Tak, to było straszne.

Veronika wstała z krzesła i podeszła do okna.

– Ksiądz wie, że mam teraz pięciu gości, a właściwie już tylko czterech?

– Zdążyłem usłyszeć o tym wczorajszym wypadku. Współczuję.

– Boże, ten hotel jest przeklęty.

Wróciła do stołu i ciężko usiadła. Proboszcz zapalił następnego papierosa. Co chwila tylko z niepokojem zerkał na dziewczynę.

– Czy można to jakoś zatrzymać? – spytała nagle.

– Ale co? Nie rozumiem, co masz na myśli – zdziwił się.

– Jak to co? Nie chcę, żeby ktoś jeszcze zginął w Erynii. Dziś jest czternasty dzień ich pobytu.

– Veroniko, ty nic nie rozumiesz. Ich, tak jak twojego dziadka, zabiło sumienie. Zabił ich śniący się im po nocach krzyk ofiar. To nie byli normalni ludzie, to były bestie. Przykro mi, że mówię między innymi o dziadku, ale taka jest prawda. Oni nie zasłużyli na litość, bo sami jej w swoich sercach nigdy nie mieli. CHARUN, czy jak im tam, chroni nas przed nimi i niech tak zostanie.

– Ale dlaczego mnie w to wplątano? Pytam: dlaczego?

– Nie wiem. Chyba jednak tu nie chodzi o ciebie. Zapytaj tego Gabriela. On zna odpowiedź.

– Nie omieszkam tego uczynić – odparła z przekonaniem. – Na pewno zapytam. Skąd ksiądz go zna?

– Skąd go znam? To też ciekawa sprawa.

Proboszcz podniósł się z miejsca i podszedł do sekretarzystki. Sięgnął po jakieś zdjęcie i wrócił do stołu. Podał fotkę dziewczynie.

– Co to za fotografia? – spytała Veronika.

– To jest zdjęcie z festynu w roku czterdziestym szóstym, spójrz na postać w lewym górnym rogu. Zerknęła i zaniemówiła z wrażenia. Wyraźnie dojrzała Gabriela uśmiechającego się do obiektywu.

– Obok niego stoi twój dziadek – dodał Leoni.

– To jest niemożliwe. To fotomontaż!

– Nie. To jest autentyczne zdjęcie. Sam je wykonałem.

– Przecież to niemożliwe! – krzyknęła dziewczyna, zrywając się z krzesła.

– Też tak myślałem do niedawna.

Russo wyszedł na taras. Widząc Vogla czytającego „Bilda” i popijającego cappuccino, podszedł do jego stolika.

– Można się przysiąść?

Lekarz uśmiechnął się do niego i dłonią wskazał wolny fotelik.

W chwilę potem zjawiała się kelnerka. Spojrzała pytająco na byłego kapłana.

– Poproszę o herbatę, najlepiej czarną.

Russo spojrzał w niebo.

– Piękna pogoda, aż żal będzie odejść – rzucił w stronę Vogla.

Tamten odłożył gazetę, zdjął okulary, przetaił szkła chusteczką, po czym sięgnął po papierosa.

– Na to, żeby to uczynić, każda pora jest dobra lub zła. To zależy od naszego nastawienia. Wszystko się kiedyś kończy, drogi panie, i musimy się z tym pogodzić. Przez te ostatnie dwa tygodnie dużo myślałem o swoim życiu, zrobiłem rachunek sumienia i jestem na to gotów. Myślę, że w drugim życiu będzie inaczej, że to wszystko, cała moja wieloletnia praca, nie pójdzie na marne. Ktoś musi to docenić, skoro nie tu, to może tam po drugiej stronie? – Roześmiał się ponuro i spojrzał badawczo na rozmówcę. – A pan ma z tym problem?

– Owszem, i to niemały, wciąż mnie ścigają moje demony, co i raz łapią za gardło i duszę. Nie śpię po nocach, chwilami myślę, że wariuję. Nawet gdybym miał możliwość dalszego życia, to i tak nie dałbym rady tego dłużej ciągnąć. Ludzę się, że tam po drugiej stronie znajduję spokój, że demony wreszcie mi odpuszczą, ale mimo to boję się śmierci.

– Pan Trovato już o to zadbał, żebyśmy niebawem się o tym przekonali. – Vogla wciąż nie opuszczał dobrego humoru.

– Kim jest ten Trovato, że ma prawo decydować o naszym losie?

– Nie kim jest, ale kogo reprezentuje – doprecyzował pytanie medyk. – Patrząc jednak z drugiej strony, czy to jest naprawę istotne? Prawda jest taka, że nikt nigdy nie oszukał przeznaczenia, tak będzie i teraz.

Kelnerka przyniosła herbatę.

– Proszę jeszcze o koniaczek dla mojego kolegi – rzekł do niej lekarz. – Według mnie nie ma nic lepszego dla poprawienia nastroju.

Maria powoli otworzyła oczy, a pierwszą rzeczą, którą zobaczyła, był monitor z zielonym ekranem. Od niego dochodziło ciche, miarowe pikanie. Chciała się ruszyć, ale zwoje podłączonych kabli i rurek nie

pozwalają jej wykonać żadnego ruchu. Rozglądała się nerwowo wokoło. Co to za urządzenia? Szpital? Niemożliwe, przecież wieźli ją na spotkanie z ojcem. Urządzenie zaczęło pikać coraz szybciej, usłyszała szelest nad głową. Kobieta w białym fartuchu nachyliła się nad nią.

– Proszę leżeć spokojnie.

– Gdzie ja jestem?

– W klinice jesteście, kochana, wszystko w porządku.

– Dlaczego tu leżę? Co mi zrobiliście?

– Bez obaw, zaraz przyjdzie lekarz i wszystko ci wyjaśni.

Pielęgniarka skończyła sprawdzać podłączone urządzenia, zmieniła kroplówkę i wyszła z pokoju.

Zaraz jednak w drzwiach pojawił się starszy mężczyzna. Tak, teraz go poznała, to on przywitał ich w progu tego domu, to on dał jej zastrzyk, po którym odpłynęła.

Uśmiechał się. Podszedł i usiadł na brzegu łóżka. Maria starała się podkurczyć nogi, żeby być chociaż trochę dalej od tego okropnego człowieka.

– Uspokój się – rzekł. – Wszystko dobrze, już jest po operacji.

– Jakiej operacji? – szepnęła.

– Miałas przeszczep nerki.

– Jak to?

Szarpnęła się na łóżku.

– Teraz nie możesz się denerwować. Najbliższych kilka dni będzie bardzo ważnych w twoim życiu, organizm zdecyduje, czy ją chce, czy odrzuci.

– Skąd ta nerka?

– Jak to skąd? Od taty. To nie wiesz, że ojciec jest dawcą?

Serce zabiło jej mocniej.

– Tata? Oddał mi swoją nerkę?

– Zgadza się, teraz leż grzecznie. Masz szansę na nowe życie, nie zmarnuj jej przez niepotrzebny stres.

Wstał z łóżka i ruszył do drzwi. W progu się zatrzymał.

– Mam numer telefonu twojej mamy i zaraz do niej zadzwonię, pewnie się bardzo denerwuje – oświadczył, po czym wyszedł z sali.

Maria leżała oszołomiona. Ten nieznaną, jak mawiała mama, dawca nasienia okazał się inny, niż myślały. Wszystko zorganizował. Musi mu podziękować, koniecznie. Kiedy wyjdzie ze szpitala, natychmiast go odszuka.

Nagle wszystko zaczęło odpływać, coraz dalej i dalej, aż w pewnym momencie powieki jej opadły i zasnęła. Aparatura się uspokoiła, rytm pikania zwolnił.

Luiza siedziała w pokoju i co chwila nerwowo patrzyła na komórkę; odchodziła od zmysłów, bo nie miała żadnych wieści z policji. W końcu wstała i poszła do łazienki. Stała przed lustrem i spojrzała na swoje odbicie. Można było się przerazić – twarz blada, wielki szeroki bandaż na głowie, oczy rozmazane.

Nagle zastygła w bezruchu, tak, dobrze słyszała, dzwonił telefon. Wybiegła do pokoju i chwyciła komórkę.

– Halo? Halo?

– Czy to pani Luiza, mama Marii? – Usłyszała nieznaną damski głos.

– Tak, kto mówi?

– Dzwonię z kliniki w sprawie pani córki.
– Boże.
Nogi ugięły się pod nią i usiadła na łóżku.
– Boże, co z nią?! – krzyczała do aparatu.
– Proszę się uspokoić, wszystko jest porządku. Operacja się udała.
– Jaka operacja? O czym pani opowiada?! – wołała, szlochając.
– O przeszczepie nerki!
– Co? – Nagle oprzytomniała. – Przeszczep?
– Tak, dokonaliśmy transplantacji i zabieg się udał. Córka czuje się dobrze. Wszystko wytłumaczy pani profesor, ale to już u nas w klinice. Przed hotelem stoi samochód, czekamy na panią.

Połączenie zostało przerwane. Luiza stała jak skamieniała. Dopiero po upływie dłuższej chwili co nieco zaczęło do niej docierać. To sprawka Stefana, innego wytłumaczenia być nie może. Ale dlaczego zrobił to po kryjomu, dlaczego posunął się do porwania? Zawsze był szalony, ale żeby aż tak? Maria, muszę do niej jechać. Szybko.

Weszła do łazienki i błyskawicznie przemyła twarz, złapała w locie torebkę i wybiegła na korytarz, następnie zjechała windą na dół i wyszła przed wejście. Tuż obok na podjeździe stał czarny samochód, wyraźnie na kogoś czekał.

Otworzyła drzwi.

– Pan na mnie czeka? – zwróciła się do kierowcy.
– Być może. – Uśmiechnął się przyjaźnie. – Jeśli pani ma na imię Luiza i jest mamą dziewczyny o imieniu Maria, to tak.

– Zgadza się.

– No to zapraszam.

Wskoczyła do środka i limuzyna ruszyła.

– Dokąd jedziemy?

– Do Florencji.

* * *

Veronika weszła do Eryni kompletnie załamana. Minęła w progu Franciszka, jakby był jakimś meblem, i weszła na schody.

– Co się znów stało? – spytał, przerażony jej wyglądem.

Zatrzymała się i spojrzała na niego nieprzytomnie.

– Wszystko stracone, przyjacielu. Kochałam tę pracę, kochałam ten hotel, był ważnym elementem mojego życia, teraz to jest nic niewarte, brzydzę się nim. Nie chcę tego wszystkiego! Ten dom jest przeklęty, tu każde miejsce jest splamione krwią.

Kucharz pokiwał smętnie głową.

– Poznałaś tajemnicę skrywaną od lat...

– Dlaczego nikt mi tego wcześniej nie powiedział? To było nie fair! Gdybym wiedziała, co kiedyś zaszło w tym budynku, gdybym знаła przeszłość dziadka, inaczej bym pokierowała swoim losem.

Rozplakała się. Usiadła na schodku, schowała twarz w rękach i beczała jak małe dziecko. Franciszek podszedł i usiadł obok. Objął ją czule ramieniem.

– Będzie dobrze, nie martw się – pocieszał dziewczynę. – Wszystko się ułoży z czasem.

Podniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

– Co się ułoży? Dostałam nie hotel, ale dom z horroru. Goście zamiast wypoczywać, strzelają sobie w głowę albo się wieszają.

– To było dawno temu.

– Dawno temu? A ten Mvumbi czy jak mu tam? To było wczoraj, ale to nie koniec. To dopiero początek.

– O czym ty mówisz?

– Wszyscy oni odbiorą sobie życie, zobaczysz.

– Przestań – obruszył się. – Turnus się kończy, jutro goście opuszczą Erynię i będzie po sprawie.

– Tak uważasz?

W tym momencie usłyszeli krzyk sprzątaczkę dochodzący z drugiego piętra. Poderwali się na równe nogi, pobiegli na górę i jak zamurowani stanęli w progu pokoju zajmowanego przez byłego duchownego.

Nieszczęśnik wisiał przy suficie na pasku przywiązany do żyrandola.

Franciszek wbiegł do środka i chwycił go w pół, ale wystarczyło tylko spojrzeć na twarz wisielca, żeby zorientować się, że jest już za późno. Veronika nawet nie drgnęła, stała oparta plecami o futrynę i patrzyła na Russa. Była śmiertelnie blada, zdawało się, że jeszcze chwila i zemdleje.

Kucharz, widząc, co się święci, puścił ciało i podbiegł do dziewczyny. Chwycił ją oburącz za ramiona i wstrząsnął nią gwałtownie; to pomogło na tyle, że ożyły jej oczy.

– Idź do siebie. Ja zajmę się wszystkim.

Kiwnęła głową jak automat i poszła na górę, odprowadzana niespokojnym wzrokiem Franciszka.

Kurt jechał w stronę morza, rozglądając się wokoło. Było pusto i tylko jeden mężczyzna szedł drugą stroną ulicy. Wózek paskudnie się prowadził, podskakiwał na nierównościach, czasami na chwilę tracąc stabilność. Chłopak nerwowo zerkał na zegarek, jakby coś ważnego zależało od położenia wskazówek na cyferblacie. Nagle jedno kółko wskoczyło w głęboką szczelinę między krawężnikiem a chodnikiem. Pojazd nie mógł ruszyć ani w przód, ani w tył.

– Może pomóc? Idę w tym samym kierunku.

Kilka kroków dalej stał mężczyzna, ten sam, którego wcześniej Kurt widział po drugiej stronie ulicy.

– O, dziękuję. Sam chyba nie dam rady – odparł z ulgą chłopak.

Wózek, mocno szarpnięty, wyskoczył ze szczeliny i powrócił na chodnik. Mężczyzna pchnął go w stronę plaży.

– Możemy o czymś porozmawiać. O czymkolwiek – rzekł Kurt, zerkając na swojego wybawiciela.

– Z chęcią. Możemy porozmawiać o bransolecie, którą masz na ręce – odparł mężczyzna.

Chłopak spojrzał z trwogą na tamtego, ale jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć.

– Jakiej bransolecie? – udał zdziwienie.

– Wiesz, że ona może eksplodować? – spytał tamten spokojnym głosem.

Kurt zorientował się, że nie ma sensu dłużej się wypierać.

– Wiem.

– Już nie zaprzeczasz, że ją masz? – Mężczyzna się zaśmiał.

– To pan! Pan nazywa się Trovato? Rene powiedziała, że na pewno pan mnie odnajdzie. Uważała, że to, co zrobiliśmy, to głupi pomysł.

– Nie było to specjalnie trudne.

– Wiem, przez tę przeklętą bransoletę. Pewnie ma GPS.

– Owszem.

– Chcę prosić o litość dla tej kobiety.

– O litość? Wiesz, ile ona ma na sumieniu? Ta lista nie ma chyba końca.

Kurt smętnie pokiwał głową.

– Wiem, opowiedziała mi o tym. Jednak mimo to proszę i uważam, że mam do tego prawo.

– A to ciekawe! – zdziwił się Gabriel, uważnie mu się przypatrując. – A niby dlaczego? Oświecisz mnie?

– Straciłem rodzinę w zamachu, a sam jestem kaleką z winy terrorystów. Wcześniej myślałem, że nigdy nie stać mnie będzie na wybaczenie. Teraz też nie mówię, że wybaczyłem, ale może kiedyś? Teraz patrz inaczej na te sprawy. Staram się zrozumieć Rene, chcę, żeby miała szansę na inne życie.

Akurat podjechali do samotnej ławki. Gabriel puścił wózek i usiadł na niej.

Siedzieli w milczeniu, patrząc na wzburzone morze.

Nagle, jakby pod wpływem jakiegoś impulsu, Trovato wstał z ławki i podszedł do wózka. Kurt się przeraził, odruchowo się cofnął.

– Nie bój się, daj rękę – rozkazał Gabriel głosem nieznoszącym sprzeciwu. Chłopak powoli wyciągnął prawą dłoń.

– Lewą.

Tak też uczynił.

– Sam się sobie dziwię – mruknął pod nosem Trovato i podciągnął mu rękaw do wysokości bransolety. Wbił jakiś kod na miniaturowej klawiaturze i lampki zgasły. Sprawnym ruchem zdjął bransoletę, odwrócił się w stronę morza, wziął duży zamach i cisnął ją do wody.

– Wrócisz sam? – spytał zaskoczonego chłopaka.

– Tak – wydukał tamten. – Wrócę. Dziękuję panu.

Gabriel się zdziwił.

– Nie masz mi za co dziękować.

– Mam. Za to, że pan jej odpuścił.

– Tak uważasz? – Zaśmiał się, wyraźnie rozbawiony.

– Jestem tego pewny. – Kurt z przekonaniem skinął głową.

– Wiesz co, – Gabriel schylił mu się do ucha – Rene, czy jak jej tam naprawdę, bardzo dużo ci zawdzięcza. Cały czas będę się temu wszystkiemu wnikliwie przyglądał. Powiedz jej, żeby nie zapomniała cię zabrać na mecz Bayernu Monachium. Bywaj, chłopcze.

Spojrzał jeszcze raz na Kurta, włożył ręce do kieszeni i poszedł w kierunku miasta.

Ciemna limuzyna zajechała przed klinikę. Wysiadła z niej Luiza. Stanęła przed wejściem i spojrzała na front gmachu. Na budynku nie było żadnego napisu, z wyglądu bardziej niż szpital przypominał pałac. Kiedy zbliżała się do wejścia, wyszedł do niej starszy mężczyzna w białym fartuchu.

– Witam, czekaliśmy na pani przyjazd, a w szczególności Maria.

– Skąd takie przyjęcie? Nie jestem żadną celebrytką – powiedziała zdziwiona.

– Ale pani córka jest naszą pacjentką. – Ukłonił się. – Zapraszam panią, ale zanim zobaczy pani córkę, udajmy się do mojego gabinetu.

Ruszył przodem, Luiza podążała tuż za nim. Długo szli krętymi szpitalnymi korytarzami. Wreszcie zatrzymali się przed drzwiami, jednymi z wielu; weszli.

Gabinet nie był wielki, ale przytłaczała masą książek medycznych ułożonych na wysokich, sięgających sufitu regałach. Pośrodku pomieszczenia stały: solidne biurko i po jego obydwu stronach dwa fotele, jeden dla gospodarza, a drugi dla gościa. Luiza, nieproszona, usiadła.

Lekarz zajął miejsce naprzeciw niej, po czym sięgnął do szuflady. Chwilę czegoś szukał, w końcu wyciągnął szary skoroszyt. Odchylił okładki i zajrzał do środka. Luiza cierpliwie czekała, chociaż nie

mogła doczekać się spotkania z Marią. Jednak to, co zrobiono dla jej córki, zmuszało ją do pokory.

– Nie powiem pani, jak się nazywam – zaczął gospodarz – bo nic to pani nie wyjaśni, a ja wolę być incognito. Przeszczepiłem pani córce nerkę, której zrzekł się na jej rzecz jej ojciec.

– Wciąż nie wierzę w nasze szczęście. Nie rozumiem tylko, czemu zrobiliście to w taki sposób? Czy trzeba było Marię porywać? Zaoszczędzono by mnie i córce wielkiego stresu. Sama bym ją tu przywiozła – wtrąciła.

Spojrzał na nią zdziwiony.

– To pani nic nie wie?

– Co miałabym wiedzieć? Proszę mówić jaśniej. – Patrzyła na niego zdezorientowana.

– Nie mogliśmy tego zrobić oficjalnie, bo to jest zakazane.

– Przeszczep nerki jest zakazany? – obruszyła się. – Co pan opowiada?

– Pani dalej nic nie rozumie...

– Nie, nie rozumiem. Proszę mnie w końcu oświecić – odparła mocno podenerwowana tymi niedopowiedzeniami.

– Ojciec Marii postanowił dać swoją nerkę córce – zaczął chirurg – i przyjechał do mnie do kliniki, żebym zajął się tą operacją. Nie ukrywam, że zasilił naszą klinikę pokazną kwotą. Kiedy jednak przeprowadziliśmy konieczne badania, pojawił się problem. Okazało się, że pan Bontate ma tylko jedną nerkę.

– Co? – Zdumiona patrzyła na lekarza. – Co pan powiedział?

– To, co pani słyszała, u ojca Marii ukryto tylko jedną nerkę. Tak się nieraz zdarza. Bywa też tak, że ktoś ma trzy i całe życie przeżyje w tej niewiedzy.

– Nic z tego nie rozumiem. To skąd ta nerka? – spytała zupełnie zbita z tropu.

– Jak powiedziałem wcześniej, od ojca.

– Czyli nielegalnie kupił nerkę do przeszczepu? Boże, nigdy bym się na to nie zgodziła. Czekalibyśmy na dawcę, jeszcze zostało nam trochę czasu.

– To nie tak, droga pani. Po pierwsze czas wam się już kończył, a po drugie pochodzenie nerki jest zupełnie inne. Ona została pobrana od biologicznego ojca Marii.

– Ale on ma jedną? Czy ja dobrze zrozumiałam?

– No właśnie. Ma, a właściwie miał, jedną.

Luiza zbladła, jedną ręką chwyciła się poręczy fotela, bo inaczej upadłaby na podłogę.

– Podać pani wody?

– Nie, nie, dziękuję – szepnęła. – Już mi lepiej.

– Przykro mi, ale tak wygląda prawda – kontynuował. – Zabieg był nielegalny, dlatego musieliśmy go wykonać po kryjomu. Mam jednak nadzieję, że pani nie wykorzysta tej wiedzy przeciwko naszej klinice?

– Tego może być pan pewny – odparła stanowczo, dyskretnie przecierając oczy. – Uratowaliście Marii życie, Stefano zachował się szlachetnie, nie każdego byłoby na to stać. Będę chociaż mogła go zobaczyć?

– Przykro mi, ale już ktoś przyjechał po zwłoki i je zabrał. Jednak pan Bontate zostawił listy, jeden do pani, drugi do córki, i tę walizkę.

Lekarz wskazał ręką duży stalowy neseser, stojący przy biurku, po czym wyjął ze skoroszytu dwie koperty i podał je Luizie.

– Mam tylko jedną prośbę: żeby to na razie pozostało tajemnicą przed Marią, ona teraz potrzebuje spokoju i jeszcze raz spokoju. Inaczej ta ofiara pójdzie na marne.

– Będzie dobrze? Nic pan nie mówi o operacji.

Uśmiechnął się szeroko do kobiety.

– Jestem dobrej myśli. Ta ofiara jeszcze bardziej nas zmobilizowała podczas zabiegu, bo szkoda by było, żeby się zmarnowała. Teraz zaprowadzę panią do córki.

Wstał od biurka i ruszył ku drzwiom. Luiza poszła za nim.

Veronika wyszła spod prysznicza. Wytarła się, założyła szlafrok i wróciła do pokoju. Stała w progu jak wryta.

Na kanapie siedział Trovato. Czytał prasę. Z głośników dochodził głos Drupiego, musiał zmienić płytę.

– Skąd tu się wzięłeś?

– Drzwi były otwarte – odparł, odkładając gazetę.

– Niemożliwe. – Pokręciła głową z niedowierzaniem. – Zamknęłam je, dokładnie pamiętam.

Usiadła w fotelu naprzeciwko niego. Została dziś tak skopana przez los, że już jej było wszystko jedno. Mógł ją wyzwąć od kretynek, od wariatek, sama nie wiedziała, jak jeszcze sponiewierać, mógł trzasnąć drzwiami i nigdy nie wracać, a wszystko to przyjąłaby bez emocji.

Gabriel wiercił się niespokojnie, co było nieco dziwne. Ten zawsze opanowany, pewny siebie mężczyzna wyglądał teraz, jakby mu mrówki biegały po ciele.

– Wiem, że byłeś u proboszcza – zaczął. – Chciałem ci oszczędzić tej wiedzy, nie myślałem, że on to zrobi i wszystko ci wypaple.

– Ty chciałeś mi czegoś oszczędzić?! – krzyknęła. – Szkoda, że nie oszczędziłeś mi trupów w hotelu! Czemu nie wynająłeś innego? Tam mogłeś je wszystkie poupychać.

– Niestety, nie mógł być inny.

– Bo jest przeklęty? Tak? Mam rację?

– Posłuchaj mnie. To nie jest tak, jak myślisz.

– Nie chcę tego słuchać! Idź do diabła!

– Daj mi coś powiedzieć.

– Dobrze, to powiedz mi, co to jest?

Chwilę nerwowo szukała czegoś w torebce. Wyjęła stare, pożółkłe zdjęcie i rzuciła je na stolik.

– Możesz mi to w racjonalny sposób wytłumaczyć? Kim ty, do cholery, jesteś naprawdę? Człowiekiem z krwi i kości czy jakąś zjawą z innego świata? Przerażasz mnie!

Gabriel nawet nie zerknął na fotkę, widać było, że ją dobrze znał.

– Fotomontaż – skwitował spokojnym głosem. – Komputery potrafią robić cuda.

– Na początku tak myślałam, ale ten, kto robił to zdjęcie, wyprowadził mnie z błędu.

– Leoni jest stary, fakty zaczynają mu się mylić. – Zaśmiał się.

– Czemu mnie okłamujesz?

– Nie ma innego wytłumaczenia, musisz w nie uwierzyć.

Zapadła cisza.

– Turnus się kończy, wyjeżdżam – dodał po chwili stanowczo.

Sięgnął do kieszeni, wyciągnął z niej grubą szarą kopertę i położył ją na ławie. Veronika spojrzała na nią zdziwiona.

– Co to jest?

– To jest dodatkowa premia dla ciebie, dwadzieścia tysięcy euro.

Złapała ją i cisnęła w jego stronę.

– Zabierz to! Nie chcę od ciebie nic więcej. Za wynajem zapłaciłeś sownie.

Niezarażony jej zachowaniem, położył pieniądze na ławie i zza pazuchy wyjął następną kopertę, ta była cieńsza.

– To jest weksel, który wykupiłem od pewnego człowieka, u którego twój ojciec zaciągnął kiedyś pożyczkę. Erynia jest wolna od długów, możesz ją spokojnie dalej prowadzić.

– Ale ja nie chcę! – krzyknęła. – Gabriel, ja już nie chcę tego hotelu!

– Co się tyczy Eryni, to dobrze się zastanów, jeśli zaś o mnie chodzi, nie ma alternatywy – odparł sucho i zdecydowanie.

Podszedł i delikatnie poprawił jej włosy, opadające na twarz. Uśmiechnął się, delikatnie przejechał palcami po jej mokrych od łez policzkach, pocałował ją w czoło i wyszedł bez słowa.

Veronika została sama, rzuciła się na łóżko, wtuliła twarz w poduszkę i rozbeczała się jak małe dziecko.

Vogel siedział na brzegu łóżka i myślał o Russie. Jeszcze niedawno ucięli sobie ciekawą pogawędkę, więc nie był niczym zaskoczony. Dzień wcześniej odszedł ten Murzyn, Mvumbi. Trzeba przyznać, że zrobił to z fasonem, jak prawdziwy mężczyzna. On by tak nie potrafił sobie w głowę strzelić.

Dziś kolacja była przygotowana tylko dla niego. Terrorystka zniknęła, tak jak i Bontate. Pewnie też już nie żyją.

Wiedział dobrze, że i jego czas się kończy. Był rozżalony i pełen pretensji do świata. Nikt nie docenił jego wkładu w naukę, wszyscy widzieli w nim jedynie przestępcę. Nie żał mu było odchodzić.

Sięgnął do walizki, wyjął z niej małe metalowe pudełko, otworzył je.

W chwilę potem trzymał w dłoni strzykawkę. Podwinął wysoko rękaw koszuli, zacisnął na ręce gumowy wężyk. Wbił igłę w żyłę i wpompował w nią zawartość strzykawki, po czym odłożył ją na stolik i zdjął wężyk.

Wygodnie ułożył się na łożu na znak i przymknął oczy.

Hotel od dwóch dni stał pusty, po gościach nie było śladu.

Był środek nocy, jakaś zakapturzona postać w ciemnym swetrze pojawiła się w holu. Wygoniła kota na zewnątrz, następnie zeszła po schodach do piwnicy.

Po chwili wróciła z dwoma kanistrami w rękach. Jeden z nich zostawiła na parterze, drugi zaniósła na górę.

Po budynku rozniósł się cichy odgłos rozlewanej cieczy, zapach benzyny wypełnił korytarze.

Tajemnicza postać zeszła na dół i sięgnęła po drugi kanister. Otworzyła go i zaczęła oblewać wszystko, co napotkała po drodze. W pewnym momencie jej wzrok spoczął na obrazie, pejzażu Porto Venere. Podeszła do ściany i zdjęła go z niej.

Podpaliła nasączoną paliwem szmatę, rzuciła ją na środek holu i z obrazem w dłoni wymknęła się z budynku. Stanęła w oddali na ulicy i patrzyła na Erynię. Ogień najpierw zajął parter. Z hukiem pękały szyby, płomień piał się coraz wyżej, zajął pierwsze piętro i mknął dalej ku górze. W pewnym momencie cały budynek stał się jedną wielką pochodnią. Zewsząd było słychać syreny strażackie, ulica zapęlniała się gapiami.

– Chodź stąd – odezwał się jakiś głos zza pleców Veroniki.

To Franciszek, objął ją ramieniem i pociągnął do tyłu. Szli w milczeniu via Carducci.

Veronika w pewnym momencie zatrzymała się, odwróciła i spojrzała po raz ostatni na hotel. Wiedziała, że nigdy tu nie wróci. Nawet jedna łza nie zakręciła jej się w oczach. Spojrzała na przyjaciela, a widząc jego zatroskaną minę, uśmiechnęła się.

– Wiesz, poczułam ulgę, wielką ulgę. Wierzysz mi? Zobacz, pierwszy raz od wielu dni nie płaczę.

– Czulem, że to zrobisz.

– Skąd? Nie mogłeś tego wiedzieć. – Spojrzała na niego zdziwiona.

– Znam cię dobrze, jesteś zbyt uczciwa, żeby dalej prowadzić hotel kupiony za przekłete pieniądze.

– Nie tylko to. To był przeklęty budynek, przyciągał nieszczęście. Chciałam przerwać łańcuszek. Niech nie zostanie kamień na kamieniu.

– Co teraz zamierzasz zrobić? Gdzie się podziejesz?

– Nie wiem. Mam trochę oszczędności, wyjadę stąd.

– Dokąd chcesz jechać?

– Do Rzymu.

– Do brata? Może i dobrze.

– Nie, on tam pojechał. Tak mi powiedział.

Patrzył na nią zaskoczony. Pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Chcesz jechać za nim? Ty naprawdę go kochasz.

– Nie wiem. – Zaśmiała się jakoś pogodnie. – To nie może się tak skończyć. Trzymaj się ciepło, przyjacielu. Bym zapomniała, mam prośbę do ciebie. Zaopiekuj się Romulusem? Nie mogę go ze sobą zabrać.

– Oczywiście, wezmę go do siebie, on mnie chyba nawet lubi.

– A kto by cię nie lubił? Dziękuję!

Pocałowała kucharza w policzek, odwróciła się i poszła w stronę centrum. Franciszek stał jeszcze długo i patrzył na przemian – to na słup ognia trawiący budynek Eryonii, to na oddalającą się dziewczynę.

EPILOG

Minął rok. Po hotelu Erynia praktycznie nic nie zostało. Jedynie kilka pojedynczych fragmentów opalonych ścian straszło przechodniów. Tego dnia przed wejście na posesję zajęchało nieduże kombi, wysiadły z niego dwie kobiety. Trudno było nie zauważyć między nimi pewnego podobieństwa, a widoczna różnica wieku wskazywała na matkę i córkę.

Patrzyły na ruiny i przechadzały się wzdłuż ogrodzenia, co chwila zerkając na zegarek. Od strony morza przyszedł Franciszek, przez ten rok przygarbił się, jego krok nie był już taki pewny.

Zobaczył je z daleka, i podszedł do nich.

– Przepraszam za spóźnienie. – Uśmiechnął się, przyglądając się im z ciekawością.

– Nie szkodzi. Mamy dużo czasu – uspokoiła go starsza z kobiet.

– I co, podoba się paniom ta działka?

– Bardzo, jesteśmy zdecydowane ją kupić.

– To świetnie, właścicielka się ucieszy.

– Chyba pilnie potrzebuje pieniędzy, bo nie ukrywam, że cena jest atrakcyjna.

– Nie, drogie panie, pieniądze mają być przeznaczone na pobliski dom dziecka. Właścicielka nie chce nawet jednego euro zatrzymać dla siebie.

– Tylko podziwiać takich filantropów – odezwała się młodsza z kobiet.

Franciszek skinął głową.

– Ma pani rację, to niezwykle szlachetna osoba. Czyli, jak mam rozumieć, umawiam notariusza? – Jeszcze się upewniał.

– I to jak najszybciej.

– Na jakie nazwisko mam zamówić termin?

– Na córkę, na Marię Bontate – odparła starsza z kobiet.

Franciszek się zdumiał.

– Może pani powtórzyć? – spytał drżącym głosem. – Na kogo?!

– Na Marię Bontate. Czy coś jest nie tak?

Przyglądały mu się z troską.

– Nie, nie, wszystko w porządku – wydukał zmieszany. – Czy Stefano Bontate to jakaś pań rodzina?

Młodsza z kobiet szeroko się uśmiechnęła.

– Tak, to mój tata. Znal go pan?

– Chyba kiedyś był gościem naszego hotelu, ale to było dawno, bardzo dawno temu. Co pani zamierza tu zrobić? Wybudować sobie dom? Świetny pomysł. Wielu rzymian tak robi i przyjeżdża na urlopy, weekendy.

– Nie, w żadnym razie! Ostatnim życzeniem mojego taty było to, żeby powstał tu najładniejszy pensjonat w Pietrasancie i żeby nazywał się Erynia. Tak to ujął w swoim pożegnalnym liście, który mi zostawił wraz z pieniędzmi przeznaczonymi na ten cel.

Franciszek zbladł.

– Erynia, powiadacie?

W tym momencie na viale Apua pojawił się czarny mercedes. Za kierownicą limuzyny siedział Gabriel Trovato. Przejechał wolno koło posesji, po czym auto przyspieszyło i zniknęło w via Carducci.

POSŁOWIE

Droży Czytelnicy,

jest mi niezmiernie miło, że dotarliście do końca mojej opowieści.

Pięcioro tajemniczych gości, pięć osób skazanych na rozliczenie się z przeszłością, czyli turnus potępionych dusz. To nie jest historia wyszana z palca. Talidomid faktycznie powstał, terroryści istnieli, istnieją i wciąż są naszym wielkim utrapieniem, w Kongu co i raz wybuchają krwawe walki plemienne i prawdziwego końca wojny nie widać. Narkotykwowi bossowie mają się dobrze, zarabiają miliardy na handlu śmiercią, zaś Kościół wciąż nie może sobie poradzić z zagnieżdżoną w jego sercu moralną zgnilizną.

Chciałbym Państwu to jeszcze bardziej przybliżyć i dlatego przygotowałem krótki materiał, opierając się na opracowaniach opublikowanych na polskich, włoskich, niemieckich i amerykańskich portalach, jak choćby: naukawpolsce.pl, corvelva.it, huffpost.com, nytimes.com, auswaertiges-amt.de. Żeby Państwa nie zanudzić, objętość tekstów poświęconych konkretnemu problemowi uzależniłem od jego obecnej popularności w mediach – odwrotnie proporcjonalnie.

TALIDOMID

Cudowne lekarstwo, które okazało się przekleństwem. Pierwsze badania nad preparatem przeprowadzono już w czasie drugiej wojny światowej w obozach koncentracyjnych. Po wojnie niemiecka firma Grünenthal kontynuowała badania, zatrudniając nazistowskich lekarzy, jak choćby Heinrich Mückter, Heinz Baumkötter czy Ernst-Günther Schenck. Martin Stemmler, należący do najzażorszych zwolenników teorii czystej rasy aryjskiej, został jednym z ważniejszych kierowników badań.

W roku 1957 firma Grünenthal wprowadziła preparat do obrotu pod nazwą Contergan. Jak się później okazało, talidomid nigdy nie był testowany na kobietach w ciąży. Badania ograniczono jedynie do kobiet karmiących piersią. Mimo to specyfik został dopuszczony do sprzedaży.

Producent reklamował go jako cudowne lekarstwo na nudności i wymioty w ciąży i jako środek nasenny. Był dostępny bez recepty, a jego popularność można było porównać do popularności aspiryny. Jego twórcy twierdzili, że „nie mogli znaleźć dawki wystarczająco wysokiej, by zabić szczura”. Po trzech latach talidomid był sprzedawany w 46 krajach świata.

Niestety, chętnie sięgały po niego kobiety ciężarne.

Preparat blokował rozwój naczyń krwionośnych u płodów, co powodowało istotne deformacje ciała. Wystarczyła jedna dawka leku przyjęta w początkowych 50 dniach ciąży, aby nowo narodzone dziecko zmarło w ciągu roku lub żyło z niewykształconymi kończynami. Część z tych dzieci miała uszkodzenia uszu, oczu, narządów płciowych, mięśnia sercowego.

W sumie talidomid doprowadził do ponad 100 tysięcy poronień, 12 tysięcy cięż zostało donoszonych, a przeżyło blisko 8 tysięcy dzieci, wszystkie z okropnymi wadami wrodzonymi.

Już po roku do producenta zaczęły docierać niepokojące sygnały dotyczące skutków ubocznych zażywania preparatu, ale on za wszelką cenę starał się je ukryć.

Preparat ostatecznie wycofano dopiero w roku 1961.

Zaczął się od próby zarejestrowania go na terenie USA. Pracownica amerykańskiej Agencji Żywności i Leków (FDA) Frances Oldham Kelsey postanowiła przyjrzeć się mu bliżej. Wnikliwie przestudiowała mrożące krew w żyłach raporty brytyjskich specjalistów i podniosła alarm.

Dzięki swojej czujności przypuszczalnie uratowała setki tysięcy ludzkich istnień.

Prezydent John F. Kennedy przyznał za to Frances Oldham Kelsey najwyższe amerykańskie odznaczenie cywilne.

Twórcy preparatu nigdy nie ponieśli kary. Owszem, odbył się proces, ale firma Grünenthal wykpiła się od odpowiedzialności kwotą 100 milionów marek, co jak na wyrządzone krzywdy było śmieszną kwotą. Żaden z nazistowskich lekarzy odpowiedzialnych za dopuszczenie preparatu do sprzedaży nie

przesiedział w więzieniu nawet jednego dnia. Część ofiar talidomidu osiągnęła wiek dorosły i żyje do dziś. Nazywają siebie talidomerami.

KONGO

Kongo to jeden z najmniej stabilnych politycznie krajów afrykańskich. Częste przewroty wojskowe, zmiany rządów, krwawe zamachy nie służą uspokojeniu sytuacji, a dodatkowo przywódcy sąsiednich krajów starają się podgrzewać tam atmosferę. W ostatniej wojnie, która zakończyła się w 2003 roku na terenie Kongo, śmierć poniosło ponad pięć milionów ludzi. To była najkrwawsza wojna od czasów drugiej wojny światowej. U jej podłoża leżały konflikty rasowe (Tutsi i Hutu) oraz bogactwa naturalne. Według obserwatorów ONZ i świadków dochodziło tam do wyjątkowo okrutnych aktów przemocy, w których brała udział między innymi armia złożona z blisko 100 tysięcy dzieci. Rebelianci i żołnierze bez opamiętania mordowali i gwałcili. Ludność cywilna była traktowana gorzej od zwierząt. Tortury, kanibalizm, tak jak i polityka pozostawienia po sobie jedynie spalonej ziemi, nikogo już tam nie dziwiły. Zawieszenia broni czy rozejmy to były stany przejściowe. Tu nic nie było stałe, prócz bólu i krwi ofiar. Obecnie oficjalnie w Kongu panuje pokój, ale w regionie Pool oraz w departamentach Likouala i Sangha wciąż działają uzbrojeni rebelianci.

TERRORYZM LAT SIEDEMDZIESIĄTYCH

Pod koniec lat sześćdziesiątych na zachodzie Europy zaczęły powstawać organizacje terrorystyczne. Ich matecznikiem była skrajna lewica, szczególnie aktywna w środowiskach studenckich i po cichu wspierana przez Związek Radziecki oraz inne kraje bloku wschodniego.

Terrorystyci w momencie tworzenia swoich organizacji natrafili w społeczeństwach Zachodu na bardzo podatny grunt. Byli przeciwni wojnie wietnamskiej i amerykańskiej obecności w Europie. Prócz tego potępiali faszyzm i kapitalizm. Krytykowali nierozliczenie się z przeszłości nazistowskiej, protestowali przeciwko wyzyskowi, zwłaszcza krajów Trzeciego Świata. Wielu terrorystów idealizowało komunizm.

W Niemczech zachodnich powstała Frakcja Czerwonej Armii kierowana przez Andreasa Baadera i Ulrike Meinhof. We Włoszech utworzono Czerwone Brygady, którym przewodził Mario Moretti.

To były dwie najbardziej znane organizacje terrorystyczne. Powstało też sporo różnych ich odłamów, mniej lub bardziej aktywnych. Ich trzon stanowili młodzi ludzie, często wywodzący się ze środowisk studenckich. Kobiety i mężczyźni tworzyli grupy zabójców w swoich działaniach pozbawionych nawet najmniejszych skrupułów. Zabijali za ideę i dla niej nie wahali się ginąć.

Wspomagali ich terrorystyci z Bliskiego Wschodu, głównie Palestyńczycy i Libijczycy, którzy szkolili ich i zaopatrywali w broń oraz materiały wybuchowe.

I tak po Europie Zachodniej i północnej Afryce rozlała się fala przemocy. Napady na banki, zabójstwa policjantów, zamachy bombowe na wojska amerykańskie stacjonujące w Niemczech, porwania samolotów oraz mordy polityczne stały się codziennością. Te najbardziej spektakularne to, prócz opanowania ambasady niemieckiej w Sztokholmie, zamach na prezydenta Niemieckiego Związku Pracodawców Hannsa Martina Schleyera (1977) oraz równie brutalne porwanie i zabójstwo byłego premiera Włoch Alda Mora (1978). Ta sprawa miała szczególnie wyjątkowy wydźwięk międzynarodowy w związku z zaangażowaniem w sprawę samego papieża. Zwierzchnik Kościoła zaproponował wymianę Alda Mora na siebie. Terrorystyci nie przyjęli propozycji Pawła VI i zamordowali więźnia.

Dwadzieścia lat działalności i setki bezsensownych ofiar, tragedii ludzkich. Tak można w skrócie podsumować działania lewicowych organizacji terrorystycznych. Większość ich członków zginęła, resztę ujęto. Do dziś odsiedzieli, lub odsiadują, długoletnie wyroki.

HANDEL NARKOTYKAMI

Jeżeli chodzi o problem narkotyków w Europie, umieściłem tu jedynie suche, ale jakże wymowne liczby. Są to dane z końca roku 2019 ujęte w Europejskim Raporcie Narkotykowym. Badania przeprowadzono na grupie ludzi w wieku od 15 do 64 roku życia.

Marihuanę zażyło przynajmniej raz w życiu ponad 90 milionów osób.

Kokainę zażyło przynajmniej raz w życiu blisko 18 milionów osób.

MDMA zażyło przynajmniej raz w życiu blisko 13,6 miliona osób.

Amfetaminę zażyło przynajmniej raz w życiu blisko 12,3 miliona osób.

Te dane porażają, a co martwi szczególnie? Znaczny wzrost w porównaniu z rokiem wcześniejszym. Handel narkotykami to handel śmiercią, i to na wielką skalę. Wydaje mi się, że można go śmiało nazwać formą ludobójstwa.

PEDOFILIA W KOŚCIELE

Problem, który istnieje od lat, zapewne od wielu stuleci, ale dopiero teraz przełamano znowę milczenia, usłyszano krzyk ofiar. Według oficjalnych danych Watykanu sprawa dotyczy około dwóch procent duchownych. Wydaje się jednak, że są to bardzo niedoszacowane dane. Nie wspomina się tu o potencjalnych ofiarach, których są zapewne setki tysięcy. Skąd ta liczba? Jeśli w małej Belgii w ciągu kilku lat zgłosiło się ponad tysiąc osób, to już daje jakiś obraz skali tego haniebnego procederu.

Nie chcę się tu rozwodzić nad tym zagadnieniem, gdyż od kilku lat jest ono szeroko komentowane we wszystkich mediach. Żywię nadzieję, że Kościół w końcu poradzi sobie z tym problemem, że dokona samooczyszczenia i nigdy więcej żaden duchowny nie skrzywdzi dziecka, a jeśli już do tego dojdzie, to sprawca poniesie surową karę.